III, 1, 14, 30

33

JÓZEF KORZENIOWSKI

KREWNI.

POWIEŚĆ.

TOM I.

LWÓW — ZŁOCZÓW
Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

Józefa Korzeniowskiego wyszły w „Bibliotece Powszechnej“:

Nr. 255-260. Emeryt.
Nr. 108-111. Kollokacya.
Nr. 117-120. Spekulant.
Nr. 484. Cyganie.
Nr. 102. Karpaccy górale.
Nr. 738. Majster i czeladnik.
Nr. 101. Mnich.
Nr. 181. Narzeczone.
Nr. 913. Panna mężatka.
Nr. 113. Pierwej mama.
Nr. 384. Stary Kawaler.
Nr. 448. Stary mąż.
Nr. 631-632. Wąsy i peruka.
Nr. 133-134. Żydzi.

PG
9158
K589
K74
1925
v.1
MAIN

I.

Nie wiemy, czy któremu z czytelników naszych zdarzyło się przejeżdżać z Chełma do Włodawy okolicą piaszczystą, leśną i nieżyzną, gdzie na środku drogi, między temi dwoma miastami, które każdy zna, to z opisów podróżnych, to z opowiadania tych, co admirowali cudne położenie pierwszego, i zastanawiali się nad ruchem handlowym drugiego, leży ubogie miasteczko Sawin, o którem pewnie mało kto słyszał, a tem mniej kto widział i poznał. A jednak w to ustronie zapadłe i głuche musimy zaprowadzić czytelników naszych, gdyż tam rozpoczyna się ten ustęp z dziejów naszego życia, z którym na pożegnanie ich występujemy, i tam pod koniec tej historyi, którą radzibyśmy zrobić interesującą, a nawet użyteczną, powrócić będziemy musieli.

Sawin składa się z kilkudziesięciu domów, po większej części drewnianych, zabudowanych w wielki kwadrat, przedstawiający niby rynek, na którego środku jest karczma. Pomiędzy tymi domami są dość porządne i czyste dworki,

mniej więcej podobnej formy, o czterech oknach, ozdobionych wazonikami lewkonii i geranium, o drzwiach we środku, z nizkiem z przodu ogrodzeniem z furteczką, za którymi tu i owdzie ogródek, gdzie dominują malwy, floksy i słoneczniki, a z tyłu zabudowania gospodarskie, złożone z niewielkiej stodoły, ze śpichlerza, zamkniętego wielką kłódką, ze stajenki na parę koni, z obórki na kilka krów i innych pomniejszych chlewków.

Mieszkańcy tego rolniczego miasteczka niewiele sobie łamali głowy na wymyślenie nowych form architektonicznych dla swych siedzib; i jak jeden wybudował, a drugi obaczył, że mu tak dobrze, naśladował więc sąsiada, dając tylko większe lub mniejsze rozmiary pomysłom jego, w miarę zamożności swej i potrzeby. Stąd ta jednostajność, która jednak nie robi przykrego wrażenia, gdyż równie w ozdobach zewnętrznych ogródków, w czystości obejścia, w całości dachów, okien, jak i w porządku wewnętrznym, okazuje się wielka rozmaitość, odpowiadająca gospodarności i zamożności tych, co dworeczki te zamieszkują.

Oprócz rynku jest tam jeszcze parę mniej pokaźnych ulic, a z tych najdłuższa i najludniejsza znajduje się na drodze wiodącej do Włodawy. Ale uliczki te złożone są prawie całkiem z chat pomniejszych, i mają więcej

pozór wsi nieźle zabudowanej i zamożniejszej, aniżeli miasteczka. Tam mieszkają sami tylko mieszczanie, gospodarze rolni, mający po kilka i kilkanaście morgów gruntu, kiedy w dworkach rynku mieści się cała arystokracya tego miejsca, to jest: burmistrz, poborca i pisarz, nauczyciel elementarny i jego szkoła, a nadewszystko właściciele majętniejsi, mający po dwie i po więcej włók ziemi, a między tymi dwóch lub trzech herbowych, z których zwłaszcza jeden należał do rodziny wysoko w hierarchii szlacheckiej położonej i niepoślednie w kraju urzędy piastującej. Ale najpiękniejszą ozdobą tego miejsca jest kościół, od wjazdu ze strony Chełma z prawej strony leżący. Kościół to murowany, niezbyt obszerny i niebogaty, lecz okrążony zewsząd tak pięknym szeregiem starożytnych lip, tak zielona w około otacza go murawa, w takiem zaciszu pod cieniem tych drzew leży cmentarz, nizkim obwiedziony parkanem, że miło jest zbliżyć się do tego domu bożego i do tego dziedzictwa umarłych, i pomodliwszy się, podumać tam czas niejaki, przysłuchując się tajemniczej rozmowie, jaką prowadzą między sobą te stuletnie świadki zabiegów, pracy, uciech, namiętności i płaczu tych, których nakoniec pod swe skrzydła do stałego spokoju i wiecznego przygarnęły odpoczynku.

Probostwo leży obok. Jest to, co do formy i rozmiarów, prawie taki sam dworek, jak inne, i tem się tylko od nich różni, że ma przed drzwiami wchodowemi ganek na dwóch słupkach oparty, z ławeczkami do siedzenia; że zabudowania gospodarskie są większe; że za niemi jest dość obszerny ogród warzywny i fruktowy, a przed gankiem dziedziniec spory, oparkaniony, z furtką prowadzącą do kościoła, zasłany cały prześliczną murawą i w jednym rogu ocieniony tak rozłożystemi i spojonemi w górze trzema lipami, że najżywsze promienie lipcowego słońca nie mogą przebić tego zielonego sklepienia i wygnać chłodu z pod tej rozkosznej altany, gdzie sobie proboszcz często, to z książką, to z gośćmi swymi przesiaduje.

Parafia do probostwa tego należąca jest obszerna co do rozległości; ale, że okolica ta zamieszkana po większej części przez unitów, a nawet w samem miasteczku jest ich większa połowa, niewielkie więc proboszcz ma dochody i poprzestawać musi na tem, co mu daje gospodarstwo, kiedy niekiedy ślub jakiego w okolicy zamieszkałego szlachcica, czasem chrzciny nowego ziemi tej obywatela, a najczęściej pogrzeb którego z katolików, mieszkających w miasteczku, co, jak tam zwykle mówią, poszedł ochłodzić się pod lipy i z dawnymi pogadać sąsiadami.

Ale ta szczupłość dochodów nie odbierała humoru księdzu Maciejowi Zielenkowskiemu, który już lat kilkanaście w parafii tej mieszkając, przestawał zawsze na tem, co mu Bóg dał, utrzymywał jak mógł w porządku kościół i dzielił się jeszcze z biednym, jeżeli który stanął przed jego progiem i widokiem prawdziwej nędzy do serca jego przemówił. Był to bowiem człowiek w gruncie dobry i uczciwy, a choć czasem gderał, choć nieraz moralizował tych, którym się chciało płakać, zawsze jednak w końcu zmiękczył się, widząc wielką jaką boleść, i albo pomógł, oddając ostatni grosz, jaki miał, albo niósł pociechę religijną, umacniając duszę cierpiącą w wierze i ufności w miłosierdzie Tego, który jeżeli dziś zasmuca, to jutro niespodziewaną przygotowuje ulgę i pocieszenie. To też nikt się nie zrażał jego zmarszczonem czołem, nasuniętemi brwiami i gburowatym głosem, z jakim z początku przyjmował tych, co do niego przychodzili. Owszem, wszyscy znali jego serce, a morały i ofuknienie nawet, bez którego się czasem nie obeszło, przyjmowali z cierpliwością i pokorą. To jego usposobienie poszło stąd, że ksiądz Zielenkowski znał doskonale swoich parafian, wchodził w ich życie, w ich położenie, widział ich wady i nałogi, wiedział dobrze o sąsiedzkich ich nienawiściach, o sprawach, jakie ich dwoiły,

o namiętnościach, jakie zagnieżdżały się w ich sercach, a stąd przewidywał klęski, jakie im zagrażać mogą. Nim się tedy co złego stało, wzywał ich do siebie, moralizował i surowo upominał, gdy kto tłómaczył się nieprawdą, lub rady jego i przestrogi przyjmował z dąsaniem lub lekceważeniem; a gdy przyszła bieda, klęska przepowiedziana ziściła się, i nieszczęśliwy stawał przed proboszczem, prosząc o pomoc, albo radę, wtedy zawsze zaczynał od tego, iż go sfukał, iż się okrutnie zmarszczył i nie chciał niby słuchać, mówiąc: »Sameś sobie winien, mówiłem ci, ostrzegałem, ale co to wam gadać. Ja swoje, a ty swoje. Teraz masz. Dobrze ci tak. Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg. Idź sobie po radę i pociechę gdzie indziej. Nie słuchałeś wtedy, teraz już po niewczasie.« Zawsze się jednak na tem kończyło, że serce wyszło na wierzch, i że nieraz płakał z tymi, których widział przed sobą zbolałych i płaczących. Wszakże rad swoich lubił udzielać nie tylko tym, od których sądził się wyższym nauką i doświadczeniem życia, ale i takim, którzy się mieli za oświeconych, za znających świat i ludzi, prawił nieraz *verba veritatis* równie co do ich życia, ich stosunków familijnych, wychowania dzieci, a nawet co do ich interesów majątkowych. Niektórzy z takich przyjmowali uwagi księdza z należytą względnością; widzieli bowiem,

iż w gruncie ma na celu ich własne dobro i interes ich dobrze zrozumiany; ale inni, zarozumialsi, lub czujący się rzeczywiście do wad i win, które im wytykał, nazywali go wścibskim i unikali jego morałów, tem bardziej, im bardziej czuli, że ma racyę, i że to, co przepowiada, w rzeczy samej stać się może.

Przy tem wszystkiem był on spokojnego, a nawet wesołego usposobienia, i gdy czasem kto wieczorem do niego przyszedł, a zwłaszcza latem pod lipy, lubił pogawędzić o tem, co się działo w miasteczku i w okolicy, a niekiedy pośmiać się z możniejszych, którzy nie słuchają jego przestróg, nazywają go wścibskim, gdyż o tem doskonale wiedział, a tymczasem, jak głupie owce lecą w ogień, gdzie kudły swe osmalą. Nie był on wcale uczonym, chociaż miał kilkanaście dobrych książek i przeczytywał je po raz drugi i trzeci, gdy był wolnym od zajęć w parafii i od zabiegów gospodarskich, którym oddawał się chętnie i z wielką pilnością. Ale ksiądz Zielenkowski był trochę poeta, a wierszyki okolicznościowe składał często i z łatwością. Ulotnych tych rymów, którymi winszował imienin, nowego roku i wesołego Alleluja; przez które wzywał czasem sąsiadów, z którymi bliżej żył, na obiadek, na podwieczorek, lub zimą na maryasza lub warcaby; przez które wstawiał się do burmistrza, to za nauczycielem

swej szkoły, aby mu regularniej wypłacano pensyę, to za innym jakim uciśnionym, który wzywał jego pośrednictwa lub protekcyi; przez które w nagłym jakim razie prosił którego z możniejszych swych parafian o furkę siana dla swych krówek, lub o jaki korczyk owsa dla swych koników, — zebrała się już była w owym czasie, o którym mówimy, tak znaczna liczba, że gdyby się był znalazł jaki wydawca, mielibyśmy zupełnie takie dwa tomiki, jakie już w poezyach Molskiego, z wielkim pożytkiem dla literatury, posiadamy.

Ksiądz Maciej Zielenkowski miał już z pięćdziesiąt lat; był słusznego wzrostu, chudy, wypukłych pleców, ręce miał żylaste i czerwone, któremi chętnie giestykulował, a stopy duże, które prosto przed sobą i dość niezgrabnie wyciągał. Włosy już siwe i nizko przystrzyżone pokrywały jego dużą głowę, czoło miał nizkie i marszczące się, brwi wielkie, spadające na oczy, co dawało twarzy jego śniadej i niezbyt ujmujących rysów wyraz surowy, który na pierwszy rzut oka odstręczał i tem mniej pochlebne dawał wyobrażenie o łagodności jego charakteru, że i w głosie nie było słodyczy, ale owszem jakaś twardość i niby gburowatość. Wszystko to jednak nikło przy bliższem jego poznaniu. Gdy się rozrzewnił, łagodniały jego rysy, czoło się wygładzało i podnosiło, brwi

rozsuwały się i pozwalały widzieć głębokie uczucie w jego oczach, często łzą zroszonych. Gdy się znowu rozgadał i rozweselił, cała twarz jego piękniała niejako, a uśmiech czasem filuterny, czasem dobroduszny, pociągał każdego do ufności i zniewalał do przyjacielskiego wylania się. Ksiądz Maciej latem i zimą chodził zawsze w czapce wysokiej, rogatej z siwym barankiem, w długim surducie z grubego sukna, a w święto w zwykłej księżej sutannie z pelerynką; trzcinę miał zawsze w ręku, a choć nie dbał o elegancyę w zwierzchnem swem odzieniu i obuwiu, widać jednak, że do czystości wielką przywiązywał wartość, gdyż ta obwódka płócienna, która okrążała jego halsztuch pod brodą, była zawsze czysta i jak śnieg biała. Równie starannie utrzymaną i składaną była wszelka bielizna kościelna. Nie wziął nigdy na siebie zbrudzonej i zmiętej alby, a komże, w których występował czy na ambonę, czy przy chrzcinach, czy za trumną choćby najbiedniejszego ze swych parafian, świadczyły, że na nie nie żałowano mydła, i że pod pilnem i umiejętnem były żelazkiem.

Wikaryusza ksiądz Maciej nie miał. Zbyt ubogie było probostwo, aby go na taki ekspens stało. Ale za to wierną miał pomoc i posługę gorliwą, równie w gospodarstwie swem, jak i w kościele, w całej rodzinie Dudzinowskich,

która od lat kilkunastu na probostwie mieszkała, i zespoliwszy się ze wszystkimi interesami księdza, podzielając serdecznie wszystko dobre i złe, które mu się wydarzało, starała się mu dogadzać i we wszystkiem umniejszać kłopotów. Rodzina ta składała się z męża, żony i jednego chłopca. Błażej Dudzinowski był prawie równego wieku z proboszczem. Przez zapatrywanie się na swego pryncypała przejął on jego ruchy, jego chód, sposób mówienia, a nawet wypukłość pleców, a donaszając zawsze jego ogrome buty, rogate czapki i niejeden surdut, gdy się już wycierał i zagrażał dziurami, był w oczach wszystkich *alter ego* księdza Macieja, i nieraz z daleka, gdy szedł szerokimi krokami i trzymał przed sobą laskę, starannie z kory ostruganą, dla większego do trzciny proboszczowskiej podobieństwa, za niego był brany. Pan Błażej rozmaite pełnił funkcye. W kościele był on zakrystyanem i organistą, w gospodarstwie był ekonomem i gumiennym, a kiedy niekiedy w razie potrzeby, zwłaszcza gdy ksiądz proboszcz jechał do chorego, aby go na ostatnią podróż umocnić, lub przyjąć nowonarodzonego chrześcijanina do Kościoła Bożego, pełnił sam obowiązek woźnicy. I wtedy, gdy mieszkańcy Sawina spostrzegli na bryczce dwie rogate czapki, dwa ciemne surduty i dwoje wypukłych pleców, jedne na siedzeniu, a drugie na koźle,

wiedzieli dobrze, że ktoś umiera, albo się narodził, a stąd do smutnych, lub wesołych rozmów mieli pochop i materyę. Skoro świt, już pan Błażej był na nogach; obszedł całe gospodarstwo, dopilnował nakarmienia koni i bydła, wyprawił dwóch parobków w pole, gdy była pora i potrzeba, i zajrzawszy do każdego kąta, szedł pod lipy, gdzie ksiądz proboszcz odmawiał pacierze, aby mu zdać raport, jak całe obejście zastał i jak wczorajsze jego dyspozycye wykonał. Potem zbudziwszy syna swego Jasia, trzynastoletniego i przytomnego chłopaka, szedł z nim razem do kościoła. Gdy uprzątnęli dom boży, pozamiatali wszędzie i pościerali kurzawę, pan Błażej, przygotowawszy w zakrystyi wszystko, co do mszy świętej, która się codziennie o godzinie wpół do siódmej odprawiała, było potrzebnem, szedł wraz z synem na śniadanie, a potem, skończywszy już funkcyę zakrystyana, oddawał się cały urzędowi ekonoma. Przejrzał więc śpichlerz, wydawał co było komu potrzeba, notował każdy ekspens dla podyktowania później księdzu i zapisania w książkę rachunkową, pilnował młócenia, lub jechał w pole w miarę pory roku i rodzaju zajęcia gospodarskiego, jakie ona nastręczała. W niedzielę i święto wstawał jeszcze raniej, gdyż z gospodarstwem musiał się ułatwić od razu, a resztę dnia był już tylko usłudze kościoła oddany.

To też, gdy się zbliżała godzina jedenasta, o której ksiądz proboszcz punktualnie kończył kazanie i wychodził z summą, pan Błażej, który już wszystko do ceremonii tej przygotował i ubrał już w czyste komeszki dwóch chłopaków ze szkoły, którym z kolei służenie do mszy przypadało, wymusztrował ich należycie, nieraz to tego, to owego pociągnąwszy za ucho, gdy się który gapił i przestróg jego nie słuchał, stawał co chwila we drzwiach zakrystyi i spoglądał ku ambonie, aby z goretszych ruchów księdza i z podniesionego głosu jego mowy zrobić ów naturalny wniosek, że się domówienie zaczyna. Wtedy brał z powagą laskę, na której był okręcony stoczek, ściągał za kutas lampę, wiszącą przed wielkim ołtarzem, i zapaliwszy sześć świec, schodził ze stopni, zatrzymywał się zawsze w jednem i temże samem miejscu, obracał laskę, przygaszał nogą stoczek i stawiał przy drzwiach zakrystyi. Przy nim był Jaś, także w najparadniejszą ubrany komeszkę, i który, chociaż w takie dni do mszy nie służył, ale sam tylko miał przywilej stawać z trybularzem, jako baczniejszy i lepiej z manipulacyą jego obeznany. Wtedy pan Błażej, upomniawszy jeszcze raz syna, aby na wszystko w zakrystyi dawał baczenie, sam udawał się do wypełnienia głównego swego obowiązku, od którego tytuł organisty nosił. I trzeba było widzieć, z jaką

pewnością doświadczonego i pewnego sztuki swej artysty szedł przez kościół, z jaką impozycyą spoglądał na obecnych, którzy się przed nim rozstępowali, jak szybko mimo wieku wbiegał na schody, i z jaką miłością spoglądał na klawisze i na dudy, które zdawały się tylko oczekiwać jego ręki, aby się odezwać głosem, mającym podnieść pobożne uczucia obecnej w kościele rzeszy. Był on tu w swoim żywiole, i gdy obiema rękami zaczesał najprzód włosy, potem potarł dłonie, potem uśmiechnął się do klawiszów, rzekłbyś, że to który z naszych fortepianistów, którzy siadają do instrumentu z tem przekonaniem, że pod palcami ich ożyje zmnisiony Liszt, i nieśmiertelny Szopen wstanie z grobu. O grze jego i śpiewie nie ma już co i mówić, i czytelnicy domyślą się zapewne, że człowiek taki dla chwały Bożej i utrzymania honoru parafii nie mógł żałować rąk, a tem bardziej głosu, i starał się usilnie, aby ceremonia odbyła się okazale i z uroczystością godną tego miejsca, gdzie proboszcz taki, jak ksiądz Maciej Zielenkowski, celebrował, a on, jako druga po nim osoba, odpowiadał mu głosem organów i donośniejszym jeszcze głosem własnych swych piersi celebry tej dopełniał.

Ale jakkolwiek pan Błażej nieocenionym był dla proboszcza człowiekiem, miał i on wadę, świadczącą o ułomności natury ludzkiej. Ksiądz

Maciej mógł się wszędzie na niego spuścić, w każdem zdarzeniu zaufać jego czujności i przywiązaniu, mógł go posłać w pole, na sianokos, do lasu, wyprawić do odleglejszych nawet parafian w interesach choćby najdelikatniejszych; ale po nic w świecie nie mógł go posłać na miasteczko. Jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak dla pana Błażeja wszystkie drogi w Sawinie prowadziły przez karczmę. A skoro raz wpadł w otwartą paszczę tej Scylli, zawsze się jakoś zasiedział, zawsze się zagadał, to z tamtejszym propinatorem, to z którym z parafian, równie podległym tym samym natury naszej zboczeniom. A choć go sumienie gryzło, choć odwróciwszy się do kąta, dawał sobie ze złości policzki, pociąg był jednak tak silny, że czas na spełnienie interesu, za którym był posłany, przemijał, a pan Błażej, zamiast wrócić do proboszcza i zdać raport z poselstwa, przemykał się cichaczem, aby nie widziano, że się nie trzyma na nogach. Tak zygzakiem i za pośrednictwem to płotu, to parkanu, dopadł stajenki i wiązki siana, i tam już dostawszy się, chrapał szczęśliwie póty, póki go żona nie odszukała. Nigdy wszakże gorliwszym i czynniejszym nie był, jak po takim upadku, którego się niezmiernie wstydził. Dlatego to proboszcz patrzył przez szpary na tę słabostkę człowieka, bez któregoby się już

obejść nie mógł, starał się tylko usilnie podawać mu jak najrzadziej okazye do złamania tego uroczystego słowa, jakie dawał jemu, żonie i sobie samemu, że go już i sam dyabeł do karczmy nie zaciągnie. Tak wszakże słowa tego dotrzymywał, jak skrytykowani autorowie dotrzymują przyrzeczeń, jakie sami czynią, że wszystkie pióra i kałamarze powyrzucają za okno.

Żona pana Błażeja, Agnieszka, którą krócej daleko scharakteryzujemy, była gospodynią domu. Wprawdzie i ona nie była bez ale, gdyż gospodarowała zanadto głośno, była prędka, zła i kłótliwa; ale ta lewa strona jej usposobienia kompensowała się tem, że była oszczędna, dobra kucharka, że robiła doskonale rosół i sztukę mięsa, że barszcz przyprawiała tak, jakby żaden kucharz nie potrafił, a nadewszystko, że lubiła niezmiernie czystość w kuchni i w pokojach, w naczyniu kuchennem i kredensowem, a szczególnie w bieliźnie, równie księdza proboszcza, jak i kościelnej. Były to ważne przymioty, już nie mówiąc o wierności i przywiązaniu, dla których proboszcz znosił cierpliwie jej gderania, jej hałasy, jej fochy, których nawet jemu nie szczędziła. A chociaż czasem pan Błażej podnosił głos także i uczył ją mores, najczęściej jednak obaj, natuliwszy na uszy jednakowe swe czapki, ustępowali z placu, i wtedy krupiło się na Jasiu, jeśli się niebacznie nawinął na ten

moment, w którym matka nie miała na kim spędzić złości, co ją trawiła. Obity chłopak najniewinniej, szedł z płaczem do ojca i do proboszcza, a ci widząc, że już po burzy, wracali do domu, i zastawali już Agnieszkę krzątającą się spokojnie, witającą ich z uśmiechem i przepraszającą proboszcza, że się uniosła. Męża pani Błażejowa nie przepraszała nigdy, trzymając się w tej mierze zasady większej połowy żon naszych, które utrzymują, że zawsze mają racyę.

Najbliższym sąsiadem, a można powiedzieć serdecznym przyjacielem proboszcza, którego staramy się dać poznać szczegółowo czytelnikom naszym, a to ze względów, jakie sami później uznają za słuszne, był pan Sebastyan Zabużski, ów szlachcic wysoko skoligacony, o którym wyżej wspomnieliśmy. Niedaleko od kościoła, od wjazdu do Sawina ze strony Chełma, leżał jego dworek i całe obejście, stanowiące najznaczniejszy w całem miasteczku folwarczek. Dworek był taki jak i inne, silniej tylko i staranniej oparkaniony, z bramą wjazdową dobrze zamykaną, z dziedzińcem większych rozmiarów, i mającym z boku lamusik z grubych belek, z dębowemi drzwiami, pod którym znajdował się loszek murowany i sklepiony. Ale za to stodoła, śpichlerz, obory i stajnie przenosiły wielkością dom mieszkalny i okazywały staran-

niejszego i zamożniejszego od innych gospodarza. Jakoż pan Sebastyan miał w dziedzicznem swem posiadaniu cztery włóki dobrego gruntu, z półtory włóki łąk pięknych i korzystnie położonych, a nadto kilkadziesiąt morgów opałowego lasu, który na potrzeby domowe najzupełniej wystarczał.

Mająteczek ten, opatrzony dostatecznym remanentem i stosowną liczbą rąk, do uprawy roli i zwiezienia jej plonów potrzebną, wystarczał mu na życie niezależne, tem bardziej, że to był szlachcic dumny, który na tem zakładał swój honor, aby nikogo o nic nie prosił i nikomu nie był nic winien. Tak więc się rachował, tak przymierzał potrzeby swe i wydatki do przychodu, że mu zawsze wystarczało na opłacanie i dobre wykarmienie służby męskiej i żeńskiej, na której gospodarstwo jego leżało, na dobrą łyżkę strawy i kawałek mięsa dla niego i dla gościa, jeśli się zdarzył, na odzienie skromne, ale całe i czyste, a nawet na utrzymanie w Hrubieszowie dwóch synków, którzy właśnie w tym roku, od którego opowiadanie to rozpoczynamy, trzecią klasę szkoły tej powiatowej kończyli.

Pan Sebastyan miał już pięćdziesiąty siódmy rok. Miernego był wzrostu, ale silnej budowy i żelaznego zdrowia, które umiarkowane życie, surowe obyczaje i ruch ciągły na otwartem

i świeżem powietrzu utrzymywały w stanie kwitnienia i rokowały mu późną i czerstwą starość. Gdy mu zazdroszczono wielkiej siły w rękach i w nogach, jaką posiadał, doskonałego apetytu, z jakim sprzątał skromne i proste obiadu swego potrawy, odpowiadał zawsze: »Umiem być starym, mospanie, i to cały mój sekret. Wiem, ile mam lat, o czem inni zapominają. Nie używając nigdy wszystkich sił, jakie mam, ekspensując tylko dochód, nie tykam kapitału, i tym sposobem przygotowuję sobie wielkie uciechy małym kosztem, a unikam wielkich boleści, poświęcając małe rozkosze. Inni w moim wieku, poczuwając w sobie reszty sił młodych, durzą się, że odmłodnieli, i chwytają za przynętę rozkoszy, którą im stawia natura często na to tylko, aby się ich prędzej pozbyć. Ja, mospanie, nie zapominam o tem, że życie nasze ma dwa dzieciństwa, ale nie ma dwóch wiosen. Przytem Pan Bóg ustrzegł mię od dwóch największych nieprzyjaciół zdrowia i długiego życia, t. j. od wielkiej nędzy i od wielkich dostatków. Pierwszy bowiem rujnuje przez to, że jest wszystkiego za mało, drugi przez to, że jest wszystkiego za nadto. Otrzymałem w udziale mierność, która jest matką spokoju, swobody i zdrowia. Jeżeli więc przychodzi potrzeba nagła i nieodbita, mogę jej zadość uczynić, a gdy rozum się przyćmi

i serce ogarnie pokusa, znajduję nieprzezwyciężoną przeszkodę w niemożności. Chcesz waszeć mieć tak silne ręce, jak moje, i nogi tak wytrzymałe i niezmordowane, dajże im robotę, żeby nie zgnuśniały i nie zaklęsły; chcesz tak jak ja zrepetować wazę barszczu i półmisek kaszy i zrazów, to pamiętaj o tem, że człowiek karmi się chlebem dwa, lub trzy razy na dzień, a powietrzem w każdej sekundzie życia. Nie siedź więc w izbie zaduszonej, ale szukaj świeżego oddechu na polu, na łące i w lesie, a tam znajdziesz siły i apetyt.«

Takie były mniej więcej zasady pana Sebastyana, które w rozmaitej formie lubił wyrażać w rozmowie, i od których bardzo rzadko i to pod jakimśćiś szczególnym przymusem odstępował. W ogólności był to człowiek niezmiernie panujący nad sobą. Przy tak ogromnej sile, jaką w nim admirowano, gdyż nabrawszy w garść orzechów laskowych, rozmiażdżał je tak, że mało który został nierozgniecionym, przy prędkości i gniewliwości wrodzonej, nie uniósł się nigdy do tego stopnia, żeby albo sługę, albo które dziecko uderzył. Jeśli już musiał ukarać, karał wtedy, gdy ochłonął, i to nigdy ręką, ani laską, ale giętkim i nieszkodliwym prętem lub rózgą. Kiedyś, w młodszych latach, mało nie zabił jakiegoś drągala policzkiem, który mu wymierzył, i to go tak przedstraszyło,

że odtąd w każdym przystępie gniewu ta chwila stawała mu się obecną.

Pan Sebastyan, który żadnej nie znał choroby i ciągłem cieszył się zdrowiem, nie był jednak ani pełnym, ani tem bardziej otyłym. Owszem, oprócz pleców, które miał dość szerokie, wydawał się szczupłym w swej budowie; ale muskuły jego były tak stężone, takiej mocy, że dotknąwszy się jego ramienia wyżej łokcia, zdawało się, że się dotyka czegoś wyrobionego z brązu, lub z żelaza. Trzymał się prosto, chodził z mocą, pewnością i szybko; mówił z powagą, zwięźle i stanowczo. Twarz miał dosyć czerstwą, choć pozbawioną rumieńca; a ten koloryt jej zdrowy i męski tem więcej uderzał, że wysokie jego czoło było gładkie i niezmiernie białe. W niebieskich oczach jego, patrzących prosto i śmiało, był wyraz rozumu i zastanowienia, a siwe już włosy i siwiejące zawiesiste wąsy dodawały powagi i wdzięku rysom jego foremnym i znaczącym. Był to typ prawdziwie polskiego i szlacheckiego oblicza, z którego dziś jeszcze wnieść było można, że w młodym wieku musiał być przystojnym, a nawet pięknym mężczyzną. Nosił się niezmiernie skromnie, ale ubraniem swem nie udawał ani uboższego, ani bogatszego, niż był w istocie. Codziennem jego odzieniem była kapota, zapinająca się na dwie strony, ze stojącym,

odkładanym kołnierzem, z szaraczkowego sukna pomiernej ceny. Na zimę miał takie same ubranie, podszyte lisami. Płaszcz, także szaraczkowy, służył do drogi i na słotę. Latem nakrywał głowę białym, niedrogim kapeluszem, a w zimie czapką z odwijanemi klapami z siwego baranka, któremi w czasie wielkiego zimna mógł osłonić twarz i uszy. Jednę tylko miał porządną bardzo suknię, co do kroju taką samą, jak szaraczkowa kapota, ale z czarnego i cienkiego sukna. Tę nadziewał tylko w czasie wielkiej jakiej uroczystości, na Wielkanoc, na Boże Ciało i w ogóle w czasie procesyi, gdy niósł baldachin nad księdzem proboszczem, lub w czasie jakiej ważniejszej wizyty, którą musiał oddać.

Ojciec jego był daleko majętniejszym; ale przez różne okoliczności stracił fortunę swą jeszcze za młodu, tak, że pan Sebastyan przywykł do biedy, a po śmierci ojca i po spieniężeniu ostatków majątku tyle tylko dostał, że mógł kupić sobie ów folwarczek w Sawinie, w którym osiadł. Stryjecznych swych braci, możnych co do fortuny, wysoko położonych co do znaczenia, gdyż jeden z nich był kasztelanem, a drugi referendarzem, znał tylko z daleka i do żadnego z nich po nic się nigdy nie udawał.

Okolica Sawina jest gniazdem familii Je-

lewskich. Było tam ich dwóch rodzonych braci i trzy siostry, trzeci zaś Paweł, ich stryjeczny. W kilka lat po zamieszkaniu swem w tem miejscu, gdy się już pan Sebastyan zagospodarował, opatrzył w dobytek i wszystkie porządki w domu potrzebne, gdy spostrzegł że wystarczy i dla niego i dla kogoś jeszcze, z kimby się pracą swą i losem podzielił, obejrzał się za kobietą, którąby mógł pokochać i do domu swego wprowadzić, jako pomoc, ozdobę i pociechę. Za pośrednictwem proboszcza, z którym zaprzyjaźnił się zaraz, skoro ten parafię swą objął, poznał się z Jelewskimi. Obaj rodzeni bracia dziwnie mu się nie podobali. Stryjecznego ich Pawła nie było już. Miał to być człowiek z sercem, ale hulaka, trochę szuler i utracyusz. Nadwerężywszy swoją fortunę, oddał resztę pod zarząd stryjecznych braci, sam wstąpił do wojska, wyszedł z pułkiem w głąb' Rosyi i tam gdzieś przepadł bez wieści. Starszy z dwóch tu zamieszkałych, pan Piotr, był fanfaron i udawał pana; drugi, Marcin, był znowu obrzydły skąpiec łapigrosz. Najmłodsza siostra Herminia była wprawdzie ładna i niegłupia, ale jeszcze zbyt młoda, zanadto się nadstawiająca, zanadto pragnąca się stroić i patrząca wyżej, niżby w miarę malutkiego posagu swego patrzeć była powinna; najstarsza zaś, Teresa, poczciwe serce, pełne dobroci i czułości, opła-

kująca rzewnemi łzami każde nieszczęście, komukolwiekby się przytrafiło, miała wiele bardzo zalet moralnych, ale na nieszczęście była brzydka, mała i ułomna. Średniej, Maryanny, nie było wówczas przy rodzinie. Miała ona gdzieś w Lubelskiem przyjaciółkę, przy której wolała bawić. Przy takich okolicznościach zapoznanie się to i powtórzone kilkakrotnie odwiedziny na nic się nie zdały, i pan Sebastyan postanowił zaczekać, ażali przypadek nie nasunie mu na oczy kogoś takiego, coby i swemi związkami rodzinnymi i swoją osobą lepiej wymaganiom i oczekiwaniu odpowiedział. W parę miesięcy takiego oglądania się na prawo i na lewo odebrał raz od proboszcza zaproszenie na podwieczorek. Wyszedłszy od siebie, spostrzegł przed probostwem powóz pana Piotra Jelewskiego. Bardzo mu to było niemiło, bo chciał się od nich całkiem usunąć, i już miał zamiar wrócić. Ale Pan Bóg zrządził inaczej. Proboszcz spostrzegł go z daleka, wyszedł naprzeciwko niego i dawał mu znaki rogatą swą czapką, że go wzywa. Trudno już było cofnąć się i pan Sebastyan poszedł. W rzeczy samej zastał pod lipami pana Piotra Jelewskiego, panią Piotrowę, pannę Teresę i jeszcze jakąś młodą osobę, której nie znał. Nie mówiono mu wcale, kto to taki, rozmowa się toczyła, ale pan Sebastyan nie mógł oczu odwrócić od tej młodej panny,

której twarz, głos i ułożenie od razu mu jakoś przypadły do oka i do serca. Nie była zbyt młoda, rysy miała foremne, wejrzenie łagodne, głos miękki i słodki, a wiele razy się odezwała, odezwała się rozumnie i poczciwie. Wszystko to bardzo mu się podobało. Przysunął się więc do niej, zaczął z nią rozmawiać, i w ciągu rozmowy pokazało się, że to jest trzecia panna Jelewska, owa Maryanna, której nie znał. Zrazu przykro mu to było, bo nie czuł żadnej sympatyi do całego tego gniazda. Ale gdy w nocy zaczął myśleć i rozmyślać, gdy panna Maryanna stawała mu ciągle przed oczami, tak, że ani rusz wyrugować jej nie można było z myśli, po kilku dniach takiego rozmyślania i walki pojechał do pana Piotra raz, potem we dwa dni drugi raz, potem zaczął jeździć codzień, i nareszcie, po dwóch miesiącach, proboszcz pobłogosławił mu przy ołtarzu, pan Błażej na całe gardło zaśpiewał *Veni Creator* i panna Maryanna, którą pan Sebastyan całą mocą swego energicznego serca pokochał, którego ona pokochała całą duszą, pełną tkliwości, oddania się i poświęcenia, weszła do skromnego dworku męża, aby się stać jego światłem, pociechą i uszczęśliwieniem. Pan Sebastyan miał wówczas czterdzieści dwa lat, żona zaczynała dopiero rok dwudziesty piąty. Mimo tę różnicę wieku nie było szczęśliwszej pary. Ale szczęście to

trwało tylko lat kilka. Maryanna, urodziwszy panu Sebastyanowi dwóch synów, zaczęła upadać na siłach. Wprawdzie wielka miłość do męża i dzieci umacniała ją tyle, że obowiązkom swym żony, gospodyni i matki czyniła zadość. Ale to wysilenie wyczerpało jej życie zwolna i stopniami, tak, że w siódmym roku ich pożycia, w rocznicę tego dnia, kiedy weszła do domu męża, którego twarz jaśniała wówczas radością i nadzieją długiego szczęścia, wyniesiona była na cmentarz, na który prowadził ją proboszcz, który od płaczu i łkania nie mógł śpiewać pieśni pogrzebowej, a za nią szedł mąż, który wprawdzie nie płakał, ale w którego skamieniałej i milczącej twarzy ci wszyscy, którzy go znali, czytali więcej, niżby łzy i szlochanie powiedzieć mogły.

Nieszczęście to człowieka, którego wszyscy szanowali, choć mało kto znał go z blizka, zrobiło wielkie wrażenie. Ludzie prości, niezaprzątnieni całkiem doczesnymi interesami, nieprzesiąkli egoizmem, nie goniący to za zyskiem, to za jaką brudną uciechą, albo za jaką zdobyczą próżności, wówczas kiedy mimo ich przechodził pogrzeb, i nieoswojcni tak z tym widokiem, jak mieszkańcy wielkich miast, uczuli mocno tę klęskę, dotykającą człowieka, który według ich mniemania niczem na nią nie zasłużył. To dawało im tak wiele do

myślenia, że się nie prędko uspokoili. A gdy który jeszcze przechodząc wieczorem mimo cmentarza, obaczył pana Sebastyana klęczącego nieruchomie, jak posąg, przy grobie żony, i mającego po jednej i po drugiej stronie dwóch synków, klęczących ze złożonemi rączkami, ślicznych i zamyślonych, jak pokutujące aniołki, nie mógł się wstrzymać od łez, i wróciwszy do domu lub spotkawszy jakiego sąsiada, rozpowiadał, co widział, i znajdował nieraz takie słowa, jakichby się nikt po jego ukształceniu i sposobie życia nie spodziewał. Nie tylko więc przykład życia i postępowania pana Sebastyana był użytecznym dla miasteczka, ale nawet jego klęska podała niejednemu poważniejsze myśli i do zastanowienia się nad sobą przywiodła.

Nikt wszakże nieszczęścia tego głębiej nie czuł i obfitszemi nie oblał łzami, jak siostra zmarłej, Teresa. Zacna ta kobieta, upośledzona powierzchownie, skrzywdzona przez braci, traktowana przez bratowę i jej dzieci tak, jak to najczęściej osoby próżne i zepsute traktują istoty bezbronne i niepokaźne, mimo przykrości, jakich doznawała, oddana była całkiem na usługi rodziny i kochała ją miłością bezinteresowną i nieopłaconą. Jedna tylko Maryanna znała całą wartość tego serca, które wszyscy inni napełniali goryczą i upokorzeniem. To też

Teresa lgnęła do niej ze szczególnem przywiązaniem, w ostatnich jej chwilach nie odstępowała od jej łoża, a po powrocie z cmentarza, widząc, że pan Sebastyan był zupełnie złamany, że chodził tylko w milczeniu, lub siedział bez ruchu po dwie i trzy godziny, tak iż zdawał się zupełnie zapominać o sobie, o dzieciach i o gospodarstwie, postanowiła już nie opuszczać tego domu, który Bóg tak ciężko dotknął, i stać się matką prześlicznych chłopczyków, których serdecznie pokochała, nie tylko przez pamięć siostry, ale i dla nichże samych. Nic więc panu Sebastyanowi nie mówiąc, zostawiając go jego myślom i bólowi, a potłumiwszy jak mogła, swój własny, objęła cały zarząd domu, ulokowała się w pokoju dzieci, które wzięła pod swój kierunek, w gospodarstwie wydawała dyspozycye i starała się dojrzeć wszystkiego, w miarę sił i czasu, a gdy po kilkunastu dniach spostrzegła, że pan Sebastyan nic nie mówił, i nie tylko *tacite* na wszystko pozwalał, ale owszem zdawał się z wdzięcznością na jej zajęcia i usilność spoglądać, posłała po resztę manatków swych panieńskich do pana Piotra, i tym sposobem na stałe już zamieszkanie instalowała się w osieroconym po siostrze domu.

Przyjaźń proboszcza, czas, ten najlepszy lekarz wszelkich ran serca, to uspokojenie, jakie

mu dawał widok gorliwości i poświęcenia Teresy, wreszcie hartowna natura pana Sebastyana, przyprowadziły go po kilku miesiącach do dawnego stanu. Zrobił się on wprawdzie poważniejszym, jeszcze surowszym dla siebie i mniej mówiącym, ale odzyskał dawną działalność i oddał się znowu zwykłym swym zajęciom. Wdzięczny Teresie za usługę, jakiej od niej w najboleśniejszej chwili doznał, uprosił ją, żeby nie opuszczała już do śmierci jego domu, zostawił jej zarząd wewnętrzny i opiekę nad dziećmi, i z daleka tylko nad tem czuwając, wspierał ją swoją powagą i mocą. W takim stanie były rzeczy aż do tej chwili, gdy potrzeba było chłopców odwieźć do szkół. Po naradzie z proboszczem zdecydował się oddać ich do Hrubieszowa, jako do miejsca, które było najbliższem, najtańszem, i gdzie proboszcz miał znajomego i przyjaznego sobie nauczyciela, którego szczególnej opiece dzieci powierzone być mogły. Ale gdy przyszedł ten fatalny moment, szczególnie dla panny Teresy, która z zapuchłemi od płaczu oczami co chwila tuliła do siebie to Eugeniusza, to Ignasia, a ci nawzajem rozpływając się we łzach rzucali się do nóg cioci, jakby szli na stracenie i ratunku jej wzywali, pan Sebastyan, niekontent z takiego rozpieszczenia swych synów, w których radby był swój własny hart widzieć i moc swą

zaszczepić, lękając się, aby takie sceny, rozmiękczające ich naturę, nie powtarzały się w każde święta i wakacye, na któreby dzieci przywoził do domu, nic nie mówiąc pannie Teresie o swych zamiarach, odwiózł synów do Hrubieszowa, ale ulokował ich z tym warunkiem że ich nie weźmie ani na jeden dzień do siebie, póki szkół nie ukończą. Tak to szło przez półtrzecia roku, w ciągu którego to czasu pan Sebastyan po trzy i cztery razy na rok odwiedzał swoich synów, czasem proboszczowi dawał konie, aby się przejechał, obaczył ich, przeegzaminował; ale mimo próśb, łez i dąsów ciotki Teresy, mimo wyrzutów, że jest ojcem twardym i nieczułym, do których się czasem w żalu swym uniosła, nie dał się skłonić do złamania swego postanowienia, i ani razu dzieciom pod dach rodzinny zajrzeć nie pozwolił. Ale rok 1834 był dla pana Sebastyana zanadto ciężkim. W zimie padło mu kilkanaście sztuk bydła, oziminę musiał przeorać i jarem zasiać nasieniem, zbyt sucha wiosna nie obiecywała żadnego zbioru siana, tak że spodziewany plon i z niego dochód, według prawdopodobnego obliczenia, ledwie mógł wystarczyć na liche utrzymanie domu i remanentu, na opłacenie sług i innych ciężarów, jakie wnosił. O utrzymaniu w szkołach chłopców nie mógł pan Sebastyan i pomyśleć, i z wielkiem swem

zmartwieniem postanowił ich odebrać i z kontynuowaniem ich edukacyi do lepszego poczekać czasu. O tym kłopocie swym nieraz rozmawiał z proboszczem, który go pocieszał, jak mógł i wreszcie dodawał: — Przywieź no, panie Sebastyanie, dzieci tu, a potem obaczymy co Pan Bóg da.

Wskutek tej rady przyjaciela i wskutek tego przekonania, że inaczej być nie może, objawił pan Sebastyan pannie Teresie, że zaraz po świętym Janie jedzie do Hrubieszowa i przywozi chłopców do domu. Przytem prosił ją, aby dla nich przygotowała stancyjkę obok siebie, przyrządziła łóżka i stolik do pracy. Radość stąd poczciwej ciotki była niezmierna. Nie wchodziła ona w to, jak ciężka konieczność zmusiła biednego ojca do tego kroku; ale ta myśl, że pieszczoszków swych będzie miała obok siebie, pod swojem okiem, że będzie mogła ich myć i czesać, stroić i moderować, upominać i ściskać, pieścić i karmić różnymi przysmakami, odbierała jej sen i nie dawała spocząć na chwilę. Krzątała się więc od rana do nocy; uprzątała pokoik, kazała w nim ze dwa razy myć podłogę, ustawiała i przesuwała sama łóżeczka, stoliki i stołki; na strychu gdzieś wyszperała stare szaragi, które kazała pozbijać, wyszorować i ustawić przy wolnej ścianie, aby mieli gdzie kłaść surduciki i płaszcze. A gdy

wszystko było gotowe, wzięła się dopiero do pieczenia obwarzaneczków, posypanych siekanymi migdałami i cukrem, sucharków, pierniczków; smażyła w miodzie orzechy, przesmażała ostatki przeszłorocznych konfitur, aby nie skwaśniały; słowem, co tylko miłego im, dobrego i smacznego wymyśleć mogła, a na co ją stało, wszystko na przyjęcie tak drogich gości było przygotowane. Pan Sebastyan 27. czerwca wyjechał Cały 28-y niepokoiła się panna Teresa niezmiernie, a przed wieczorem tego dnia, obliczywszy mile, czas potrzebny do ubrania się, i sądząc, że co chwila nadjadą, co kwadrans prawie wybiegała za bramę i patrzyła ku drodze od Chełma. Ale widać, że ważna jakaś zaszła przeszkoda, kiedy tego dnia nie przyjechali. Epoką tą, pamiętną w życiu tej kochającej istoty, i epoką, od której się właściwie opowiadanie nasze zaczyna, miał być dopiero dzień 29. czerwca, roku Pańskiego 1834.

II.

Owoż tego dnia, który się jej wydał niesłychanie długim, panna Teresa, na seryo już niespokojna i zatrwożona, położywszy po obiedzie parę razy kabałę, która niepomyślnie wypadła, przypominając sobie sny, jakie miała tej nocy, a nadewszystko usłyszawszy wycie

żałośne psa, faworyta pana Sebastyana, serdecznie się rozpłakała. Na to nadszedł proboszcz, który także myślał już i to i owo, dlaczego sąsiad nie wraca, kiedy odległość tak niewielka, a egzamin publiczny i rozdanie nagród dzieciom musiało się odbyć przedwczoraj, lub wczoraj. Ale gdy spostrzegł pannę Teresę tonącą we łzach, domyśliwszy się ich powodu i chcąc jej dodać serca, ukrył obawy, jakie i jego trapić zaczynały, i swoim zwyczajem, zaczynając od zburczenia tych, których później pocieszał, lub którym rozumne dawał perswazye, rzekł:

— To, to, to! już beki. Potrzebna rzecz! ni daj, ni pójdź rozlewać się we łzach, jak gdyby Bóg wie co się zrobiło. Wstydź się asanna, panno Tereso. To obraza Pana Boga, nic więcej.

— Kiedyż bo mi serce pęka, księże proboszczu! — rzekła witając go i całując w rękę.

— To bo to i bieda — odpowiedział ksiądz Zielenkowski siadając — że pannie Teresie zaraz serce pęka, byle tam gdzie szyba w oknie pękła u dziesiątego sąsiada, albo rozbił się garnek z mlekiem. Dobrze to mieć czułe serce i umieć uczuć każdą rzecz, która się wydarza nam lub bliźnim; ale pamiętać potrzeba, że łzy są tak jak deszcz. Kiedy w miarę spada na ziemię, to i ona urodzajniejsza i powietrze jest

świeższe i zdrowsze. Wtedy miło odetchnąć i spojrzeć na zielone pole i na liście drzew, gdy na nich stają krople, bo te im dają i czerstwości i wdzięku. Ale kiedy się zacznie kapuśniaczek i rozleje się trzydniówka, to z tego ani pożytku, ani ozdoby. Wszystko ginie i wymaka, a na ziemi robi się tylko błoto, nic więcej.

Panna Teresa uśmiechnęła się, że jej płacz przyrównał do kapuśniaczku, i otarłszy twarz, jakby w tej myśli, żeby z niej zetrzeć błoto, o którem wspomniał, rzekła:

— Wiem ja to sama, że to ludziom wydaje się śmiesznem, że mnie tak byle co rozrzewnia, i przyznaję się do tej wady, z której już trudno mi się poprawić. Miałam wiele powodów do płaczu i nauczyłam się płakać nad sobą i nad drugimi. Pan Bóg dał mi kochające serce, a nie dał mi nic takiego, za coby mnie ludzie nawzajem kochali. A to jest podobno zawsze tak, księże proboszczu, że kiedy kto wiele kocha, a drudzy nie oddają mu tego, co on im daje, to i wiele płacze; gdyż nie mając pociechy od nikogo, szuka jej we łzach, które zrazu płyną z powodów słusznych i ważnych, a potem byle co wydobywa je, bo zawsze są na pogotowiu. Ale tu, księże proboszczu, powodem moich łez nie jest ani szyba pęknięta, ani garnek rozbity.

— A cóż takiego? — zapytał proboszcz z zajęciem, sądząc, że miała jaką wiadomość od brata.

— Pan Sebastyan nie przyjeżdża, choćby dawno już powinien być w domu — odpowiedziała, mocując się z sobą — i chłopców mych niema, których nie wiedzieć dla jakiego widzi mi się, wypędził od siebie na całe trzy lata, i oddał Bóg tam wie na czyje ręce. A któż zgadnie, dlaczego sześć mil tam, sześć mil nazad jedzie tak długo? Może który z nich zasłabł i zamęczył się nauką, a może którego już nie zastał wcale — i znowu łzy na samą tę myśl potoczyły się z ócz jej potokiem.

— To, to, to! panno Tereso! panno Tereso! — zawołał ksiądz, robiąc spiralną palcem prawej ręki, podnoszącym się coraz w górę.

— Nie jestem ja przesądna — mówiła dalej panna Teresa — i nie powiem, żebym zupełnie wierzyła temu, w czem serce niespokojne szuka wiadomości, jakiej nie ma, i uspokojenia, jakiego pragnie. Ale kładłam dziś kabałę i wypada jak najgorzej. Dziesiątka treflowa, która znaczy chorobę lub śmierć, staje ciągle przy walecie kierowym, którym jest Eugeniuszek. Śnił mi się także pożar tej nocy, ale ani jednej iskierki nie widziałam, ani jednego płomyczka, choćby takiego, jak świeca zapalona, ale tylko dym gęsty i czarny, jak

gdyby się paliło mokre siano. A toż wycie żałosne Kruczka, które ot i teraz ksiądz proboszcz słyszy, czy nie może mnie przestraszać i Bóg wie jakie podawać myśli? Nakarmiłam go dziś sama i nikt go ani uderzył, ani go Białka nie ukąsiła, co czasem się zdarza. A to pies mądry i przywiązany do pana Sebastyana. Któż wie, może przeczuwa, że się panu jego co złego stało.

— Słuchałem cię, panno Tereso cierpliwie — odpowiedział proboszcz, spojrzawszy jednak nieznacznie w okno i zmarszczywszy brwi, gdy spostrzegł, że w rzeczy samej Kruczek stał w bramie, podniósł łeb w górę i wył przeraźliwie — ale muszę ci powiedzieć, że popełniasz grzech przeciw pierwszemu przykazaniu dziesięciorga, które przecież musisz umieć. Czy panna Teresa tego nie wiesz, że przykazanie to zakazuje wszelkich wróżb, guseł i zabobonów, jakiemi człowiek sam durzy siebie, albo inni chytrzy i przebiegli durzą go dla zysku lub wyprowadzenia go w pole? Cóż jest kabała, co ów dym senny, co wycie psa, który może głodny, lub chory, jeżeli nie taka wróżba, nie mająca żadnego związku z tem, o czem dowiedzieć się chcemy? Żleś stasowała karty i dlatego parę razy dyska treflowa przyczepiła się do waleta kierowego; nie mogłaś dobrze spać i dlatego marzyło ci się i to i owo. Prawda,

że człek radby podnieść tę zasłonę, która przed nim zakrywa to, co go obchodzi. Ale nie powinienże o tem pamiętać, jak mądrze to Bóg urządził, że nie dał nam czytać w przyszłości, ani przejrzeć oddalenia? Cóżby się z tobą działo, panno Tereso, gdybyś teraz naprzykład mogła widzieć cały Hrubieszów, jak na dłoni, i gdyby, co nie daj Boże, doprawdy, albo które dziecko było chore, albo pan Sebastyan sam zaniemógł? Dopiero tobyś szlochała i łamała ręce, widząc obydwoma oczami złe, a nie mogąc ruszyć się z miejsca i lecieć natychmiast z pomocą i pociechą. Wtenczas znowu narzekałabyś na Pana Boga, że ci dał tylko tak niedołężne nogi, któreby cię i za trzy dni nie dowlekły tam, gdziebyś chciała być za kilka minut, i wołałabyś na gwałt o skrzydła, i chciałabyś być nie człowiekiem, ale ptakiem. A nie mogąc nim zostać, albobyś bluźniła w żalu, albobyś się poddała rozpaczy i sama w niej zginęła. Oj! nie poprawiajmy Pana Boga w tem wszystkiem, co on dla naszego dobra i pokoju tak mądrze ustanowił, ale uczmy się raczej Jego przykazań, i prośmy Go, aby od nas usuwał pokusę, któraby nas ciągnęła do sprzeciwiania się im i do niezgadzania się z Jego świętą wolą.

— Niechże się dzieje Jego święta wola, jak w tem tak i we wszystkiem! — rzekła panna Teresa uspokojona słowy księdza i po-

całowawszy go w rękę za daną jej naukę, obtarła łzy i uśmiechać się zaczęła. Wtedy proboszcz dodał:

— Otóż tak to lubię. Dobrze bardzo trzymam o sercu człowieka, kiedy do jego głowy przystaje proste i nieuczone słowo kapłana, wyciągnięte nie z jakichciś osobliwych mądrości światowych, ale poprostu z katechizmu. Dajmy więc pokój, panno Tereso, tej trosce, którą się niepotrzebnie trapiłaś, a usiądźmy sobie przed domem, gdzie właśnie teraz mamy cień i chłód, i patrząc ku bramie, wyglądajmy naszych kochanych podróżnych. Któż wie, może Bóg sprowadzi ich zdrowych i wesołych prędzej, niż myślałaś, i przekona cię, że lepiej było ufać Jego łasce i czuwaniu nad każdym, niż się pytać kabały, i trwożyć snami i wyciem psa, który ot patrz, już jakoś weselszy, kręci ogonem i do zwykłej z Białką zabiera się swawoli.

Panna Teresa nie miała nic przeciw propozycyi; wynieśli więc sobie po krzesełku, usiedli przed progiem, i patrząc w otwarte wrota dziedzińca i nasłuchując, czy nie rozlega się na drodze turkot kół i stąpanie rączo biegnących koni, gawędzili o różnych rzeczach, które z głównym przedmiotem ich myśli najściślejszy miały związek.

Na takiej rozmowie przeszło im z parę

godzin, a gdy już słońce zaczęło się chylić i czas było księdzu iść na pacierze, nie okazując niespokojności, która i jego trapić zaczynała, podniósł się z krzesła, i nałożywszy rogatą swoją czapkę, wsparty na lasce, gotował się pożegnać pannę Teresę, której zmartwienie stawało się coraz widoczniejszem, i która tylko w obecności księdza proboszcza moderowała się, jak mogła. Ale gdy ksiądz rzekł jej:

— No, do widzenia, panno Tereso, bądź dobrej myśli, Bóg łaskaw, — a ona, z tych słów wnosząc, że i jemu pewno ciężko na sercu, głośnym ryknęła płaczem, Kruczek zestrzygł uszy, zakręcił ogonem, zaszczekał; Białka mu zawtórowała, i oboje polecieli pędem strzały za bramę. I w kilkanaście sekund potem dał się słyszeć turkot i parskanie koni, i za chwilę pokazały się we wrotach trzy głowy bułane, dalej bryczka, a w niej dwie główki jasne, ostrzyżone, sporych już studencików, rozkwitłych jak maki, śmiejących się jak wiosna, patrzących roziskrzonem okiem na dach rodzinny, wspartych jedną ręką na ramieniu furmana, i jedną nogą już tylko stojących w bryczce, aby mogli natychmiast z niej wyskoczyć, skoro tylko konie zatrzymają się przede drzwiami domu. Jakoż ledwie furman zdołał ściągnąć cugle, a już obaj byli na ziemi, już w objęciach cioci, już całowali ręce proboszcza, już oglądali

się na ten dom, gdzie najpierwszy oddech wyszedł z ich piersi, czy taki sam, jak był przed ich wyjazdem. Pan Sebastyan nie tamował uniesienia swych dzieci, ani radości łez ciotki Teresy. Przywitał się owszem jakoś serdeczniej, niż zwykle, i z nią i z proboszczem. Czuł on bowiem zawsze pustkę w domu, jaką nieobecność dzieci robiła, choć tego nie okazywał; a teraz widząc ich szczęście, słysząc to szczebiotanie malców, którzy nagadać się nie mogli, jakoś zmiękł i sam, i nie wstydził się okazać tych uczuć, które go na ten rozkoszny widok przejęły.

— Jak oni porośli, miły Boże! — wołała panna Teresa, ściskając z dziesiąty już raz, to jednego, to drugiego — a prawie równi wzrostem, tylko, że Ignaś jakiś szerszy w plecach.

— Bo też i mocniejszy, ciociu! od Eugeniusza — mówił Ignaś — powalę go, jak nic.

— Jakto? starszego brata? — mówiła panna Teresa. — Co też ty gadasz, Ignasiu?

— Dlatego my się kochamy, moja ciociu — rzekł Eugeniusz — a on prawda powali mnie czasem; ale to wtenczas, kiedym zamyślony i nie bardzo mi się chce swawolić.

— To tak, jak matka, która także się czasem zamyślała — mówiła ciocia, całując znowu siostrzeńca, że zamyśleniem się przypominał siostrę. — I jak on się zrobił do matki

podobny! Nie prawdaż, kśięże proboszczu? A ten, to czysty ojciec — dodała, klepiąc Ignasia po czerstwych policzkach — tylko mu wąsów brakuje.

— Nim mu wąsy urosną — rzekł pan Sebastyan, spojrzawszy jednak z ukontentowaniem na młodszego syna — daj nam co przekąsić, panno Tereso, bo nas czemściś fatalnem nakarmili w Chełmie i dyabelnie skąpo. Nie moja to porcya wcale.

Panna Teresa pobiegła zająć się przyrządzeniem wieczerzy, która, na wszelki przypadek zadysponowana, była już prawie gotowa, chłopcy poszli za nią, i dostawszy po obwarzaneczku, po sucharku i po jednym jeszcze całusie, polecieli po wszystkich kątach domu; a proboszcz dowiedziawszy się, że przyczyną spóźnionego powrotu było tylko to, że akt publiczny odbył się dopiero wczoraj, że upał dzisiejszy i mały interes zatrzymał pana Sebastyana w Chełmie do godziny trzeciej, pożegnał sąsiada i poszedł do siebie.

Powrót ze szkół! pierwszy wieczór, pierwsza noc w domu! co to za czarowne słowa! ile się w nich mieści wspomnień, ile uczuć odbierających sen i apetyt, ile najprawdziwszych rozkoszy, ile rozwoju sił ciała i ducha przy tej swobodzie domowej, w porównaniu z niewolą szkoły, przy tym uśmiechu i pieszczocie, jaką

malec odbiera wszędzie i od wszystkich, w porównaniu z surową twarzą nauczyciela, z karcącem wiecznie słowem inspektora, z zimnym, a często gniewliwem obejściem gospodarza lub gospodyni. Nigdy serce tak nie biło żadnemu tryumfatorowi rzymskiemu, kiedy laurem okryty, stał na złocistym rydwanie, a za nim szedł szereg jeńców, co mieli jęk swój śmiertelny dołączyć do okrzyków ludu witającego zwycięzcę, jak serce dwunastoletnie bije w piersiach drugoklasisty, kiedy wpada kłusem na dziedziniec domowy, stojąc na parokonnym wózku, i jak tryumfalną chorągwią powiewając listem pochwalnym do matki, która na przeciw niego biegnie, do cioci, co do niego wyciąga ręce, a czasem do babuni, która nie mogąc pośpieszyć za innymi, błogosławi go z daleka, i gdy wszyscy go ściskają, czekając swojej kolei, mówi tymczasem po cichu: »Pod Twoją obronę«. Nie bądźcież barbarzyńcami, ojcowie, i nie psujcie dziecku waszemu początkowych dni wakacyi niewczesnym egzaminem; powstrzymajcie waszą gorliwość o dalszy jego popis w salonie i o powodzenie w świecie, niebaczne matki, i nie męczcie go wokabułami francuskiemi i wymówkami o złą pronuncyacyę; bo to jest chwila tak szczęśliwa, jakiej mu później nie dadzą bogactwa, ani honory, ani szepty pochlebne pięknego koła, jeśli będzie znakomi-

tym tancerzem, ani oklaski tysiąca rąk, jeśli będzie znakomitym autorem.

Pan Sebastyan, jakkolwiek surowy dla siebie i dla dzieci, umiał się postawić na ich miejscu, patrzył z ukontentowaniem na ich uniesienie i radość i dał im zupełną swobodę. Już więc o świcie nazajutrz i dni następnych byli na nogach; nie było kącika w domu i w całem obejściu gospodarskiem, któregoby nie obejrzeli. Poznali się z konikami, które przez te trzy lata porosły i poszły do zaprzęgu i pracy; poprzyjaźnili się z parobkami, którzy pozwalali paniczom dosiąść to bułanka, to siwosza. W oborze przepatrzyli cały dobytek, dowiedzieli się o stratach, poznali przymioty wszystkich krówek i historyę byczków, które zostawili swobodnemi cielętami, a które już dziś dźwigają jarzmo. Odwiedzali z ojcem pola, sianożęć i lasek swój, który znali tak dobrze, a którego chłód po trzechletniem niewidzeniu wydał im się tak rozkosznym i tak zdrowym! Na probostwo biegali po kilka razy na dzień, a interesując się każdym najdrobniejszym szczegółem gospodarstwa księdza, którego szanowali i kochali, nie mogli się nagadać z panem Błażejem, który im chętnie rozpowiadał wszystkie te dzieje, *quorum pars magna fuit*, t. j. których był sprężyną, któremi kierował i które do najpomyślniejszego dla proboszcza

końca doprowadzać starał się. Słowem, nie było dzieci szczęśliwszych w owym czasie, jak byli synowie tego ubogiego szlachcica, który zacnością swego życia i postępowania umiał ich zrobić przedmiotem powszechnego zajęcia i sympatyi; który umiał tak utrzymać swój dom, że im żadne kwasy, żadne krzyki i gniewy gospodarskie nie psuły humoru i nie zapędzały ich do kąta, jak to zwykle bywa, pókiby burza domowa nie przeszła; który nie dał im nigdy uczuć szczupłości swych środków, ale i nie podał tej myśli, że inne dzieci mają więcej sukienek, wygód, lub uciech i rozrywek. Wychowani w mierności, przywykli do skromnego mundurka, do prostej i pożywnej strawy, do łakoci i przysmaczków li domowych, widzący tylko surową, ale nieciążącą troskliwość ojca, serdeczną życzliwość proboszcza, wielką i pieszczotliwą miłość ciotki, ani pomyśleli o tem nigdy, że potrzeba mieć więcej, niźli miał ich ojciec, aby dzieci były szczęśliwe, jak jakie królewskie panięta, i miały prawdziwy raj na ziemi.

Zostawmyż ich w tym stanie i w tem złudzeniu, lepszem niż prawda, a poznajmy się bliżej z tymi chłopczykami, którzy obadwaj jednocześnie, czego się zapewne czytelnicy nie domyślili, mają być bohaterami naszego opowiadania.

O jedenaście miesięcy różni co do wieku,

gdyż Eugeniusz zaczynał rok czternasty, a Ignaś trzynasty, byli prawie równi wzrostem, siłą i rozwinięciem umysłowem. Obaj skończyli klasę trzecią, obaj wyszli z nagrodą i od początku pobytu w szkołach tak postępowali razem nierozdzielnie, że jeżeli się zdarzało, że raz starszy, innym razem młodszy był prymusem, to zawsze miał obok siebie brata, który był drugim uczniem w klasie. Zwierzchnik szkoły i nauczyciele cenili ich zarówno, bo żadnemu nie mieli nic do zarzucenia, a koledzy kochali ich i uważali zawsze za koryfeuszów, równie w szkole, jak i na placu zabawy, bo żaden z nich stosunkowo do wieku nie był silniejszym, przytomniejszym i zręczniejszym, czy do piłki, czy do innej gry, jak Ignaś w każdej porze, i jak Eugeniusz wtedy, kiedy się rozweselił i kiedy zapomniał o poważniejszem jakiemś myśleniu, któremu się czasem oddawał. Równie dobrego serca obaj, pomagali chętnie mniej zdolnym kolegom w nauczeniu się lekcyi, w rozbiorze łacińskim i niemieckim, w objaśnianiu zadań i przykładów z arytmetyki i geometryi. We wszystkich sporach i sprzeczkach zawsze byli sędziami i nie było przykładu, aby który z nich wydał niesprawiedliwy wyrok, lub nie stanął murem w obronie słabszego i skrzywdzonego. Starsi nawet co do lat tej samej klasy uczniowie, a czasem i czwartokla-

siści odwoływali się do ich zdania, i zwykle poprzestawali na tem, co wyrzekł albo *mądry*, jak go nazywali, Eugeniusz, albo *dzielny*, według danego mu przydomku, Ignaś. Te epitety, które każdy prawie uczeń ze szkół wynosi, a które im często na całe zostają życie, dowodziły i tu trafności sądu, przenikliwego ocenienia przymiotów i śmiałości w wyrzeczeniu swej myśli w tej młodzieży nie zepsutej, nie umiejącej ani krzywdzić, ani pochlebiać, i nie patrzącej jeszcze na kolegów przez te okulary, jakie później świat każdemu miał z nich nałożyć. Jakoż w rzeczy samej mądrość czternastoletnia charakteryzowała Eugeniusza. Zastanawiał on się nad każdą rzeczą, zdawał sobie sprawę z tego, co mówi i robi; kiedy rozsądzał jaką sprzeczkę, to zawsze pokazał, dlaczego tak, lub inaczej o rzeczy tej sądzi; gdy któremu radził, jak ma postąpić, jak się w czem wytłómaczyć, to mu zawsze okazywał dowodnie, dlaczego taką, a nie inną daje mu radę. Przytem brał się czasem do książeczek, jeżeli jaką dostał, ćwiczenia swe obrabiał pilniej, z pewnem wyrozumieniem przedmiotu; a co najważniejsza, nie nudził się nigdy, gdy był sam, i wtedy oddawał się myślom, wychodzącym za obręb jego zwyczajnego życia i spraw studenckich, które innych wyłącznie zajmowały. Co sobie wtedy myślał, tego zapewne i sam nie wiedział, i nie

był w stanie opowiedzieć, gdzie przebywa duchem; ale nie tylko on czuł w sobie tę skłonność do jakiegoś bezprzedmiotowego bujania po świecie szerszym, niż ten, który go otaczał, ale i inni spostrzegli w nim to usposobienie, od którego go szczególnie brat odwodził żartami i wciąganiem go, czasem gwałtem, do koła wesołych i swawolnych kolegów. Wszakże to nie przeszkadzało mu bynajmniej ani do pilności w wypełnianiu swych obowiązków, bo lekcya u niego była zawsze rzeczą pierwszą i przy ogromnych zdolnościach niewiele go kosztowała, ani w zabawie i grach studenckich, bo skoro raz się rozochocił i rozigrał, szalał tak, jak i inni, i nie ustępował żadnemu, ani w ochocie, ani w zręczności, ani w sile.

Ignaś znowu był w rzeczy samej dzielnym we wszystkiem. Pierwszy do lekcyi, pierwszy do zabawy i swawoli, wszędzie rej prowadził i nie dał się nikomu w niczem wyprzedzić. Nie bardzo on zastanawiał się nad tem, co mówił i robił; ale instynktem praktycznym trafiał zawsze do celu, i nim inny wyrobił sobie zdanie, jakby tu postąpić, coby powiedzieć, Ignaś od razu prawie i bez myślenia wypowiedział je, i wypowiedział tak, że nie było co zarzucić i każdy zgodzić się musiał. W postanowieniach swych był wytrwalszym od brata, i co raz przedsięwziął, to dokonał, nie zważając

nawet na perswazye Eugeniusza i rozumne jego dowody. Najwięcej go zastanawiała praktyczna strona życia, przypatrywał się chętnie każdej robocie mechanicznej, pojmował wszystkie manipulacye szybko i dokładnie, a gdy lekcya już była umiana, a nie był czas ani wspólnej rekreacyi, ani jakiej cząstkowej zabawy; gdy Eugeniusz czytał co, lub zamyślony siedział, on sobie coś strugał, robił jakieś cacko dla dzieciaków gospodyni, przyrządzał im małe stoliczki, stołki, grodził płotki w ogródku, podpierał palikami upadające kwiatki, lub biegł do sąsiedniego stelmacha i tam siadał na kobylicę, wypraszał sobie strug, i majstrował z równym zapałem, energią i dzielnością, z jaką wyścigał innych w bieganiu, lub powalał na ziemię nawet starszych, ale mniej zręcznych i zwinnych. Oprócz powyższej różnicy między braćmi była jeszcze i ta, że Eugeniusz był delikatniejszym w swych gustach, niż Ignaś, który szczególnie na istotę rzeczy uważał, nie patrząc na formę, w jakiej mu się przedstawia. Eugeniusz nigdy sam nie użył i nie znosił u innych żadnego grubiańskiego słowa. Ignaś mniej zważał na ten brak wychowania w kolegach, byle tylko grunt serca był w nich dobry.

W odzieniu był Eugeniusz staranniejszym i dbalszym o czystość i formę. Lubił, żeby surducik leżał na nim porządnie, żeby chu-

steczka była ładnie zawiązana, żeby czapka była wyczyszczona i niepomięta. Na wszystko to Ignaś nie tyle zważał, chociaż także szanował sukienki, ale nie przez tę skłonność do pewnego rodzaju elegancyi, która widoczna była w starszym, tylko przez tę myśl gospodarską, żeby dłużej trwały i żeby ojciec napróżno nie ekspensował, Gdy przyszła pora owego błota Hrubieszowskiego, które często do bajecznej dochodziło głębokości, Ignaś grzązł w niem ze śmiechem i swawolą i nieraz umyślnie zaszargał się więcej, niżby należało. Dla Eugeniusza było to prawdziwe zmartwienie, brzydził się tym nieporządkiem miejskim i tak wybierał drogę, że przychodził do klasy najmniej od wszystkich uczniów zabłocony. W jedzeniu także był wykwintniejszym. Nie wszystko mu smakowało, a gdy nie miał w czem wybrać, wolał często głód przycierpieć, niż go zaspokoić potrawą, która w nim wstręt obudzała, nie tyle materyałem, bo do prostego jadła i w domu przywykł, ile przyrządzeniem brudnem i niesmacznem. Obaj chłopcy byli jednakowego zdrowia; a choć niepodobni do siebie z rysów twarzy, bo starszy przypominał matkę, a młodszy był do ojca podobny, byli jednakowo piękni. Twarzyczki foremne, czerstwe i rumiane, zęby białe, uśmiech ujmujący i śliczny mieli obydwaj. Ale Eugeniusz miał czoło wyższe,

okryte ciemniejszym włosem, oczy piwne, w których był czasem wyraz zamyślenia, kiedy Ignaś był jasny blondyn, z niebieskiemi oczami, któremi patrzył zawsze śmiało i przytomnie i nie spuszczał ich nawet przed surowem wejrzeniem ojca, choć bał się jego niezmiernie i czcił przedewszystkiem. Kochali się oni nie tylko jako bracia, ale i jako koledzy szkolni, byli wszędzie nierozdzielni, nieśli sobie zawsze wzajemną pomoc i słowem i czynem, i miło było patrzeć na tych dorodnych chłopaczków, obciśniętych zgrabnymi i jednakowymi mundurkami, kwitnących zdrowiem, wesołych i rozgarnionych, kiedy szli gdzie razem, trzymając się za ręce; kiedy przysłuchując się jakiej rozmowie ojca z proboszczem, wspierali się jeden na drugim i tak obaj stali w milczeniu; kiedy w niedzielę, w nowe odziani komeszki, z różowemi, jak ich twarzyczki wstążkami, służyli przy sumie, i srebrnym swym głosem, rozchodzącym się po kościele, odpowiadali tak, iż widno było, że rozumieją słowa, które tak dobitnie i z taką pewnością wymawiają. To też od ich przybycia mieszkańcy Sawina i okoliczni sąsiędzi nie mogli się nagadać o tych dzieciach, które każdy ojciec stawiał za wzór swoim, i których niejeden panu Sebastyanowi zazdrościł.

Ale im częściej dochodziły do uszów pana Sebastyana pochwały jego synów, im bardziej

i sam rozpatrywał się w ich przymiotach i zdolnościach, tem cięższa gniotła go troska, że te dary Boże mogą pójść marnie, że ta bujna niwa, jeżeli uprawioną nie będzie, może zarosnąć chwastem i zdziczeć bez pożytku. Rachował więc i obrachowywał swoją sperandę, a im mniejsza wypadała cyfra, tem frasobliwszym oddawał się myślom. Widział to dobrze proboszcz, i nieraz z sobą o tem rozmawiali.

— Nigdym, mosanie, nikomu nie zazdrościł dochodów — mówił raz pan Sebastyan — i wiem o tem dobrze, że, aby człek przeżył te lata, jakie mu Pan Bóg naznaczył, w spokoju i bez wielkiego kłopotu, to mu zawsze więcej trzeba rozsądku, niż pieniędzy. Rzadko też one starczą, choć są w wielkiej liczbie; bo zwykle, gdzie ich jest dosyć, tam znowu jest za mało tego, co jest od nich lepsze, a przez co miarkują się potrzeby ludzkie i urządza się życie tak, aby była grobla wedle stawu, aby woda przez nią nie przechodziła i nareszcie nie podziurawiła jej i nie zerwała ze szczętem. Nigdym też nie narzekał, a choć mi Pan Bóg dawał jednego roku więcej, drugiego mniej, nie powiedziałem sobie jeszcze ani razu, że jest za mało. Jak krawiec, mosanie, tak kraje, jak mu sukna staje, tak i ja mogłem i umiałem przykrawywać moje potrzeby według postawu, jaki mi się dostał; a choć suknia była raz

trochę dłuższa, znowu trochę krótsza, odziewała jednak dostatecznie i przystawała mi zawsze do stanu. Ale przyszła kreska i na Matyska — dodał pan Sebastyan, kiwnąwszy głową i z wyrazem twarzy, w której było więcej smutku, niż rezygnacyi. — Gdyby to szło o mnie samego, anibym o tem mówił, anibym się frasował. Na barszcz i na kaszę jeszcze mi wystarczy, a kapota, choćby się wytarła i podziurawiła, to chciałbym widzieć tego, coby śmiał powiedzieć, że do tych dziur przyszedłem nie przez zrządzenie Boskie, ale przez własną ospałość i niedbalstwo. Ale takim dzieciom, jakie mi Bóg dał, nie módz podać ręki; takie drzewka, na które popatrzeć miło, nie módz przesadzić na grunt im właściwy i gdzieby się bujniej rozrosły, niż tu, gdzie zdziczeją i okryją się wilkami; nie módz ich okrzesać, podeprzeć i wypielęgnować według ich doskonałej natury, to jest dopiero, mosanie, boleść, jakiej jeszcze nie doznawałem, i taka, co mnie zapewne nie zegnie i nie przyprowadzi do szemrania przeciw sprawiedliwości bożej, ale mnie może złamać i zgruchotać, a bodaj czy nie odbierze im przed czasem i tę podporę, jaką dziś mają.

Te słowa, zakrawające prawie na rozpacz, drżenie głosu, okazujące, z jakiej głębi jego serca wychodzą, przytem parę łez, które tem bardziej przenikały, że spadły na twarz czło-

wieka, co nie tylko ciałem, ale i duszą wydawał się żelaznym i pełnym hartu, tak proboszcza wzruszyły, że ścisnąwszy tylko rękę starego przyjaciela, i czując, że i jego powieka zwilża się łzą współczucia, nic z razu nie odpowiedział. Po niejakim czasie, zebrawszy się z myślami, podniósł głowę i rzekł:

— Rozumiem ja to, kochany sąsiedzie, bardzo dobrze, ze położenie twoje jest ciężkie, i że serce ojcowskie musi cię boleć, bobyś chciał dzieciom swym nieba przychylić. I nie — ma co mówić, warte one wszelkiej pieczołowitości rodzicielskiej, warte wszelkiego starania i poświęcenia, tak są miłe; a takimi darami ciała i duszy uposażył ich Pan Bóg, iż zdaje się, że wyraźnie powiedział do ciebie, ich ojca: oto masz rolę, na której wszystko się urodzi, zasiejże ją nasieniem zdrowem i pożywnem; oto masz piękne latorośle, podwiązujże je, obracajże ku słońcu, zasłaniaj od złego wiatru, a będziesz miał słodkie jagody, które i ciebie ucieszą, i ludziom będą miłe i pożyteczne. W tem to, kochany sąsiedzie, wola Jego jest widoczną. Kształcić drogich tych chłopców i pielęgnować powinieneś. Ale czy do takich samych granic Bóg w mądrości swej kształcenie ich chciałby mieć posunionem, do jakich serce twe ojcowskie, idące za natchnieniem potrzeb i widoków ziemskich, posunąćby je pragnęło,

to jest rzecz wątpliwa; bo w takim razie Bóg, dawszy im tak piękne zdolności i dary, dałby ci oraz środki, abyś je rozwinął jak najdalej i doprowadził do tego kresu, do jakiego tylko doprowadzićby się dały. Widno więc, że inne są jego cele, kiedy tych środków nie masz, i że nie na to ich tak udarował, aby byli uczonymi i sławnymi wedle świata i jego doczesnej mądrości. Nie masz więc czego tak bardzo się frasować, kochany sąsiedzie, i poddawać się myślom tak trapiącym, które, jeśli cię nie złamią, jak to grzesznie prawie powiedziałeś, to mogą nadwerężyć twą siłę i podkopać twe zdrowie. Prócz tego, zastanowiwszy się nad tymi obowiązkami, jakie Bóg wkłada na rodziców, to powiem ci sumiennie, jako świadek twojego życia i jako twój spowiednik, znający najgłębsze głębie twojej duszy, żeś obowiązkom tym już zadość uczynił i dalej jeszcze zadość im czynić i zdołasz i zechcesz. Nie wpoiłżeś w twych synów miłości i bojaźni Boga, co jest rzeczą główną i fundamentalną? Nie umieją pacierza, nie rozumieją dokładnie katechizmu i nie znają wszystkich szczegółów służby bożej? wyegzaminowałem ich w tej mierze, i mogę cię upewnić, że byle nie zapomnieli tego, co dziś wiedzą, to im wystarczy i nadal, aby byli dla innych, a nawet starszych od siebie, przykładem i wzorem. Niejeden już, patrząc na nich, kiedy

klęczą i modlą się, mówił mi: jakie to pobożne dzieci! Uważałem to i sam, a i ty, kochany sąsiedzie, pewnieś to spostrzegał, bo jużci nie od kogo to mają, tylko od ciebie, że gdy są w kościele, to wiedzą o tem, że się znajdują w domu bożym, gdzie ciało powinno być pokorne, a myśl oderwana od ziemi unosić się z gorącą modlitwą do nieba. A dalej, nie nauczyłżeś ich poznawać, co dobre, a co złe w czynnościach i myślach ludzkich? co znowu jest drugim ważnym obowiązkiem rodziców. Jeśli który się z nich odezwie, to aż miło słuchać, tak zdrowo i według miłości bliźniego sądzi o tem, co widział, co się tam zdarzyło w owych sprawach szkolnych i studenckich, z których już wnieść można, jak będzie sądził o innych. Nie widaćże ze wszystkiego tego, co pochwalają, a co ganią, że mają wstręt do kłamstwa, do wykrętów i wszelkiego występku, i zachowali tę niewinność, jaką ich chrzest święty przyodział? Nie kwitnąz ich twarze rumieńcem i siłą życia? nie widnoż z ich oczu, że jak dusza ich, która się przez nie wyraża, czysta i zdrowa, tak i ciało ich niepokalane żadnem brudnem pożądaniem, nieodpowiednem ich wiekowi? I nie mogło być inaczej; boś dopełnił, panie Sebastyanie, najgłówniejszego obowiązku ojca: oto we wszystkiem dawałeś im dobry przykład. I jeśliby któremu przyszła jaka myśl i chęć zdrożna, nie

może sobie powiedzieć: zrobię to, bo tak i mój ojciec robi. Uspokój się więc, bo nie masz sobie nic do zarzucenia. Chowaj ich tak, jakeś dotąd chował, ucz ich żyć własnem swem życiem i zacnością swych zasad, a bądź pewny, że wyrosną na ludzi miłych Bogu, użytecznych sobie i drugim. Co się zaś tyczy tej nauki, którąby dała chleb jednemu z nich, lub obudwom, bo prawdę powiedziawszy, w folwarczku twoim, panie Sebastyanie, byłoby im za ciasno, to któż wie? może i na to znajdzie się jaki sposób, jeżeli w tem wola Pana Boga. A tymczasem poślij no ich do mnie, to się jakoś z malcami twymi pokombinuję, i powtarzać będziemy to, czego się nauczyli, żeby nie zapomnieli, a w niektórych rzeczach pryncypalnych, jako to: w łacinie, w historyi i w pisaniu po polsku, to może pójdziemy i dalej.

Całej tej długiej perory słuchał pan Sebastyan ze spuszczoną głową i z uwagą, do której czuł się obowiązanym, nie tyle może dla mocy dowodów, którymi ksiądz starał się go pocieszać, jak raczej dla tego współczucia, które widne było w jego głosie i postawie. Gdy przyszło do ostatnich słów, pan Sebastyan podniósł głowę, ścisnął mocno i z uczuciem rękę proboszcza i rzekł:

— Księże Macieju! jesteś zacnym kapłanem i najlepszym przyjacielem. Perswazye twoje

przyjmuję i dziękuję ci za nie, bo gruntowne i frasunek mój oddają w ręce Boga, w których jest wszystko: i łaska i odrzucenie, i nagroda i kara. Ale oświadczenia twego dla mych chłopców przyjąć nie mogę, bo to byłoby zanadto. Czas twój należy całej owczarni twej, a nie dwom tylko owieczkom, i to jeszcze nie w tem, co się ich zbawienia tyczy. A jeślibyś miał dla nich poświęcać chwilę odpoczynku twego, to stąd nie ulgę miałbym, ale nowy kłopot, że będąc twym przyjacielem, zamiast nieść ci w czemkolwiek pomoc, staję ci się ciężarem.

— To, to, to! — rzekł proboszcz, nasunąwszy brwi i z ofuknieniem — czy to ja z nimi będę po całych dniach bakałarzować, czy co? Wstydź się, panie Sebastyanie, że ci takie skrupuły przychodzą do myśli. Na godzinkę co dzień chcę ich mieć u siebie i basta, nie więcej. Na to stanie mi czasu, choćbym miał dwa razy większą parafię i dwa razy większe gospodarstwo. A za pracę żadną tego nie uważaj, bo to satysfakcya uczyć takie bystre dzieci, którym ledwo co powiesz, to już i zrozumieli, i w których głowach nie ginie żadne słowo, tak jak w dobrej roli i nie zmarnuje się by najmniejsze ziarno.

— Jeżeli już taka twoja wola, księże proboszczu, to na jednę godzinkę przystaję i dzię-

kuję ci za tę ulgę, jaką dziś sercu memu dałeś i swojem słowem i swoim czynem — rzekł wzruszony pan Sebastyan, i uściskawszy rękę księdza, poszedł do domu.

Ale proboszcz, jakkolwiek czuł wewnętrzną radość, że mu się udało i pocieszyć sąsiada i przynieść ulgę, zrozumiał to jednak dobrze, że i słowa jego nie mogły mu odjąć zupełnie myśli owych trujących, z jakiemi patrzał na przyszłość swych dzieci, i pomoc, jaką mu ofiarował, była tylko tymczasową i wcale niedostateczną. Jął więc myśleć i rozmyślać, jakimby sposobem zaradzić tej biedzie radykalnie i stanowczo, i uwolniwszy poczciwego ojca od troski o jednego przynajmniej syna, dać mu możność zajęcia się drugim i pokierowania go własnemi siłami. Przyszło mu najpierwiej na myśl, że panna Teresa miała niewielki kapitalik w listach zastawnych, stanowiący cały jej fundusz na stare lata, a oddany jej przez braci Piotra i Marcina Jelewskich, niby jako całkowita scheda, przypadająca na nią, po odtrąceniu wszystkich kosztów jej wychowania, jej utrzymania przez tyle lat w domu pana Piotra i t. d. Przyjęła to poczciwa kobieta bez żadnej reklamacyi, a choć wiedziała dobrze, że lekwidacya ta wyglądała gorzej, niż aptekarski rachunek, i że się jej należało ze sześć razy więcej, nic jednak nie mówiąc, była i za to wdzięczną.

Wiedział proboszcz, jak wylaną była panna Teresa dla krewnych, od których ani miłości, ani sprawiedliwego ocenienia swych cnót nie doznała. Takie mając przekonanie o sercu tej zacnej istoty, którą najszczerzej szacował, pomyślał proboszcz, czy nie powiedziećby jej, w jakiem położeniu znajdował się pan Sebastyan, i czemby mu ulżyć można. Ale w tym planie, który zrazu uderzył go, jako najprostszy i najłatwiejszy do uskutecznienia, spotkał się z jedną ważną przeszkodą. Nie wątpił on wcale, że panna Teresa oddałaby ostatnią sukienkę, byleby ją przekonał, że to będzie z dobrem jej siostrzeńców, których tak mocno kochała; ale z drugiej strony nie wątpił także, że pan Sebastyan całą mocą swej woli odrzuci jej ofiarę, i żadną prośbą i perswazyą nie da się skłonić, aby kobietę bezsilną, upośledzoną od natury, i nie mogącą szukać przytułku u krewnych, co ją obdarli i radzi są, że już sobie od niej raz na zawsze umyli ręce, pozbawiał funduszu, który na przypadek jego śmierci stałby się jej jedyną ucieczką. Z tych powodów plan ten stanowczo odrzucił.

Z kolei i przez właściwe umysłowi ludzkiemu kojarzenie się wyobrażeń, przyszli mu na myśl wujowie malców, których mu tak żal było zostawić bez edukacyi i bez rozwinięcia tych zdolności, jakie w nich widział. Jeśli wykołatam,

mówił sobie w duchu, ze trzysta złotych od jednego i ze trzysta od drugiego, i to wystarczy na ten ciężki rok, a dalej, to już jakoś Pan Bóg poradzi. Pan Piotr miał wprawdzie syna i córkę, ale posiadał dobrą wieś, i robił wiele niepotrzebnych wydatków na udawanie pana, na przejażdżki niepożyteczne do Lublina w czasie karnawału, na stroje dla żony, która nawet na mszę do Sawina przyjeżdżała w piórach i atłasach i draba jakiegoś miała za sobą w kościele. Otóż, jeślibym mu wyperswadował, żeby każdy niepotrzebny wydatek tylko o dziesięć złotych umniejszył, zebrałaby się pewna kwota, którą mógłby przyjść w pomoc człowiekowi, którego żonę także po żydowsku obliczył. Pan Marcin znowu był prawie bogatym, tak był oszczędnym, tak żałował sobie na wszystko. Ale zastanowiwszy się, że próżność i skąpstwo są to zdrożności, wysuszające ze szczętem serce ludzkie ze wszelkiego współczucia na niedolę bliźnich, że zagłuszają sumienie i robią człowieka egoistą, ślepym na cudzą biedę i głuchym na wszelką prośbę i perswazyę; że pan Piotr wziąłby jeszcze i cudze, żeby stracić, a pan Marcin obdarłby i rodzonego brata, żeby schować; przypomniawszy sobie, jak postąpili z bratem swym Pawłem i z siostrami; a nadewszystko wiedząc doskonale, że pan Sebastyan odstrychnął się od nich zupełnie, że

miał ich za ludzi złych i nieuczciwych, że wolałby pewnie umrzeć z głodu, niż być obowiązanym takim, których nie szacował, odstąpił i od tej myśli, tem bardziej, że miał jak najmocniejsze przekonanie, iż słowa jego byłyby daremne i poniżyłby się tylko napróżno, próbując skłonić do czegoś dobrego tych, których szatan, już opanował i na dwóch najpotężniejszych powrozach ciągnął do siebie.

Smutnym więc był proboszcz przez kilka dni następnych, i to szukanie środków, których wynaleźć nie mógł, to rzucanie myśli na prawo i na lewo, a spotkanie wszędzie trudności i przeszkód, które się zwyciężać nie dawały, odebrało mu humor zupełnie. Jedyną jego pociechą była ta godzina, kiedy chłopcy przychodzili na lekcyę, kiedy patrzył na te twarzyczki śliczne i śmiejące się, kiedy w oczach ich widział radość, jeśli im powiedział coś takiego, czego jeszcze nie wiedzieli, kiedy im dał co czytać, przekonał się z ich głosu i urobienia każdego słowa, że rozumieją dobrze, co czytają, a egzaminowani nazajutrz z tej samej rzeczy, opowiadają ją i gładko i dokładnie i z takiem zajęciem, iż widocznem było, że nie tylko głowa schwycili, ale że i rzecz sama, i to, co w niej było najważniejszem, utkwiło w ich słowach i sercu. Ale im bardziej przekonywał się, że to są dyamenty, które koniecznie trzeba

oszlifować, aby cudnym uderzyły blaskiem; im bardziej zadziwił się, kiedy wyłożywszy im raz naukę o dobrych uczynkach i kazawszy to samo napisać, znalazł rzecz wyłożoną porządnie, dowodnie, a przepisaną czysto i ortograficznie, szczególnie w tem, co mu podał Eugeniusz; tem więcej zaczął znowu rozmyślać nad środkami, jakby temu zaradzić, żeby chłopcy tak rzadkiego usposobienia nie zależeli pola.

Te myśli trapiły go najwięcej w nocy, kiedy się obudził, gdyż wtedy zwykle nie mógł prędko zasnąć powtórnie. A że imaginacya ludzka najsilniejszą jest w takiej porze, kiedy działaniu jej żaden przedmiot zewnętrzny nie przeszkadza, zaczął więc poczciwy ten przyjaciel marzyć, jakąby karyerę w świecie zrobić mogli, gdyby tym sposobem to wszystko dobre, które w nich ręka boża zasiała, doszło do właściwej dojrzałości. Raz puściwszy się tą drogą, wyobraził ich sobie dorosłymi młodzieńcami, jednającymi sobie szacunek i miłość ludzką, tak przez piękną powierzchowność, jaką mieli, jak i przez rozum, naukę i obyczaje, co wszystko rozwinęłoby się w nich pewnie do wysokiego stopnia. Puścił ich potem w świat i między ludzi, i z tą łatwością, z jaką my, powieściopisarze, usuwamy trudności i zawady z przed kroków naszego bohatera, jeżeli się nam podoba poprowadzić go szczęśliwie, toro-

wał im drogę i posuwał ich z jednego stopnia na drugi, coraz wyżej i wyżej, tak, że jednego zrobił uczonym zwierzchnikiem jakiegoś wysokiego zakładu naukowego, drugiemu, według praktycznego jego usposobienia dawszy zawód administracyjny, podniósł go do wysokiego stopnia, zrobił radcą i referendarzem, okrył go znaczeniem i honorami. A cóż? mówił sobie wtedy w duchu, wszystko to byćby mogło i nicby to nie było nowego, żeby Zabużscy poszli wysoko. Imieniu temu nie obce honory i godności. Wszak i tak jeden Zabużski jest referendarzem, a drugi nawet był kasztelanem. Gdy proboszcz przyszedł do tego wniosku, zaczął mocniej zastanawiać się i myśleć o tych krewnych pana Sebastyana; a chociaż ich nie znał, ani z charakteru, ani z usposobienia ich dla biednego szlachcica, z którym łączyła ich tosamość krwi i nazwiska, a do którego jednak nigdy się nie zgłaszali, sądził jednak, że uderzywszy do ich serca i przedstawiwszy im smutną konieczność człowieka, który się im nigdy nie naprzykrzał, możnaby wykołatać jaką taką pomoc, a przynajmniej tyle rocznego zasiłku, żeby choć dla jednego z malców na utrzymanie go w szkołach wystarczyło. Tą myślą tak sobie nabił głowę, tak się tem zaprzątnął, że czując wszelką niemożność przywołania snu na nowo, wstał, zapalił świecę, i chodząc po po-

koju, zacierał ręce z radości i dziękował Panu Bogu, że mu zesłał myśl tak szczęśliwą. Żeby zaś ukuć żelazo, póki gorące, i nie dać wystygnąć temu uczuciu, które serce jego napełniło, osądził, że najprostszą będzie rzeczą i najkrótszą do dojścia do celu drogą, napisać do jednego i do drugiego z tych panów, określić im położenie pana Sebastyana, jego zacność, jego uczciwość, klęskę jakiej doznał, dać oraz poznać przymioty dzieci, wymownie i do serca wypowiedzieć, że jeżeli nie dla względów ludzkości i pokrewieństwa, to przez wzgląd na samo imię, mające się przez nich podnieść w znaczeniu i sławie, należy podać im rękę. Postanowił więc *eo instante* zasiąść do stolika i wśród ciszy nocnej i pod wpływem tej inspiracyi, jaką ona daje, ułożyć brulion wspólny do obu braci, który miał jutro, *mutatis mutandis,* przepisać na czysto, i nic nie mówiąc panu Sebastyanowi, według adresu wyprawić. Ale myśli ludzkie inaczej wyglądają w głowie, gdy się snują tłumnie, gdy jedna drugą wyprzedza, i jedna drugą przerasta lub podpiera, a inaczej na papierze, kiedy szykują się, jak żołnierze w linii, kiedy każda staje osobno i może być obejrzana od stóp do głowy, czy przypada do szeregu, czy jej nie brakuje albo ręki, albo nogi, czy ma dosyć wzrostu i siły, aby nie zeszpeciła miejsca, na którem stoi, i wytrzymała

ciężar, jaki na nią włożono. Niejeden autor, nawet z najbardziej zakochanych w sobie, przekonał się, jak zdradzieckiem zwierciadłem jego duchowej postaci jest papier; a i ksiądz Maciej także, napisawszy parę ćwiartek, gdy je potem odczytał, spostrzegł, że opisy jego niedokładne, dowody niemocne, odezwy do serca krewnych jakieś zimne i nie przenikające tak, jak przenikały wtedy, kiedy były w nim, w jego sercu, kiedy były duchem i tchnieniem gorącem i żywem, a nie miały jeszcze na sobie tego ciała, jakie im piórem swem nadał, które wystudziło je, pokrzywiło i pokoszlawiło zupełnie. Niekontent więc z siebie, odsunął papier, wstał i znowu zaczął chodzić. A że już był z siebie niekontent, wszystko mu do myślenia przeszkadzało: i podłoga, która skrzypiała, i zegar, który stukał, i szafa z książkami lepiej niż list jego napisanemi, i świeca, którą potrzeba było objaśniać, a która mu wciskała w oczy to belki w ścianie, to plamy z odpadłego tynku na ścianach. Żeby więc usunąć wszystkie te przeszkody, zatrzymał zegar, zagasił świecę i otuliwszy się dobrze, położył się na wznak na łóżku. I stało się to, czego niejeden z nas piszących doświadczył. Myśli nie wyprostowały się, nie nabrały ani lepszej formy, większej mocy; ale sen powrócił, i w kwadrans potem ksiądz Maciej spał, jak zabity. Gdy otworzył

oczy, a był już duży dzień, wszystkie sęki, garby i koszlawizny jego wczorajszej pracy stanęły przed nim od razu i uczepiły się jego głowy tak, że się od nich opędzić nie mógł. Usiadł więc na łóżku, przeżegnał się i zmówiwszy pacierz, powiedział sobie: — Próżna to praca i może być nieskuteczna. Jeżeli mi się nawet uda dobrze napisać, a napiszę obszernie, to znudzę; jeżeli krótko, to nie zrozumieją dobrze, ani ważności rzeczy, ani gwałtowności potrzeby. Zresztą na list można odpowiedzieć zaraz, a można odpowiedzieć i za pół roku, bo on nie stoi nad karkiem i nie dopomina się o respons. Przytem to taki poseł, przed którym niema potrzeby spuszczać oczu i wstydzić się, gdy się zamyka ucho i serce na prośbę, którą on słusznie zanosi i o zadośćuczynienie jej domaga się. Wcale jest inaczej, gdy poseł jest żywy, któremu trzeba w oczy spojrzeć, a który śmie i umie wypowiedzieć wszystko, co i mnie się prędzej uda, bo łatwiej jest wygadać się, niż się wypisać. Pojadę więc sam. Tak będzie i lepiej i prędzej. Do kasztelana stąd nie tak daleko. Obaczę najpierwej, co też ten powie. Jeśli się okaże chętnym, to i sam napisze do brata, aby z nim do tej uczciwej i ludzkiej spółki należał. Odprawi mnie z kwitkiem, ha! to nie ja się zawstydzę przed Bogiem i sobą samym, i jutro już będę wiedział, czy się uda, czy nie uda dopomódz przyjacielowi.

Ucieszony tym planem ksiądz Maciej zerwał się na nogi młodemi siłami, ubrał się co prędzej, a gdy organista przyszedł z dziennym raportem, kazał mu przygotować bryczkę, trzy konie, i zapowiedział, że pojedzie na dwa dni i to zaraz po mszy. Potem zwykłym porządkiem odmówił przepisane pacierze, w pół do ósmej stanął przed ołtarzem, a obracając się do małej liczby obecnych przy *Dominus vobiscum*, gdy widział na środku kościoła klęczącego z pokorą pana Sebastyana, a obok niego ze złożonemi rękami Eugeniusza i Ignasia, tem goręcej i ze łzą w oku prosił Boga, aby mu się poselstwo jego udało. Skończywszy nabożeństwo, wymknął się co prędzej przez zakrystyę, żeby się z panem Sebastyanem nie widzieć, a gdy bryczka zaszła, i pani Błażejowa dawszy mu jaki taki zapasik, upominała, aby byle czego nie jadł na popasach i w gościnie, wsiadł ksiądz Maciej, spoglądając z uśmiechem na dworek przyjaciela, nasunął rogatą swą czapkę i nie uwiadomiwszy nikogo, dokąd i po co jedzie, w Imię Boże wyruszył.

III.

O pół piątej mili od Sawina leżała majętność kasztelana, między Dubienką i Opalinem. Miał on większe jeszcze dobra w innej stronie Podlasia, które wziął po żonie, ale zwykle

mieszkał w Zabużu, tak nazwanem zapewne przez mieszkańców tamtej strony rzeki. Tam sobie kasztelan szczególnie upodobał, raz dlatego, że to był spadek po ojcu i że nazwanie odpowiadało jego nazwisku, a także, iż tu miał dom obszerny, piękny, z ogrodem bardzo ładnym, i że rezydencya ta leżała nad samym Bugiem tak, że z okien widać było sunącą się tę falistą wstęgę, i można było porachować wszystkie tratwy i bajdaki, które piękną tę rzekę ustawicznym ożywiały ruchem. Do Zabuża tedy udał się ksiądz Maciej. Przybył on na miejsce jeszcze za dnia, zostawił w karczmie swoją bryczkę i konie, a dla dowiedzenia się o składzie domu, o charakterze osób, słowem, dla zrekognoskowania pozycyi, którą miał gorliwą przyjaźnią i chrześcijańską wymową zaatakować, udał się na probostwo, pewny, że od sumiennego kolegi, znającego dostatecznie serce i usposobienie tych, których był pasterzem i spowiednikiem, dowie się najlepiej, jak i z której strony wziąść się do dzieła.

Ponieważ wieś ta składała się po większej części z mieszkańców grecko-unickiego wyznania, cerkiew więc unicka była właściwie plebanią i znajdowała się we środku wsi; a kościołek katolicki, niewielki, ale prawie nowy i z gustem zbudowany, jako przeznaczony dla dworu, dla oficyalistów i małej liczby okolicznych

mieszkańców tegoż wyznania, stał blizko domu dziedziców, który tam nazywano pałacem, i był niejako pałacową kaplicą. Tuż przy kościołku znajdowało się i mieszkanie kapelana, które się nazywało probostwem. Od karczmy do owego probostwa najkrótsza i najprzyjemniejsza droga prowadziła przez ogród dworski, i tę księdzu Maciejowi ukazano. Gdy zacny ten protektor bohaterów naszej powieści wszedł między piękne drzewa i klomby, gdy rzucił okiem na obszerne gazony, starannie utrzymywane, na ścieżki dobrze ubite i usypane żwirem, na rzadkie kwiaty, zdobiące te miejsca, gdzie stały zgrabne i biało pomalowane kanapki, ławeczki, i nareszcie doszedł do tego miejsca skąd odkrywał się dom o kilkunastu ogromnych oknach, obszerny, wysoki i ozdobnie wyglądający, pomyślał sobie, że tu jest porządek, że jest zamożność, że zatem ludzie, którzy mają tyle dla siebie, iż mogą takim kosztem utrzymać i zdobić swoją siedzibę, nie będą żałować małej cząsteczki swoich dochodów, aby krewnemu, który ich nigdy o nic nie prosił, podać rękę w tak nagłej potrzebie.

Gdy tak rozmyślał i patrzył ku dworowi, spostrzegł, że ze drzwi parapetowych, zapewne do jakiejś sali należących, wyszły cztery osoby: mężczyzna już niemłody, poważny i pańską mający minę, chłopczyk może czternastoletni,

żywy i ruchawy, dalej jakiś chudy i długi jegomość, trochę przygarbiony, jakby śledzący ruchy chłopczyka i dający mu napomnienia, na które malec nie bardzo zdawał się zważać, i nakoniec ksiądz, co łatwo było poznać z sukni. Ksiądz to był młody, przystojny, wyprostowany; jego sutanna zgrabnie przykrojona dobrze go opinała, kapelusz nowy i buty wyglansowane połyskiwały z daleka, a ręka okryta była rękawiczką i trzymała cieńką i zgrabną laseczkę. Chociaż ta elegancya w duchowym koledze nie bardzo się podobała księdzu Maciejowi, domyślając się jednak, że to musi być ów kapelan miejscowy, do którego dążył, zatrzymał się w miejscu, oczekując na grupę, która się do niego zbliżała. Ale w pewnej jeszcze do niego odległości kompania ta rozdzieliła się. Stary ów pan, wziąwszy chłopczyka za rękę, poszedł z nim na prawo, a ów długi jegomość z młodym księdzem szli prosto ku temu miejscu, gdzie na nich ksiądz Maciej oczekiwał. Młody kapelan, spostrzegłszy nieznajomego, poznawszy także po sukni i po minie, że to kolega, przyśpieszył kroku, i skłoniwszy się grzecznie, rzekł:

— Jegomość dobrodziej zapewne z interesem do pana kasztelana? Właśnie poszedł z synem swym na przechadzkę.

— Mam ci ja wprawdzie ważną sprawę

do pana kasztelana — odpowiedział ksiądz Maciej, trochę rozbrojony wyrazem twarzy łagodnym i rozumnym młodego księdza, a także jego przywitaniem, które było bardzo grzeczne i uprzedzające. — Ale radbym wprzódy pomówić z tutejszym proboszczem.

— Jeżeli z księdzem dziekanem Bazylewskim — rzekł młody kapłan uprzejmie — to mogę jegomości dobrodziejowi do niego służyć. On mieszka w środku wsi, przy kościele tutejszej parafii; a jeżeli z kapelanem tutejszego katolickiego kościołka, to tym jestem ja, ksiądz Augustyn Mlecki, do usług.

— To, to, to! ja też domyśliłem się tego — odpowiedział ksiądz Maciej. — Więc wielmożnego pana dobrodzieja, jeżeli łaska, proszę na krótką konferencyą. Jestem Maciej Zielenkowski, proboszcz niedalekiego stąd miasteczka Sawina.

— Służę więc księdzu proboszczowi do siebie — rzekł młody kapelan z większą jeszcze uprzejmością — i cieszę się bardzo, że mam sposobność poznać kapłana, w którego ślady daj Boże nam wszystkim wstępować.

— Dziękuję, dziękuję — odpowiedział ksiądz Maciej, i idąc obok księdza Mleckiego myślał sobie: nie bardzoby ci się chciało ustroić się w moją czapkę i buty, i zdjąć te ładne rękawiczki, jakich ja jak żyję nie miałem,

— Panie Bogumile! — rzekł ksiądz Augustyn do owego długiego jegomości, który się przyzostawał — prosimy z sobą. Konferencya nasza z księdzem proboszczem zapewne nie potrwa długo, a miło nam będzie potem pogawędzić razem, ponieważ masz teraz wolną chwilkę od twego obowiązku — i obracając się do księdza Macieja, dodał rekomendując: — Pan Bogumił Orlicki, exprofesor matematyki i fizyki, a obecnie nauczyciel młodego kasztelanica.

— Bardzo mi miło, bardzo miło poznać waćpana dobrodzieja — rzekł nasz proboszcz, a spojrzawszy na twarz pedagoga bladą, poważną, trochę nieukontentowaną, ale pełną wyrazu, pomyślał sobie: tem lepiej, i jego rada i zdanie może mi się przydać.

Domek kapelana był niedaleko. Stał on tuż przy kościele i prawie w ogrodzie, tak mały oddzielał go tylko kanalik i na nim mostek zgrabny i malowany. Dziwnem się to trochę wydało naszemu proboszczowi, którego oczy przywykły do starych murów kościoła, do drewnianych i trochę pokrzywionych ścian swojego dworku, gdy obaczył niewielką tę świątynię, kształtną i bielutką, wznoszącą się na miejscu czystem, zamiecionem, usypanem piaskiem, obwiedzionem ładnymi sztachetami; gdy

rzucił okiem na domek plebana, murowany, mający drzwi lakierowane z bronzowem zamknięciem, w oknach ładne wazony z kwiatami i firanki, a zewnątrz ich żaluzye zamiast okiennic; gdy wszedł do pokoju, i zobaczył meble zgrabne i połyskujące od czystości, kanapkę okrytą materyą, a przed nią pod ładnym stolikiem śliczny dywanik. A choć parę szaf pełnych książek mówiły także, że młody ksiądz nie tylko próżności światowej hołduje, pomyślał jednak sobie proboszcz z westchnieniem: »Jeżeli tak u księdza, cóż musi być u senatora, a jeżeli tu wszyscy myślą tylko o tem, żeby dogadzać swoim oczom porządkiem, czystością i kosztownością sprzętów, to choć może i mają dużo, ale muszą tyle wydać, że tam na dobry uczynek zostaje bardzo mało, albo nic wcale.« Jak pierwej widok porządku i zamożności ucieszył go, że ci, do których się udawał o pomoc, mają skąd jej udzielić, tak znowu ta uwaga odebrała mu nadzieję pomyślnego skutku i zasępiła jego czoło. Usiadł więc, nasunąwszy brwi, na wskazanem sobie miejscu na kanapie i namyślał się, czy otworzyć się ze swym projektem czy nie, przed ludźmi, którzy przywykli do ciągłego dostatku i łatwego zaspokajania wszelkich zachceń i może nie pojmą jego dobrych chęci dla przyjaciela, i słowa jego przyjmą zimno i bez współczucia.

Nim się ksiądz Maciej namyśli i zdecyduje, powiedzmy parę słów o tych dwóch osobach, które do tej ważnej rozmowy należeć miały.

Ksiądz Mlecki pochodził z zamożniejszego domu i majętnych rodziców. Wychowany był w dostatkach, miał w dzieciństwie i w szkołach wszystkie potrzeby swoje zaspokojone tak, że żadnej biedy nigdy nie znał i nie widział. Przywykł on za młodu do tego wszystkiego, co miłe oku, wygodne i ładne. Elegancya więc stała się jego potrzebą, jego nałogiem, tem bardziej, że miał matkę elegantkę, kobietę piękną i wykwintną, która nie cierpiała nic a nic na sobie, ani obok siebie, coby raziło jakiemściś zaniedbaniem, coby było ordynaryjnem, a potem bardziej brudnem i nieczystem, i która ten gust słowem i czynem w dzieci swe wszczepiła. Gdy jednak takie jej życie, przenoszące dochody, zrujnowało majątek, zapędziło w grób ojca i zmusiło czterech pozostałych synów do szukania sposobu utrzymania się, najmłodszy z nich, Augustyn, który dla rozruchów krajowych uniwersytetu warszawskiego dokończyć nie mógł, a był wówczas słabowity, delikatny, do spokojnego zajęcia i pracy umysłowej skłonny, skoro tylko było można, wszedł do akademii duchownej i przed rokiem otrzymał święcenie. Że kasztelan był w związkach znajomości, a nawet przyjaźni z jego rodzicami,

a stary kapelan jego umarł i miejsce to zostało opróżnionem, widząc przypadkiem w Warszawie u jednego ze znajomych młodego księdza, jakoś w parę tygodni po jego primicyach i nie mającego jeszcze żadnego planu, co z sobą zrobi i gdzie się uda, przypomniał go sobie, a pogadawszy z nim i spostrzegłszy, że młody człowiek pięknie się ukształcił, że zamiłował naukę i spokojność, zaproponował mu miejsce u siebie. Nie obiecywał mu wprawdzie znacznego dochodu, ale całkowite i przystojne utrzymanie, a nadewszystko dobre towarzystwo, dostatek książek i przyjacielskie obejście się. Ksiądz Augustyn przyjął z największą chęcią propozycyę tak miłego i uprzejmego pana, i tem chętniej pośpieszył do Zabuża, że wiedział, iż miejsce to należy do najpiękniejszych w okolicy, że dom cały słynie z porządku, gustu i elegancyi, gruntownej cnoty i pobożności. Nie zawiódł się ksiądz Mlecki w swoich oczekiwaniach, zastał domek przygotowanym na swoje przyjęcie, umeblowanym gustownie i z wygodą, co go niezmiernie ucieszyło; zastał kościołek opatrzonym we wszystkie potrzeby i bogato i pięknie; w całym domu i jego obejściu widział porządek, gust i nawet wykwintność, do której przywykł i którą lubił; kontent więc z pierwszego wrażenia, jakiego doznał, doświadczając grzeczności od wszystkich,

nawet od samej pani, co było rzeczą główną, mając wszystkie potrzeby swoje zaspokojone nawet wystawnie, oddał się z gorliwością obowiązkom swym, zjednał sobie prędko szacunek wszystkich i przywiązał się do domu, w którym mu było tak dobrze. Był to więc młody człowiek, mający rzeczywiste zalety, przewyższające daleko wadę zbytecznej troskliwości o ubranie, sprzęty i wygódki życia, która w samej rzeczy w duchownym jest wadą, która słusznie proboszczowi naszemu na pierwszy rzut oka niekorzystne dała o nim wyobrażenie, a którą mu wlało wychowanie, i utrzymywał w nim widok i tryb domu, w jakim się znajdował. Należał on do małej liczby duchownych młodszego pokolenia, urodzonych i wychowanych w domach zamożniejszych, którym stosunki familijne pomagają do utorowania sobie drogi w hierarchii kościelnej, jeżeli z edukacyą i miłemi formami zewnętrznemi łączą prawdziwą nauką i prawdziwą pobożność, a nie poprzestają tylko na tem, że mogą z gustem wyidealizować prosty strój księży, że umieją znaleść się w salonie, a nawet spowiadać damy po francusku. Ksiądz Mlecki wiedział wprawdzie o tem, że protekcya dam jest zawsze i wszędzie potężną sprężyną powodzenia; ale z drugiej strony, przypatrzywszy się także i tym, od których kierunek młodego kapłana i posunięcie go na wyższe stopnie

zależy, przy układności swej zewnętrznej starał się i o nabycie głębszej nauki i o ugruntowanie się we wrodzonych mu cnotach chrześcijańskich, któreby go i starszym duchownym, a mniej patrzącym na gładkie znalezienie się, zaleciły. Uczył się więc, pracował, pisał, modlił się gorliwie i przykładnie, żył skromnie i obyczajnie, był miłosiernym i śpieszył wszędzie z pomocą i pociechą, gdzie była obecność jego potrzebną; słowem, był to młody kapłan miły, uprzejmy, z dobrem sercem i dobrą głową, którego chętnie sympatyi czytelników naszych przedstawiamy, choć może im się także, jak i księdzu Maciejowi, jego glansowane rękawiczki i laseczka, którą miał w ręku, nie spodobały.

Pan Bogumił Orlicki, ów nauczyciel młodego panicza, pod względem zewnętrznych form i dbałości o swój strój i powierzchowność był niejako odwrotną stroną księdza Mleckiego. Ani myślał on nigdy, co na siebie wdziewał, i nie spojrzał nawet, czy suknia, którą bierze, wyczyszczona czy nie. O formę jej także nie dbał wcale. Jak mu krawiec zrobił, tak nosił, byle surdut nie kusy, fircykowaty, byle był dostatni, byle mu koniecznie zakrywał kolana i nigdzie go nie gniótł, nie cisnął i myśleć o sobie nie kazał. Chustkę na szyi zawsze miał białą, co przy niemożności codziennego

jej zmieniania, robiło ją czasem brudnawą. Rękawiczki jego były zwykle przechodzone, a niekiedy i poprute; kapelusz kładł tylko w jakichściś ekstraordynaryjnych zdarzeniach, i to taki, który nigdy nie był nowym, a zwykle chodził w czapce, często nawet na tył głowy nasunionej. Na stole jego i w szafie jego własnej był wielki nieład. Książki i papiery leżały tam na kupie, pióra i kałamarze w różnych kierunkach, a piasek był wszędzie i łączył się z pokrewną sobie kurzawą, którą nie zawsze pan Bogumił dał zmieść i sprzątnąć służącemu, przeznaczonemu do ich usług. Sługa ten miał rozkaz od pani, aby pokój panicza i stół nauczyciela utrzymywał czysto i w porządku, aby zmiatał i składał, ile razy pan Orlicki się odwinie, żeby ile możności utrzymał ład do którego chciała syna swego przyzwyczaić, a który, naśladując swego nauczyciela, mógł złego nabyć nałogu. Czasem nawet, wszedłszy do pokoju syna i znalazłszy na stoliczku jego porozrzucane książki i seksterna, składała je sama i nieznacznie przycinając nauczycielowi, mówiła do chłopca: »Jak będziesz miał tyle nauki i zasługi, co pan Orlicki, to ci wolno będzie rozrzucać książki i papiery i mieć na stole uczony nieład; a że się na to nie zanosi, bo się niechętnie bierzesz do nauki, to przyuczajże się zawczasu przynajmniej do porządku.«

Pan Bogumił zrozumiał dobrze, do kogo piją; czasem odchrząknął tylko i nic nie odpowiedział, a czasem i odciął się pani, której on jeden tylko z całego domu najmniej ulegał. Ten rodzaj abnegacyi i niedbania o to, jak się wyda i pokaże drugim, był jedyną wadą, którą mu czasem w poufnej między sobą rozmowie rodzice ucznia jego wyrzucali. Bo zresztą szacowali go niezmiernie i umieli cenić jego gorliwość, jego naukę, jego umiejętność udzielania tego co umiał, i tę chęć gorącą, aby syn ich korzystał jak najwięcej, aby nabył gruntowniejszej wiadomości i uniknął tej ogólnej wady domowej edukacyi, że jest powierzchowną, płytką i kończy się na blichtrach, które świecą tylko w kompanii i robią z takiego panicza szczebiocząca i różnojęzyczną papugę. Pan Orlicki, zostawiony sam sobie w czternastym roku życia, własnemi siłami przebył szkoły, ucząc drugich, udzielając korepetycye bogatszym, przepisując skrypta, to uczniom, to nawet nauczycielom. Tak utrzymywał się jak mógł, i przez to nabył wprawy w uczeniu, zamiłowania tego ciężkiego rzemiosła, ale oraz nałogu pracy i wytrzymałości na brak wszelkiej wygody i wszelkiej uciechy. Takim samym sposobem, bez niczyjego wsparcia i pomocy, z większą tylko trudnością, jako w mieście wielkiem i drogiem, z usilniejszą jeszcze walką z poku-

sami, które toż miasto na każdym kroku nastręczało, przebył uniwersytet w Warszawie i skończył go w 1825 roku ze stopniem magistra filozofii. Ponieważ zaś zawód nauczycielski był jedyną karyerą, jaką iść pragnął, a miejsca wówczas żadnego nie znalazł, czekać zaś nie miał o czem, wstąpił do Pijarów, sądząc, że tu zawsze znajdzie i kierunek i spokój i odpowiednie skłonności swej pedagogicznej zajęcie. Jakkolwiek ludzie, do których towarzystwa wszedł, byli szanowni i uczeni, ale, czy to dla oszczędzenia młodemu akademikowi czasu, aby go miał więcej na studya teologiczne, czy dla nauczenia przyszłego zakonnika pokory, czy może dla jakich drobniejszych powodów, intrygi lub czyjej bądź zazdrości, co jest wszędzie, przeznaczyli go do pierwszej klasy i tam kazali mu uczyć artymetyki, geografii i kaligrafii. Nie podobało się to magistrowi filozofii, który w uniwersytecie za najpierwszego uchodził matematyka, i pan Orlicki, wytrzymawszy półtora roku, pomnożywszy tylko swoje wiadomości częścią teologicznych nauk, do których się gorliwie przykładał, złożył sukienkę i na świat powrócił. Przecierpiawszy cokolwiek biedy z właściwą sobie wytrwałością, nieraz o kawałku suchego chleba, w wytartym surducie, w izdebce nieogrzanej i półtora tylko stołka mającej, przeczekawszy najgorsze chwile, po

niejakim czasie wypłynął na wierzch i dostał się do tego żywiołu, do którego był stworzony i za którym wzdychał. Gdy w jednej ze znaczniejszych szkół wojewódzkich zawakowała posada nauczyciela matematyki i fizyki, pan Orlicki otrzymał ją za pośrednictwem swojego profesora uniwersyteckiego, którego był okiem w głowie, i do 1830 roku żył sobie spokojnie i uczył gorliwie i użytecznie. Później przypadek zdarzył, że się poznał z kasztelanem, którego syn zaczynał rok dziesiąty, a dla którego rodzice nie szukali ani Francuza, ani Szwajcara, ani Hollendra, ani Szweda, ale takiego, coby go nie przerodził i nie przekształcił, lecz rozwinął w nim swojskie pierwiastki i dał mu gruntowną naukę, jeżeli ją przyjąć będzie zdolnym. Kasztelanowi spodobał się exprofesor, zaproponował mu więc miejsce u siebie, które pan Orlicki przyjął i do Zabuża w końcu 1831 roku przybył. Chociaż go z uprzedzającą grzecznością przyjęto i otoczono staraniami i wygodą, dziwnem się jakoś z razu wydało to życie dworskie człowiekowi przywykłemu do niezależności, jaką daje oznajomienie się z biedą, umiejętność pokonywania jej niewielkimi środkami, śmiałe zaglądanie jej w oczy, kiedy przychodzi, a stąd niezbyt wysokie cenienie dostatków i tych, co posiadając je, zbyt wielką do nich przywiązują wartość. Ta walka ustawiczna z najpierwszemi

potrzebami życia, do jakiej się od młodości zahartował, zrobiła go cokolwiek demokratą, dla którego te wygody, jakiemi go otoczono, wydały się rzeczą zbyteczną, a grzeczność wymuszoną i niemiłą. Szczególnie nie mógł przywyknąć do obejścia się samej kasztelanowej, której duma przebijała się przez te formy łaskawe, z jakiemi go traktowała, której zasady czysto arystokratyczne, z jakiemi nie ukrywała się wcale, raziły go niezmiernie, i każdy ukłon, jaki jej oddawać musiał, czyniły prawdziwą męczarnią. Ale wkrótce, oswoiwszy się z tym trybem domowym, którego duszą były porządek, łatwość w obejściu i przyzwoitość w każdej rzeczy, zająwszy się obowiązkiem, który mu dawał dużo do czynienia, widząc w ojcu swojego ucznia wdzięczne uznanie swych trudów i czasem serdeczniejszą poufałość, a w żonie jego spostrzegłszy rzeczywiste cnoty i prawdziwy dla siebie szacunek, przywykł do tego wszystkiego, co go otaczało, nauczył się wybaczać kasztelanowej jej wygórowaną dumę i cenienie nad wszystko swojego rodu, przywiązał się do swego ucznia, choć ten nie odpowiadał jego chęciom i gorliwości, i nie myślał już starać się o posadę publiczną, choć wiedział, że prośba jego i zabiegi nie byłyby daremne. Taką była owa druga osoba, do narady tej należeć mająca.

Po kilku minutach milczenia, gdy ksiądz Mlecki spostrzegł, że gość jego ma niby zakłopotaną minę, i spuściwszy oczy, mnie swoją czapkę, rzekł:

— Może ta rzecz, o której mamy mówić, wymaga tajemnicy, to służę księdzu proboszczowi do drugiego pokoju; pan Bogumił daruje, że go na chwilkę zostawimy.

— Bynajmniej — odpowiedział ksiądz Maciej. — Owszem, rad będę posłyszeć zdania obudwóch panów w tej rzeczy, która nie jest właściwie moim interesem, ale tak dobrze jak moim przez moc przyjaźni, która mną powoduje, i przez miłość chrześcijańską, która mnie czyni śmiałym i gotowym znieść nawet odmówienie i złe przyjęcie.

— Od kogóż tu ksiądz proboszcz możesz obawiać się złego przyjęcia? — zapytał ksiądz Mlecki z uśmiechem.

— To, to, to! jużci nie od panów — odpowiedział proboszcz. — Was mam prosić tylko o niektóre objaśnienia i o radę a rady udziela każdy chętnie, a nawet i nieproszeni dają ją obficie i szczodrze. Ale ja tu przyjechałem prosić o zasiłek pieniężny, o wyznaczenie rocznego funduszu. A to już inna rzecz wcale. Każdy sądzi, że ma rozumu więcej, niż mu potrzeba, i dlatego nieskąpo udziela go i drugim; ale każdemu, choćby był najbogat-

szym, zdaje się, że ma pieniędzy za mało dla siebie, a stąd, jeśli mu ich kto chce jeszcze ująć, to za niemiłego uważając go gościa, nazywa go natrętnym i nieznośnym żebrakiem, i jeszcze to jego łaska, jeśli tego nie powie głośno i z ofuknieniem biedaka, który przyszedł z nadzieją, a odchodzi ze wstydem. Jak ja odejdę od pana kasztelana, tego właśnie nie wiem, i chciałbym, żebyście mi panowie dali cokolwiek poznać i jego samego, a szczególniej ją, bo to u nas w Polsce wszystko od czepka zawisło, abym wiedział, czego się spodziewać i do jakiej miary żądania moje podnieść. W każdym razie pójdę i spróbuję; ale zawsze wolałbym odejść ze skutkiem jakim takim, niż z żadnym.

Pan Orlicki uśmiechnął się, słysząc ten wstęp rozwlekły trochę i niezupełnie matematyczny, a ksiądz Mlecki zapytał:

— O cóż tedy idzie właściwie? niech ksiądz proboszcz szczegółowiej nam rzecz całą objaśni.

— Krótko panom dobrodziejom powiem — rzekł na to ksiądz Maciej. Ale nie krótko, jak zapowiedział, lecz owszem z właściwą sobie dokładnością i wywodami, które naturalnie uczyniły opowiadanie jego przydłuższem, opisał pana Sebastyana, jego charakter, jego sytuacyę, jego stosunek pokrewieństwa z kasztelanem

i referendarzem, jego trzymanie się w oddaleniu od bogatszych krewnych, aby biedą swą nie robił im wstydu i nie żenował ich dumy; potem przeszedł do skreślenia jego miłości rodzicielskiej i jego smutku, jaki mu daje tegoroczna klęska, która stawia go w zupełnej niemożności dalszego edukowania dwóch synów, którymi go Pan Bóg obdarzył; dalej zaczął opisywać przymioty i zdolności tych dzieci, i tu szeroko rozwodził się nad ich postępem w naukach, nad ich rozsądkiem, pobożnością i obyczajnem znajdowaniem się w każdym czasie i miejscu; nakoniec, przeszedłszy do stosunków przyjaźni, jaka go od lat tylu z panem Sebastyanem łączy i do przywiązania, jakie ma do jego dziatek, tak upodobanych wszystkim uczciwym ludziom, którzy je znają, oświadczył, że bez wiedzy przyjaciela, któryby mu na to nigdy nie pozwolił, przybył tu z natchnienia bożego, ażali nie uda mu się tej biedzie zaradzić i skłonić kasztelana, aby sam, lub łącznie z bratem, wyznaczył fundusz roczny, któryby jako tako wystarczał na utrzymanie tych chłopców w gimnazyum, coby im dało kierunek w świecie i przyniosło zaszczyt imieniowi, jakie noszą.

Obaj obecni spojrzeli na siebie, gdy mówiący wreszcie skończył, i nie śpieszyli się jakoś z odpowiedzią; wtedy ksiądz Maciej, zsunąwszy brwi, dodał:

— To, to, to! Panowie coś milczycie i spoglądacie na siebie. Źlem się może wybrał z moją nieproszoną gorliwością i odejdę zapewne z kwitkiem. Pan Sebastyan lepiej podobno znał swoich krewnych, kiedy mu nawet przez myśl nie przeszło, aby się udał do któregobądź z nich, i wyciągnął do nich rękę w tej biedzie, która go uciska. A jednakże widzę tu wszędzie porządek i dostatek; wszystko się tu zieleni i śmieje, wszędzie widno, że jest nie tylko na potrzebę, ale i na zbytek, od którego, gdyby choć troszkę ująć, jeszczeby wszystko zostało i porządnem i pięknem i okazałem, a do tych wszystkich ozdób przybyłaby rzecz najpiękniejsza i najokazalsza, to jest dobry uczynek. Ale widać, że to jest jedyny zbytek, za którym panowie tutejsi nie gonią, którego nie łakną, i zdaje im się, że się bez niego obejść mogą.

— Mylne ksiądz proboszcz dobrodziej — odpowiedział ksiądz Mlecki — masz o właścicielach tutejszych wyobrażenie. Porządek, który tu uderza wszędzie i który w rzeczy samej lubią, staranne zdobienie miejsca z natury pięknego, na co nie żałują, kosztuje ich wprawdzie niemało; ale sądzę, że wedle ich stanu nie należy to do zbytków, lecz do istotnej potrzeby, a jest nawet dobrym przymiotem, za który należy ich szanować. Jużci lepiej jest wydawać na uporządkowanie i ozdo-

bienie swojego domu, swojej majętności, gdyż to zostaje, trwa i czyni widok kraju powabniejszym i milszym, niż rozrzucać tak pieniądze, jak rozrzucają je inni panowie, a nawet szlachta, na fraszki, które giną, na zbytki stołu, które szkodzą i trują, na szumienie za granicą, co wszystko przepada i śmiesznemi nas czyni. Ale cała ta kształtność i ozdobność wszystkiego, coś już ksiądz proboszcz dobrodziej widział, a nawet ta okazałość, jaką jutro wewnątrz domu obaczysz, nie przeszkadza dobrym uczynkom, które po większej części przez moje ręce przechodzą, i o czem najlepiej powiedzieć mogę. Dają oni nie mało równie swoim włościanom, jak i obcym, i sądzę, że jegomość dobrodziej w reklamacyi swej, która czyni zaszczyt jego sercu, nie doznasz wielkiej trudności.

Proboszczowi naszemu wyjaśniło się czoło, poprawił się na kanapce i rzekł:

— Za prędki więc sąd wydałem i przyznaję się do grzechu. Niech mi to Pan Bóg odpuści przez wzgląd na moje dobre chęci i natchnie kasztelana, według słów pańskich, któremi dajesz mi wielką otuchę.

— Jednę tylko zrobię uwagę — dodał ksiądz Mlecki. — Ponieważ jegomość dobrodziej powiedziałeś, że żądasz od nas nie tylko objaśnienia, ale i rady, radziłbym więc prosić tylko kasztelana o jednorazowe wsparcie dla

dzieci krewnego, nie zaś o wyznaczenie stałego na utrzymanie ich w szkołach funduszu. Ten porządek, jaki tu ksiądz proboszcz dobrodziej widzisz zewnątrz, panuje u nas wszędzie, a szczególniej w rachunkach. Bo jużci nie są to magnaci, dla którychby parę tysięcy wydanych niespodzianie i z popędu bądź serca, bądź próżności, były kroplą w morzu i nie robiły różnicy. U nas tu każdy grosz spodziewany, a jak wiadomo, w gospodarstwie nie zawsze dochodzący, ma swoje przeznaczenie z początku roku, i tego trzymają się ściśle. Jest tam wprawdzie w tym budżecie rubryka i na dobre uczynki, ale ile wiem, przy ciężkim teraźniejszym przednówku i klęsce, która nie tylko pana Sebastyana dotknęła, nie wiele tam już co zostało. Kasztelan ma najlepsze serce; znajdzie on kilkaset złotych i stamtąd i ze swoich kieszonkowych, ale wątpię, aby chciał obowiązywać się nadal, tem bardziej, że w tym roku ekstraordynaryjny jeszcze ponieśli wydatek, gdyż kasztelanowa dla słabości córeczki swej wyjechać musiała za granicę i nie prędzej jak za parę miesięcy wróci.

Ksiądz Maciej spuścił głowę, pomyślawszy, że jeżeli z taką tylko jałmużną powróci, to jej pan Sebastyan nie przyjmie, a pan Orlicki odchrząknąwszy, odezwał się w te słowa:

— Taką samą radę i ja księdzu proboszczowi

dobrodziejowi ośmielę się udzielić. Nawet więcej powiem: możeby wcale nie wyrażać, ile waćpan dobrodziej żądasz, i nie wskazywać drogi, jakąby się potrzebie tego zacnego przyjaciela pańskiego, a krewnego pana kasztelana, zadosyć uczyniło, ale wprost opisać tylko stan rzeczy, dać mu wyobrażenie, jakie to są dzieci i czego warte, i spuścić się na to, co mu serce jego natchnie. Zawsze jednak okoliczność tę przedstawić należy tak, żeby widział, iż on jest ostatniem refugium krewnego swego i że potrzebie tej zaradzić należy skutecznie. Jednorazowego wsparcia proponować nie wypada z następujących powodów: najprzód, że nie będziesz waćpan dobrodziej mógł oznaczyć ilości, jakiej żądasz i jaka jest konieczną; powtóre, że jeżeli wetknie ci w ręce cokolwiekbądź, co się okaże niedostatecznem, nie wypadnie ci oddać i powiedzieć, że to za mało; a potrzecie, że z ladajakim datkiem, któryby wyglądał jak jałmużna, nie będziesz śmiał stanąć przed panem Sebastyanem, który, ile widzę z opisania waćpana dobrodzieja, daru tego nie przyjąłby, i zamiast się ucieszyć, uczułby się obrażonym w tej uczciwej dumie biedaka, przywykłego polegać na własnej pracy i pomocy boskiej, którą ja aż nadto pojmuję.

Ksiądz Maciej, uderzony temi słowy, spojrzał na twarz bladą i surową mówiącego, która

mu się w tej chwili wyrazistszą jeszcze wydała, i ścisnąwszy jego rękę, rzekł:

— To, to, to! zgadłeś waćpan dobrodziej i przeniknąłeś uczucia przyjaciela mojego. Powiem nawet panom dobrodziejom, że cokolwiek mi się dla niego wyrobić uda, zawsze stanę przed nim ze strachem, i myślę nad tem, jak mu rzecz objawić, aby zamiast podziękowania nie sfukał mnie i nie rozgniewał się na dobre, żem się bez jego wiedzy rozporządził.

— Dlatego też potrzeba — odpowiedział pan Bogumił — aby rzecz miała formę taką, któraby okazywała współczucie i życzliwość, jaką krewny dla krewnego mieć powinien. Gdyby można pana kasztelana skłonić, żeby do pana Sebastyana napisał, że oto: dowiedziawszy się, w jakiem znajduje się położeniu, i słysząc, że ma dziatki, które Bóg wielkiemi obdarzył zdolnościami, prosi, aby przyjął taką a taką roczną kwotę, która, jak sądzi, dostateczną będzie dla utrzymania ich w gimnazyum lubelskiem, aż do skończenia ich edukacyi i ukształcenia się tak, aby mogli przynieść honor imieniowi wspólnemu, i t. d., to byłoby i skutecznem i wcale nie obrażającem.

— Oj! byłoby, byłoby — zawołał ksiądz Maciej, zacierając ręce — i żeby to można skłonić go do takiej ofiary!

— W tem to i trudność, księże proboszczu

dobrodzieju — odpowiedział pan Orlicki, nie zmieniając wyrazu swej twarzy — że się to zrobić nie da, i nie dla tych przyczyn porządku i ścisłości w rachunkach, o których tu ksiądz Augustyn wspomniał. Z rubryk budżetu możnaby wystąpić, i byłoby nawet z czego; ale kasztelan nie odważy się nigdy na krok tak stanowczy i na taką samowolność niezwykłą u nas, zwłaszcza teraz, kiedy żony jego niema w domu i nie tak prędko powróci.

Ksiądz Mlecki widząc, że pan Orlicki zabiera się do wyjawnienia rzeczy, jak są, i raz wpadłszy na tę drogę, nie będzie nic obwijać w bawełnę, jak to zwykł był czynić, zaczął chrząkać i kręcić się na krześle, aby w wykryciu przed obcym stosunków domowych zrobić go delikatniejszym. Ale matematyk nie zważał na te znaki, a mając zawsze na sercu wyniosły umysł kasztelanowej, który i jemu nieraz dawał się uczuć, tak dalej mówił:

— Nasz kasztelan jest to najlepszy w świecie człowiek; mogę śmiało powiedzieć, to perła między równymi mu i zamożniejszymi od niego co do majątku panami. Obaczysz go waćpan dobrodziej jutro, i przekonasz się, że to co mówię, nie ma żadnej przesady. Ujmie cię on od razu i postawi tak, jak gdybyś go znał nie wiem od wielu lat,, taka jest uprzejmość w jego obejściu, taka słodycz w jego charakterze, taka

delikatność w jego uczuciach. Przytem rozum oświecony, wiadomości nie brak, zamiłowanie nauki, sztuki i wszystkiego co piękne i użyteczne. Zajęty też jest ciągle to porządkowaniem i zdobieniem swojego mieszkania i ojczystej tej siedziby, to czytaniem, to malowaniem, to lepieniem z gliny biustów i posążków. Stąd życie domowe i towarzystwo tych, którzy go otaczają, jeśli ich szacuje, przenosi nad błyszczenie między równymi, i nie ma tych pańskich narowów, tego pięcia się nad poziom i patrzenia z góry, które odstręcza od większej liczby naszych panów nas wszystkich, cośmy się nie urodzili w pałacu, a jednak o suchym kawałku chleba i przy łojowej świeczce dorównali im głową i sercem.

Te ostatnie słowa wymówił pan Orlicki mocniej, jakby rad był, że mógł je wypowiedzieć i spojrzawszy na proboszcza, który go słuchał z zajęciem, tak kontynuował:

— Ale przy tych wszystkich przymiotach nieoszacowany ten człowiek ma wadę, która w sprawie waćpana dobrodzieja stanie się zaporą nieprzezwyciężoną; wadę wielką, i że się tak wyrażę, wspólną wielu a wielu u nas mężom, równie panom jak chudopachołkom. Boś to waćpan dobrodziej dobrze powiedział, że u nas w Polsce wszystko stanowi czepek.

Gdy się ksiądz Mlecki znowu poruszył

i odchrząknął, pan Bogumił dodał: — I nie ma tu co prawdy obwijać w bawełnę; po prostu powiedziawszy, nasz zacny kasztelan w najrozciąglejszem znaczeniu tego słowa, boi się żony.

— Szanuje ją raczej, a nie boi się — przerwał ksiądz Mlecki, łagodząc rzecz z właściwą sobie delikatnością.

— Nie powiem i ja, żeby to było zupełnie jej winą, iż czując w sobie moc woli i charakteru, ujęła w swe ręce wszystkie nici zarządu domowego i zrobiła się głową domu — rzekł pan Orlicki. — Jestto więcej ujemna strona męża, że się dał owładnąć i postawił się na takiem podrzędnem stanowisku. Ale fakt jest ten, iż dziś nie odważy się na żadne rozporządzenie bez jej zezwolenia, a tem bardziej nie odważy się na takie, któreby wychodziło ze zwyczajnej kolei, jaką ona raz oznaczyła. Na tej to zasadzie stanowczo odradzam waćpanu dobrodziejowi proponować oznaczenie stałego funduszu na utrzymanie tych dzieci, bo się to na nic nie zda, i kasztelan, choćby miał w duszy najlepsze chęci, nie ośmieli się na taki krok, któryby był wyraźną herezyą.

— W świetle zbyt niekorzystnem stawisz, panie Bogumile, kasztelanowę — rzekł ksiądz Mlecki, kiwając głową z uśmiechem nieukontentowania. — Nie jest ona wprawdzie tak

popularną, jak jej mąż, ale ma rzeczywiste cnoty, dla których niepodobna odmówić jej poszanowania.

— Wiem o tem — odpowiedział żywiej pan Orlicki. — I gdyby było inaczej, nie długobym tu popasał; gdyż zbyt różnimy się w naszych pojęciach o wielu rzeczach, abyśmy bez wzajemnego dla siebie szacunku mogli z sobą wytrzymać. Jest ona żoną uczciwą i wierną i była niebrzydką; jest dobrą matką, gorliwą o wychowanie swych dzieci i starającą się dać im gruntowną naukę, nie zaś blichtry pańskie; jest porządną gospodynią, wyrozumiałą panią, a nawet miłosierną i modlącą się przykładnie chrześcijanką. na to wszystko zgoda; ale się urodziła księżniczką, i o tem w żadnem zdarzeniu, w żadnem miejscu, nawet w kościele i względem nikogo, nawet względem męża nie zapomina. Ta wygórowana duma rodowa, przy dużym wzroście, przy postawie okazałej, a nadewszystko przy silnym charakterze i męskim rozumie, daje jej i tę imponującą minę, którą się w pewnych zdarzeniach zbroi, jak pancerzem, którą nawet męża zapędza w kąt, a ten poczciwiec, aby miał spokojną głowę do książki, do pędzla i innych swych zatrudnień, nauczył się już ustępować w milczeniu i złożył w jej ręce mężowską swą władzę. To miałem jej zawsze do zarzucenia i to zarzucam jej dziś,

ponieważ z okazyi tej sprawy, o której mówimy, i do rzeczy tej przyszło. Ja wprawdzie na to jej stawanie na książęcych szczudłach nie bardzo zważam i imponować sobie nie daję, bo i ja mam moją dumę, którą nazwę dumą suchego kawałka chleba, ale zawsze mi to przykro, że w tym domu, gdzie tyle jest dobrego i zacnego, gdzie tak dbają o porządek i ład we wszystkiem, wywrócony jest najgłówniejszy porządek domowy, to jest, że ten słucha, co powinien rozkazywać. Że zaś tak jest, temu nie zaprzeczy i ksiądz Augustyn, choć może rzecz tę w innem widzi świetle; a stąd waćpan dobrodziej wnieś, czym miał racyę tak radzić, jakem poradził, i co jeszcze raz powtarzam.

— Jeżeli tedy tak się rzeczy mają — rzekł proboszcz, zsunąwszy brwi biorąc swą rogatą czapkę — to nie pozostaje mi nic, jak podziękować panom dobrodziejom, żeście mnie oświecili, i dawszy za wygranę moim pięknym nadziejom, wrócić cicho do domu, nic nie mówiąc panu Sebastyanowi, gdzie byłem i po co jeździłem.

— Wcale nie, wcale nie, księże proboszczu! — rzekł pan Orlicki. — Ja jestem przeciwnego zdania i radzę zostać do jutra. Przez ten czas da się uskutecznić plan, nad którym już dawno myślałem, a który dziś tem gorliwiej poprę, że się przez to zrobi ulga uczciwemu człowiekowi

i krewnemu, który mię już i przez to uchwycił za serce, że czuje swą godność, choć ma tylko szaraczkową kapotę, i nie narzuca się tym, którzy nie powinniby o nim zapominać dlatego, że on o nich zapomniał.

— Mówże waćpan dobrodziej, mów — zawołał proboszcz rozjaśniając lice, a potem machnąwszy ręką, dodał — ale cóż! kiedy ta niefortunna nieobecność pani kasztelanowej może i tu stanąć na zawadzie.

— W tem zdarzeniu nie stanie — odpowiedział pan Bogumił. — Plan bowiem, który zaraz przełożę, jeżeli będzie użytecznym dziecku pana Sebastyana, będzie bez porównania użyteczniejszym jej synowi; a ona, jakem powiedział, jest matką dobrą i rozumną, i nie weźmie za złe mężowi, że się rozporządził bez jej wiedzy w tem, co już nie cierpiało zwłoki, o czem mówiłem już z nią nieraz, a co chłopcu jej tak ważną przyniesie korzyść. Zresztą ja całą rzecz wezmę na siebie, gdyż w tem jest i mój interes, którybym zawsze przeprowadzić musiał, gdybym miał dłużej zostać nauczycielem w tym domu. Ksiądz Mlecki domyśla się zapewne, co mam mówić.

— Bez wątpienia — odezwał się ksiądz Augustyn — ze stanowiska pedagogicznego byłaby to rzecz bardzo użyteczna dla obudwóch

chłopców, a nauczycielom ułatwiająca niezmiernie ich trudny zawód.

— Edukacya domowa — mówił dalej pan Orlicki — przy najkorzystniejszych warunkach zawsze jest gorszą od publicznej, to wiadomo. Ale najgorszą jest wtedy, kiedy jest tylko jeden syn, i dlatego to jedynaki wychowane w domu, nie udają się prawie nigdy. Emulacya jest bodźcem do wszystkiego, równie dla starych, jak i dla młodych, równie dla ludzi, jak nawet dla zwierząt. Trzeba bardzo rączego konia, żeby szedł szybko sam jeden w hołoblach i nie potrzebował podniety. A leniwszy nawet, z drugim gorącym sprzężony, rwie się z kopyta i unika batoga. Tak jest i z dziećmi, a szczególnie z chłopcami. Uczeń mój nie jest bez zdolności, ale mógłby bez porównania więcej skorzystać, niż dotąd skorzystał, i oto dlatego, że nie miałem najwalniejszego środka podniecenia w nim ochoty i gorliwości. Kary, pokuty, i t. d. są to już rzeczy ostateczne, których używać nie lubię, i których używać nie należy, bo się dziecko z niemi oswaja, traci wstyd i twardnieje moralnie, że się tak wyrażę, pod ręką, która go ustawicznie karci. Ale jak będzie miał obok siebie kolegę, który każde słowo moje pojmie, zrozumie, wszystko wykona i prędko i z zapałem, z każdej rzeczy zda sprawę tak, że panicz poczuje, że go tamtem wyprzedza, to i sam

pomknie się, jak ów koń leniwy, a raz poznawszy, że ma siły i możność, pójdzie już i sam i rozwinie się o tyle, o ile mu Bóg dał zdolności i usposobienia. Oprócz tej ważnej korzyści naukowej, jeszcze mi ten plan zapewnia i korzyść moralną, która mi bardzo leży na sercu. Oto widzę, że uczeń mój wdał się nie w ojca, ale w matkę. Dobrzeby to było, żeby zachował moc tej woli i charakteru, bo z tymi przymiotami wyrósłby na prawdziwego mężczyznę. Ale ja spostrzegam ze smutkiem, że malec przejmuje te imponujące miny z niższymi, które codzień widzi, że się przypatruje często owej mitrze książęcej, którą ma na wszystkich biletach matki, na jej książkach, nawet na Naśladowaniu Chrystusa, na naczyniach stołowych, na powozach i t. d., że zatem rozwinie się w nim ta sama duma rodowa, jaka ją trawi, i przywiązanie do rzeczy, w gruncie niewinnej, ale czczej i nie dającej żadnej wyższości ani wartości temu, kto jej skąd inąd nie ma. Otóż jeżeli będę miał obok niego biednego chłopca, który pod każdym względem okaże się i wyższym i lepszym, przytrę mu tym sposobem te książęce rożki, które mu zaczynają wyrastać, i może przez to wyrośnie na człowieka, który pojmie to, że dziś trzeba czegoś więcej, niż być dobrze urodzonym, żeby mieć szacunek i miłość ludzką. Jakże? zgadzasz się waćpan dobrodziej,

abym w tym sensie pomówił z kasztelanem? bo zresztą ja tę rzecz, jako ułatwiającą o połowę moją pracę i starania, biorę całkiem na siebie. Ksiądz Augustyn, który podziela w tej mierze moje zdanie, dopomoże, a waćpan dobrodziej jutro przyjdziesz do gotowego.

— Moi szanowni panowie! — rzekł ze wzruszeniem poczciwy proboszcz — jakżebym nie miał radować się i nie winszować sobie, że tu przybyłem, gdyby rzecz tak ważna dla jednego z synów mojego przyjaciela przyszła do skutku. Drugiemu poradziłoby się jakoś inaczej; bo Bóg dobry, a w ciężkich okolicznościach początek tylko trudny.

— Proszęż mi teraz powiedzieć — mówił pan Orlicki, którego twarz rozjaśniła się tak, jak gdyby w rzeczy samej coś mu się pomyślnego zdarzyło — który z tych chłopaków pana Sebastyana zdolniejszy, pilniejszy, pracowitszy i obyczajniejszy?

— Obaj oni — rzekł ksiądz Maciej — równie zdolni, równie pilni, obaj w szkole szli zawsze równo, i to ten, to ów był zawsze pierwszym uczniem w klasie. Obaj też równie poczciwe dzieci, pobożne i obyczajne. Ale starszy ma więcej zastanowienia i bardziej rozwinięty, jako starszy, młodszy daleko żywszy i trochę mniej zważający na to, co mówi i robi. Jak zaś jest zastanawiającym się i jak już

usposobionym starszy, to waćpan dobrodziej będziesz mógł przekonać się sam. Trzy dni temu wyłożyłem im raz tylko naukę o dobrych uczynkach i kazałem to samo napisać. Otóż patrz waćpan dobrodziej, co mi wczoraj przyniósł.

Tu ksiądz Maciej wydobył z za sutanny ćwiczenie Eugeniusza i dał je panu Orlickiemu. Pedagog wziął pół arkusz na wszystkie cztery strony zapisany, przypatrzył się najprzód charakterowi i wprawnej ręce, pokiwał głową z uśmiechem, potem zaczął czytać. W ciągu czytania widać było ukontentowanie na jego twarzy, w kilku tylko miejscach ołówkiem, który leżał na stoliku, poprawił interpunkcyę a skończywszy i oddając papier księdzu Mleckiemu, rzekł:

— Patrz no, księże Augustynie, jak ten uczeń klasy trzeciej pisze, i co to musi być za główka, która tak myśli swoje szykuje i tak jednę z drugiej wywodzi. Nie jest to tylko robota pamięci, to zaraz widno. A jak się nazywa ten malec?

— Eugeniusz — odpowiedział proboszcz.

— Więc zgoda na Eugeniusza — rzekł pan Bogumił, podając rękę księdzu Maciejowi, króry ją serdecznie uścisnął. Potem powstawszy, dodał: — Teraz idę brać się do dzieła, a ksiądz proboszcz niech sobie odpocznie po tym niepo-

koju, jaki mu jego gorliwość o cudze dobro dała. Proszę tylko wierzyć, że chciałbym zasłużyć na szacunek i przyjaźń człowieka, który takim jak waćpan dobrodziej umie być przyjacielem.

To powiedziawszy i uściskawszy raz jeszcze rękę proboszcza, który mu uścisk ten całem sercem oddał, poszedł. Ksiądz Augustyn, dowiedziawszy się od swego gościa, że nie pija herbaty, ale przywykł na noc coś lekkiego przykąsić, posłał do pałacu, aby cokolwiek przyrządzono. Potem ulokowawszy starego w ładnym pokoiku, który miał naprzeciwko, poszedł z nim do karczmy, zabezpieczył jego konie, kazał jego tłómoczek przenieść do siebie; a gdy wybiła dziesiąta i wszystkie potrzeby i ciała i duszy były zaspokojone, ksiądz Maciej położył się lekki na sercu i jakoś kontent z siebie, zasnąwszy prędko spał do samego rana cicho i spokojnie, jak gdyby anieli czuwali nad snem człowieka, który przez cały czas poprzedni nie myślał o sobie i z miłości chrześcijańskiej pozbawiał się snu troską o drugich.

IV.

Nazajutrz o godzinie czwartej już proboszcz nasz był na nogach. Ubrał się więc nie budząc nikogo i poszedł przejść się i odetchnąć świe-

żem powietrzem. Tem piękniejszym jeszcze wydał mu się ogród, że był orzeźwiony chłodem nocy, że na trawach i listkach stały krople rosy, w których łamały się promienie wschodzącego słońca, że żaden jeszcze zakręt ludzki nie psuł tej ciszy, którą przerywało tylko świergotanie ptasząt, skaczących wesoło po gałązkach zielonych i wiotkich, cieszących się, że się obudziły i że żyją, i wdzięcznem pieniem dziękujących Bogu za te kropelki, które je poją, za te ziarnka, które je karmią, a których ani siać, ani zbierać nie potrzebowały. Obszedłszy cały ten obszar, gdzie wszędzie widać było i hojność natury i staranność ręki ludzkiej, admirował i symetryę w założeniu ogrodów, spacerowego i fruktowego, budynków mieszkalnych, oranżeryi i gospodarskich, nie przeszkadzających sobie nawzajem, i szczęśliwy wybór miejsca na wzgórzu nadbrzeżnem, tak, że najobfitszy nawet wylew Bugu nie robił szkody, a pomnażał tylko okazałość widoku. Gdy obszedł dom z drugiej strony, spostrzegł po obu jego końcach dwa ogromne okna z obszernymi gankami, z których zwłaszcza jeden, zapewne do apartamentów kasztelanowej należący, zastawiony był mnóstwem kwiatów. Domyślił się proboszcz, że to musi być ulubione miejsce właścicielów tego domu. Jakoż i sam nie mógł się napatrzyć na piękny i ujmujący

widok, który się przed okiem jego rozciągał. Od domu do samej prawie rzeki szła pochyłość zielona, czysta, jakby każda trawka sadzona była ręką ludzką; na prawo i na lewo leżały cudne gaiki, a gdzie niegdzie wyrosłe drzewa, z po za których wyglądały dalsze budynki; naprzeciwko migotały fale Bugu, połyskujące tu i owdzie jaskrawszym odbłyskiem i jednostajnie i spokojnie pluskające o brzeg obrobiony, odarniowany, zielony i mający w kilku miejscach to kłąbik kwiatowy, to grupę niewielką topoli i pod niemi ławeczkę, to luźnie i nie obronione żadnym cieniem siedzenie. Za rzeczką zaś, małą w tej porze, widać było szeroką przestrzeń piasku, dalej wioskę nadbrzeżną, której nieszykowne zabudowania, czarne dachy i niebieskie chaty przez oddalenie wydawały się malowniczemi; a tło widoku, ile oko zasięgnąć mogło, stanowiły zabużne lasy, pomiędzy którymi widać było, tu krzyż cerkwi i białe ściany jakiego dworu, tam przebijała się jasna woda Bugu, połyskująca jak srebro. Patrząc na to wszystko, pomyślał proboszcz: dobrze mówił ksiądz Mlecki, że gdyby wszyscy starali się ozdabiać w miarę sił swoje siedziby, a nie tracili pieniędzy na to, co ginie i marnie przepada, jakżeby to kraj nasz wyglądał! Usposobiony już i tak dobrze dla gospodarzów tego domu tą nadzieją, jaką mu dano, tem większego nabrał dla nich sza-

cunku, a wdzięczny Bogu za wszystkie łaski, jakie na dobrych rozlewa, wrócił do mieszkania kapelana i z tem większem przeniknieniem wziął się do brewiarza i modlił się nie tylko usty, ale szczerem i gorącem sercem.

Gdy skończył pacierze, wszedł do niego ksiądz Augustyn, powitał go uprzejmie i zapytał, czy nie zechce Mszy świętej odprawić. Było to właśnie intencyą księdza Macieja, gdyż powinności tej nigdy nie opuszczał, chyba zmuszony niemożnością. Poszli więc razem do otwartego już kościołka, którego prostota, gustowne urządzenie i bogate aparata, co mu wszystko młody kapelan z upodobaniem pokazywał, zbudowały starego kapłana i o właścicielach miejscowych, nie żałujących dla chwały bożej, jeszcze lepsze dały wyobrażenie. Chociaż ksiądz Maciej nie był wielkim znawcą sztuki, i oko jego przywykło do tych niekształtnych malowideł, jakie miał u siebie i jakiemi wszystkie nasze kościoły, a szczególnie po miasteczkach i po wsiach są napełnione, jednakowoż uderzył go dziwną prawdą i wyrazem obraz w wielkim ołtarzu znajdujący się, a wyobrażający Chrystusa, oddającego klucze Kościoła chrześcijańskiego Piotrowi. Była to piękna kopia obrazu Guida, znajdującego się w Luwrze. W dwóch drugich ołtarzach i na ścianach kościoła było więcej ładnych malowideł, między temi niektóre ręki

samego kasztelana. Wszystko to zastanowiło go wielkiem podobieństwem do natury, i ciągnęło wzrok jego, choć nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego mu się podoba. O godzinie siódmej wyszedł ksiądz Maciej ze mszą, którą odprawiwszy w obec kilkunastu słuchaczów płci obojej, do mieszkania kapelana powrócił. Ale księdza Augustyna nie zastał w domu; powiedziano mu, że pan kasztelan po niego przysłał i że tam poszedł. Domyślał się proboszcz, że go zapewne wezwano do naradzenia się w sprawie, co go tak mocno interesowała, i niecierpliwie oczekiwał jego powrotu. Tymczasem lokaj pałacowy przyniósł kawę na srebrnej tacy i ze wszystkimi przyborami, tak pełnymi elegancyi, że ksiądz Maciej patrząc na to, kiwał głową, uśmiechał się i myślał sobie, coby na to powiedziała Błażejowa, która ma pewną słabość do jakiegoś zakopconego i wyszczerbionego imbryczka i zawsze utrzymuje, że w takim tylko kawa udać się może. Tymczasem okazuje się, dodał sobie w duchu, że i ze srebrnego imbryka może być dobra i smaczna, a choć śmietanka w garnuszku polewanym, jak ją praży organiścina, smakowiciej jakoś wygląda, i ta ujdzie, choć z tego zgrabnego i figlarnego dzbanuszka. Z bogactwa tych przyborów jeszcze inny ksiądz Maciej zrobił sobie wniosek. Musi już i kasztelan wiedzieć, że tu jestem, pomyślał

sobie, i zapewne przyjmie mnie przychylnie i łaskawie, kiedy mnie tak wspaniale traktuje. Ta uwaga ukrzepiła jego nadzieje i zmniejszyła niepokój, który go już zaczynał trapić, gdy żaden z jego wczorajszych doradzców nie pokazywał się.

Nareszcie, już po godzinie dziewiątej, przyszedł lokaj z pałacu i oświadczył mu, że go pan kasztelan prosi do siebie. Udał się więc ksiądz Maciej za posłańcem, mówiąc sobie po cichu: »Pod Twoją obronę«; przeszedł kilka wspaniale umeblowanych pokoi i nareszcie znalazł się w narożnej sali, właśnie w tej, której wielkie okno wychodziło na ganek i Bug, a która była biblioteką i pracownią kasztelana. Tam też zastał go przy sztaludze, z pędzlami w ręku, malującego jakiś obraz z wielką pilnością i zajęciem. Gdy ksiądz Maciej z bijącem sercem zatrzymał się przy drzwiach, kasztelan nie odwracając się od swej roboty, rzekł:

— Proszę, proszę bliżej, księże proboszczu! weź sobie krzesełko i usiądź. Za maleńką chwilkę służyć ci będę, tylko mi ten palec koszlawy, który mi dziś spać nie dał, wyjdzie prościej i naturalniej. Na to trzeba tylko kilka rysów szczęśliwych; ale o to idzie, żeby na nie trafić.

Ksiądz Maciej nie pojął jakoś tej troski artystycznej, która zepsuła sen kasztelanowi,

i usiadłszy, przypatrzył się najprzód malującemu panu, a potem pokojowi, w którym się znajdował.

Kasztelan był średniego wzrostu, miernej tuszy, ale jeszcze kształtny i niezłamany wiekiem; rysy były foremne i miłe, włosy siwe, czoło wysokie i trochę łyse; ubiór miał na sobie ranny, skromny, ale wygodny i zgrabny. Gdy potem rzucił okiem w około siebie, spostrzegł dwie całkowite ściany zastawione szafami, w których było mnóstwo książek, porządnie oprawionych; na środku wielki stół zielonem suknem obity, a na nim dosyć książek, papierów i rysunków; przy drugiem zaś oknie na podstawie drewnianej coś mającego formę ludzką, czego jednak rozeznać dobrze nie mógł, bo było owinięte mokrem płótnem. Z kupy gliny rozmieszonej, która obok leżała, i przypomniawszy sobie, co pan Orlicki mówił, że kasztelan i z gliny lepi, domyślał się, że to musiał być jakiś posąg, podobny do kilku posągów marmorowych i gipsowych, które dalej, przy ścianie wolnej od szaf, stały. Cała ta inspekcya nie trwała więcej jak kilka minut, po upływie których kasztelan położył paletę i pędzle, odstąpił w tył parę kroków i przypatrzywszy się swojej robocie, rzekł:

— No, teraz ujdzie! — potem zwracając się z uśmiechem do księdza, który powstał,

ścisnął go za rękę i dodał: — Przepraszam cię, księże proboszczu, za moją niecierpliwość artystyczną doprowadzenia rzeczy do tego stopnia, żeby zaspokajała oko. A teraz pomówimy o interesie. Ale wprzódy bądź łaskaw przeczytaj to, i powiedz mi otwarcie, czy tak będzie dobrze?

To powiedziawszy, głosem dźwięcznym, czystym i z uprzejmością, która starego chwyciła za serce, zbliżył się do stołu i oddał mu list w którym ksiądz Maciej wyczytał następujące słowa:

»Panie Sebastyanie! Dowiaduję się z ukontentowaniem, że ci Bóg dał dwóch synków, których szczodrze w zdolności i inne przymioty ciała i duszy uposażył. Winszuję ci z całego serca, że masz tę pociechę, i że to wspólne imię, jakie nosimy, spada na dobre głowy i poczciwe usposobienia moralne. Jeżeli się to nie sprzeciwi twoim zamiarom i myślom dalszym co do pokierowania twych dzieci, to podaję ci projekt, którego przyjęcie będę uważał za wielką z twej strony przysługę, za co też będę ci niezmiernie obowiązanym. Mam ja także syna, równego wieku z twoim; staram się, aby edukacya jego szła gruntownie i porządnie, i Bóg dał mi nauczyciela, którego każdy ojciec może mi pozazdrościć, pełnego nauki i najuczciwszych zasad. Ale usiłowania nasze nie

biorą takiego skutku, jaki osiągnęlibyśmy niewątpliwie, gdyby mój Staś nie był sam jeden, gdyby miał obok siebie towarzysza, któryby go pilnością swą zachęcał, a swym postępem podniecał jego ambicyę i ochotę utrzymywał. Otóż proszę cię jak najusilniej, panie Sebastyanie, aby twój starszy syn wychowywał się z moim. Nie będzie on dla nas żadnym ciężarem; owszem, z tego co ci wyżej otwarcie powiedziałem, widzisz dostatecznie, że się stanie ułatwieniem, ulgą i pomocą w tem, co jest najważniejszem życia naszego zadaniem. Bądź więc łaskaw, nie odrzucaj mojej prośby, i wierz, że choć się mniej znamy niżby należało, zawsze jednak szacuję cię z całego serca, a nawet ten kaprys, który cię przed kilkunastu laty od nas odstrychnął, uważam za jeden przymiot więcej, który mnie skłania, że pierwszy się do ciebie odzywam, i oczekiwać cię będę wraz z synem twoim, upewniając cię zawczasu, że znajdziesz otwarte serce dla siebie i dla twego dziecka, i gotową do uściśnienia was rękę. Twój życzliwy krewny i sługa — Kazimierz Zabużski.«

— Jaśnie wielmożny kasztelanie! — rzekł proboszcz wzruszony — tylko takie serce, jakiem Bóg jaśnie wielmożnego pana obdarzył, mogło natchnąć te delikatne słowa, które nie wiem kogoby nie rozbroiły i pokazały, że człowiekowi, co tak oszczędza serce mające

przyjąć łaskę, można zaufać, iż ta łaska będzie zupełną i wymówioną nigdy nie zostanie.

— Znam ja trochę pana Sebastyana — odpowiedział kasztelan uśmiechając się — i wiem, że z nim nie można inaczej. Harda to dusza, ale w moich oczach tem większego za to godzien szacunku. Pokrewieństwo, choć dalekie, jest zapewne rzeczą świętą i wkłada obowiązki, od których grzechem jest wyłamywać się i je lekceważyć. Ale wieleż się to razy zdarza u nas, przy takiej nierówności fortuny pomiędzy krewnymi, że jeżeli jednemu uda się podnieść i porość w dostatki, czy przez pracę, czy przez jaki szczęśliwy przypadek, czy przez dobre ożenienie, to biedniejsi narzucają mu się gwałtem, założywszy ręce patrzą mu w dłonie, a jeśli tyle nie da, żeby leżeć do góry brzuchem i żyć mogli wygodnie, to go nazywają egoistą, i nieraz gniewem i gorzkimi wyrzuty zatrują mu nie jedną chwilę i nareszcie zamykają serce jego zupełnie. Pan Sebastyan od pierwszej młodości polegał zawsze na sobie samym, i dlatego nawet usunął się i nie zbliżył się do żadnego z nas, żebyśmy nie myśleli, że po to przyszedł, abyśmy mu co dali. Zasługuje więc na to, abym teraz z wszelką delikatnością przyszedł mu w pomoc, kiedy jej potrzebuje. I nie wiele mnie to kosztowało tak napisać, jakem napisał, bo to jest rzeczywista prawda.

Jego syn, jeżeli jest takim, jak mówisz, księże proboszczu, będzie prawdziwem dobrem dla mojego, który koniecznie potrzebuje bodźca i emulacyi, bo ambicyę ma i bardzo wyprzedzać się nie da. Nie mam więc w tem takiej zasługi, jaką mi przypisujesz. Twoja większa, księże proboszczu, żeś się tem zajął, i dziękuję ci szczerze, iż się tym sposobem obu nam dogodzi. Staraj się tylko, żeby stary nie skrupulizował jeszcze i teraz, i przywiózł mi prędko syna.

— Spodziewam się — rzekł proboszcz, patrząc z zajęciem na piękną i szlachetną twarz człowieka, który się tak poprostu, a z taką prawdą tłómaczył, — że najdalej za tydzień pan Sebastyan przyjedzie tu z synem. Domyśli się on zapewne, że ja na to kazanie dzwoniłem, może mnie sfuka, ale mniejsza o to, byle się rzecz zrobiła.

— Jeszcze jedno chciałem dodać — rzekł kasztelan, biorąc małą paczkę, która przy liście przygotowana już leżała — ale się bałem wspomnieć o tem w liście, żeby całej sprawy nie zepsuć. Straty, jakie pan Sebastyan poniósł w dobytku swym, chybiona ozimina i siano, jak mi mówił pan Orlicki, postawią starego w niemożności oddania i drugiego syna do szkół. A szkodaby, bo to ma być także chłopak zdatny i żwawy. Nie mogę ja dać wiele, ale tu jest trzysta złotych, które na opłacenie

pierwszego półrocza wystarczą. Niech ksiądz proboszcz weźmie ten fundusik do swojej dyspozycyi, i niby od siebie pożyczy panu Sebastyanowi, jak przyjdzie pora, a nie będzie miał innego zapasu. Jeżeli później odda, to proszę przyjąć, ale zawsze trzymać to u siebie na wszelki przypadek gwałtownej jakiej jego potrzeby. Przyślę ja potem księdzu proboszczowi i więcej trochę, co bądź łaskaw zawsze na ten cel chowaj i zrób się niby kapitalistą — dodał z uśmiechem — pożyczającym bez procentu.

— Sto za sto odda Pan Bóg jaśnie wielmożnemu panu — rzekł proboszcz.

— Takiemu przyjacielowi należy się więcej i czci od ludzi i błogosławieństwa od Boga — rzekł kasztelan ściskając rękę proboszcza, który z rozrzewnienia nie zdobył się na odpowiedź. — Nie zostanie ksiądz proboszcz z nami na obiedzie?

— Oh! dziękuję jaśnie wielmożnemu panu — odpowiedział stary — ale pośpieszać muszę do domu. Ba, nawet chciałbym mieć skrzydła, żeby coprędzej dolecieć.

— Rozumiem i tę niecierpliwość i nie nalegam — mówił kasztelan — ale 12. sierpnia mamy tu odpust w naszym kościołku; jeżeli nic nie przeszkodzi, to serdecznie proszę przybyć do nas i odśpiewać nam sumę.

Ksiądz Maciej przyrzekł z wdzięcznością,

pożegnał zacnego człowieka, który go ujął i związał na zawsze, i nie spojrzawszy nawet na te wszystkie piękne rzeczy, które widział w pokojach, tak był uradowany i zajęty pomyślnym skutkiem swego poselstwa, udał się szybkim krokiem do mieszkania księdza Augustyna. Tam zastał obudwóch swych przyjaciół, za których pośrednictwem wszystko mu poszło jak z płatka i zrobiło się więcej, niż nawet mógł marzyć. Przywitali go obaj z uśmiechem, wiedząc naturalnie, jak się rzecz odbyła, a on dziękował im z całego serca i mówił z zapałem o przyjęciu, jakiego doznał, o uprzejmości, rozumie i sercu kasztelana, o którym pan Orlicki, jak się wyraził ksiądz Maciej, nie powiedział mu wczoraj i połowy tego, co opowiedzieć należało.

Wkrótce przyniesiono niewielkie, ale smaczne śniadanie, którem nasz proboszcz opatrzył się na drogę, i pożegnawszy zacnych ludzi, których pokochał, i piękne Zabuże, gdzie tyle serdecznej doświadczył radości, wsiadł na bryczkę i trochę niby na bakier nasunąwszy rogatą swą czapkę, ruszył do domu. W ciągu drogi ułożył sobie cały planik, jak postąpi z zakomunikowaniem tej nowiny, którą uważał za tak pomyślną i stanowczą; a że przyjechał jeszcze za dnia, i miał czas rozmówić się z Błażejową, wydał więc na jutro stosowne rozporządzenia,

i gdy się wszystko uspokoiło, usiadł w poetycznem niby usposobieniu przy swym stoliku, i następny zapraszający liścik do sąsiada swego napisał:

Gdy chłód i twardo, miły sąsiedzie!
Jedzie się dobrze i prędko jedzie;
A w skwar lipcowy, noga za nogą,
Wlec się mil kilka piasczystą drogą,
To taka męka, że jej nikomu
Nie życzę; lepiej niech siedzi w domu.
Lecz złe, gdy minie, jakoś mniej boli,
Nawet o przeszłej wspomnieć niedoli.
Miło jest człeku, bo go nie smuci
Ta myśl, że bieda znowu powróci.
I mnie dziś lekko, serce coś rade,
Gdyż wiem, że jutro już nie pojadę;
Stąd i koncepta dobre się rodzą.
Ot! przyjdź, sąsiedzie, i niech przychodzą
Chłopcy, i ciotka niech swą pończochę
Weźmie i w chłódku podrobi trochę.
Zapraszam wszystkich na podwieczorek,
Na jaki stanie i co ma dworek.
Uczta jak uczta — nie będzie wiele;
Lecz się murawa u nóg rozściele,
I lipy swojem szumnem sklepieniem
Zewsząd nas zdrowem otoczą cieniem.
A gdy sprzątnąwszy księże przysmaczki,
Pójdą swawolić kochane żaczki,
My pogawędzim sobie po cichu,
Przy chłodnem piwku, lub przy kielichu
Starego miodku, choć Błażejowa
Gdzieś go w sekrecie pod kluczem chowa.
Lecz dziś w humorze organiścina;

Nie łaje męża, nie bije syna,
A stąd i dla mnie niezła otucha,
Że się uśmiechnie i udobrucha,
I wydobędzie z kryjówki trunek,
Co ojcom z czoła spędzał frasunek,
Co i nam, gdy go użyjem w miarę,
Przyda wesela na godzin parę.
A jak tam dalej rzeczy się złożą.
To już zostawmy na wolę Bożą.
Ten co dał chmury, i słońca doda,
Bo w jego ręku deszcz i pogoda.

Wypolerowawszy dobrze sens i rym, i odczytawszy parę razy głośno i niby z deklamacyą, wpisał ksiądz Maciej swój wierszyk do dużej księgi, w której był już ich zbiór niemały, i która miała tytuł: »Rymy ulotne i inne przygodne a składne, jak się zdarzyło, zabawki przez księdza Macieja Zielenkowskiego, proboszcza Sawińskiego, i w temże mieście Sawinie po większej części spisane.« Potem przepisał je oddzielnie, zapieczętował, i postanowił raniutko odesłać według adresu. Widać, że ksiądz Maciej był bardziej kontent ze swej pracy, niż kasztelan z koszlawego palca, bo mu ta zgryzota artystyczna, która tamtemu spać nie dawała, nie przerwała snu aż do rana.

Pan Sebastyan, który niewiedział dokąd proboszcz jeździł i nie domyślał się wcale, że w całej drodze był nim tak serdecznie zajęty, zadziwił się trochę poznawszy ze słów przyjaciela, że jest w dobrym humorze, i sądząc, że

mu się coś pomyślnego zdarzyło, niecierpliwie oczekiwał chwili podwieczorku, żeby się z nim podzielić radością, której sam miał tak mało. Gdy więc przyszedł z panną Teresą, staranniej niż zwykle ubraną, i z chłopcami, którzy niecierpliwiej jeszcze niż on, wyglądali tych przysmaczków, o których ksiądz Maciej pisał, spostrzegł na twarzy proboszcza, którego już zastali pod lipami, że w rzeczy samej jest coś, co ten ma na sercu, i z czem nie długo ukrywać się potrafi. Ścisnąwszy więc jego rękę i siadając za przygotowanym już stołem, na którym stała i buteleczka wydobyta z pod klucza pani Błażejowej i lampeczki do miodu, gdyż kielich w liście znajdujący się, był tylko dla rymu, rzekł:

— Cóż się to stało, księże Macieju, żeś nam mosanie, znikł, nie powiedziawszy nikomu dokąd i po co jedziesz, abyśmy wiedzieli, czy cię jaki kłopot, lub co pomyślnego wyciągnęło z domu? Ale dzięki Bogu, widzę, że pierwszego nie ma i nie było, kiedy i traktujesz powróciwszy, i nadto ładnymi wierszami na traktament zapraszasz.

— To, to, to! — odpowiedział proboszcz uśmiechając się — takie to i wiersze, taki i traktament. Zwyczajnie kantyczkowa poezya i księże przysmaki. Ale proszę, proszę, bo serce lepsze niż rymy i niż kurczęta, które się coś

dziś nie udały. Ale śmietana świeżutka i chłodna, a i pierożki będą zapewne dobre, bo to moja Błażejowa szczęśliwsza w tej mierze, niż my, co piszemy czasem wierszyki. Nam się dziś udadzą, a jutro nie, jej zaś pierożki zawsze doskonałe. No chłopcy! bierzcie się do dzieła. Kiedy się uczyć to uczyć, a kiedy jeść to jeść. Do wszystkiego trzeba się brać z ochotą, wyjąwszy do tego, co serce i sumienie potępia. Panie Sebastyanie! nie patrz no tak na mnie, a weź się do tej oto połówki z pępuszkiem, a ty panno Tereso, do tej z wątróbką, a śmietany nie żałujcie, bo jest dzięki Bogu dosyć. O mojej zaś podróży powiem teraz tylko tyle, że mi się udała, i lepiej nawet niżelim się spodziewał; reszta potem, jak sobie podjemy i zapijemy miodkiem, który wydobyłem przecież z karceresu, w którym go trzymała organiścina, jakby w jakim Szpilbergu, gdzie pono jak wrzucą więźnia, to o nim i zapominają.

Pan Sebastyan patrzył w rzeczy samej niby z podziwieniem na rozjaśnioną twarz księdza Macieja, który jakoś i wymowniejszym się zrobił, kiwnąwszy więc głową i biorąc kurczę i śmietanę, rzekł:

— Chwałaż Bogu! że ci się udało, księże Macieju! coś zamierzył, i żeś nam wrócił zdrów i wesół, chociaż spiekłeś się na słońcu.

— Bo w skwar lipcowy, noga za nogą,

wlec się mil kilka, piasczystą drogą, to wielka męka — rzekł Ignaś, śmiejąc się i patrząc filuternie w oczy proboszczowi.

— To, to, to! — zawołał uradowany proboszcz, klepiąc chłopca po rumianej twarzyczce — więc i ty czytałeś! i zapamiętałeś — widzisz go? aj! chłopcy, chłopcy.

— I ja księże proboszczu czytałem — odezwał się Eugeniusz — i także zapamiętałem.

— No, cóżeś ty zapamiętał? ciekawy jestem — zapytał ksiądz Maciej.

— Wiele zapamiętałem — odpowiedział Eugeniusz, spojrzawszy poważniej i z uśmiechem, w którym nie widać było pustoty dziecinnej — ale powiem tylko to:

„Uczta, jak uczta — będzie nie wiele;
Lecz się murawa u nóg rozściele
I lipy swojem szumnem sklepieniem
Zewsząd nas chłodnym otoczą cieniem.“

— A także koniec, księże proboszczu:

„A jak tam dalej rzeczy się złożą“ i t. d.

— Otóż widzicie państwo — mówił uradowany autor, że go na pamięć umieją i cytują — co to on spamiętał, i co mu się spodobało! Dobrze, chłopczyku, dobrze! — dodał, głaszcząc go po głowie. — Widać, że wierzysz, iż wszystko mamy z rąk Boga, i dobre i złe, że zawsze i wszędzie dzieje się tylko Jego święta

woła, której z pokorą poddać się powinniśmy. Jeśli umiesz: *Kto się w opiekę*, to wiesz, że kto ufa i wierzy, na lwa srogiego bez obrazy wsiędzie, i na ogromnym smoku jeździć będzie. Pamiętajże o tem zawsze, abyś był ufnym i stałym, jak przyjdzie co złego, a pokornym i wdzięcznym, jak cię co szczęśliwego spotka, bo to wszystko od Pana Boga.

Eugeniusz pocałował go w rękę, dziękując za naukę, a ksiądz Maciej, spojrzawszy na myślącą twarz chłopczyka, pomyślał: szkoda, że pana Orlickiego nie ma! i obracając się do panny Teresy, którą to przywiązanie jego do siostrzeńców, za którymi przepadała, do łez rozrzewniło, rzekł:

— To, to, to! panna Teresa już i płacze!

— Takie łzy, księże proboszczu, nie szkodzą — odpowiedziała uśmiechając się.

— Szkodzić, nie szkodzą — odpowiedział ksiądz Maciej — ale jak zaczną lać się na talerz, to będą pierożki z długim sosem, jak czasem szczupaka dają.

Ten koncept proboszcza rozweselił wszystkich, nawet pan Sebastyan, którego tkliwość panny Teresy często niecierpliwiła, uśmiechnął się i swoje słówko dorzucił. Panna Teresa tłómaczyła się, a stąd poszła rozmowa to o tem, to o owem, póki się podwieczorek nie skończył. Gdy talerze i półmiski były już prawie czyste,

rzekł znowu Ignaś, figlarnie patrząc na księdza Macieja:

— A teraz żaczki pójdą swawolić. Jak ksiądz proboszcz napisał, tak powinno być co do joty.

— Naturalnie, naturalnie — mówił ksiądz Maciej — co się wam należy, tego wam nikt nie odbierze. Przysmaczków już niema, więc nogi za pas i dalej.

Ignaś pociągnął brata za połę, obaj pocałowali księdza w rękę, dziękując za podwieczorek i pobiegli. Wtedy proboszcz dodał:

— Oj! panie Sebastyanie! takie ci Bóg dał dzieci, że gdyby je jaki król miał, toby je pewnie więcej cenił, niż wszystkie brylanty swojej korony.

— Wiem ci ja o tem co one są warte — odpowiedział pan Sebastyan wzdychając — i wiem także, coby warte były, gdybym mógł dopomódz ich rozumowi do wzrostu i do rozwinięcia. Ale trudno, trzeba się podobno wyrzec tej nadziei, i pilnować tylko, aby zdrowo i bez zepsucia wyrosły ciałem i nauczyły się wydobywać pożywienie z roli, kiedy inszego sposobu do życia dać im nie mogę.

— To, to, to! — zawołał proboszcz, nalewając miód w lampeczkę i podając ją sąsiadowi — kto tam wie, jak tem wszystkiem Pan Bóg rozrządzi! Dzieją się często rzeczy niespodzie-

wane, i nie przychodzi czasem człowiekowi do głowy, z której strony promień słońca zabłyśnie. A zdarza się i to, że kiedy człowiek zwątpi zupełnie i ma rzecz jaką za przepadłą, aż tu ona ni stąd ni z owąd znajdzie się w jego ręku. To właśnie w tych dniach i mnie się przytrafiło, i stąd to ów dobry humor, który we mnie spostrzegłeś, panie Sebastyanie, a który w rzeczy samej rozjaśnił moje myśli i rozweselił serce. Choć prawdę powiedziawszy nie dlatego, że się mnie udało, bo jest rzecz drobna i niewiele znacząca, ale że stąd biorę otuchę, że i w innych ważniejszych troskach może przyjść niespodziewana pociecha i ułatwienie, o jakiem człek ani myśli.

— Cóż to ci się zdarzyło, księże Macieju? — zapytał pan Sebastyan. — Proboszcz uśmiechnął się, kontent, że tak sztucznie rzecz obwija w bawełnę, i odpowiedział:

— Ot, miałem kilkaset złotych u jednego dłużnika pod Dubienką. Lat to już temu ze sześć, jak te pieniądze trzymał u siebie i nie oddawał, choć częste pisywałem listy. Miałem już sumkę moją za przepadłą, i już myślałem sobie: cóż robić! nie odda, to jużci pozywać nie będę. I nie tak mi żal było pieniędzy, jak opinii, jaką miałem o uczciwości człowieka, i żem mu zawierzył. Ale jakoś to się o tem zapomniało, i ani dług, ani dłużnik nie przy

chodzili mi do głowy. Aż tu przed kilku dniami stanął mi w myśli pan Cypryan jak żywy, i tak się mnie uczepił, żem go się pozbyć nie mógł. Co to może znaczyć, myślę sobie, gdy mi się to już uprzykrzyło? Czy nie umarł, lub czy nie jest jaki to instynkt, żeby się znów upomnieć, a odda. To ostatnie jakoś mi więcej przemawiało do przekonania. A że już tyle razy pisałem daremnie, myślę sobie znowu: przez posty wilk nie tyje, pojadę lepiej sam. Otóż tak postanowiwszy, wsiadłem i pojechałem. I wyobraź sobie panie Sebastyanie, sprawdziło się. Od pierwszego słowa poszedł do kantorka i z wielkiemi przeprosinami za zwłokę, wyliczył mi pieniądze.

— Winszuję ci, księże proboszczu! — rzekł pan Sebastyan, patrząc bystro w oczy przyjacielowi, który spuścił swoje i wzroku jego wytrzymać nie mógł, zawstydziwszy się tej improwizacyi, chociaż źródło jej było tak poczciwe i szlachetne. Po krótkiem milczeniu proboszcz znowu rzekł:

— Na noc przyjechałem do Zabuża, ponieważ tamtędy droga lepsza i karczma porządna. Co to za śliczny majątek, panie Sebastyanie! a jak to tam wszystko okazałe i piękne! — jest na co spojrzeć.

— Kasztelan, to człek bardzo porządny, i lubi żeby koło niego było wszystko ładne

i z pańska — mówił pan Sebastyan bez żadnego śladu jakiejś niechęci, lub pretensyi za to, że tamten bogatszy. — A i żona jego, choć to jak wiem, kobieta harda i pyszna tą mitrą, pod którą się urodziła, ale ma być także dobra gospodyni i pani z gustem, w czem dobrała się z mężem. Nie byłem ja tam wprawdzie już lat z ośmnaście, bo to za wysokie progi na moje nogi, ale słyszałem, że i dom i ogród przyprowadzili do wielkiej okazałości. A choć to tak blizko, i choć wiem, że pan Kazimierz przyjąłby mnie grzecznie, a może i z sercem, gdyż znam go z tej strony, ale mnie jakoś ciekawość nie bierze. Boję się, mospanie jejmości, przed którą pono mąż zwija chorągiewkę i rządzić się jej, jak szarej gęsi, pozwala.

— Jakie między nimi stosunki, tego nie wiem — odpowiedział proboszcz. — Ale, co do kasztelana, to powiem ci, panie Sebastyanie, że to jest człowiek taki, jak daj Boże, aby wszyscy nasi panowie byli. Co to za grzeczność, co za sposób przyjęcia i zobowiązania, tego wypowiedzieć nie zdołam.

— Więc poznałeś go, księże Macieju? — zapytał pan Sebastyan ciekawie.

— Przypadkiem — odpowiedział proboszcz, znowu spuszczając wzrok do ziemi — przyjechałem jeszcze za dnia, i ciekawość mnie wzięła obejrzeć ogród, przypatrzeć się domowi i zbliska

obaczyć kościół, który mnie zdaleka zastanowił i formą i nowością. Otóż w ogrodzie spotkałem kasztelana. Szedł z synkiem, z jego nauczycielem i z kapelanem. Sam do mnie zagadał, zapytał skąd jestem; a gdym mu powiedział, że z Sawina, uprzejmie mnie powitał i poszliśmy już razem, rozmawiając tak, jakbyśmy się od dziesięciu lat znali. W ciągu tego spaceru i pokazywania mi najpiękniejszych miejsc i widoków na Bug i drugi brzeg jego, wszczęła się rozmowa o tobie, panie Sebastyanie.

— O mnie? a toż skąd i na co? — zapytał pan Sebastyan.

— Po prostu z interesowania się twojem zdrowiem i powodzeniem — odpowiedział ksiądz Maciej. — Kasztelan rozpytywał się, czy ci ta usilna praca, za którą notabene mocno cię szacuje, nie cięży, czy jej siły twego ciała wystarczają, bo co do hartu duszy, dodał, to wiem, że ten mu dopisze w każdem zdarzeniu; zapytywał o twoich chłopców, i musiałem mu ze szczegółami opowiadać, o ich wieku, zdolnościach, wychowaniu i t. d. Ja trochę rozgadałem się, bo to wiesz, jak to dla mnie miła materya, i mogę cię upewnić, że kasztelan słuchał mnie z największą uwagą. Ale nie tylko on, i ów nauczyciel, człek poważny, i jak potem dowiedziałem się, uczony i gorliwy, słuchał mnie pilnie i różne nawet tyczące się

dzieci twych zadawał mi kwestye. Gdym skończył, i zaczął mówić z kapelanem tamtejszym, wtedy ów nauczyciel wziął kasztelana na bok i coś z sobą długo rozmawiali. Nazajutrz, po mszy świętej, którą w kościołku tamtejszym odprawiłem, zaprosił mnie kasztelan do siebie, i *de noviter* wszczął rozmowę o tobie i o twoich dzieciach. Ale ot masz tobie! — dodał proboszcz uderzając się w czoło — zagadałem się, a o najważniejszej może w tem wszystkiem rzeczy zapomniałem. Kasztelan dał mi list i bardzo mnie obligował, abym się przyczynił, żeby ta prośba, którą w nim do ciebie zanosi, skutek swój wzięła. Weź to, panie Sebastyanie, przeczytaj, i daruj, żem nie od tego zaczął.

— Prośba pana Kazimierza do mnie? Cóż to znowu gadasz, księże Macieju — odpowiedział zdziwiony i niespokojny szlachcic, nie wiedząc co ma o tem myśleć. Ale proboszcz nic nie odpowiadając, wetknął mu list w ręce, a sam odwrócił się odsapnąwszy, jakby po ciężkim trudzie, i ocierając pot z czoła, jakby z gorącej łaźni wyszedł.

Pan Sebastyan zaczął czytać, ręce mu drżały i widać było wzruszenie na jego twarzy; a gdy skończył, położył list na stole, wsparł głowę na ręku, i łzy zaczęły padać na papier, który przed nim leżał. Proboszcz patrzył zdaleka; a widząc, że to właśnie chwila, w której żelazo

rozgrzało się do czerwoności, i że się da ukuć, przystąpił i rzekł:

— Cóż to tam takiego kasztelan napisał, panie Sebastyanie, że cię tak dotknęło?

Ale pan Sebastyan nic nie odpowiadając, popatrzył nań tylko wzrokiem, w którym był wyraz, czy żalu, czy wdzięczności, i schowawszy list, ścisnął mocno rękę proboszcza i poszedł.

Na drugi dzień, w czasie mszy, uważał ksiądz Maciej, że klęczał jak zwykle wraz ze synami i gorąco się modlił. A gdy się msza skończyła, długo jeszcze nie wychodził z kościoła, dopiero gdy proboszcz skończył śniadanie, przyszedł pod lipy i obok niego usiadł. Twarz jego była spokojna i poważna, ale nie widać w niej było nieukontentowania, którego się zacny ten przyjaciel obawiał. Po chwili milczenia wziął rękę proboszcza i rzekł:

— Księże Macieju, nie odpowiedziałem ci wczoraj, jak może należało, bo mnie i twoja przyjaźń i postąpienie pana Kazimierza przyprowadziły do takiego stanu, w którym człek nie jest panem swego serca i swego języka, i może powiedzieć, albo za wiele, albo za mało. Zostawiłem sobie czas do refleksyi i rozważenia, czy to, co mnie spotyka, mam uważać za łaskę i miłosierdzie Boże, czy tylko za pokusę ulżenia sobie kosztem dziecka, które mi Bóg dał nie na to, abym je pozbywał z domu i rzucał między

obcych ludzi. Ale zastanowiwszy się, że wszystko to pochodzi od ciebie, księże Macieju, żeś umyślnie po to jeździł, abyś mi tę ulgę zrobił; bo nie zapieraj się, gdyż nie zwiedziesz mnie tymi manowcami, po których chodziłeś wczoraj; że zatem musiało ci to przyjść do głowy z natchnienia bożego, bo przyszło z natchnienia tej przyjaźni, która nie może skąd inąd pochodzić tylko z nieba i ma źródło święte, a żadnym widokiem ziemskim nieskażone, poddaję się tej konieczności, która mnie uciska, i przyjmuję łaskę pana Kazimierza. Ciężkie to wprawdzie dla mnie słowo, ale widać, że i w tem jest wola Boża, kiedy i ten ciężar na plecy moje wkłada, i stawia mnie w takiem położeniu, że muszę dziś cudzej użyć pomocy, chociaż miałem to zawsze za obowiązek i za cnotę stać na własnych nogach i radzić sobie w każdem zdarzeniu własnemi siłami. Nie odrzucam tedy tej pomocy, abym nie zgrzeszył dumą i znowu kosztem własnego dziecka nie dogadzał swojej ambicyi. Dwie wszakże okoliczności wstrzymują mnie od ostatecznej decyzyi. Pan Kazimierz, według dobroci i zacności swego serca, bo wiem, że serce jego dobre i zacne, osłodził to lekarstwo, które mi w tej potrzebie mojej podaje, i łaskę jaką mi świadczy, nazywa przysługą z mojej strony, za którą nie ja jemu, ale on mnie ma być obowiązanym. Nie jestem

ja tak w ciemię bity, abym się na tem nie poznał, chociaż znowu nie jestem tak zatwardziałym, abym nie uczuł, ile warto takie oszczędzenie bolącego serca. Jednakowoż, powiedz mi, księże Macieju, gdyż musiałeś się tam przypatrzeć bliżej tym okolicznościom, czy w tem wszystkiem jest choć cień prawdy, i czy w rzeczy samej chłopiec mój może się tam na co przydać synowi Kazimierza.

Tu proboszcz nie potrzebując już żadnych ostrożnych omówień, szczegółowo i z całą prawdą opowiedział panu Sebastyanowi, jak się rzecz miała; że projekt oddania Eugeniusza na wychowanie do domu kasztelana nie wyszedł od niego, ale od nauczyciela, którego charakter, umiejętność, oraz znaczenie i ufność, jakie tam ma, obszerniej opisał; że wezwany do kasztelana, zastał już wszystko ułożonem i list gotowy; że równie ze słów pana Orlickiego, jak i ze słów samego kasztelana powziął najgruntowniejsze przekonanie, że bytność tam Eugeniusza i tę emulacyę, jaką jego usposobienie i pilność zrodzą, uważają obaj za rzecz niezbędną, że zatem przysługa ze strony pana Sebastyana, jeżeli tam odda syna, nie jest tylko prostą delikatnością i okryciem świadczonej łaski, ale stanie się rzeczywistą i prawdziwą przysługą. Ten wywód i te racye, którym ksiądz Maciej nie potrzebował dawać piętna prawdy, gdyż

były istotną prawdą, uspokoiły pana Sebastyana. Rzekł więc:

— Teraz, powiedz mi, księże Macieju, czy wszystko to stało się za wiadomością, wolą i zezwoleniem kasztelanowej?

Proboszcz uczuł, że to jest kwestya drażliwa, której niezaspokajające rozwiązanie może cały jego budynek wywrócić do góry nogami. Nie tracąc jednak głowy i nie lękając się, aby przydłuższem cokolwiek wyłożeniem znudził swego słuchacza, zaczął znowu od szczegółów tej rozmowy, jaką miał z panem Orlickim i księdzem Augustynem; powtórzył w głównych rysach obraz kasztelanowej przez nauczyciela skreślony; a nie usuwając z niego jej dumy rodowej i przewagi, jaką ma nad mężem, rozwodził się więcej nad jej dobrymi przymiotami, a szczególniej nad tem, jak gorliwą i rozumną jest matką. Dodawszy nadto tę okoliczność, że pan Orlicki nieraz już z nią o potrzebie tej emulacyi mówił, że ona sama uznawała jej konieczność, że położył jej nawet za warunek dalszego pozostania w ich domu, aby do syna swego przybrali zdatnego towarzysza, zrobił ten wniosek, że kasztelanowa, dowiedziawszy się o wyborze męża, nie weźmie mu za złe, że się bez niej rozporządził, ale owszem, okaże się wdzięczną i wartość takiego dziecka, jak Eugeniusz, niewątpliwie oceni.

— Być to może, że tak będzie, jak mówisz, księże Macieju — rzekł pan Sebastyan. — Chociaż to jest także prawdą, stwierdzoną doświadczeniem, że kobiecie, przywykłej do samowolności, nikt nie dogodzi, tylko ona sama. I żeby mąż, którym nauczyła się rządzić, i nieba jej przychylił, to ona i z tego nieba nie będzie kontenta. Ale kiedy Bóg miłosierny tak te rzeczy złożył, że właśnie w tej porze, kiedy mnie taka przycisnęła niedola, pokazała się tak nagląca potrzeba i tam, gdzie bieda nie zagląda, to zapewne i tę trudność usunie, a może i jej serce dla dziecka mego skłoni. Niech się więc dzieje wola Jego święta. Oderwę od mego łona ten klejnot, który do niego przyrósł; a ty zacny przyjacielu, prześlij przy ołtarzu Pańskim modlitwę do Boga, tak czystą i gorliwą jak twoja przyjaźń, aby ten polor. jaki temu klejnotowi memu cudze ręce dadzą, był takim, jakiby mu dała miłość ojca, gdyby był w stanie powinności swej dopełnić. Dziękuję ci tedy, księże Macieju! — i wziął jego rękę i drżąc cały, ściskał ją w swoich, a proboszcz płakał, widząc wzruszenie tego żelaznego człowieka, i czując, ile cierpieć musi to serce, kiedy hart jego pęka i bólu pokonać i utaić nie może.

Piątego więc dnia, po dostatecznem opatrzeniu sukienek i bielizny, po ułożeniu i uporządkowaniu książeczek i seksternów, nie bez

potoków łez ze strony panny Teresy i propozycyi, aby Ignaś jechał, nie Eugeniusz, jako zdrowszy, weselszy i mniej przypominający matkę, nie bez rzewnego płaczu obu chłopców, którzy się raz pierwszy w życiu rozdzielali, pojechał Eugeniusz z ojcem, ustrojonym w paradną swą suknię, smutnym, ale oswojonym już z tem cierpieniem, któremu milczenie nakazał.

Kasztelan przyjął go z otwartemi rękami, sercem braterskiem i tą właściwą mu uprzejmością, z której usunął wszelki ślad owej pańskiej łaskawości dla niższych, często gorszej od dumy i zimnego obejścia się. Eugeniusza, który mu się bardzo spodobał z piękności, ułożenia i odpowiedzi, pieścił i ośmielał. Zaraz kazał poprosić pana Orlickiego i księdza Augustyna, i zarekomendował im i ojca i nowego ich ucznia. Stasiowi polecił poznać się prędko z kolegą i krewnym, być dla niego grzecznym, kochać go i naśladować w jego pilności i postępowaniu. Słowem, wszystko odbyło się tak, jak tylko można było żądać i spodziewać się po człowieku tak dobrym i tak wychowanym. Uspokajało to pana Sebastyana i ośmielało Eugeniusza póki ojciec był obecnym. Ale zaraz po obiedzie pan Sebastyan pożegnał kasztelana, polecił dziecko swe panu Orlickiemu, a gdy go zacny ten i wchodzący w położenie takiego ojca człowiek odprowadził wraz

z Eugeniuszem do karczmy, a konie już były założone i parobczak siedział na koźle, stary pochwycił syna swego w objęcia, utulił go przy piersiach tak, jak gdyby go już nigdy widzieć nie miał, i wskoczywszy na bryczkę w milczeniu, nie oglądając się nawet, pojechał.

Powrócił więc Eugeniusz do pałacu z nauczycielem, który starał się go rozrywać rozmową i wypytywaniem się, co umie i jak daleko w każdym przedmiocie postąpił. Tłumił w sobie chłopak żal i odpowiadał z całą przytomnością. Wieczorem poszedł na spacer ze wszystkimi, a choć widział, że Staś nie poufali się z nim i zimno i hardo mu odpowiada, nie poddawał się jednak i krzepił się jak mógł, aby go nie nazwano mazgajem, który nigdy ludzi nie widział. Gdy się ciemno zrobiło i wszyscy mieli iść spać, zaprowadzono Eugeniusza do dużego pokoju, gdzie miał tymczasowo nocować, nimby stancya przy mieszkaniu pana Orlickiego urządzona była. Sługa zasłał mu łóżeczko, zdjął buciki i mundurek do wyczyszczenia i poszedł. Wtedy dopiero roztropny i myślący Eugeniusz, gdy mu nikt nie przeszkadzał, gdy nikt na niego nie patrzył, zaczął rozmyślać o położeniu swem i o tem wszystkiem, co widział. Otworzywszy okno i patrząc na księżyc pływający nad Bugiem i łamiący się w jego falach, zaczął on porównywać przeszłość z teraźniejszością. A gdy wyobraził sobie w myśli ten wspaniały

i wielki dom, te obce twarze, które na niego jakoś zimno i bez miłości patrzyły, gdy mu się potem przypomniał dworek ojcowski i probostwo, i jak tam było wszystko swojskie, wszystko znane, a choć drobne i proste, ale tak miłe, tak tkwiące w sercu i w myśli, gdy wspomniał o ojcu, o księdzu Macieju, o cioci Teresi, o wiernym i nieodstępnym towarzyszu każdej pracy szkolnej, każdej zabawy, każdej swawoli, o serdecznym swym i ukochanym Ignasiu, wtedy głośnym zapłakał płaczem, wyciągał ręce do płynącego spokojnie księżyca i duszą rozbolałą wołał do siebie tych wszystkich, których nie było, a których tak serdecznie kochał. Ale nikt nie odpowiadał na to jego rzewne wezwanie. Drzewa tylko zdaleka szumiały, wiatr poruszał materyalną firanką u okna, a w ogromnym pokoju było pusto i głucho. Wstrząsł się więc biedny chłopczyna, czując się tak osamotnionym, zamknął okno i upadłszy na kolana, modlił się długo i gorąco. Modlitwa ukoiła cokolwiek jego troskę, a sen dopełnił reszty. Rzuciwszy się na łóżko, jak był ubrany, utulił twarz w poduszkę, którą jeszcze łzy moczyły, zasnął prędko snem trzynastoletnim i spał smaczno i twardo aż do rana.

V.

Pan Sebastyan wrócił do domu smutny i przygnębiony. Krótko i nie wdając się

w szczegóły, odpowiadał zapytującym go, jak zostawił syna, jak go przyjął kasztelan, jak znalazł nauczyciela. Pannę Teresę zbył kilku słowami, dodając, iż się pokaże, co z tego będzie; proboszczowi zaś, niechcąc mu psuć tej radości, jaką w nim widział, że się robota jego udała, mówił tylko, że mu kasztelan okazał serce braterskie, że pana Orlickiego znalazł człowiekiem gruntownym, dobrym i że mu się zdaje, iż to dziecku jego wyjdzie na dobre. Proboszcz jednak zmiarkował, że ta konieczność, w której się znalazł, złamała go, że się uczuł upokorzonym, i że w ogóle chciałby był zapomnieć o tem, co się stało. Nie wszczynał więc już rozmowy o Eugeniuszu, ale zajmując się codziennie z Ignasiem powtarzaniem lekcyj i wprawą w pisanie po polsku, wychwalał ciągle jego pilność i zdatność, a gdy się wakacye zbliżały do końca, nie przestawał mówić o koniecznej potrzebie wysłania go do szkół, gdyż grzechem by było, aby tak zależał pole. Czuł to pan Sebastyan i sam, ale obrachowując swoje środki, wątpił, czy będzie mógł zadość uczynić tej potrzebie i zaspokoić gorące serca swego życzenie. Wtedy proboszcz delikatnie i z największą ostrożnością zaczął napomykać o zasiłku, który u niego leżał; rozwodził się o przyjaźni w ogóle, dowodząc, że wyższe jej znaczenie objawia się dopiero wtedy, kiedy

można pośpieszyć z pomocą przyjacielowi; że kiedy Bóg skruszył serce jego mniemanego dłużnika, iż oddał to, co on miał już za przepadłe i bez czego się doskonale obchodził, to jest znak, że darowanej tej sobie sumki na swoją potrzebę użyć nie powinien, i nie użyje, ale uważa ją i uważać będzie za środek, który Opatrzność złożyła w jego ręce, aby śpieszył z pomocą tam, gdzie ona jest istotnie i gwałtownie potrzebną. Takiemi i tym podobnemi perswazyami skłonił wreszcie proboszcz pana Sebastyana, że wziął od niego trzysta złotych sposobem pożyczki, obowiązawszy się oddać najdalej za rok, które na ulokowanie Ignasia w Hrubieszowie, gdzie miał szkołę powiatową ukończyć, użyte zostały.

Tym tedy sposobem obaj bracia mieli zabezpieczoną dalszą edukacyę, i postawieni zostali na dwóch odmiennych drogach, które gdzie i jak ich zaprowadzą, to się w dalszym ciągu opowiadania naszego pokaże.

Żal Eugeniusza prędko przeminął. W młodym wieku szybko się zacierają wrażenia przeszłości, chociaż nie giną wcale. Umysł dziecka jest tak giętki, tak wrażliwy, że wszystko co je otacza, wybija się na nim żywem i silnem piętnem i pokrywa dawniejsze wrażenie nową i jaskrawą warstwą. I tak jest póty, póki dla człowieka obecna chwila jest droższą jak

przeszłość, póki oko jego patrzy ciągle w godziny, które nadchodzą, a nie cofa się myślą do tych, co już upłynęły i zatarły się niby na zawsze. Ale im bardziej człowiek zachodzi w lata, im mniej mu obiecuje dzień jutrzejszy, im droższym się staje wczorajszy, tem żywiej w myśli swojej rozbudza minione smutki i uciechy, tem chętniej sięga myślą coraz dalej i dalej, poza troski dojrzałego wieku, poza uniesienia młodości, aż do tych uciech i kłopotów dziecka, których ośmnastoletni młodzieniec nie byłby w stanie przypomnieć, a które siedemdziesięcioletni starzec widzi tak jasno i żywo, że nieraz wspomnienie ich ożywia łzą jego przygasłe oko, lub uśmiech niewinnej radości na usta jego sprowadza.

Eugeniusz oswoił się wkrótce z tem wszystkiem, co go otaczało, a że umysł jego był z natury usposobionym do pokochania tego wszystkiego, co piękne, czyste i kształtne, podobał mu się ten porządek, ta składność i elegancya, o której nie miał wyobrażenia, a wszystkie te rzeczy piękne i gustowne, w których sztuka myśl swoją objawiła, uderzały jego oczy i silne na duszy jego robiły wrażenie. Chociaż nie wiedział i nie pojmował, co mu się w nich podoba, dlaczego mu tak miło na nie patrzeć, ale jak tylko odbył wszystko, co do niego należało, i był wolnym, szedł do pustych

salonów, przypatrywał się obrazom, admirował posągi z marmuru, których było kilka, dotykał kosztownych materyi, ciesząc się ich blaskiem, ich farbą i wzorzystym deseniem, i wpajał w myśl swą formy zgrabne mebli, kandelabrów i innych sprzętów, które tam zamożność i gust właścicieli nagromadziły. Nie przychodziło mu nigdy do głowy, żeby cenić te rzeczy dlatego, że kosztowne, ale lubił na nie spoglądać i o nich myśleć dlatego jedynie, że ładne, że foremne, że cieszą jego oko i sprawiają mu jakieś wewnętrzne ukontentowanie, z którego nie zdawał sobie sprawy. Takiego samego wrażenia doznawał i w ogrodzie, i nieraz w czasie spacerów zamiast swawolić i biegać, szedł zwolna, lub siadał w najpiękniejszem miejscu i przypatrywał się z uwagą zielonym jak aksamit gazonom, różnobarwnym kwiatom kształtnie ułożonym i pozaginanym kląbom i gaikom. „Murawę piękną widział on i na probostwie, prześliczne lipy ocieniały cmentarz Sawiński i dziedziniec księdza Macieja, ale tam znalazło się zawsze coś brudnego i niekształtnego, co go raziło. Tu wszystko uporządkowane, obrobione, ułożone szykownie, zaokrąglone tak, że gaik zdobił zieloną płaszczyznę, że kwiaty podnosiły barwę murawy, że ścieżki czyściutkie wiły się łagodnie i ciągnęły za sobą oczy, że wszystkie budynki odpowiadały swym kształtem

i urządzeniem temu tłu, na którem się odbijały. Nie wiedział on i tu co go zajmuje i cieszy, ale czuł, że mu tam dobrze, i powoli zapominał o probostwie i dworku ojcowskim, a przynajmniej nie tak często o nich myślał i z mniejszą do nich rwał się tęsknotą.

Do tego uspokojenia przyłączyło się i zajęcie, któremu z właściwą sobie oddał się pilnością i zapałem. W wielu rzeczach Staś był dalej niż on posuniętym, chociaż niektórych znowu nie umiał, tak jak on gruntownie i porządnie. Otóż chęć dopędzenia towarzysza w tem, w czem go wyprzedził, pokazania nauczycielowi i koledze swej pojętności, swej uwagi, silnie go zajmowała i nie dawała czasu tęsknić i płakać. A dzienniczek jego, gdzie było wszędzie *bardzo dobrze, bardzo pilnie, z chwalebną usilnością* i t. d., cieszył go tak, że ani chwili nie próżnował i żadną nie zajął się myślą, póki wszystkiego nie odrobił dokładnie, nie utkwił sobie w pamięci należycie, nie przepisał czysto i foremnie, aby ten wyraz *bardzo* stawał koniecznie przy każdem zdaniu i sprowadzał mu pochwały pana Orlickiego, zachęcające słowo księdza Augustyna i pieszczoty i pogłaskanie kasztelana, który coraz widoczniejszą okazywał mu przychylność.

Wprawdzie te pochwały, które Eugeniusz ciągle odbierał, rozdrażniały z początku Stasia

i czyniły go hardziejszym. Ale gdy raz Eugeniusz, nie zrażając się jego zimnem obejściem i paniczowskimi kaprysami, namówił go, że się z nim razem nauczy, i odkrył mu sekret, jakim sposobem lekcya prędko włazi w głowę, t. j. żeby na ten moment oddać się jej całkiem i o wszystkiem innem zapomnieć; a Staś przez ciekawość usłuchał i powtórzył raz nieźle, drugi raz jeszcze lepiej, za trzecim razem doskonale, i w dzienniczku swoim także *bardzo dobrze* otrzymał, znikła i ta jedyna przykrość, jakiej Eugeniusz w domu krewnego doznawał. Wprawdzie Staś nie mógł mu zastąpić Ignasia, ale stawał się coraz grzeczniejszym, coraz poufalszym, i już nie patrzył nań z góry, lub z pewnym rodzajem zawiści, ale owszem zaczął się do niego garnąć i nabierał coraz większej ochoty do pracy. Szło to zwolna i stopniami, jak wszelka przemiana na lepsze; nie zawsze panicz mógł przezwyciężyć lenistwo, bez dąsania się jednakże i przycinków dawał się namawiać do wspólnego uczenia się, a nareszcie widząc, że mu to zawsze wychodzi na dobre, sam zaczął szukać jego pomocy i objaśnienia. Skutek ten, pedagogicznie przewidziany przez pana Orlickiego, cieszył go niezmiernie, a pochwały, jakie Staś odbierał, dając mu to przekonanie, że je winien biednemu kuzynkowi, skłaniały ku niemu jego serce, Eugeniusza zaś

wielką napawały radością. Tym sposobem pobyt jego w domu kasztelana stawał się coraz przyjemniejszym; podobało mu się wystawne życie, smakowały wykwintne potrawy, lubił patrzeć na piękne do nich przybory; ładne sukienki, które mu kasztelan sprawić kazał, spacery w pięknym koczu lub na zgrabnym kucyku cieszyły go, coraz bardziej zacierało się wspomnienie skromnych domowych uciech i nikła tęsknota za prostym, pochylonym dworkiem, chociaż tam był ojciec, ciocia Teresa i kochany Ignaś, chociaż serce jego nie straciło ani na włos tej gorącej miłości, jaką ogarniał drogie ich oblicza.

Tak było do przybycia kasztelanowej. Powrót jej zmienił znacznie stan domu. Zdawało się, że przybyło w dwójnasób ludzi, zajęcia, zachodu; że wszystkie struny tej liry, które dawniej podciągane brzmiały sobie swobodnie, dziś wyprężone do dwa razy wyższego tonu, dźwięczały z pewnem wysileniem i jękiem pod jej ręką. Kasztelan znikł z pierwszego planu, nikt o nim ani pomyślał, wszystkie oczy zwrócone tylko były na panią, wszystkie uszy wytężone na rozkazy, które od niej tylko wychodziły. Żaden z oficyalistów, żaden ze sług domowych nie wiedział co mu się dostanie, pewny był tylko, że nie pochwała i aprobacya, gdyż pani znajdzie wszędzie coś zmienić, coś

poprawić, coś naganić. Jest to zwykła metoda kobiet, czujących swoją władzę, nie wierzących w rozum męża i mających się za coś lepszego od niego. Kasztelanowa trzymała się jej zawsze, ale nigdy z większą ostentacyą i energią, jak po każdym swym powrocie do domu. Dawała ona wtedy uczuć każdemu i wszystkim, że jest sprężyną tego zegara, który bez niej źle pokazuje godziny, że jest duszą tego ciała, które bez niej traci właściwy ruch, właściwą regularność pulsów i porządek funkcyi, nadających mu kolor zdrowia i moc niezagrożonej upadkiem egzystencyi. Wprawdzie należy jej oddać tę sprawiedliwość, że porządek i ład, jakim dom ten jaśniał, wiele jej był winien; gdyż, jak już wiemy, była ona dobrą gospodynią, miała wyższe ukształcenie, rozum praktyczny, i trafny rzut oka na wszystko, co doprowadzało do celu, jaki sobie założyła. A celem jej nie była wcale owa dziecinna próżność wielu pań naszych, zasadzających całą dumę na błyszczeniu fraszkami, na świetnym stroju, na przyjmowaniu u siebie najpierwszych osób i podejmowaniu ich zbytkownem, którem przesadziłaby tych lub owych, a olśniła wszystkich. Jej celem było uporządkowanie interesów, postawienie się w zupełnej niezależności od jakichbądź wypadków, podwojenie zamożności przez porządek i regularność w najdrobniejszych

szczegółach, a przez zewnętrzny wyraz tej zamożności w ozdobach swej siedziby, w elegancyi i guście sprzętów, pokazanie wszystkim, iż jest taką, że odpowiada jej stanowisku w hierarchii obywatelskiej, a nadewszystko jej własnemu imieniowi i urodzeniu, czego nigdy nie spuszczała z oka i z myśli. Widziała ona w mężu swym rozum, wyższe ukształcenie, zacność charakteru i szlachetne popędy serca, ale mając go za niższego od siebie w urodzeniu, niedowierzała jego zdolności w kierowaniu barką domową i mogąc, wzięła od razu ster w swe ręce, aby ją zaprowadzić do tego portu, do którego zaprowadzić ją chciała. Ponieważ zacny ten, ale może za słaby człowiek nie miał czy chęci, czy siły, obronienia się od tej przewagi, kasztelanowa okazywała ją zbyt jawnie, zwłaszcza w takich zdarzeniach, o jakich obecnie mówimy, i dla utrzymania jej w domu nie wahała się nawet ubliżać mu, jeżeli nie słowy, to czynem, odmieniając jego rozporządzenia i niszcząc to, co on bez niej postanowił. Ta kardynalna wada ćmiła wysokie jej przymioty i wpłynęła niekorzystnie na wychowanie jej dzieci, szczególniej syna, któremu natura, więcej niż córce, dała jej własne usposobienie. Kasztelanowa kochała dzieci swe rozumnie, nie pieściła ich wcale, nie starała się przerodzić je na niewiedzieć jakie egzotyczne rośliny i uspo-

sobić li tylko do błyszczenia na tak nazwanym wielkim świecie, miłością obczyzny i pogardą tego wszystkiego co swoje. Owszem, chciała ona im dać gruntowne wychowanie, oprzeć je na uznaniu i ocenieniu tego, co w kraju własnym i jego obyczajach jest dobrem i szanownem, wpoić w nich religię, oświecić ich prawdziwą nauką, a dawszy im środek do ich nabycia nauczeniem obcych języków, nie dać im oraz pogardy swojego, i dla tej przyczyny nie mówiła do nich inaczej jak po polsku, nie pozwalała szczebiotać pomiędzy sobą po francusku, nakazując używać tego języka jedynie dla wprawy, i to z temi osobami, które do tego były przeznaczone. Wszakże przy tych zasadach zdrowych i szlachetnych, okazujących jej wyższość moralną i umysłową, nie mogła się obronić od przymięszania tego, co zbawienny ten kierunek edukacyi krzywiło i zgubnie na syna jej wpłynęło. Kasztelanowa nie pominęła żadnej okoliczności, aby skłonić dzieci swe do pamiętania w każdem miejscu i czasie, nie o tem jakie imię noszą, gdyż ona wstydziła się prawie nazwiska swego męża, ale o tem, z jakiej matki się rodzą, i do jakiego rodu przez nią należą.

Wyraz ten *arystokracya* na dwa znaczenia. Raz oznacza on pierwszeństwo w czemkolwiek bądź dobrem i użytecznem, a także w urodzeniu

i należeniu do rodzin przodkujących innym dawnością, zasługą przodków, zostawioną po nich puścizną, sławą i t. d. Pod takim względem arystokracya jest rzeczą zacną, w każdej społeczności konieczną, a uczucie wartości i wpływu, jakie położenie takie daje, jest bardzo naturalnem i nic nagannego w sobie nie ma. Drugi raz *arystokracya* znaczy wygórowaną dumę, pochodzącą z nierozumnego przywiązania do swojego rodu i imienia, przenoszącą herb i tytuł nad wszelką zasługę osobistą, rodzącą w sercu przesiąkłem tak zdrożnem uczuciem przesądy i uprzedzenia kastowe, które prowadzą do pogardy wszelkim innym stanem, do pomiatania każdym, kto nie jest z takiej samej gliny, do zatarcia w duszy, skąd inąd wysoko uposażonej, tego uczucia chrześcijańskiego braterstwa, jakiego nas nauczyła religia. Język nasz ma dwa cieniowania, na wyrażenie tych dwóch tak różnych znaczeń. Kiedy mówimy, że ten, lub ta, należy do najpierwszej w kraju arystokracyi, wyrażamy pewien rodzaj szacunku, jaki każdy ma dla osób wysoko położonych i noszących imię, które cały naród zna i poważa. Kiedy zaś mówimy: to arystokrata, lub arystokratka, wyrażamy pewną niechęć, która się rodzi w każdym na widok zbytecznego cenienia takiej rzeczy, która jest raczej przypadkiem, a nie zasługą,

i która nie daje żadnego prawa do wynoszenia się nad innych. Bliższe przypatrzenie się naszej społeczności przekonywa, że u nas mężczyźni, należący do arystokracyi, są bez porównania mniejszymi arystokratami, niż kobiety. Szkoły publiczne łączą ich i bratają od najpierwszych lat z młodzieżą rozmaitego pochodzenia, przekonywając paniczów, że biedaki mają często lepszą głowę i serce niż oni; służba publiczna stawi ich na równi z ludźmi nie mającymi ani herbu, ani tytułu, i zmusza niekiedy do ulegania takim, których może w duchu mają za niższych od siebie, ale którym jednak okazują względy i szanują ich władzę i znajomości; w życiu prywatnem sprawy domowe stawią ich w stosunkach z rozmaitemi klasami, a interes zmusza ich do względności i grzeczności dla tych, od których pomyślny jego kierunek zależy; zresztą w życiu zwyczajnem panowie mięszają się ze szlachtą, z urzędnikami, z kupcami i t. d. i czy to na ulicy, czy w ogrodzie publicznym, czy w jakiem bądź miejscu, gdzie się zgromadza publiczność, zmuszeni są do wzajemnej grzeczności i ustępstwa, nie mogą potrącać innych i okazywać komu bądź pogardę i lekceważenie, gdyż takie dogodzenie swej dumie można często opłacić zdrowiem, a nawet życiem. Wszystko to daje im dobre przyzwyczajenia, zbliża ich do tych, których los postawił daleko niżej

w krainie pracy, zasługi i wybijania się na wierzch własnemi siłami, uczy ich więcej cenić położenia społeczne, których trudy i wartość lepiej znają, wraża w ich serca więcej chrześcijańskiego braterstwa, i przekonywa ich, że jakkolwiek wygodnem i pożądanem jest to stanowisko, na którem stawia majątek i urodzenie, zasługuje także na szacunek i takie, które sobie człowiek przez trud, przemysł lub talenta wyrobi. Przeciwnie, kobiety wychowywane są w odosobnieniu, pod okiem matki przypominającej im ciągle, aby pamiętały czem są, aby się nie poufaliły z niższemi; otoczone są nieprzerwanie widokiem dostatku, używają tylko rzeczy kosztownych; widzą grzeczność i poufalsze obejście tylko z krewnymi lub równymi im rodem i majątkiem; a oprócz takich nie znajdując w około siebie tylko istoty przeznaczone do usług i nadskakiwania, dla których można być łaskawym, ale któremi i pomiatać można bezkarnie; nie pojmując nawet, że oprócz tych co im równi, i tych co im służą, są jeszcze inne klasy niezależne, stojące na własnej pracy, na własnej zasłudze, wyrabiają w sobie to najmocniejsze przekonanie, że są czemśćiś daleko lepszem i wyższem od ogółu społeczności, że jedyną rzeczą, którą należy najwyżej cenić, jako dającą wartość i znaczenie, jest ród, tytuł i majątek, że z takimi tylko,

którzy się w podobnych urodzili warunkach, może ich łączyć stosunek przyjaźni, poufałości i przywiązania. Dla innych mają tylko dumne i zimne obejście; jeżeli je co do zbliżenia się zmusza, mają czasem łaskawość, którą obrażają nie wiedząc nawet o tem, mają i miłosierdzie, często szczere i płynące z serca, ale często także i takie, jakie jest w modzie; w ogóle jednak nie czują i nie widzą żadnej różnicy między swym oficyalistą a najpoważniejszym urzędnikiem, który nie jest równym im panem, między swą garderobianą, a najszanowniejszą kobietą, która nie jest tak nazwaną damą. W takich wzrósłszy wyobrażeniach, modyfikujących się w miarę indywidualnego usposobienia, tkliwości i dobroci serca, przenoszą je i w dalsze życie; a rzadko zmuszone do oświecenia się w tej mierze sprawami publicznemi, do których nie należą, lub należą tylko niekiedy tajemnie, lub sposobem intrygi, w interesach domowych zwalając całe chodzenie i odpowiedzialność na mężów; na ulicy osłonione karetą, w teatrze lożą, w kościele nawet osobnem krzesłem, lub zamkniętą na klucz ławeczką, nie przychodzą nigdy do zmiany opinii, w której wzrosły, i do nabycia innego przekonania, które stało się ich naturą, Stąd to wynika, że kiedy mężczyźni, panowie, mają przyjaciół między szlachtą, urzędnikami, uczonymi, artystami, z którymi łączy

ich najpoufalsze obejście, żadna pani nie zniży się do takiej przyjaźni, a nie było jeszcze u nas przykładu, aby która miała przyjaciółkę poufałą w kobiecie, któraby nie była wysoko urodzoną. Stąd w nierównych związkach małżeńskich, na które nie mamy wyrazu, i które radzi nie radzi musimy nazywać obcem nazwaniem, bez porównania więcej jest mezaliansów ze strony mężczyzn arystokratów, aniżeli ze strony kobiet arystokratek. W tym ostatnim względzie ta jeszcze zachodzi różnica, że kiedy pan łączy się z córką szlachcica, z córką kupca, urzędnika, lub artysty, podnosząc ją do siebie i okrywając świetnością swego imienia, zapomina o różnicy jaka pomiędzy nimi egzystowała, nie wymawia jej nigdy, że do niej zszedł, i byle zasługiwała na jego miłość i szacunek, ma ją za równą sobie, i jako dla takiej wymaga czci i uszanowania od wszystkich swoich krewnych i przyjaciół. Kobieta wysokiego rodu przeciwnie, jeżeli ją miłość, lub inna jaka okoliczność skłoni do oddania swej ręki szlachcicowi, urzędnikowi, lub jakiego bądź innego powołania mężczyźnie, nie zapomina nigdy czem była, przy każdej okoliczności stara się wydobyć na jaw swój tytuł i ród w jakim się urodziła, w obliczu krewnych swych i przyjaciół wychodzi co moment z pod tego cienia, który na nią pospolite nazwisko męża rzuciło, przy każdej

sprzeczce małżeńskiej nie oszczędzi mu wymówki, że się do niego zniżyła, a choć go kocha, chociaż mu wierna, nie może mu w duchu darować tej słabości, jaką ją natchnął, i która ją skłoniła do zapomnienia o wysokiem stanowisku, na jakiem ją urodzenie postawiło.

Taką właśnie arystokratką była kasztelanowa, i takie jej było postępowanie z mężem. Uważamy to za ujemną stronę tej kobiety, obdarzonej zresztą tak wysokimi przymiotami rozumu i charakteru, że jej powszechny szacunek i cześć jednały nawet tych, którzy ją otaczali i doświadczali wpływu tej słabości, której ani rozumem swym, ani mocą swej woli pokonać nie mogła, a co gorsza, pokonywać nie chciała. Urodzona w książęcym domu, wychowana przez matkę wysoko skoligaconą, jedynaczka, ze znacznym posagiem, do dwudziestego dziewiątego roku życia nie oddała nikomu swej ręki, nie znajdując w konkurentach, którzy przed nią stawali, lub takiego imienia, z którem byłoby warto zamienić się na swoje, lub takiego rozumu i innych przymiotów, któreby dopełniały to, czego imieniowi niedostawało. Zostawszy panią swej woli po śmierci rodziców i widząc nadchodzący ów krytyczny rok, który jest jakby Rubikonem dla każdej panny, nad którym każda staje zamyślona, wahając się czy go przejść, czy nie przejść bez zmiany losu

i imienia, zdecydowała się oddać rękę swą szlachcicowi, który, choć już nie pierwszej młodości, pociągnął ją ku sobie powabem postaci, ułożenia, rozumu, grzeczności i tych wszystkich miłych przymiotów, jakimi jaśnieją czasem u nas ludzie majętni, zdolni i dobrze wychowani. Chociaż nie bez wewnętrznej walki z dumą rodową, dała się zwyciężyć miłości, i zapomniawszy na chwilę, że jest księżniczką, stała się tylko kobietą kochającą, oddaną szczerze i bezwarunkowo powinnościom swym żony i matki, a nawet szczęśliwą tem szczęściem, jakie uczucia te dają każdej, czy jest wielką panią, czy prostą wyrobnicą. Ale wkrótce ocknięta z pierwszego oczarowania, jakie daje miłość, obejrzawszy się czem była, i czem są inne równe jej urodzeniem panny, postrzegłszy w mężu swym brak charakteru i energii, usposobienie spokojne do zajęcia się nauką, sztuką i domem, a stąd bratanie się z uczonymi, literatami, z artystami, wniosła, że ma gusta gminne, że nie ma żadnej ambicyi, że jeżeli zostawi rzeczy jak są, mąż jej będzie wiecznie tylko panem Kazimierzem Zabużskim, a ona tylko Klarą Zabużską, i nic więcej. Ta myśl legła jak ołów na jej sercu i skłoniła ją do energiczniejszego kierowania krokami człowieka, który sam nie chciał iść naprzód, a tem samem i ją przytrzymywał na takiem stanowisku, do

jakiego się nie urodziła, i które ją wstydziło. Szczególniej zaś to nazwisko, jakie nosiła, gryzło ją jak jaki wyrzut sumienia, tem bardziej, gdy pomyślała, że mąż jej ma brata w służbie publicznej, który jest płatnym, że ma dalszych krewnych, to samo imię noszących, którzy nawet nie mają majątku, ale własnemi rękami ciągną pług i słomianym okrywają się dachem. Postanowiła więc przydać jaki taki tytuł do tego imienia, które samym tytułem uczciwości i nieskażonego honoru jeszcze w oczach jej nie miało żadnej ceny. Wystarała się więc, że mąż jej otrzymał kasztelanią. To uspokoiło ją cokolwiek, ale nie oczyściwszy go z tego grzechu pierworodnego, że nie pochodził z równego jej rodu, nie podniosło go bynajmniej w jej opinii i nie wyrobiło mu przebaczenia za to wykroczenie, że zdołał obudzić w niej takie przywiązanie, iż się tak dalece dla jego miłości zapomniała. Upadek ten, gdyż rzeczywiście miała to za upadek, nagradzała sobie zupełną przewagą we wszystkiem, jaką jej wziąść pozwolił, okazywaniem jej na każdym kroku i miejscu, a szczególniej w obec swych krewnych, przypominaniem mu, ile jej winien, i wpajaniem w serca dzieci tej myśli, że cały zaszczyt jaki mają i mieć będą ze stosunków familijnych, z niej przedewszystkiem na nich spływa.

Że przybycie takiej pani do domu, po

trzechmiesięcznej nieobecności, mogło zrodzić niepokój we wszystkich, a nawet w mężu, który się rozporządził bez jej wiedzy i ubogiego krewnego w dom swój przyjął, łatwo jest pojąć. Ten niepokój kasztelana był tem większy, że gdy jej o decyzyi swej względem Eugeniusza doniósł, gdy chłopczyka tego z najlepszej strony opisał, i o skutku, jaki współzawodnictwo to na Stasiu zrobiło, uwiadomił, odpisała mu dość obojętnie, a nawet w liście były następujące słowa: »Cieszę się, że to przynajmniej dobry skutek robi; gdyż widziałam to sama, że jakiś środek do podniecenia w Stasiu małej ochoty i zapału do nauki, był koniecznym. Zawsze jednak nie sądzę, aby tak bardzo wiele na tem stracił, gdybyś był zatrzymał się do mego powrotu i wybór towarzysza dla naszego syna mnie zostawił. Przecież jestem matką, i wychowanie moje nauczyło mnie rozróżniać te względy, na jakie baczyć należy, aby środek tak hazardowny, jakim jest przypuszczenie do kompanii, poufałości z mojem dzieckiem chłopca gminnego pochodzenia, zamiast pożytku nie przyniosło szkody. Szczególniej to mi się nie podoba, że malec ten jest synem szlachetki, który jest podobno twoim krewnym. Nosi on takie same nazwisko, jakie Staś ma od ciebie, co może złe za sobą pociągnąć następstwa. Malec ten widząc, że się tak

nazywa jak i jego towarzysz, może się dopuścić zbytecznej poufałości, jakiej mieć nie powinien, i co mu o jego pozycyi w naszym domu fałszywe da wyobrażenie; a Staś znowu widząc, że i pod słomianą strzechą rodzą się tacy, którzy się tak, jak i on nazywają, może stracić tę ambicyę, jaką w niego wpajam, a która posłuży mu kiedyś do dystynkcyi w świecie i do niezawstydzenia tych krewnych, jakich mu Bóg dał przezemnie. Chociaż więc nie wątpię, że ten środek, jakiście obmyślili z panem Orlickim, będzie skutecznym, wolałabym, aby to było dobre jakie i potulne dziecko innego zupełnie nazwiska, naprzykład syn jakiego z naszych oficyalistów, któryby wiedział o tem, że jest sługą, tak jak i jego ojciec, że powinien tylko nieść pomoc w pracy i zachętę swojemu młodemu panu, a nie rościłby sobie żadnych pretensyi do równości, i byłby wdzięcznym za łaskę, jaką odbiera, mogąc się edukować razem z tym, u którego kiedyś będzie mógł mieć i kawałek chleba. Jakkolwiek więc nie aprobuję twego wyboru, a szczególniej z tego względu, że to jest twój krewny, że zatem żadnej wdzięczności spodziewać się nie możemy, a tylko żenować mnie to będzie, nie chcę jednak robić ci przykrości i zezwalam, aby został do mojego przybycia. Piszesz mi o tem dziecku tyle dobrego, że może się skłonię do

zostawienia go i nadal przy synu naszym i zajęcia się jego losem, jeżeli się przekonam, że na to zasługuje, i że bytność jego dla Stasia nie stanie się szkodliwą. Uprzedzam cię jednak, że gdybym cokolwiek postrzegła, co mi się nie spodoba, nie będę się wahała usunąć go i usunę natychmiast. Sądzę bowiem, żem poświęceniem mojem dla ciebie zasłużyła na twoją ufność, żem ci wlała to przekonanie, że cokolwiek robię, to robię dla podniesienia domu, w który weszłam, i zaszczytu nazwiska, które przybrałam.«

Kasztelan uśmiechnął się tylko przeczytawszy ten list, a przyzwyczajony do podobnych przysmaków, i nauczywszy się wybaczać jej tę słabość, dla innych cnót i przymiotów, którymi jaśniała, nie miał jej tego za złe i żadnego stąd nie powziął do niej żalu. Wszakże wstydząc się pokazać ten list panu Orlickiemu i księdzu Augustynowi i niepokojąc się o to przyjęcie, jakiego biedny chłopczyna dozna, uwiadomił ich tylko, że żona jego cieszy się dobrym skutkiem bytności Eugeniusza w ich domu, i pozwala, aby i nadal pozostał. Nawiasowo tylko i jakby od siebie prosił ich, aby przy okazyi ostrzegli chłopczyka, jak ma przy niej postępować, a szczególniej żeby zachował właściwą jego położeniu skromność, i nie okazywał się, zwłaszcza w jej obecności, zbyt

poufałym ze Stasiem, gdyż to mogłoby go narazić na jakąś wymówkę, któraby i jemu samemu była przykrą.

Zrozumieli oni obaj, gdzie jest źródło tej obawy, jaką kasztelan wyraził, i Eugeniusz otrzymał stosowne ostrzeżenie. Słuchał on tych uwag ze spuszczonemi oczami, serce mu drżało, a dopadłszy kącika, gdzie nikt na niego nie patrzył, popłakał sobie trochę, czując, choć sam nie wiedział dlaczego, że sama myśl o tej pani, co miała lada dzień przyjechać, uciska go i strachem napełnia.

Przyjechała wreszcie w październiku z córką i guwernantką Francuską, poważniejszego wieku, którą w Dreznie znalazła. Wszyscy wyszli na jej spotkanie przed dom i Eugeniusz wyszedł także. Ale gdy wysiadła z karety i witała się z mężem, gdy Staś rzucił się do niej, całując jej ręce, a potem witał się z siostrą, ściskał ją i zaraz różne nowiny domowe opowiadać jej zaczął; gdy pan Orlicki i ksiądz Augustyn, także obecni powitaniu, przystępowali do niej z uszanowaniem, Eugeniusz, stojąc z daleka, przypatrywał się z bijącem sercem tej kobiecie, słusznej, okazałej, wyrazistych i surowych, chociaż niebrzydkich rysów, w czarnem ubraniu, przy którem śniadawa jej twarz tem wybitniejszą się wydawała, i wraził sobie w myśl tę postać tak, że chociażby ją ten jeden tylko raz

widział, już by jej pewnie nigdy nie zapomniał. Ubrany on był ładnie i czysto, prawie tak jak Staś, w kurteczce czarnej i zgrabnej, z kołnierzykiem wyłożonym białym i gładkim, z otwartą szyją, z odkrytą głową, na której błyszczały tylko ciemno blond włosy, dłuższe niż je nosił w szkołach, ale uczesane gładko i odgarnięte z szerokiego zamyślonego czoła. Chociaż w duchu drżący i trochę wylękniony, nie miał jednak twarzy skrzywionej, lub nadąsanej i niezgrabnej miny. Owszem, w ślicznej twarzyczce jego, z której znikł trochę rumieniec, był wyraz jakby smutku i osierocenia, a w całem ułożeniu było skromne oczekiwanie, aż go z kolei zawołają. Postrzegł Eugeniusz od razu, że Staś, skoro się przywitał z siostrą, zaraz jej o nim mówił, i że Jadwisia zwróciła ku niemu duże, czarne i błyszczące oczy, patrzyła nań ciągle, słuchając szczebioczącego brata, i potem odwróciwszy się, coś mówiła, zapewne o nim; ale czy przychylnie, czy niechętnie, nie bardzo go w tej chwili zastanawiało. Cała jego uwaga zwrócona była na kasztelanowę, gdyż i to dostrzegł, że ona go widzi, że witając się z mężem, z synem, z panem Orlickim i księdzem Augustynem, przedstawiając mężowi guwernantkę, kilka razy ku niemu spojrzała i bystrym objęła go wzrokiem. Czekał więc, aż mu dadzą znak, aby się także zbliżył. Ale skoro się pierwsze

powitanie skończyło, co trwało z kilka minut, kasztelanowa wyprostowała się, podniosła głowę i poszła do pokojów, nietylko nie przywoławszy Eugeniusza, żeby do niego coś przemówić, pogłaskać i ośmielić, ale nawet na niego nie spojrzała więcej. Został więc biedny chłopczyna sam jeden między sługami wypakowującymi powóz a widząc, że o nim wszyscy zapomnieli, pobiegł do ogrodu, objął ustronne i zakryte krzewami drzewo, jakby chciał z jego pnia wywołać współczucie, i przytulając twarz swą do zimnej jego kory, serdecznym płaczem ulżył sercu, które jakiś nieopisany ból uciskał.

Gdy się wszyscy zebrali na herbatę, a Staś opodal bawił się z siostrą, rzekł kasztelan do żony:

— Moje życie! nie zwróciłaś uwagi na tego chłopczyka, o którym ci pisałem.

— I owszem, widziałam go — odpowiedziała obojętnie — powierzchowność ujmująca, stał zdaleka i skromnie, jak był powinien. Nie podobał mi się tylko, że ubrany jednakowo ze Stasiem. Nie sądzę, abyś go chciał utrzymać na równej z synem naszym stopie. To może być szkodliwem i dla niego. Różnicę, jaka między nimi znajduje się, należałoby zachować i powierzchownie.

— Różnica ta widoczna i tak, pani dobrodziejko! — rzekł pan Orlicki, czerwieniąc się

i nie mogąc się doczekać odpowiedzi kasztelana.

— Zapewne w pilności i w zdolnościach — odpowiedziała kasztelanowa przygryzłszy wargi, ale nie chcąc drażnić pedagoga.

— Zgadłaś pani myśl moją — rzekł pan Orlicki — chociaż dodać muszę, że od czasu, jak on tu jest, i ta różnica umniejsza się widocznie. Gdyż Staś jest daleko pilniejszym i zdolności jego rozwijają się razem z ochotą.

— Widzę — mówiła dalej kasztelanowa z uśmiechem — że to faworyt pana Orlickiego. Bardzo będę rada, jeżeli skutek pokaże, że na to zasługuje. A ponieważ panowie ułożyliście, że to ani jemu, ani Stasiowi nie zaszkodzi, że będzie wyglądał jak jaki panicz, niech tak zostanie.

— Nie pozwoliszże mu to przyjść do nas, moje życie? — rzekł kasztelan dość nieśmiało. — Kasztelanowa milczała, jak gdyby nie do niej mówił. Pan Orlicki, oburzony i tą uległością męża, i tą uporną pychą żony, powstał z miejsca i wziąwszy czapkę szedł ku drzwiom. Zrozumiała dobrze kasztelanowa co go podniosło z krzesła i co wypędza z pokoju, i zmiarkowawszy, że może na zawsze zrazić człowieka, którego szacowała, i który tak użytecznym był dla jej syna, rzekła niby z prośbą:

— Niechże się pan Orlicki sam nie faty-

guje. Staś pójdzie i każe go zawołać. Idź, Stasiu! — A gdy Staś pobiegł, obracając się do męża dodała: — Jakże się ten fenomenalny chłopczyk nazywa?

— Eugeniusz, mamo — rzekła Jadwisia, która przystąpiła do krzesła matki.

— Skądże ty to wiesz? — zapytała surowo kasztelanowa.

— Staś mi mówił — odpowiedziała dziewczynka spuszczając oczy.

— Proszę z nim nie wdawać się w żadne rozmowy — rzekła upominając matka. — To nie jest kompania dla ciebie. Stasiowi służy on do pomocy, dlatego może z nim przebywać przy lekcyach i czasem się z nim bawić.

Pan Orlicki postrzegłszy, że kasztelanowa zrozumiała jego poruszenie, przestając na tem wrócił, usiadł na dawnem miejscu, ale już się więcej nie odzywał. W kilka minut przyszedł Staś i Eugeniusz wszedł za nim. Zatrzymał się on zdaleka i czekał, aż kto do niego przemówi.

— Chodźże tu bliżej, Eugeniuszku! — rzekł wreszcie kasztelan, zdobywając się na odwagę, a widząc, że pan Orlicki wlepił w niego wzrok, w którym widoczny był zarzut niedarowanej słabości, dodał łagodnie: — Przywitaj się i siadaj na swojem miejscu.

Chłopczyk blady i drżący ukłonił się kasztelanowej, która na niego spojrzała niby łaskawiej,

nie mówiąc jednak ani słowa, i usiadł obok pana Orlickiego. Rozmawiano o różnych rzeczach, o przygodach podróży, o miastach, przez które przejeżdżali, i które widzieli bliżej, bawiąc w nich po dni kilka i kilkanaście. Kasztelanowa opisywała różne ich osobliwości, ich zamożność, ich zbiory, kościoły i t. d.; mówiła ładnie, płynnie i rozumnie, Eugeniusz słuchał z uwagą, i gdy mówiła, nie spuszczał z niej wzroku. Oczy jego nabierały życia, cała ich piękność stawała się widoczną i uderzającą; patrząc na nią bystro i ciekawie, zdawał się zapominać, że to ta sama pani, której się tak bał, i która go tak obojętnie i prawie nieludzko przyjęła. Postrzegła kasztelanowa to rozumne ożywienie ślicznej twarzy chłopczyka, po której myśl się rozlała, i którą rumieniec okrasił; podobało się jej, że ją z taką słucha uwagą, i łaskawszy jeszcze jej wzrok padł na biedne dziecko, które przed godziną czuło cały ciężar sieroctwa i opuszczenia.

Takie było pierwsze przyjęcie bohatera naszego przez tę wcale niepospolitą kobietę, która na dalszy jego los i cały kierunek życia tak przeważnie wpłynęła. Następne dni nie zmieniły bynajmniej jej postępowania. Była zawsze obojętną, patrzącą z daleka, egzaminującą każdy jego krok i odezwanie się; jeżeli kiedy do niego przemówiła, to tonem surowym,

sucho, nawet niekiedy ostro, zwłaszcza, gdy postrzegła za nadto śmiałe zbliżanie się do jej dzieci na spacerze, lub w zabawie chłopców, do której się i Jadwisia przyłączyć chciała. Ale nigdy nie spytała o jego zajęcie; odwiedzając syna, nigdy nie zajrzała do jego dzienniczka; nie pochwaliła go za nic i nie ośmieliła żadną pieszczotą, żadnem dobrem słowem, choćby nawet pogłaskaniem, jakiem się głaszcze pieska, który przymila się i służy. To jej postępowanie nie miało źródła w jakiejś zawziętości do niewinnego dziecka, które nie rządząc sobą, nie ze swej woli znalazło się pod jej dachem. Zanadto ona miała rozumu i szlachetnego podniesienia ducha, aby go znienawidziła za to, co nie było jego winą, lub nie uznała jego wartości i przymiotów, przez które stawał się synowi jej pożytecznym. Ale chciała pokazać mężowi i panu Orlickiemu, że nie powinni byli tak ważnej rzeczy przedsiębrać bez niej, że się rozporządzili za prędko, że dla niej nawet, przenikliwszej od nich obu, potrzeba długiego czasu, aby się przypatrzyła chłopcu, który miał być nieodstępnym jej syna towarzyszem, czy się w nim nie okaże coś gminnego, czemby się ten jej syn skaził, czy się nie rozwinie jakaś zła skłonność, którąby mu rzeczywistą przyniosła szkodę. Dla zrobienia więc przykrości ludziom dojrzałym, którym chciała dać uczuć swoją

władzę i przewagę, nie wahała się przez czas niejaki poświęcić pokój i swobodę niewinnego dziecka, i utrzymywać go w ciągłem od siebie oddaleniu i ustawicznej obawie jej nieukontentowania.

Takie usposobienie względem siebie osoby tak ważnej w domu, od której wszystko zależało, napełniało Eugeniusza niewymownym smutkiem, zrobiło go lękliwym, niezgrabnym, niezręcznym i nieprzytomnym w odpowiedziach, przytępiało jego zdolności i odbierało mu do wszystkiego ochotę. Jakkolwiek bardzo młody, ale jak wiemy, był to chłopczyk roztropny, zastanawiający się nad tem, co go otaczało, i szukający każdej rzeczy powodów i przyczyn. Widział on przychylność kasztelana i wnosił sobie, że go lubi za to, że jest grzecznym, pilnym, że co tylko mu każą, zrobi prędko i dokładnie, że Staś z nim i przy nim jest i pilniejszym, i więcej daleko korzysta. Przychylność pana Orlickiego tłómaczył sobie przez to, że mu żadnego nie daje kłopotu, że go słucha z uwagą, że go pojmuje od razu.

Zresztą nie dziwiło to go wcale, że go pan Orlicki lubi, bo przyzwyczajony był do przywiązania swych nauczycieli i wiedział o tem dobrze, że zwykle dobrzy nauczyciele do dobrych przywiązują się uczniów. Ale za co go kasztelanowa nie lubiła, dlaczego obchodziła się z nim tak

ostro, dlaczego się jej tak okropnie bał, tego sobie wytłómaczyć nie mógł; i tem więcej go to dręczyło i uciskało, że nie widział żadnego sposobu, którymby sobie mógł ją zjednać, w czem się poprawić, żeby się na niego nie gniewała, jakim być, żeby była łaskawszą, żeby mu i teraz było tak dobrze jak i pierwej, żeby mógł być weselszym i swobodniejszym. Te myśli trapiły go po pacierzu, gdy się położył, i zwykle rozmyślania takie kończyły się łzami, z któremi zasypiał.

W tych utrapieniach miał Eugeniusz tę jednę pociechę, że Jadwisia zdawała się widzieć jego smutek, i czasem gdy mogła okazywała mu więcej życzliwości, niż nawet Staś, który chociaż nie był dla niego złym, ani postępował z nim tak hardo, jak z początku, ale nie zważał na jego przygnębienie i żadnej nie okazywał mu sympatyi. Jadwisia przeciwnie, wiele razy przechodziła koło niego, zawsze mu powiedziała, albo: — dobry dzień, Eugeniuszku — albo — dobry wieczór; albo przysunęła mu nieznacznie jaką książkę z obrazkami, gdy siedział sobie zdaleka i nikt do niego nic nie mówił; albo gdy przybiegła do Stasia, to prosiła Eugeniusza, żeby jej pokazał i swój dzienniczek, i cieszyła się, że tam wszędzie takie piękne świadectwa, zachęcając i brata, żeby mógł się także czem podobnem pochwalić.

W głosie jej, gdy mogła do niego kilka słów przemówić, była zawsze dobroć, a w spojrzeniu jej widział wyraźnie, żeby go rada pocieszyć, pogadać z nim o nim samym, zapytać się, dlaczego smutny i przygnębiony. Poznawał to Eugeniusz, że ma w niej przyjaciółkę taką, jakim był kasztelan, do którego była podobna, i serdecznie był za to wdzięczny pięknej i delikatnej dziewczynce, której wiotka postać, twarzyczka blada, uśmiech miły, ale także smutny, stawały mu zawsze w myśli, jako pociecha i umocnienie, wiele razy czuł się odepchniętym, zapomnianym, albo postrofowanym i zawstydzonym za to, że się zanadto przybliżył, że usiadł nim mu kazano, że się dotknął, lub z większem zajęciem przypatrywał się jakiej pięknej rzeczy, która oko jego i skłonność estetyczną nęciła.

Jadwisia we wszystkiem była obrazem ojca. Taka sama łagodność i dobroć, takaż uprzejmość dla wszystkich, taki sam uśmiech i spojrzenie. Podobne nawet miała rysy i odziedziczyła po ojcu jego piękność. Oko ciemne, duże i prześliczne, miało wyraz dziwnie słodki i przenikający, a włosy zupełnie czarne, z błękitnym odbłyskiem, były tak bujne, gęste i długie, że zdawały się ciężyć jej delikatnej i kształtnej główce i całą jej postać naginać ku ziemi. Kończyła ona wówczas dwunasty rok; była

słuszna, ale tak szczupła i jakby ulotna, że się zdawała podobniejszą do cienia pełnego wdzięku i doskonałych kształtów, jak do żywej i zapowiadającej długie życie istoty. Choć nie miała żadnej wady organicznej, choć nie ulegała żadnej ciężkiej chorobie, była jednak zawsze bladą; różowe tylko miała usteczka i kiedy niekiedy rumieniec tak lekki, że się zdawał nawianem i padającem od innego przedmiotu odbiciem; płeć zaś jej była tak przeźroczystą, że przez rączki, gdy je podniosła do światła, można prawie było przejrzeć, jak przez jaką delikatną tkankę. Widok tego ślicznego dziecka ujmował, ale smutno i rzewnie. Widać, że usposobienie melancholiczne było właściwem tej duszy, w tak wątłem umieszczonej ciele. Ten jej stan, chociaż nie przeszkadzał jej rozwinięciu umysłowemu, gdyż była dziwnie roztropna, pilna i pojętna, napełniał wielką obawą rodziców, i dlatego kasztelanowa tego lata jeździła za granicę, aby się poradzić najcelniejszych niemieckich i francuskich lekarzy. Uspokoili oni trwożącą się matkę, upewniając, że nic zagrażającego dalszemu wzrostowi panienki nie widzą; radzili tylko, aby miała dużo ruchu, aby się znajdowała jak najczęściej na świeżem powietrzu, i nie oddawała się wysilającej pracy. Stosownie do tego, kasztelanowa starała się uorganizować edukacyę Jadwisi, myśląc raczej

o tem, żeby ją umocnić, niż żeby jej dać obszerne wiadomości i talenta, przez które mogłaby jaśnieć na świecie. Uczyła się więc języków więcej praktycznie, rozmawiając i czytając, lekcyj muzyki nie brała wcale, rysowała sobie ile chciała, więcej dla zabawki i dlatego, żeby jak najczęściej być z ojcem, którego kochała nad życie, a kilka tylko lekcyj brała razem z chłopcami, to jest: nauki religii u księdza Augustyna, języka polskiego i historyi u pana Orlickiego. Wtedy matka znajdowała się prawie zawsze przy tych lekcyach, które podwójne dobro przynosiły Eugeniuszowi, raz, że go umacniało zbliżenie dziewczynki, która zawsze znalazła sposobność coś mu pocieszającego powiedzieć; a powtóre, że sama kasztelanowa słuchała najczęściej z uwagą, gdy się tłómaczył, że wówczas twarz jej łagodniała i spojrzenie jej łaskawsze padało na chłopca, którego to ośmielało tak, że gdy mówił, na nią patrzył, jak gdyby chciał przed nią tylko popisać się i tą pilnością swą i darami, jakie mu Bóg dał, wyprosić sobie u niej choć kroplę współczucia i życzliwości. Wszakże to uznanie wartości Eugeniusza nie zmieniało bynajmniej jego położenia. Była to tylko dla niego chwilowa ulga, bo zresztą obejście się z nim kasztelanowej zostało, jak i dawniej, zimnem, obojętnem i surowem, tak dalece, że trzy miesiące od jej

przybycia upłynęło, a jeszcze od niej nie słyszał żadnego dobrego słowa; żadnej by najlżejszej pieszczoty nie otrzymał.

Ale gdy kasztelanowa widziała, jak to jej postępowanie martwi męża, jak niecierpliwi i jak przykrem jest panu Orlickiemu, sądząc, że ich już dostatecznie za wykroczenie ich i obrazę swej władzy ukarała, przekonawszy się nadto, ile prawdziwej korzyści towarzystwo tak dobrego i zdatnego chłopca synowi jej przyniosło, postanowiła stopniami zdejmować klątwę z jego niewinnej głowy i życie jego w domu swym znośniejszem uczynić.

Raz weszła do pokoju syna, gdy pana Orlickiego nie było, a chłopcy przygotowywali się na lekcyę arytmetyki o wyciąganiu pierwiastku sześciennego. Kasztelanowa usiadła sobie spokojnie przy stole nauczyciela, wzięła jakąś książkę i zaczęła czytać. Staś stał przy tablicy, pisał, mazał, skrobał się w głowę, poziewał; widać, że mu się i nie chciało pomyśleć, i nie pojmował jeszcze dobrze, o co to tam właściwie w tem wyciąganiu pierwiastku idzie. Eugeniusz już dawno był gotów i co innego robił. Ale że nie śmiał usiąść przy kasztelanowej, póki by nie kazała, stanął przy swoim stoliczku i patrzył na robotę kolegi. Po chwili rzekł:

— Nie tak, Stasiu! nie tak, tak nie dojdziesz do końca. Powinno być bez reszty.

— Czy ja wiem — rzekł Staś — dlaczego powinno być bez reszty?

— Dlatego, że sześcian zupełny.

— Jak to zupełny? — zapytał panicz ziewając.

— To ty jeszcze nie dobrze to rozumiesz, Stasiu! — rzekł Eugeniusz — poczekaj, ja ci to jeszcze raz wytłómaczę.

— Wytłómacz, proszę cię — odpowiedział Staś — dałem słowo panu Orlickiemu, że dziś lekcyę umieć będę tak jak ty. Nie tyle mi idzie o te głupie pierwiastki, które nie wiem na co są, i do czego przydać mi się mogą; ale jak już dałem słowo, to dotrzymać muszę, żeby tam nie wiem co.

Kasztelanowa uśmiechnęła się nieznacznie, słysząc tę rozmowę, a Eugeniusz przystąpił do tablicy, starł robotę kolegi i zaczął wykład całej nauki. Najprzód objaśnił mu co potęga w ogólności, a co pierwiastek, kiedy potęga zupełna, i kiedy pierwiastek zupełny, a kiedy tylko przybliżony. Potem przypomniał co kwadrat, co sześcian i z ilu części każdy się z nich składa. Wszystko to, co mu wytłómaczył, kazał powtórzyć, potem zręcznemi pytaniami jeszcze go wybadywał, czy każdą rzecz dobrze rozumie, i gdy otrzymał odpowiedź niedokładną, powtarzał objaśnienie z wielką cierpliwością i precyzyą. Gdy już zasady były wyłożone, gdy mu

przypomniał, jak się wyciąga pierwiastek kwadratowy, kazał mu zrobić sześcian zupełny i potem od niego wrócić do pierwiastku, z którego powstał, domagając się, aby wszędzie objaśnił przyczynę, dlaczego tak, a nie inaczej robi. Wszystko to trwało ze trzy kwadranse. Kasztelanowa siedziała i słuchała z największą uwagą. Gdy Staś jeszcze jeden przykład odrobił już zupełnie sam i bez żadnej pomocy, rzucił kredkę i klaszcząc w ręce zawołał:

— Teraz nie boję się pana Orlickiego. Nie powie, że nie umiem dotrzymać słowa. Dziękuję ci, Eugeniuszku! rozumiem już wszystko doskonale.

— Źleby było, mój Stasiu! — rzekła wówczas kasztelanowa — gdybyś nie zrozumiał. Eugeniuszek wytłómaczył ci to tak dobrze, tak jasno i tak cierpliwie, że i ja zrozumiałam.

Ten głos jej łagodny, to słowo pochwały, ten wyraz *Eugeniuszek,* który raz pierwszy z ust jej wyszedł, tak przeniknął biednego chłopca, który się już nigdy tego szczęścia nie spodziewał, że mu się łzy z oczu polały. Widząc to kasztelanowa, spojrzała na niego życzliwie, i zbliżywszy się i kładąc rękę na jego głowie, dodała:

— Nie płacz, moje dziecko! kontenta z ciebie jestem. Ucz się i pracuj dalej jak teraz pracujesz, a będziesz kiedyś dobrym nauczycielem i zapewnisz sobie przyzwoite utrzymanie.

Chłopczyk odurzony taką łaską, całował jej rękę i płakał; ona pogłaskała go jeszcze po twarzy, uściskała syna, przykazując, aby Eugeniuszka naśladował, i poszła. W przedpokoju spotkała wracającego nauczyciela, i wyciągając do niego rękę, rzekła z uśmiechem:

— Dziękuję panu, panie Orlicki, za tego towarzysza, jakiego synowi memu dałeś. Zastaniesz go tam pan we łzach; ale sądzę, że to są łzy radości.

Tym to sposobem pierwiastek sześcienny wpłynął na położenie naszego bohatera i wrócił najszczęśliwszemu wiekowi tę swobodę myśli i zapomnienie o troskach, nieodłącznych od dalszej wędrówki naszej na ziemi, co tak potrzebnem jest do wzrostu ciała i duszy, jak potrzebnym jest świeży ranek dla rozwijającej się rośliny, jak potrzebną jest wieczorna rosa, która zmywa z nieumocnionych jeszcze listków gryzącą kurzawę dzienną, i nowem życiem i siłą delikatną ich tkankę przenika.

Od tego dnia Eugeniusz ożywił się i ośmielił łaską pani, która mu ją coraz widoczniej okazywała. Ochota jego do nauki podwoiła się, pilnował Stasia gorliwie, żeby każdą lekcyę umiał dobrze; Jadwisi, która czy z potrzeby, czy może tylko dla zrobienia mu przyjemności, prosiła go czasem o objaśnienie, tłómaczył z jakąś radością, której nie pojmował, to pierwsze

działania arytmetyki, to niektóre lekcye z historyi, to jej pomagał w rysowaniu kart geograficznych, przez co jej naukę geografii ułatwiał. Kasztelanowi, który już śmielej okazywał mu swoje przywiązanie, czytywał gazety polskie, wtedy kiedy ten malował lub biust jaki lepił. A nawet do tego stopnia wziętości przyszedł, że kasztelanowa, słysząc u męża jego czytanie, gładkie, jasne i zrozumiałe, kazała mu raz przyjść do siebie po skończeniu lekcyj, i czytać sobie jakąś ciekawą i nauczającą książkę polską, a ona i Jadwisia, zajęte robotą, pilnie go słuchały. Nic go tak nie cieszyło, jak ten honor, który otrzymał, jak ta łaska kobiety, której niechęć przezwyciężył, której nie przestał bać się i drżał na każdą chmurkę, jaką na czole jej spostrzegał, ale którą zaczynał szanować i czuć dla niej wdzięczność i przywiązanie.

VI.

Szybko i niepostrzeżenie przeszedł rok od przybycia Eugeniusza do domu kasztelana. Miło i wesoło schodziły mu dnie na pracy, na korzystaniu z rozumnego i obszernego wykładu nauk; na przypatrywaniu się rzeczom pięknym i gustownym; na przysłuchiwaniu się rozmowom ludzi tak oświeconych i interesujących się tem wszystkiem, co się ważniejszego i ciekawszego działo na świecie; na zabawach, gdzie każdy

ściśle strzegł przyzwoitości i miary; na przywykaniu do tych form wyższego towarzystwa tak gładkich i ujmujących; wreszcie na oswojeniu się i zamiłowaniu tych wszystkich wygód, jakie miał, tej piękności i ozdoby w przyborach równie stołu, jak odzienia, mieszkania i tego wszystkiego, co pańskiemu życiu przydaje okazałości i powabu. Z natury usposobiony do porządku, czystości i pewnej elegancyi, co już i w szkołach objawiał, przylgnął on bez trudności, a nawet z wewnętrznem ukontentowaniem do tego życia, jakie go otaczało, i polubił te złocone i piękne ramy, w które je zamożność i gust oprawiają, aby się tem powabniejszem wydało, i tem wyraźniej od biedniejszego kołatania się na tej ziemi w troskach i niedostatku odróżniło.

W drugiej połowie lipca, z oficyalistą kasztelana, jadącym za interesami w strony Krasnegostawu i Zamościa, przyjechał Eugeniusz na kilka dni do domu. Ignaś już tam był na wakacyach z patentem szkoły powiatowej, którą chlubnie ukończył. Eugeniusz w pierwszej chwili uradował się niezmiernie widokiem ojca, ciotki, proboszcza, a szczególniej Ignasia. Obaj chłopcy nagadać się z sobą nie mogli, ale wkrótce spostrzegli, że się już nie tak dobrze, jak dawniej rozumieją. Ignaś prawił mu o kolegach, o nauczycielach, o wszystkich wypadkach

i przygodach, jakie się w tym ostatnim roku zdarzyły w szkole; spostrzegł jednak, że to jakoś nie bardzo interesuje Eugeniusza, który nawzajem widział to dobrze, że się Ignaś nie zachwyca opisami tych wszystkich wspaniałości, tego dostatku i bogactwa, wśród którego żyje, a o czem młodszemu bratu starał się najpochlebniejsze dać wyobrażenie. Prawie zmartwił się Eugeniusz, widząc, że Ignaś przerywał mu ustawicznie swojemi opowiadaniami, że naprzeciw okazałości dworu stawiał prostotę i swobodę dworku ojcowskiego, że nie okazywał najmniejszej chęci poznania tych pałacowych delicyj, ani ciekawości widzenia tych srebrnych naczyń, z których Eugeniusz pijał kawę i herbatę, tych jedwabnych krzeseł, na których siadał, tych pięknych i wysokich koczów, w których jeździł. Kochali się oni serdecznie, ale po kilku dniach wspólnego z sobą przebywania poczuli obaj, że myśli ich innemi i odstającemi od siebie zaczęły iść drogami.

Proboszcz kontent był bardzo z Eugeniusza, rozgadawszy się z nim o różnych rzeczach, i spostrzegłszy, jak wiele się nauczył, jak znacznie się rozwinął, jak zdrowe i pewne ma zdanie o takich rzeczach, których nie znałby pewnie, aniby o nich słyszał, gdyby był przebył ten rok zwyczajnie, na rozmaitego gatunku zabijających gramatykach, a nie w towarzystwie

ludzi tak światłych i tak żywo interesujących się tem wszystkiem, co w życiu naszem jest rzeczywiście ważnem, co jest dobrem i pięknem. W tym sensie mówił on o Eugeniuszu z panem Sebastyanem, który słuchał pochwał tych w milczeniu, gładząc wąsy i nie podzielając radości księdza Macieja, który dziełem swem niezmiernie się cieszył. Nie objawił pan Sebastyan swej myśli, ale w duszy nie podobało mu się najprzód wykwintne i paniczowskie ubranie Eugeniusza, w którem mu wprawdzie było bardzo ładnie, ale staremu wydało się, że chłopiec to wie, że do powierzchowności swej większą już, niż warto, przywiązuje cenę, że ojcowska kapota i mundurek brata wydają mu się czemściś biednem, niewłaściwem jego usposobieniu, i takiem, do czegoby nie chciał już wrócić. W innych rzeczach spostrzegł także wykwintniejsze gusta i tę przykrość, jaką synowi jego robił widok pobielonych ścian w izdebkach małych i zastawionych prostymi sprzętami z dębu i lipy. Przy śniadaniu zdawało mu się, że się Eugeniusz krzywił na cynową łyżeczkę, którą musiał mięszać kawę, a przy obiedzie uważał pan Sebastyan, że jadł bardzo mało, że wziął ledwie kilka łyżek barszczu, który jednak był smaczny, że pogmerał tylko w zrazach i kaszy greczanej ze słoninką, którą dawniej tak lubił, a której ogromną porcyą stary sprzątnął i nie

znajdował, aby potrawie tej czego bądź brakowało. Wszystko to napełniało go jakimśćiś smutkiem, który jednak pokrywał, i prawie żalem, że się dał nakłonić do wypuszczenia syna z pod swego oka, do przeszczepienia na inny grunt, gdzie się może zmienić jego natura, gdzie może wprawdzie wybujać, ale przywyknie do atmosfery, która według jego wyobrażenia, nie jest tem prostem i zdrowem powietrzem, do jakiego się zrodził. Nie dawał jednak pan Sebastyan wprost żadnych w tej mierze upomnień synowi, bojąc się, aby nie naprowadził go na myśli, których może nie ma, i zamiast naprawić rzeczy, nie pogorszył jej jeszcze. Gdy jednak panna Teresa, która nie mogła się swoim Eugeniuszkiem nacieszyć, której wszystko się w nim spodobało, i tak ładnie zaczesane włosy, i kołnierzyk tak ślicznie wyłożony, i kurteczka z cienkiego sukna, ściskając i pieszcząc siostrzeńca, mówiła: — mój drogi chłopaczek! jak to wygląda, jak jakie paniątko! jak mu ślicznie w tej kurteczce, jak zgrabnie w tych trzewiczkach, i t. p.; — gdy Eugeniusz to tego, to owego nie jadł, a ona dodawała z pewnym rodzajem dumy: — gdzie jemu teraz do pierogów z serem i do kapusty z kiełbasą! czy on na takich rzeczach wykarmiony, mój kochany gagacik! jemu potrzeba pasztetów, marcepanów i francuskiego ciasta i t. d. — wtedy pan Se-

bastyan zniecierpliwiony, marszcząc czoło, głosem surowym i stanowczym mówił:

— Moja panno Tereso! gadasz trzy po trzy, i wmawiasz w chłopca rzeczy, które mu się nie śnią. Wie on, mosanie, bardzo dobrze, że się urodził do grubego sukna, a nie do sajety, jeżeli własną pracą i usposobieniem się do lepszego stanu nie będzie mógł sobie zarobić i na lepsze odzienie, niż ojcowska kapota, w której także dobrze jest, kiedy za nią nie trzeba nikomu się kłaniać i wysługiwać. Ładnie jest człeku w każdej sukni, kiedy odpowiada jego stanowi, kiedy nie pożyczona, i kiedy można w niej każdemu śmiało spojrzeć w oczy. A i cienkie sukno źle pokrywa próżniaka, który wstydzi się grubej sukmany i pracy, a nie wstydzi się cudzej łaski, przyjmuje sukienkę z pańskiego grzbietu, i na marcypanik, który spada z pańskiego stołu, czeka jak piesek, który służy. Każdy z nas prosi codziennie Pana Boga, aby mu dał chleb powszedni, ale nie prosi o torty i pasztety, którymi i panowie nie codzień żyją, a dopieroż takie biedaki, jak Eugeniusz. Jeszcze on wprawdzie dziecko i nie rozumie życia, ale wie o tem dobrze, że nie przysmaki, a zwłaszcza dane z łaski, przynoszą siły i zdrowie, ale własny kawałek chleba, na który trzeba zarobić i który dopiero wtedy smakuje. Że nie jadł dziś z wielkim apetytem

pierogów, to zapewne dlatego, że mu się jeść nie chciało, i żeś go tam może panna Teresa jakimi przysmaczkami ze swojej szafki okarmiła. Nie taki on głupi, jak się pannie Teresie wydaje, żeby czekał tu na francuskie ciasta, i bał się powalać sobie gębę kapuśniakiem, który dawniej zajadał, wiedząc zwłaszcza, że ojciec i na taką strawę musi w pocie czoła zapracować.

Te ostatnie słowa pan Sebastyan wymówił dobitniej, patrząc surowo i bystro synowi w oczy. Panna Teresa umilkła, i jak zwykle pomyślała, że ojciec zanadto jest srogim dla takiego dziecka, które i powierzchownością i sercem i głową zasługiwało tylko na pieszczotę i miłość. Ale czternastoletni Eugeniusz, który przez rok żyjąc między obcymi, i widząc, zwłaszcza z początku, niechęć tej, od której jego spokój i swoboda zależały, nauczył się czytać z twarzy jej, co myśli, i co waży każde jej słowo, zrozumiał tę uboczną naukę i odgadł dlaczego ojciec od kilku dni był dla niego obojętniejszym i surowiej się z nim obchodził. Roztropny chłopczyk czując to dobrze, że mu się dom ojcowski i wszystko co w nim widział, nie tyle już podobało jak dawniej, kiedy nic lepszego nie znał, wniósł, że ojciec musiał to w nim spostrzedz, i że mu to musi być przykro. Zawstydził się więc w duszy i przez te kilka

dni, które jeszcze został w domu, nie okazał żadnej niecierpliwości powrócenia tam, gdzie go nabyte tak prędko nawyknienie ciągnęło, bawił się wesoło z Ignasiem i podzielał jego serdeczne zajęcie wszystkimi szczegółami ojcowskiego gospodarstwa, zajadał ze smakiem obiad i wieczerzę, i dostrzegł z radością, że się oblicze ojca, którego się bał i którego niezmiernie kochał, rozjaśniło, że zatem w tej jego skłonności do pańskiego życia, którą objawił, musi być coś złego, kiedy się to ojcu nie podobało i oziębiło dla niego to serce, w którem wiedział, że jest tyle gorącej miłości. Ten jego domysł sprawdził się przy pożegnaniu. Gdy się rzucił ojcu do nóg, wtedy stary podniósł go, z dziwnem jakiemściś i niezwykłem mu wzruszeniem tulił go do piersi, ściskał i całował, jak gdyby go już nigdy nie miał obaczyć, i nareszcie puszczając ze swego objęcia, rzekł:

— Jedź już, chłopcze, jedź. Niech Bóg i Jego święci czuwają nad tobą! Ucz się wszystkiego, co dobre, co ci otworzy drogę w życiu, co ci da chleb powszedni, co ci się przyda, czy będziesz miał nad sobą wysoki dach, czy nizką i słomianą strzechę. Szanuj tych, co ci okazują serce i przychylność, ale nie równaj się z nimi. Nie przywiązuj się do marnych rzeczy, bez których oni być nie mogą.

Strzeż się, abyś nie rozmiękczył swego ciała, bo i dusza twa rozmięknie, i zlęknie się biedy, która stoi za plecami każdego. Nie zapominaj, z jakiego wyszedłeś gniazda, i nie oblepiaj się piórkami, które nie twoje. Pamiętaj, mój synu! — dodał, całując jeszcze raz jego głowę — że Bóg błogosławi tylko takiej drodze, którą ojciec przeżegnał, wyprawiając dziecko swe od siebie. Ja żegnam twoją w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Idź nią tedy śmiało, choć mnie nie będzie; ale niech cię zawsze wspomnienie rodzicielskiego domu, praca i życie ojca twojego ostrzega, jeżeli z niej zboczysz i ukochasz zbytek, próżnowanie, lub, czego Boże uchowaj, zechcesz zarabiać nie trudem głowy lub ręki, ale pochlebnym językiem i spodlonem i zaprzedanem sercem.

Wszyscy obecni, słuchając tych słów, drżącym, ale przenikliwym wymówionych głosem, płakali. Eugeniusz płakał także, a choć nie pojmował jeszcze dobrze, co ojcu takie podało myśli, dlaczego wziął tak seryo i tak głęboko uczuł to, co i on miał za uchybienie, ale nigdy za rzecz tak dalekich konsekwencyj, utkwił sobie jednak w sercu przestrogi ojcowskie i często o nich rozmyślał.

Pan Sebastyan po wyjeździe syna był niepocieszonym. Humor jego zmienił się zupełnie. Walka, jaką z sobą staczał, była widoczną.

Ten jego stan pogorszał jeszcze niedostatek środków do kontynuowania edukacyi Ignasia, którego obrócił do gospodarstwa, myśląc z żalem, że chłopiec tak zdatny, tak ożywiony i praktyczny, będzie musiał zagrzebać swe zdolności w kącie takim, jak Sawin, i poprzestać na tem, czego się w szkole powiatowej nauczył. Wprawdzie proboszcz nalegał i prosił, aby ten dług, który mu pan Sebastyan zaraz po żniwach oddał, użyty był znowu na wysłanie Ignasia do gimnazyum, ale stary i słuchać o tem nie chciał, i tak rzeczy zostały do jesieni.

Przy końcu października pan Sebastyan zapadł na zdrowiu. Nie chorował on nigdy, i tem niebezpieczniejszem okazało się zapalenie, które go od razu z nóg zwaliło. Co właściwie było powodem choroby, postępującej szybko i gwałtownie, czy wewnętrzne jakie cierpienie, którego przemódz nie mógł i które pokrywać starał się, czy zbytek pracy i nieoszczędzanie się przy pierwszem objawieniu się niemocy, oznaczyć było trudno; dosyć, że gdy za staraniem zmartwionego proboszcza przybył lekarz z Chełma, już było za późno. Objawił on, że chory może jeszcze kilka dni pociągnąć, ale że przełamać złego niepodobna, że zatem potrzeba go przygotować do polecenia duszy swej Bogu, a majątku i dzieci ludziom.

Ze łzami w oczach proboszcz przystąpił do

tak trudnego obowiązku. Pan Sebastyan, przytomny na umyśle, wysłuchawszy przyjaciela przeżegnał się i rzekł:

— Niech się dzieje wola Boża. Starałem się tak żyć, żeby mnie śmierć nie przestraszała. Jak śmiało zawsze patrzyłem w oczy ludziom, tak śmiało spojrzę na oblicze tej, co mnie zaprowadzi przed sąd Boga. Nie jestem bez win, ale wierzę w nieskończone miłosierdzie Tego, co serce moje utworzył ułomnem i grzechowi podległem. Jego łasce polecam moją duszę, Jego opiece moich chłopców, których starałem się w bojaźni Bożej wychować. Tu na ziemi, ty przyjacielu będziesz ich opiekunem i zastąpisz im moje miejsce, póki będą potrzebować rady i opieki.

Gdy proboszcz przyrzekł, że jak nad własnemi dziećmi czuwać nad nimi będzie, dodał pan Sebastyan:

— Każ, księże Macieju, przywołać burmistrza i nauczyciela szkółki, podyktuję ci przy nich testament, którego sam napisać nie mogę.

Gdy wezwani przybyli, pan Sebastyan podyktował ostatnie swe rozporządzenie w trzech punktach. W pierwszym zupełny zarząd majątku swego oddał proboszczowi, aż do pełnoletności Ignasia; w drugim bezwarunkową opiekę nad dziećmi swemi, z wyłączeniem wszelkiego wpływu i mieszania się krewnych, tak jego, jak

i żoninych, poruczył temuż proboszczowi, zostawiając to jego uznaniu, czy ma Eugeniusza zostawić w domu kasztelana, czy go stamtąd odebrać i razem obu braci edukować w szkołach. W trzecim obowiązał równie opiekuna, jak synów swych, gdy przyjdą do pełnoletności, aby panna Teresa miała do śmierci przytułek i schronienie pod ich dachem.

Gdy akt ten został podpisany, złożył go w ręce burmistrza, a ściskając dłonie proboszcza, dodał:

— Dziękuję ci, księże Macieju, za twoją przyjaźń. Bóg widzi, że nie sądzę się jej godnym i tem pokorniej wznoszę myśli do nieba, dziękując Stwórcy memu za tę łaskę, jaką mnie na ziemi obdarzył. Prosiłem codzień w pacierzu o miłość ludzką, i ta prośba, widać, że nie była daremną, bo dosyć dla człowieka i w życiu i przy śmierci, aby jedno takie serce, jak twoje, było przy nim. Na jutro rano, jeżeli jeszcze jest czas, proszę cię, księże Macieju, w innym charakterze. Zapomnij o tem, że przychodzisz do przyjaciela, a jako sędzia przychodź do człowieka, który odkryje ci swoją duszę, abyś ją rozgrzeszył i umocnił. A teraz zostawcie mnie z sobą samym; obrachuję się ze swem życiem, abym był gotów do drogi.

Wszystko to wymówione było z pokojem i z mocą duszy, która do gruntu serca przeni-

kała obecnych. Nazajutrz odbyła się spowiedź i przyjęcie świętych Sakramentów. Obrzęd ten uroczysty i zbawienny jeszcze bardziej uspokoił pana Sebastyana; a choć choroba postępowała niezmiernie szybko, duszność się wzmagała, oddech stawał się coraz prędszym i trudniejszym, znosił on stan swój z dziwną mocą; mówił, ile mógł, z taką przytomnością, że proboszcz nie mógł wstrzymać łez, widząc to chrześcijańskie poddanie się woli Bożej, i tę ufność człowieka, który w ostatnich chwilach dochował tę niezłomność charakteru, jaką miał w ciągu życia, i ani niecierpliwym jękiem nie zdradzał bólu ciała, ani trwożnem westchnieniem nie okazał zwątpienia i upadku ducha.

Zaraz po oświadczeniu lekarza, że choroha jest nieuleczoną, posłał proboszcz po Eugeniusza. Ale pan Błażej, który po niego jeździł, przywiózł tylko list od księdza Augustyna, że kasztelaństwo z dziećmi wyjechali na zimę do Warszawy, gdzie chłopcy edukacyą swą kontynuować będą, i skąd Eugeniusz miał do ojca napisać. Był to cios bolesny dla pana Sebastyana, ale przyjął go z poddaniem się, i rzekł:

— Przeżegnałem drogę jego, gdy stąd wyjeżdżał. Widać, że to było natchnienie Boże. Czułem ja wtedy, że już drugiego chłopca mego nie obaczę więcej. Księże Macieju! napisz mu, żem go błogosławił umierając. Niech nie

zapomni moich ostatnich przestróg, bo mu się przydać mogą.

Tego samego wieczora, pożegnawszy przyjaciół, pobłogosławiwszy Ignasia, oddał ducha Bogu pan Sebastyan: człowiek rzadki ze swej prawości i charakteru, surowszy dla siebie, jak dla drugich, niezłomny w swych zasadach, szanujący stan, w jakim się urodził, i bojący się zrobić mu ujmę albo cudzą krzywdą, albo cieniem jakiejbądź podłości.

Całe miasteczko szło ze czcią za skromną trumną, za którą tuż postępowała panna Teresa, trzymając za rękę zanoszącego się od płaczu Ignasia. Złożono pana Sebastyana obok żony, i wkrótce w cichym dworku jego panna Teresa tylko krzątała się ze łzami w oczach, Ignaś siedział w kąciku i myślał co z sobą począć, a nad mogiłami jego rodziców lipy szumiały, jakby wyrażając powitanie się z sobą tych dwóch dusz, połączonych już na wieki i związanych tem mocniej sieroctwem dzieci, które na ziemi zostawiły.

Proboszcz, objąwszy zarząd domu nieboszczyka i jego interesów, ciągnął dalej gospodarstwo, jak zastał, i w dawniejszym utrzymywał je porządku. Nikt z krewnych mu nie przeszkadzał, gdyż obaj bracia panny Teresy, wiedząc o szczupłości funduszu, który pan Sebastyan zostawił, i zmiarkowawszy, że z opieki nad tą

pozostałością nietylko się im nic nie okroi, ale może im tylko przybyć kłopotu dosyć, i zwali się na ich głowy ciężar edukacyi chłopców i utrzymania siostry, siedzieli obaj cicho, jak gdyby o śmierci szwagra nie wiedzieli. Co widząc proboszcz i domyślając się, że zapewne z tego powodu żaden z nich nie pokazuje się nawet w miasteczku, dla zaspokojenia ich, a może dla zawstydzenia ich obojętności, doniósł im, że przed dwoma tygodniami pan Sebastyan umarł i opiekę nad pozostałym majątkiem i dziećmi jemu zostawił, z tem wyraźnem zastrzeżeniem, aby się do jego rozporządzeń tak co do funduszów, jak i dalszego kierunku synów jego nikt z krewnych nie mieszał.

Wtedy dopiero obaj, wiedząc, że jest pora popisania się z sercem i ofiarowaniem usług i pomocy, w tem przekonaniu, że gotowość ich przyjętą nie będzie i wszystko skończy się na słowach, rozpisali się z żalami swoimi nad stratą człowieka, którego wysoce poważali, oświadczając, że gotowiby byli zająć się i jego majątkiem i dziećmi, ale gdy z przykrością dowiadują się, że im nie ufał, muszą poprzestać na dobrej chęci, której nie tają przed nikim, aby ludzie, sądzący zwykle z pozorów i chętnie wierzący złemu, nie myśleli, że w rzeczy samej zapomnieli, że biedne te sieroty są dziećmi ich rodzonej siostry, i że ich serce dla nich jest zamknięte.

Ksiądz Maciej gorzko się tylko uśmiechnął czytając oba te listy, które go prawie jednocześnie doszły, a ze stylu i treści zmiarkował, że oba dyktował pan Piotr, który miał się i za pana i za polityka, a bezdzietnemu bratu, sknerze, o którego funduszach wielkie miał wyobrażenie, nadskakiwał, chociaż nie miał dla niego ani przywiązania, ani szacunku, narzucał mu się zawsze ze swemi radami, choć go ten o to nie prosił, i czuwał nad nim, jak tylko mógł najpilniej, aby się nie ożenił, zawsze w tej myśli, że jeżeli nie on sam, to dzieci jego będą spadkobiercami tych skarbów, które pan Marcin zbierał, dusił i przed okiem wszystkich jak najstaranniej chował. Nie zniszczył wszakże ksiądz Maciej tych listów, jakkolwiek o ich nieszczerości był przekonany, ale złożywszy je starannie, zamknął do swojej szufladki na dalszy czas, sądząc, że mu się mogą kiedyś przydać, jeżeli nie dla tej gotowości, którą w duszy miał za szczere kłamstwo, to dla zawstydzenia hipokrytów, jeżeli udawszy się do nich w jakiej potrzebie swych wychowańców, otrzymałby wykrętną odpowiedź, jaką był pewny, że udzielą.

Napisał także ksiądz Maciej i do kasztelana, uwiadamiając go o śmierci przyjaciela i polecając Eugeniusza dalszej jego łasce i opiece. Wszakże dodał, że gdy testamentem pana

Sebastyana naznaczonym został opiekunem małoletnich jego synów, z zupełnem prawem zarządzania dalszym kierunkiem ich wychowania, prosi go tedy, aby mu raczył donieść, jakie są jego intencye względem Eugeniusza, czy są z niego kontenci, czy nie będzie dla nich ciężarem, czy szczupły fundusz, jaki pozostał po ojcu, ma rozdzielić pomiędzy dwóch synów jego, czy użyć go na edukacyę tylko młodszego, co chociaż nie przyjdzie bez trudności, ale jako tako wystarczy.

Wkrótce odebrał ksiądz Maciej odpowiedź kasztelana, pełną serca i żalu nad przedwczesnym i niespodziewanym zgonem krewnego, dla którego szczery miał szacunek. Pan Kazimierz oświadczył najprzód ogółowo, że oboje bardzo są kontenci z Eugeniusza, że całą jego dalszą edukacyę, zupełne utrzymanie i zajęcie się dalszym jego losem i umieszczeniem na świecie tak, aby mu było dobrze, biorą na siebie; dalej dodał, że już Eugeniusz wie o stracie, jaką poniósł, że jego żal i miłość jaką miał dla ojca, tem więcej ich ujęła; że żona jego, która polubiła go szczerze, sama o nieszczęściu tem go uwiadomiła i oznakami swego przywiązania stara się go pocieszać i żal jego utulić. List ten, który proboszcza uspokoił, niezmiernie go oraz ucieszył, kończył się bowiem temi pochlebnemi słowy:

»Przekonany jestem, że nieboszczyk nie mógł w lepsze ręce oddać opieki nad dziećmi swemi, jak powierzając ją przyjacielowi takiemu, jakim waćpan dobrodziej dla niego byłeś. Nie wyjdzie mi nigdy z pamięci ta chwila, kiedym waćpana dobrodzieja poznał i dowiedział się, po co do domu mego przybyłeś. Powziąłem zaraz wysokie wyobrażenie o was obu; bo jeżeli bezinteresowne przywiązanie zawsze i wszędzie było rzeczą rzadką, tak, że w dziejach ludzkości policzyć można tych, którzy się tym sposobem kochali, że w każdym razie nieśli sobie wzajemną pomoc, to nigdzie nie jest rzeczą rzadszą jak u nas, gdzie interes jest sprężyną wszelkiego działania, wszelkich oznak przychylności, i kieruje niemal każdą przysługą, jaką jedni drugim oddajemy. Waćpan dobrodziej jesteś wyjątkiem z tego prawidła, z którego nie wyjmuję i siebie. Kto wie, czybym był oddał tę przysługę krewnemu, do jakiej mnie gorliwość przyjacielska waćpana dobrodzieja skłoniła, gdybym był nie miał tej myśli, że chłopczyk, którego do domu mego wezmę, i któremu z moim synem edukować się pozwolę, temuż synowi memu arcypożytecznym się stanie. Ta interesowana z mojej strony gotowość byłaby dostateczną, abym się w nadziejach moich zawiódł. Ale Bóg łaskaw, i zapewne to czystość serca waćpana dobrodzieja sprawiła, że wszystko

dotąd idzie jak najlepiej, że Eugeniuszek we wszystkiem dobrem jest dla syna naszego wzorem, przykładem i zachętą. Dziękuję więc jeszcze raz waćpanu dobrodziejowi za to, że go mam w domu moim, powtarzam, com wyżej wyraził, i co jest postanowieniem równie mojem, jak i mojej żony, że się dalszym losem jego zupełnie zajmiemy. Żebym zaś choć w części zbliżył się w bezinteresownem zajęciu się i drugim synem ś. p. pana Sebastyana, posyłam tymczasowo 400 złotych reńskich, które mogą się przydać na ulokowanie go w gimnazyum. Sądzę bowiem, że waćpan dobrodziej podzielasz w tej mierze moje przekonanie, iż to jest rzeczą konieczną. Już i dla tej przyczyny nie należałoby go zostawiać w domu i poprzestać na tej szczupłej nauce, jaką otrzymał w szkole powiatowej, że Eugeniusz będzie miał wychowanie bardzo staranne i takie same, jakie synowi naszemu damy. Nierówność tedy wykształcenia w dwóch braciach może być szkodliwą ich braterskiej miłości. Nie pojmując się głowami, nie pojmą się i sercem, i to może ich dla siebie zabojętnić i przyłączyć do tej niesłychanej u nas liczby krewnych, którzy się nie rozumieją i stają się dla siebie zupełnie obcymi. Chociaż nie będę mógł być obecnym na radzie familijnej, którą waćpan dobrodziej zbierzesz dla zachowania żądanych przez prawo formal-

ności, proszę mnie tam zamieścić, jako jej członka. Za przybyciem mojem do Zabuża podpiszę protokół tej rady, a niniejszem upoważniam waćpana dobrodzieja do działania na mojem miejscu, zatwierdzając z góry wszystko to, co postanowisz. Proszę mi donieść, co się zrobi z bratem Eugeniuszka, gdzie i w jakiej szkole umieszczonym zostanie. Powtarzając raz jeszcze zapewnienie najszczerszego szacunku, jaki mam dla osoby waćpana dobrodzieja, mam honor i t. d.«

Skoro rada familijna, na której pan Piotr i pan Marcin Jelewscy szeroko i głośno rozwodzili się ze swym żalem, że im działać dla dobra dzieci nie wolno, zatwierdziła głównym opiekunem księdza Macieja, jak tego testament wymagał, zawołał on Ignasia do siebie i oznajmił mu, że za kilka dni odwiezie go do Lublina, do gimnazyum. Chłopak ucieszył się niezmiernie i ucałowawszy rękę księdza, pobiegł do cioci, zwiastować jej tak dobrą nowinę. Gdy panna Teresa zaczęła mocno płakać i narzekać, że zostanie samą i opuszczoną, Ignaś pomyślał trochę, a potem rzekł:

— Poczekaj no ciociu! przychodzi mi dobry projekt. Pobiegnę zaraz do księdza proboszcza, i jeżeli się zgodzi, to i ty ciociu pojedziesz do Lublina i będziemy tam razem.

— Cóż ty masz za projekt? — zapytała kiwając głową panna Teresa.

— Doskonały, ciociu! — odpowiedział czynny i praktyczny chłopczyk. — Widziałem ja w Hrubieszowie, jak takim samym sposobem jeden mój kolega postąpił i udało mu się pomódz matce i z nią być razem. Musiał prawda przysiedzieć fałdów z trzema pierwszoklasistami, których matka przyjęła, i oprócz tego, że się sam uczył, i ich jeszcze uczyć; ale to niewielka sztuka. Czy to ja jednemu korrepetytowałem i z drugiej i z trzeciej klasy! A swoich lekcyj nauczę się prędko, czasu będzie dosyć, a ochotę będę miał zawsze, bo za to będę z tobą ciociu, i ty będziesz naszą gospodynią.

Panna Teresa uściskała go serdecznie, a proboszcz, któremu Ignaś tego samego dnia plan swój rozwinął, pokiwał głową i rzekł:

— To, to, to! widzisz go, jaki mądry! ani wiesz jaki to ten Lublin, jaki tam porządek w szkołach, czy pozwolą takiemu jak ty smarkaczowi brać się do uczenia drugich, a już zaraz i projekt ma i gotów wykonywać, co pomyślał. Ale dobrze, żeś pomyślał przynieść ulgę ciotce własną pracą i sobie radzić — dodał ksiądz Maciej pogłaskawszy Ignasia — tylko, że to widzisz, mój chłopcze, w każdym projekcie jest dwie rzeczy: myśl i jej wykonanie. W myśli wszystko jest łatwe, wszystko się uprząta, co zawadza, wszystko zaś to co pomaga, zgarnia się i zbiera; bo w głowie, która coś

ułożyła, są zaraz i środki na każdy przypadek. Ale jak przyjdzie do wykonania, oho! to już inna rzecz. Tam przeszkód bez liku, i każdą trzeba wprzódy poznać, zważyć i napocić się z nią, nim ją usuniesz; tam środków potrzeba wiele, a każdy powinien być taki, żeby wystarczył i sprawił żądany skutek.

— A cóż to wielkiego, proszę księdza proboszcza — rzekł czternastoletni przedsiębiorca. — Jak Sakowski zrobił w Hrubieszowie, tak ja zrobię. Najmiemy dwie stancye z kuchenką; w jednej będzie mieszkać ciocia, a w drugiej ja z trzema uczniami z pierwszej, a choćby i z drugiej klasy. Potrafię ja im objaśnić każdą lekcyę i nie polenię się pewnie.

— Na to potrzeba wiedzieć najprzód, czy ci pozwolą mieć trzech uczniów — rzekł proboszcz.

— Jak mnie przeegzaminują, to pozwolą — odpowiedział chłopczyk z determinacyą. — Michałowskiemu, który przeszłego roku zdał egzamin do piątej, pozwolili, chociaż w patencie hrubieszowskim nie miał i połowy *celujących*, jakie ja mam.

— Dajmy, że pozwolą — mówił dalej proboszcz — skądże wiesz, że zaraz będziesz miał tych trzech uczniów, co ci zapłacą? a stancyę trzeba nająć, trzeba graty przewieźć, trzeba żeby ciotka z kuchnią i sługą pojechała,

i wszystko to trzeba żywić z gotowego. A gdzież ta gotowizna? czy ją masz?

Ignaś zamyślił się, potarł ręką czoło, potem rzekł:

— Wie ksiądz proboszcz, jak zrobić?

— No, jak? — zapytał stary, patrząc nań z uśmiechem.

— Folwarczek nasz puścić w dzierżawę, to i gotowizna będzie i ksiądz proboszcz będzie miał daleko mniej kłopotu z gospodarstwem.

— To, to, to! — zawołał proboszcz, robiąc palcem zwykłą spiralną. — Patrzaj! patrząj! jak to jemu zaraz do głowy przychodzi dobra myśl. Ej! chłopcze! chłopcze! co z ciebie będzie! Dzierżawa! łatwo to powiedzieć. Już i ja o tem myślałem, i w rzeczy samej byłoby dla ciebie więcej gotowego grosza. Ale skąd tu wziąć dzierżawcę? Myślisz, że tak tupnąć nogą, to zaraz jak grzyb wyjdzie z pod ziemi uczciwy i gospodarny człowiek, z gotowizną w kieszeni? Na to trzeba czasu i starania. Nie chciałbym lada komu oddać w ręce wasze dobro, żebym potem waszą krzywdę miał na sumieniu. Ale to się zrobi, tylko poczekawszy, jak się co porządnego zdarzy. A wtedy i dalsze twoje projekta względem przeniesienia się ciotki mogą przyjść do skutku, jeżeli masz chęć pracować i zawczasu myśleć o tem, abyś na świecie dał sobie radę własnemi siłami.

— O! że mam, to mam. Może ksiądz proboszcz być pewnym — odpowiedział czerwieniejący się Ignaś, patrząc śmiało w oczy zacnemu kapłanowi.

— Jest to chęć szlachetna i pan Bóg ci pobłogosławi, a ojciec ucieszy się w grobie, że masz takie myśli, które go przez całe życie nie odstępowały — dodał proboszcz i sam wzruszony i patrzący z przywiązaniem na ładnego chłopczyka, z którego ócz na wspomnienie ojca łzy się potoczyły. Potem dodał: — Tymczasem pojedziesz sam. Ulokuję cię jak będę mógł najlepiej. Rozpatrz się, jak to tam rzeczy idą, obrachuj sobie dobrze, co będzie kosztować utrzymanie, kiedy i ciotkę i kilku chłopców jeszcze będziesz miał na głowie. A jak się dasz poznać z pilności i obyczajów, to ci i zwierzchnicy chętniej pozwolą pomagać sobie własną pracą, i rodzice śmielej oddadzą ci dzieci, jak im te dzieci powiedzą, że to najpierwszy uczeń z piątej klasy, który z pierwszą nagrodą przeszedł do szóstej.

— Prawda — rzekł Ignaś pomyślawszy — tak będzie najlepiej, jak ksiądz proboszcz mówi, tylko trzeba pierwszą nagrodę w piątej klasie dostać. Kto to wie. Nie święci garnki lepią. Może i mnie się uda.

— Jak Pan Bóg dopomoże i da zdrowie i chęć wytrzymałą i niezłomną — dodał pro-

boszcz. — Bez pomocy boskiej nie ma nic, i choćbyś był świętym, to garnka nie zlepisz. No, idźże teraz i przygotuj się do spowiedzi. Jutro przede mszą czekać cię będę w konfesyonale, a po mszy dam ci komunią świętą. Tak się, umocnij, chłopczyku, w dobrych twych zamiarach, a z łaską Bożą udadzą ci się i wyjdziesz na ludzi.

— A kiedyż pojedziemy, księże proboszczu? — zapytał Ignaś całując go w rękę.

— Za trzy dni — odpowiedział proboszcz.

Ignaś wrócił do panny Teresy, opowiedział jej całą swą rozmowę z księdzem Maciejem, uspokoił ją, że najdalej za rok będą razem, a tymczasem przyjedzie na Wielkanoc i na wakacye, i wziął się do zbadania swojego sumienia. Z początku przeszkadzały mu jego piękne projekta; wyobrażał sobie to miasto, do którego miał się udać, a którego nie znał, przyszłych swych zwierzchników i kolegów; myślał, jak to on będzie gospodarzem domu, jak będzie odpowiedzialny za postęp i obyczaje uczniów, których mu powierzą, i po tej nitce rojeń, co go uniosły aż do tego poczucia własnej siły i możności stania się użytecznym sobie i drugim, przyszedł do przypomnienia ojca, którego duchowi sprawi to pociechę i radość, jeżeli duchy doznawać jej mogą. To wyobrażenie niedawno obecnego, a dziś pod

ziemią leżącego ojca rozrzewniło go tak, że upadł na kolana, zaczął się modlić i myślą przechodził wszystkie czynności, czy były takie, żeby je pochwalił ten, którego stratę opłakiwał. Tym sposobem przygotował się do spowiedzi, którą odbył ze skruchą, a przyjąwszy święty Sakrament, spokojny i pełen nadziei, wziął się do spakowania swoich rzeczy i książek.

Piątego dnia był już Ignaś w Lublinie; nazajutrz po przybyciu swem zdał egzamin, a we trzy tygodnie potem, już wszyscy nauczyciele klasy piątej znali Ignacego Zabużskiego, który na początku następnego miesiąca siedział już pierwszym w pierwszej ławce, i jako znak swej godności prymusa, otrzymał w dozór dziennik szkolny i miał sobie powierzoną gąbkę i kredę.

VII.

Jakkolwiek interesującym jest dla każdego myślącego człowieka widok stopniowego rozwijania się młodej głowy i chwila obudzenia się ze snu serca, które zaczyna poczuwać w sobie siły i dążenia, jakich nie pojmowało w szczęśliwych latach wzrostu i formowania się, że jednak większość woli spojrzeć na obraz już gotowy, niż usiąść spokojnie w pracowni mistrza i przypatrywać się, jak pod jego ręką rosną formy, jak kontury nabierają wydatności

i barwy, jak powstają postacie żywe i mówiące, dlatego i my, nie przypisujący sobie tyle sztuki, abyśmy opisaniem tej wewnętrznej i tajemniczej roboty ducha zająć mogli, wolimy od razu przekroczyć lat kilka i postawić bohaterów naszych przed oczy czytelników takimi, jakimi się urobili w miarę indywidualnego usposobienia swego i zewnętrznych wpływów, którym każdy z nich uledz musiał.

Parę listów jednego i drugiego, które rąk naszych doszły, zastąpią opowiadanie i dadzą nam poznać obu braci, którzy w tak odmiennych warunkach wzrośli i w części dojrzeli, a których dalszym losem radzibyśmy z serca zająć szczególnie tych z czytelników naszych, co dopiero stanęli na progu świata, których nadzieje są jeszcze nieskończone, bo nie przeszli przez zawody doświadczenia, których dusza jest jeszcze pełną ufności i wiary, bo nie dotknęli jeszcze własnemi rękami tych wszystkich mar, co na tle przyszłości rozwijają przed ich okiem tak cudowne kształty i barwią się wszystkimi kolorami prawdy i życia.

Dnia 20. czerwca 1840 roku tak Eugeniusz pisał do brata:

»Drogi mój Ignasiu! Pozawczoraj przybyliśmy do Warszawy, i rozpatrzywszy się trochę w tem miasteczku, jak je panna d'Arnaud nazywa, w tem miłem mi miasteczku, w którem

przepędziłem kilka zim, i które ma coś w sobie tak pociągającego, że choć się je nie zawsze żegna z żalem, zawsze się je wita z radością, siadam, żeby z tobą pogadać, żeby się przed tobą wyspowiadać, żeby ci udzielić wszystkich nowin, które się mnie tyczą, i żądać nawzajem od ciebie, abyś mnie uwiadomił, co myślisz, co marzysz, czego się spodziewasz, co przedsiębierzesz. Uśmiechniesz się zapewne, czytając, że żądam historyi twoich marzeń, od ciebie, który jesteś człekiem czynów, któryś nigdy nie budował zamków na lodzie, tak jak ja, ale zawsze myślał tylko o tem, co można wykonać i rękami własnemi urobić. Pamiętam to dobrze, kiedyśmy byli razem, że kiedym ja myślał o niebieskich migdałach, ty przez ten czas robiłeś stoliczki lub krzesełka, które cieszyły małą Bazylidę i ściągały ci podziękowanie jej matki, kiedy moje bańki pękały w powietrzu, i ani mnie, ani nikomu nie przynosiły uciechy i pożytku. W piętnastym roku życia jużeś sobie urządził coś nakształt domu własnego w Lublinie, już mogłeś ciotce dać kącik u siebie, już stałeś na własnych nogach i nie dbałeś o niczyją łaskę, kiedy mnie śniły się projekta i plany, do których wykonania nie takich potrzeba było sił, jakie miałem, i za którymi goniąc, czekałem, aż mi podadzą jeść i pić, aż mnie ubiorą i rozbiorą, aż zajedzie powóz i przewiezie mnie wśród

zielonych pól i cienistych lasów, aby ręce i nogi były w pokoju, a głowa tylko aby miała swobodę i czas bujać po szerokim świecie, i lecieć myślą tam, gdzieby najczynniejsze i najbieglejsze ręce nic ująć i nic rzeczywistego zlepić nie mogły. Szczęśliwszyś może, kochany Ignasiu! odemnie, że czujesz zawsze ziemię pod stopami swojemi, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby mi było źle być takim, jak jestem. Ty zapewne widzisz lepiej i wyraźniej wszystko to, co cię otacza, żywiej uderzają twoje oczy światła i cienie przedmiotów, których dotykasz, ale za to czujesz pod ręką swą wszelką chropowatość i nieraz musisz odwrócić oczy od brudu i koszlawizny, które są za blizko, aby nie raziły i nie bolały. Ja mogę tylko patrzeć w oddalenie, i lubię to zlewanie się kształtów, które wypełniam i urabiam myślą według mej fantazyi, a ta barwa liliowo-błękitnawa, bliższa nieba niż ziemi, jaką się tam wszystko przyobleka i zdobi, czaruje moje oczy i nie razi ich niczem zbyt mocnem, wydatnem i jaskrawem. Tak już widać nas Pan Bóg stworzył, a jak nam z tem będzie dalej, to czas pokaże.

»Ale chociaż nie okazywałeś nigdy usposobienia poetycznego, nie przeskoczysz tej epoki młodości, w której nawet Kepler i Leibnic musieli być choć trochę poetami. Skończyłeś dziewiętnaście lat, kochany Ignasiu! i dlatego

mogę cię zapytać, czy marzysz o czem i o kim marzysz? Wiek, w którym jesteśmy obaj, ma swoje prawa, z pod których wyłamać się nie zdołamy. Bóg złożył w sercu młodem tyle świeżości, taki zapas sił na przebycie dalszej drogi życia, że każdy, jakkolwiek się wychował, czuje w sobie więcej, niż rzeczywiście może; doznaje chęci, które go z właściwej mu kolei wypychają; nie wątpi o niczem, i dlatego dąży naprzód i naprzód, nie mierząc odległości, a środki, jakie ma, dopełniając tymi, które mu głowa rozkołysana do rąk podaje. I jak nie ma wierzyć w ich rzeczywistość, kiedy ciało jego niezużyte i jak w młodym dębie, pełne soków i siły, kiedy dusza jego zdrowa, nie dotknięta żadną zgnilizną, śmiało się wznosi do nieba i rozlewa po ziemi, kiedy ma przed sobą całą przyszłość i wierzy, że jeżeli jeszcze dotąd nie znalazł, to pewnie znajdzie ten punkt, gdzie oprze ów drąg, którym świat poruszy. Donieś mi więc o tem wszystkiem, kochany Ignasiu, a ja marzyciel ex-professo, dla twojej miłości zstąpię na ziemię, wydobędę z kryjówki mej cały zapas doświadczenia, jakiegom już nabył, który tam musi być tem większy, że go nie używam dla siebie, i że on tam pewnie rośnie coraz, jak kapitał złożony na procent składany. Będę ci więc radził i pokieruję twym lotem, albo raczej twym biegiem uskrzydlonym, bo

pewny jestem, że ty choć się puszczasz, nie wzbijasz się jak skowronek z piosnką rozlegającą się pod niebem, ale rozstawiwszy skrzydła pędzisz jak struś, nie oddalając się od ziemi i czując zawsze pod nogami swemi jej twardą i bezpieczną podporę.

»A teraz, ruszywszy ramionami i uśmiechnąwszy się ironicznie z mojej zarozumiałości, słuchaj, co ci powiem o sobie. Nigdy nie zgadniesz, choćbyś nie wiem jak myślał, jaki tu względem nas wykłuwa się projekt, który właśnie jest powodem, żeśmy w najpiękniejszej porze opuścili Zabuże i do Warszawy przyjechali. Projekt to dla mnie tak ważny, tak pełen czarujących obietnic, że mi spać nie daje, i stoi ciągle przed oczami, jak ukochane oblicze, którego każdy rys, każde wyrażenie czy radości, czy zamyślenia, czy złego humoru, przytomne jest myśli i rysuje się w najdrobniejszych zmianach przed okiem duszy. Jeszcześ się nie domyślił o co idzie, i nie radujesz się wraz ze mną i nie marzysz tak jak ja, niewysłowione rozkosze i zachwycenie, któremu nie wiem jak i kiedy położyć granice. Otóż ci powiem, że tu idzie ni mniej ni wiecej tylko o wysłanie nas: Stasia i mnie, do Włoch, pod okiem i opieką księdza Augustyna, którego już musisz dobrze znać, bom ci o nim tyle razy już pisał. Wyobraźże sobie teraz we Włoszech mnie,

wielbiciela wszelkiej piękności, kochającego kształt i formę w każdej rzeczy, na którą patrzę i której się dotykam! Nie wiem, kto natchnął tą myślą kasztelanowę; sądzę, że ksiądz Augustyn, który ma nad nią wielką przewagę moralną; który chociaż młody, dziwnie się wyrobił i pod względem religijnym i estetycznym, i siłą swego religijnego uczucia, któremu umie dać formę równie poważną jak ujmującą, opanował prawie ducha tej kobiety, który z latami nabiera tęgości i oporu, i każdemu innemu wpływowi stawi czoło harde i wolę niezłomną. Kasztelan, choćby mógł powziąć tak zbawienny zamiar, choćby najmocniej chciał, byłby tego sam nie dokazał. Panu Orlickiemu, którego przed półrokiem pożegnaliśmy, i który dziś wykłada wyższą matematykę i geometryę wykreśloną w jednej ze szkół wyższych Królestwa, nicby podobnego do głowy nie przyszło. Onby nas był wyprawił nie tam, gdzie króluje piękność i sztuka, ale tam, gdzie panuje rozum i algebra. Otóż pewny jestem, że tę wielką radość, jakiej dziś doznaję, winienem nie komu innemu, tylko temu miłemu, pełnemu światła, pobożności i dobroci kapłanowi, którego serdecznie kocham, i który mi też przywiązanie moje wzajemną odpłaca życzliwością. Przypominam sobie, żeśmy przed trzema miesiącami w poufnej pogadance mówili o tem wrażeniu,

jakie ta klasyczna kraina, ta ojczyzna wszystkiego, co było i jest wielkiem na ziemi, musi sprawiać na każdym, kto z sercem niezajętem próżnością ziemską i z głową świadomą tego co było, staje przy tej kolebce przyszłości ludów, której strzeże religia i wiara, i przy tej trumnie przeszłości, której strzeże historya i ukazuje co i dlaczego pozostało z tego olbrzymiego życia wieków, które tam pochowane. Ksiądz Augustyn westchnął tylko i zawołał: — »Ach! mój kochany! coby to było za szczęście dla nas obudwóch! dla mnie, jako kapłana, dla ciebie, jako miłośnika sztuki i piękności. Rzym już od roku spać mi nie daje.« Widać więc, że ta myśl jeszcze głębiej wówczas wniknęła do jego duszy, i że od tej chwili zaczął nad jej urzeczywistnieniem pracować. Uważałem częste jego konferencye z kasztelanem, częstsze słyszałem rozmowy o Włoszech, do których zawsze pytaniami swemi dawała powód panna Jadwiga, poetka i artystka w duszy, chociaż ani piórem, ani ołówkiem nie umie dać ciała swojej myśli. Czy ta jej ciekawość pochodziła od niej samej, czy z insynuacyi ojca i księdza Augustyna, tego nie wiem; dosyć, że zaspakajając ją, albo kasztelan ze wspomnień swych dobywał obrazy, które nam najwyższą przynosiły rozkosz, lub ksiądz Augustyn, posiłkując się swem oczytaniem, dawał szczegóły,

które mnie zapalały, a na które nawet Staś prozaiczny i do materyalnego przepychu i używania skłonniejszy, niż do ideałów, okazywał się nieobojętnym. Przyszło do tego, że raz nawet kasztelanowa odezwała się, że dobrzeby w synu jej obudzić uczucia wyższe i mniej ziemskie, widokiem tych skarbów geniuszów, którym religia udzielała natchnienia, wprzód nimby zwiedził inne kraje, w których rozum i przemysł ludzki więcej myślał o ziemi, niż o niebie. Uchwycono się widać tej myśli, że podróż naszą zaczniemy od Włoch, gdzie mamy przebyć rok cały, a potem pojedziemy dalej. Otóż to tym sposobem, kochany Ignasiu! przyszło do projektu, który się właśnie teraz obrabia ostatecznie i który mnie tak szczęśliwym i gadatliwym zrobił. Ale ty mi tego nie weźmiesz za złe, żem ci tak wiele napisał o rzeczy, która może dla ciebie nie ma tyle uroku, co dla mnie. Musiałem podzielić się z tobą moją radością, jakbym podzielił się smutkiem, gdybym go miał, bom ci przyrzekł wyspowiadać się ze wszystkiego, co czuję, com myślał, czegom doznał. Nie skończę więc jeszcze na tem, i idę dalej. Nie wiem, jak przyjmiesz przyznanie, które ci jeszcze zrobię, ale zrobić je muszę, bo mi zbyt cięży, a z nikim oprócz ciebie podzielić się nie mogę tą tajemną czy tęsknotą, czy szczęśliwością, która może maluje

się na mojem czole, ale której nigdy jeszcze głośno, nawet przed sobą samym nie wymówiłem, gdyż czem ona jest, doprawdy nie wiem.

»Otóż wyobraź sobie, mój Ignasiu! przez jak dziwne i niewytłómaczone przeszedłem sprzeczności. Na tydzień przed naszym wyjazdem, gdy mnie ksiądz Augustyn zawołał do siebie, i rzekł z twarzą z której jaśniała radość: »No, kochany Eugeniuszu! jedziemy więc do Włoch; idzie tylko o paszporta, reszta wszystko załatwione,« wtedy rzuciłem mu się na szyję, płakałem z radości, skakałem w uniesieniu, i musiałem pasować się z sobą, żeby utaić swe szczęście i nie zdradzić się przed kasztelanową, która jeszcze woli swej nie objawiła, i o której nikt, prócz męża i księdza Augustyna, nie wiedział. Kiedy zaś raz zapowiedziała nam przy śniadaniu, że za parę dni wyjeżdżamy do Warszawy, a stamtąd my trzej udamy się do Włoch, na rok cały, dziwny ogarnął mnie smutek, i gdybym był nie czuł się do obowiązku wyrażenia wdzięczności mej, tej zacnej pani i jej mężowi, że mnie nie wyłączają od tej podróży, że taki koszt dla ukształcenia mego podejmują, byłbym uciekł, i skrywszy się gdzie w najciemniejszym kącie ogrodu, byłbym płakał nie łzami radości i szczęścia, ale łzami jakiejś dziwnej tęsknoty, której nie pojmuję, i bólu, którego sobie wytłómaczyć nie umiem. Dziś już to w części

przeszło; dziś już jestem panem moich myśli, to jest o tyle, że bez oglądania się na to, co zostawiam za sobą, unoszę się za niemi na laguny Wenecyi, między ryżowe pola Florencyi, między groby i pomniki starego Rzymu, i wszędzie wyobrażam sobie cuda, na których samą myśl serce mi bije i głowa się zawraca. Ale tego dnia, o którym ci wspomniałem, i później przez dni kilka, znikła piękna Italia z mojej imaginacyi, cała Europa zmalała i zbiegła się w jakąś niewyraźną plamkę, od której odwracałem oczy, a Zabuże urosło do kolosalnych rozmiarów, okryło się niewysłowionym wdziękiem, oświeciło się tak cudnem słońcem, żem się na nie napatrzeć nie mógł, żem z niego wyrwać nie umiał mego serca, które jakby przyrosło do tych gajów, do tej zieloności, do tego zwierciadła Bugu, gdziem tyle razy widział odbijające się niebo, a teraz myślał i czuł, że to jedyny jego obszar, pod którym może mi być dobrze, który nie zapłynie chmurami, co rzucą cień ponury na resztę mojego życia.

»Skądże się to wzięło, kochany Ignasiu! że mi to miejsce wydało się w tej chwili dziesięć razy piękniejszem, niż było kiedykolwiek w moich oczach, niż zapewne jest w rzeczy samej? Prawda, że te ogrody, te łąki, te drzewa, te czyste fale, zawsze inne i zawsze te same, złączone są ze wszystkiemi wspomnieniami

mego dzieciństwa. Tum się wychował, tu wyrósł, tu pierwszy raz moja dusza zaczęła rozumieć wzniosłą mowę stworzenia i zdawać sobie sprawę z tych dziwnych objawów życia natury, co mnie zawsze pociągało swym wdziękiem, ale było tajemnicą dla mojego oka i serca, pókim się nie nauczył pojmować źródła jego piękności i nie podniósł się myślą aż tam, skąd wszelkie życie i wszelki jego urok wypływa. Wspomnienie więc tych chwil mogło obudzić we mnie żal za tem miejscem, gdziem się ocknął ze snu, poznał siebie samego, i we wszystkiem, co mnie dawniej cieszyło ślepo i instynktownie, zaczął upatrywać przedwiecznego mistrza i korzyć się przed Jego duchem wielkim i nieśmiertelnym. Ale wieleż to razy i dawniej z temi samemi uczuciami podziwu i wdzięczności dla Stwórcy, słuchałem szumu tych topoli i dębów, ustawicznego pluskania tych fal uchodzących, szmeru tych żywych i niezliczonych istot, dla których ogród ten był całym światem; wieleż razy w tym głosie tajemniczym, który mnie ze wszystkich stron dochodził, słyszałem jakby pobożne westchnienie do Boga jakiejś powszechnej duszy natury; wiele razy w zmroku wieczora, przy tem gasnącem i niewyraźnem świetle, kiedy wszystkie kolory zlewają się w jedną barwę i wszystkie kształty zbiegają się w jedną jakąś ogromną i fantastyczną postać,

siedziałem w milczeniu, i zdawało mi się, że natura umyślnie na to zapuszcza na swoje dziwy tę uroczystą zasłonę, aby dopomódz do zebrania się memu duchowi, aby go ośmielić do jej rozdarcia i do przypatrzenia się innym dziwom nieskończonej mądrości, które za nią leżą, a wówczas wyraźnie i widomie ukazać mi się miały. Nigdy przecież nie przyszło mi do głowy, że na całym obszarze ziemi nie znajdę miejsca, którego barwy i kształty byłyby równie czarujące, któreby mi wyraźniej mówiło o tej odwiecznej piękności, wcielającej się w życie widome, którego niebo byłoby bliższem mojej duszy, i obiecywałoby mi szczęśliwość, jakiej pragnąć powinienem i którą jedynie zaspokoić się zdołam. I wtedy ja, który byłem tak blizkim otrzymania tego, czegom jedynie pragnął, płakałem łzami tęsknoty i żalu, i zdawało mi się, że tracę to, co było najlepszą częścią mojej istoty, i zostawiam tam wszystko, co mogłoby przyszłości mojej nadać wartość i cenę.

»Wytłómaczże mi teraz tę sprzeczność uczuć, tę chwilową wprawdzie, ale tak wielką i dającą do myślenia niezgodę chęci, ten burzliwy powiew jakiegoś wiatru pełnego mocy, który podął przeciw biegowi moich myśli i zatrzymał na czas niejaki ich cały pęd i dążenie? Wprawdzie doświadczyłem już ja tego i na sobie, chociaż niedawno żyję, że i piękności

sztuki nie zawsze jednakowe na mnie, a zapewne i na każdym, czynią wrażenie. Do miejsc, na które patrzymy, do dzieł ludzkich, które nas zastanawiają, przymięsza się zawsze coś z nas samych. To, co zmysły widzą, przekształca się niejako wewnątrz nas, i budzi tam obraz idealny, odpowiadający naszemu chwilowemu usposobieniu, naszym myślom, uczuciom, słowem całej naszej wewnętrznej istocie więcej może, niż prawdzie zewnętrznej, która przez to nieraz albo zaciemnia się chmurą naszego serca, albo rozświetla się tym blaskiem, jaki z nas samych pada na przedmiot, którego zarysy podnosi. Być może, że i ja wówczas byłem w takiem usposobieniu. Ale skąd się wzięło, co rozniecilo we mnie tę łunę, która padła na to piękne miejsce mego wychowania i oświeciła je tak, że mi się wydało najcudniejszym zakątem na całej ziemi, a wszystko co było dalej i bliżej za jego granicami, pustką niemą i głuchą, bez wartości i uroku?

»Otóż to w tem jest cała zagadka, którą chciałbym rozwikłać! Słowo, które ją rozwiązuje, przestrasza mnie; z drżeniem trwogi, a razem i szczęścia wymawiam je w duszy; a jednak czuję to, że się mogę tylko łudzić, jak dziecko, niepojmujące nieskończonej odległości, któremu się zdaje, że zaraz za lasem jest niebo. Byłożby to niebo tak blizkiem mnie, któremu oprócz

imaginacyi i serca, dał Bóg przecież i dosyć rozsądku, aby odsunąć od siebie marę, która przybiera cechy prawdy i rzeczywistości, jeżeli nią nie jest? Osądź sam, kochany Ignasiu, i wysłuchaj cierpliwie tej pierwszej, a może i ostatniej spowiedzi, którą poddaję praktycznemu rozumowi twemu, nie w tej myśli, aby mnie rozgrzeszył, ale żeby mnie umocnił w tej walce jaką staczam z pokusą.

»Domyślasz się zapewne, co ci mam powiedzieć, a ja czuję to, że się domyślasz po tym rumieńcu wstydu, który oblewa moją twarz, w tej chwili, kiedy to piszę. Byłażby to inna piękność, wyższa, objawiająca więcej Boga i Jego nieskończoność, niż ją objawia otaczająca mnie ziemia i wiszące nademną niebo, którąm tam wszędzie widział, kiedym z takim żalem, z takim bólem głębokim i silnym odrywał serce i oko od tych pięknych gajów, od tych róż, które się rozlegały po aksamitnej murawie, od tych fal, które niejako wykołysały moje myśli i pojęcia? I lękam się i pragnę, aby tak było w rzeczy samej, aby słowem, rozwiązującem tę zagadkę, która może się stać zagadką całego mojego życia, był ten wyraz czarodziejski, przez który świat ten żyje, trwa i jest tak pięknym; wyraz, który w całej swej pełności i potędze jest tylko w Bogu, przez który człowiek na ziemi o tyle tylko do Niego się zbliża,

o ile go ma w sobie i objawić jest zdolnym. I cóżby to wreszcie było dziwnego, żeby ten śpiew miłości, rozlegający się po całem stworzeniu, odezwał się i w mojem dwudziestoletniem sercu, kiedy wszystko, co mnie dotąd otaczało, naciągało i stroiło jego struny, aby zabrzmiały tą harmonią, która dopełnia życie? Pod mojem okiem i zemną razem wyrosła i dojrzała istota rzadka i dziwna, jakiej podobnej nie spotkałem między kobietami, którem widział i poznał. Są piękniejsze foremnością rysów, wyrazem fizyognomii, kiedy je ożywia jakie uczucie, uderzy jaka myśl, jaki obraz, jaka mocniejsza i gorętsza chęć podobania się i ujęcia. Ale ta piękność ich jest jakby napływowa, nie ich własna; jest to niby cudny jakiś refleks, padający na ich twarz od zewnętrznego światła, który trwa póty, póki to światło nie usunie się i nie zamgli. Jej piękność nie potrzebuje żadnego wysilenia, żadnej zewnętrznej pobudki, żeby się objawiła oku każdego, kto na nią uważniej spojrzy; jaśnieje ona zawsze na jej twarzy, jakikolwiek jest stan jej myśli, jakiekolwiek usposobienie jej duszy; bo jest w niej samej, i z jej głowy zajętej ciągle myślami wyższemi i oczyszczonemi z drobnostek życia, z jej imaginacyi rojącej tylko to, co piękne i wzniosłe, z jej serca, pozbawionego wszelkiej próżności i pychy, miłującego gorąco wszystko dobre

i szlachetne, przechodzi do jej oka, rozlewa się po jej twarzy i ubiera jej rysy i fizyognomią. Otrzymała ona ten dar Boży, który małej liczbie kobiet się dostaje; Bóg dał jej ten wyraz, który trwaniem swem ciągłem i pokojem, przypomina najwięcej ową piękność, jaką mieć muszą nieziemskie istoty, i jaka może zajaśnieje na naszem czole, gdy pot pracy i kurzawa ziemi z niego spadnie, gdy zaczniemy żyć tam, gdzie wszystko czyste, jasne i nieskończone. Jakże chcesz, aby widok ciągły takiej kobiety, aby jej rozwijanie się, na którem patrzał, i w miarę mojego własnego rozwijania się coraz więcej pojmował, aby ta dobroć i współczucie, jakie dziecko dziecku, panienka przychodząca do samopoznania siedemnastoletniemu chłopcu, kobieta dojrzała przedwcześnie siłą ducha, mężczyznie dojrzałemu także przed czasem, może dlatego, że pod jej okiem dojrzewał, okazywała, nie obudziły we mnie uczucia, które może jest tylko uwielbieniem, może przyjaźnią bezwarunkową i świętą, a może tą potężną miłością, która czasem staje przedemną z obliczem pełnem światłości i uśmiechem, a czasem jawi się jako straszydło z groźba na czole, z szyderstwem i wzgardą na ustach.

»Do tej stanowczej chwili, w której dowiedziałem się, że ją stracę z oczu na lat kilka, że przez czas mojej nieobecności przyjdzie

zapewne to, co przyjść musi, że ją stracę na zawsze — nie zastanawiałem się nigdy nad tem, com dla niej czuł, i jak to przywiązanie, które dla niej miałem, ta cześć z jaką korzyłem się przed jej wyobrażeniem, wpłynie na dalszy mój los, do czego zwróci moją głowę i serce. Szczęśliwy pod tym słońcem, które mi ciągle świeciło, nie pomyślałem o tem, co się zemną stanie, gdy zajdzie na długo, gdy mi zabraknie tego światła, którego blask ozdabiał wszystko co mnie otaczało, i tego ciepła, które przenikało całą moją istotę, pod którego wpływem rosła i dojrzewała. W jej postępowaniu ze mną nie było także nic, coby mnie mogło obudzić z tego błogiego stanu i dać poznać, że to jeszcze nie dosyć, że mogę się spodziewać większego szczęścia, i rościć sobie jskieś prawo do tych oznak dobroci i przyjaźni, którem zawsze dotąd uważał za łaskę, za dowód tylko jej wyższości, za ten konieczny wypływ jej anielskiej natury, co ją prowadził mimowoli do opiekowania się sierotą, do ozłocenia gorzkiej czasem jego doli wejrzeniem przyjaźni i uśmiechem współczucia. Dopiero wtedy, gdy nam powiedziano, że jedziemy, że jedziemy daleko i na długo, spostrzegłem, że radość, jaka przy pierwszem objawieniu woli kasztelanowej błysnęła na mojej twarzy, okryła chmurą jej czoło i powlekła bladością niezwyczajną jej lice.

Popatrzyła ona na mnie jakby z wymówką, jakby z wyrazem bólu i wyrzutu, że cieszę się, iż ją porzucam. Było to jedno mgnienie, chwilka krótka, ale wymowna, którąm ja tylko uchwycił i zrozumiał, bo zaraz powstała i wyszła i w kilkanaście minut dopiero powróciła ze spokojem na czole, ale z widocznym śladem, że tylko co otarła łzy, które się nacisnęły do jej oka. O mój kochany Ignasiu! pojmujesz ten stan w jaki mnie wprawił ten widok. Nigdy mi się nie wydała tak piękną, nigdy postać jej słuszna i giętka nie miała więcej gracyi i powagi, i nigdy żadna najparadniejsza suknia nie wydawała tak jej foremnej i ulotnej kibici, jak ten prosty, jasnobłękitny szlafroczek, który ją wtedy odziewał; nigdy bujnie jej włosy świetniej nie jaśniały, i nie obejmowały lepiej swym hebanem jej bladego jeszcze czoła, jej lica, na które czy walka ze wzruszeniem, czy wstyd, że mu się na chwilę poddała, wydobyły lekki, różowy rumieniec; nigdy głos jej nie brzmiał bardziej słodko i harmonijnie i uśmiech nie zdradzał więcej dobroci i serca, jak, gdy patrząc na mnie tak, jakby starała się przeniknąć, czy ją pojmuję, wyrażała swoją radość, że się dogodzi mojemu najgorętszemu życzeniu; że to właśnie jest kraina, gdzie moje pojęcia o piękności i sztuce rozwiną się ostatecznie i do zupełnej przyjdą dojrzałości.

»Czy to wszystko było w rzeczy samej tak, jak mi się wydało, któż to zaręczy? Ale mógłżem wtedy rozbierać i rozważać, kiedy na sam domysł, na samo przypuszczenie, że szczęście tak nieopisane mogło być moim udziałem, uderzony byłem blaskiem, który olśnił mnie i wszystkie władze duszy pomięszał i zmącił. Uczułem tylko smutek wielki, ból niewysłowiony na tę myśl, że oto schodzi do mnie, jak wtedy, anioł z obłoków, a ja odwracam się, uciekam i tracę ją z oczu na długo, a może na zawsze. Wtedy to utkwiłem ją sobie w myśli taką, jaką widziałem powracającą, ze łzą w oku, z zamyśleniem i spokojem na czole bladem i objętem w krucze jej sploty, z łagodnym i melancholicznym uśmiechem na ustach, w tym błękitnym szlafroczku, co jak szata, udarta z błękitu niebios, owiewał jej kibić i okrywał postać jej kształtną i ulotną. Taką widziałem ją potem w każdym zakącie Zabuża, to wychodzącą do mnie z cienistych kląbów, to błąkającą się pomiędzy różami, to siedzącą w zamyśleniu i dumającą o mnie pod starym dębem, który szumiał nad jej głową, to płynącą po wierzchu fal Bugu, i igrającą z promieniami księżyca, które się łamały w jego kryształach. Dlatego to zapewne, mój kochany Ignasiu, wszystko mi się wydało tak pięknem, z tego to zapewne źródła wypływało to światło, co mnie takim objęło urokiem,

stąd to zapewne ten żal, ten ból głęboki, żem opuszczał to miejsce, gdziem miał to, co mi było najdroższem, gdziem mógł kochać i korzyć się przed pięknością, która mogła mi podać gorącą rękę i żywem i mymownem okiem ukazać na niebo, a biegł czcić martwe płótno, dotykać zimnego marmuru, grzebać między złomkami i gruzami, które może odpadły od jakiego pałacu przemocy, lub od jakiego schronienia brudnej i ziemskiej uciechy.

»Był to stan gorączkowy, który naturalnie nie trwał długo. Już na drugi dzień widziałem ją taką, jaką była zwykle, spokojną, dobrą, poetyzującą razem ze mną, cieszącą się tą radością, jakiej mam doznawać, pełną czasem tego entuzyazmu, który miał ogarnąć moją duszę. Pod tchnieniem tego spokoju i burza mojego serca ucichła, wróciła dawniejsza radość, z którą wyglądam widoku starej Italii; żal za Zabużem znikł, bo unoszę z sobą tę aureolę, która nad niem świeciła, bo obraz jej, jaki się utkwił wtedy w mojej duszy, nie odstępuje mnie ani na chwilę, i kto wie, co będę widział na płótnach Rafaela i Coreggia, czy ich Madonny, czy odbicie tej anielskiej twarzy, która jest we mnie. Jestże to miłość, kochany Ignasiu, czy tylko braterskie przywiązanie, czy tylko przyjaźń pełna czci i uwielbienia? Sam nie wiem. Opuszczam ją bez bólu, lecę myślą niecierpliwą

tam, gdzie jej nie ma, bez rozpaczy przypuszczam, że ją zastanę żoną innego, i ani mi przychodzi do głowy, aby mogła być moją; a jednak pewny jestem, że obraz jej nie odstąpi mnie, że wszędzie, gdziekolwiek obaczę coś pięknego, wielkiego, coś godnego czci i uwielbienia, obaczę ją także; że w każdej chwili szczęścia, lub smutku, stanie przy mnie widomie, poda mi rękę, i wejrzeniem współczucia i przyjaźni podwoi moją radość, i zdejmie z czoła mego smutek i zwątpienie. Rozwiążże to zagadnienie, matematyku, sprowadź te mary do ich rzeczywistego znaczenia, i zmysłem praktycznym wynajdź, co z tego wszystkiego wypaść może dla mnie, i gdzie mnie to zaprowadzi? Uprzedzam cię tylko, że nie do Bonifratrów, bom nigdy nie myślał zdrowiej i silniej jak teraz, nigdym nie widział jaśniej, jak dziś, kiedy do tego zewnętrznego światła, które pada na świat Boży, przybyło jeszcze to światło, które wychodzi ze mnie, a źródło ma w tem obliczu, jakie w duszy mej noszę. Bądź zdrów, mój drogi Ignasiu, a odpisz mi prędko, bo twój list może mnie już nie zastać w Warszawie.«

Odpowiedź Ignasia była takiej treści!

»Kochany Eugeniuszu! Żądasz odemnie rozwiązania kwestyi, którą ci się podobało nazwać zagadką, a która wcale nią nie jest. Z całej tej poetycznej i pięknej banialuki, którąś mi przy-

słał, widzę dobrze, że i ty nie masz stanu swego za zagadkowy, że go owszem pojmujesz dostatecznie, ale starasz się wmówić w siebie coś innego, i uczuciu, o którego naturze aż nadto jesteś przekonany, nadajesz inne, mniej straszne nazwisko. Zasmuciłeś mnie bardzo, kochany Eugeniuszu, i do tej troski, jaką mam o dalszy swój kierunek na świecie, przydałeś jeszcze troskę o ciebie, i obawę, aby ta gorączka, która cię trawi, nie rozwinęła się do tego stopnia, że ci odejmie wszelką siłę do tej walki, jaka ci będzie potrzebna, i jaką zaczynaj zaraz z całem postanowieniem, skoro się ujrzysz za rogatkami Warszawy. Inaczej, jeżeli i nie zajdziesz do Bonifratrów, to nie daleko zajdziesz w życiu, skrzywisz swoją drogę, i zwichniesz nawet te skrzydła, które ci Bóg dał, abyś się na nich podniósł nad ziemię, i tam odezwał się pieśnią, coby ucieszyła pracujących pod tobą, coby podniosła oczy ich do nieba, ukrzepiła nadzieją, i choć tym sposobem stała się ludziom miłą i użyteczną,

»Wolałbym ja, żebyś był lekarzem, adwokatem, lub czemkolwiek bądź, byle nie poetą. Wszakże, jeżeli już masz być poetą, starajże się mieć swobodę i wesołość skowronka, który zawsze był najmilszym dla mnie śpiewakiem. Przenosiłem go od dzieciństwa nad słowika i nie chciałbym, abyś wyszedł na tego roman-

sowego i płaksiwego trelarza, który mnie rzadko cieszył, a najczęściej gniewał i nudził. Taka zaś miłość, jakiej pozwoliłeś wejść do serca i w niem się zagnieździć, może cię zaprowadzić w krzaki i ciemne zarośla, gdzie będziesz wiecznie świstał na tę samą nutę i gadał i kwilił o tem, co ciebie tylko obchodzi, co ciebie tylko boli, a co innych nudzi i jest im obojętnem. Nazwij to herezyą, nazwij matematyką, nazwij czem chcesz; ale zapomnij o tej miłości nierozsądnej i szalonej, a szczególniej nie strój jej ani w sukienki przyjaźni, ani w niewinną koszulkę braterskiego przywiązania, bo to wszystko są maski, pod któremi się ona chowa, zasłaniając rączkami swe oblicze, od którego tem prędzej odwrócić się powinieneś, im piękniejsze jest, im cię bardziej pociąga i wabi!

»Jest to zapewne rada niezmiernie prozaiczna, łatwiejsza do dania, jak do wypełnienia, o tem wiem bardzo dobrze. Ale chociaż sam nie wypróbowałem jeszcze sił swoich w takiego rodzaju zapasach, zwyciężałem się już nieraz w moich zachceniach, i zawsze mi do tego najwięcej dopomogła artymetyka. Skoczysz zapewne, przeczytawszy to słowo, jakbyś kawałek lodu uchwycił. Ale siądź i porachuj ze mną. Miłość, powiesz, jest potężną i mimowolną. To prawda; ale miłość jest dobrem, nie złem, bo jest piękna i płynie z nieba; złe zaś jest

brzydkie i pochodzi z ziemi. Jeżeli tedy miłość jest dobrem, powinna tym, co się kochają, dać szczęście, pokój, rozjaśnić ich oczy, aby widzieli dalszą swoją drogę, ukrzepiać ich siły, aby nią śmiało i bezpiecznie postępować mogli. Kiedyż więc ona da to szczęście, ten pokój, to jasne widzenie przyszłości dwojgu młodym ludziom, który się pokochali? Oto wtedy, kiedy się pobiorą, kiedy w obec Boga i ludzi będą mogli iść razem, dźwigać wspólnemi siłami wszystkie ciężary i usuwać wspólnie wszystkie zawady i ciernie, jakie na drodze swej spotkają.

»Jestże takiem to uczucie, które w sercu twem powstało zapewne bez twej wiedzy i woli, i może urość do wielkiej potęgi, jeżeli się nie opatrzysz i postępu jego nie wstrzymasz? Będzieszże mógł być mężem panny Jadwigi? a ona czy będzie mogła, i czy zechce być twoją żoną? Wszystko to są kwestye, które rozwiązać nie trudno, zastosowawszy zwłaszcza do nich rachunek. Skończyłeś 20 lat, a ona ma 19. Tyś jeszcze za młody, ona już dojrzała i nie będzie mogła czekać, aż z młokosa staniesz się mężczyzną, a choćby nawet zaczekać chciała, nie pozwolą na to rodzice i jej położenie. Tyś szlachcic i ona szlachcianka; nazwiska wasze nietylko równe, ale nawet takie same. W tem nie byłoby trudności. Ależ ta mitra książęca, która ze strony matki nad jej nazwiskiem

szlacheckiem wisi! Zdołaszże ją usunąć, gdy ją trzyma ręka tak silna, jak ręka kasztelanowej, choćby nawet panna tego chciała, co jeszcze wątpliwe, i dopomagała ci do tak wielkiego zwycięstwa nad przesądem, nad pychą rodową, nad temi wszystkiemi namiętnościami, w których nie ma nieba ani trochę, ale za to ziemia z całą swą siłą podnosi je, jak tarczę, która odeprze twoje ataki. Bardzo wątpię, bardzo wątpię. Dodaj do tego i to, co się najłatwiej daje wyrachować, a co i chłopi i mieszczanie, szlachta i panowie, a nawet poeci i matematycy obrachowują i obrachowywać powinni. Cóż ty masz? nic, tylko skrzydła i piosnkę w piersiach; a ona ma dobra i kapitały. Czemże wypełnisz tę próżnię kieszeni, która was zrobi zawsze nierównymi, chociażbyś we wszystkiem innem przenosił ją głową. Tak więc, biedny Eugeniuszu, to proste postawienie przy sobie okoliczności, ta wymowniejsza od twych frazesów artymetyka, najjaśniej ci dowodzi, że pobranie się wasze jest niepodobnem, a nadzieje twe są to gruszki na wierzbie, nic więcej. Jeżeli jeszcze przyzwiesz na pomoc geometryę i przypomnisz sobie wszystkie przypadki tej prostej, ale wybornej nauki o przystawaniu trójkątów, która do twojego położenia tak dobrze zastosować się daje, przekonasz się, że ta miłość nie obiecuje ci ani szczęścia, ani spokoju, bo was nie

połączy, ale owszem rozdzieli, bo niema ani jednego warunku, któryby was do siebie mógł zbliżyć i porównać was z sobą zdołał. Jeżeli ci tedy nie da szczęścia, da ci koniecznie niedolę, gdyż tu środka niema; odbierze ci swobodę na długo, lub na zawsze, zwichnie twoje najlepsze chęci i wyczerpnie siły na sięganie po to, czego dosięgnąć nie możesz. Tym sposobem stanie się ona nie dobrem, ale złem, nie uczuciem pięknem i z nieba płynącem, ale jakiemśćiś brzydkiem i samolubnem ziemskiem zachceniem, które cię poniży, i od którego, jak od jakiej zmory, przybierającej postać i pozór prawdziwej miłości, powinieneś odwrócić oczy i odżegnać się uczciwem postanowieniem i przedsięwzięciem męskiem i rozumnem.

»Na tem kończę te wszystkie wywody i perswazye, które, daj Boże, aby trafiły do twego przekonania. Sameś winien, jeżeli wszystko to trąci cokolwiek klasą. Napisałeś: rozwiąż to zagadnienie, matematyku! Rozwiązałem je więc jako niedawny student, który dziś oglądając się po szerokim świecie, żałuje serdecznie swej ławki szkolnej i z ukontentowaniem wraca do tego wszystkiego, czego się na niej nauczył. Żartuj więc sobie z moich argumentów, jeśli ci się podoba; ale na miły Bóg spojrzyj na świat własnemi oczami, a nie przez pryzmat tej niebieskiej sukienki, tej bladoróżowej twarzy,

tych czarnych oczów i hebanowych włosów, które wyrzuć z serca i myśli. Jeżeli kochasz prawdziwie sztukę, jeżeli chcesz być użytecznym sobie i drugim, korzystajże z zapałem z tej okoliczności, jaką ci podaje podróż, oddaj się pracy i nauce, i nie gniewaj się na mnie, że tak przemawiam, ja gdybym nie był od ciebie młodszym i wiekiem i ukształceniem. Bo któż wie, kochany Eugeniuszu, czy nie jestem starszy doświadczeniem? czy przybierając się własnemi siłami przez ciernie i głogi życia, nie nauczyłem się jego sekretów lepiej niż ty, któryś chodził od niechcenia po ścieżkach żwirem ubitych, między kląbami, które tylko bawiły twoje oczy, któryś nie miał nic do zrobienia, nic do wywalczenia, bo wszystko ci dano zrobione i gotowe. Czyś na tem zyskał, czy stracił, to się dopiero później pokaże, jak sam piszesz. Ja jednak nigdy żałować nie przestanę, żeś nie siedział obok mnie i dalej na ławce szkolnej, tak jak dawniej w Hrubieszowie; żeś się nie wychował tak jak ja, biedak, między równymi nam biedakami, ale wydelikatniał, jak panicz, i puścił się myślą, a może i wrósł sercem w świat, który nie jest twoim i który cię zawsze za przybysza i natręta uważać będzie. Lecz dosyć już o tem. Teraz powiem ci o sobie.

»Wiesz, że po skończeniu gimnazyum rok

eszcze siedziałem w Lublinie, mając u siebie
zterech chłopaków na stancyi i na stole,
tórych mi na prośbę ich rodziców i dalej
rzymać i uczyć pozwolono. Tymczasem pozby-
wałem się powoli swoich gratów, przygotowy-
wałem ciotkę do opuszczenia miasta, które
iezmiernie polubiła, dla sąsiedztwa Panien
Vizytek, gdzie bardzo często bywała; i pracu-
ąc bardzo ciężko, mogę powiedzieć, nad
ziećmi, którym nie chciało się uczyć, rozmy-
lałem nad tem co z sobą dalej zrobię, jak się
brócę na świecie, jakiemu oddam się zawodowi?
Nauczycielstwo stanęło mi kością w gardle
wyrzekłem się wszelkiej myśli szukania w tym
awodzie stałego zajęcia i stałego funduszu na
rzyszłość. Gdybym jeszcze miał za co przy-
otować się tak, żebym mógł mieć nadzieję,
raczej pewność otrzymania publicznej posady
jakiej znaczniejszej szkole, możebym się
dważył spróbować szczęścia, i udałbym się
ył gdzie do uniwersytetu. Ale z tem, co mieć
ogłem, trudno się było ryzykować i puszczać
a niepewne. Dałem więc za wygraną wszelkiej
edagogii, tak publicznej, jak prywatnej, docią-
ałem tylko do końca roku szkolnego, aby
zciwie wyjść z przyjętych zobowiązań; a gdy
ę skończył, sprzedałem resztę moich rucho-
ości, odprowadziłem ciocię Teresię do Wizytek,
dzie sobie zamieszkała, niosąc pomoc w go-

spodarstwie tych szanownych kobiet i utrzymując się, co do odzienia swego i innych potrzeb, z tego fundusiku, jaki ma, a sam udałem się do miejsca naszego urodzenia, postanowiwszy wziąć się do roli i pracować na swojem tak, jak pracował i utrzymywał się nasz ojciec.

»Nie widziałem Sawina lat trzy. Biedne to miasteczko wydało mi się wcale inaczej, niż wtedy, kiedyśmy tam przyjechali na wakacye z Hrubieszowa. Niestety! ja wyrosłem, a tam wszystko zmalało; moje oczy nauczyły się patrzeć dalej i szerzej, myśli szukały jakichściś dróg rozleglejszych, jakichściś zawodów, gdzieby te nagromadzone w głowie i sercu siły i środki przydać się mogły, a tu wszystko było tak ciasne, tak ograniczone, że wkrótce zmiarkowałem, że to miejsce nie dla mnie, że trzeba jeszcze gdzie indziej się wypróbować, przez inne jeszcze przejść szkoły, nimbym mógł się tak zasklepić, i w tej małej i ciasnej skorupie oddychać swobodnie i znaleźć to uspokojenie, jakie tam znajdował nasz ojciec. Przytem i materyalne znalazły się trudności, które mi nie pozwalały zagrzebywać się w tym zakącie, choćbym nawet był starszym, choćbym już był przeszedł przez próby życia, pragnął odpoczynku i na niego zasłużył. Folwarczek nasz, z którego od Ś-go Jana wyprowadził się dzierżawca, przez te kilka lat podupadł i zmarniał pod jego

zarządem. Pokazało się, że to był trochę szachraj, przytem wielki niedbalec, że zapuścił ziemię, porujnował budynki, tak, że przyprowadzenie wszystkiego do dawnego stanu wymagało nakładu, którego naturalnie nie miałem. Jeszcze większego nakładu i kapitału potrzeba było na bydło, konie, narzędzia gospodarskie i t. d. czego wszystkiego nie było. Ksiądz Maciej martwił się tym stanem naszego majątecżku, ale mu zaradzić nie mógł. Cóż tedy miałem począć? Oto uspokoiłem troskę kochanego opiekuna naszego, żem jeszcze za młody na gospodarza, że innym sposobem dam sobie radę, a on niech znajdzie jakiego uczciwego dzierżawcę, któryby miał swój własny remanent, i któryby dla swojej wygody i interesu starał się przyprowadzić dom i zabudowania gospodarskie do lepszego porządku. Warunki to były trudne; ale jakoś prędko wynalazł się człowiek zamożniejszy, który je przyjął i obowiązał się dopełnić ich sumiennie i uczciwie.

»Takim sposobem, kochany Eugeniuszu, zostałem prawie bez dochodu, bo mam zaledwie kilkaset złotych; ale za to uspokoiłem sumienie księdza Macieja, któremu dziury naszych dachów, powybijane okna, poobalane parkany spać nie dawały, i może uspokoiłem cień naszego ojca, który tak przywiązany był do tego miejsca, gdzieśmy się urodzili, i które wystarczało jego

umiarkowanym chęciom, a dawało tyle zajęcia jego energicznemu ciału i energiczniejszemu jeszcze duchowi. Jeżeli cię to zająć zdoła, tak jak mnie interesuje, donoszę ci, że niedawno odebrałem list od księdza Macieja, w którym uwiadamia mnie, że wszystko tam idzie jak najlepiej, że dzierżawca ów jest w rzeczy samej człowiek uczciwy, dobry gospodarz, że co obiecał, dotrzymuje, że w rachunkach jego niema ani trzech groszy fałszywie podanych, żebym nie poznał dziś ani domu, ani otoczenia, co wszystko niemal tak wygląda, jak wyglądało wtedy, kiedyśmy byli dziećmi. Dzieją się jeszcze, jak widzisz, cuda na świecie.

»Nie mając co robić w domu, a prawdę mówiąc, nie mając tam nawet co jeść, bo między wyjściem jednego dzierżawcy a przyjściem drugiego, była to pustka w nic nieopatrzona; nie chcąc być dłużej ciężarem księdzu Maciejowi, który mnie i tak przez kilka tygodni karmił, pożegnałem Sawin, pomodliłem się gorąco na grobie rodziców za ciebie i za siebie, i puściłem się w świat szukać kawałka chleba.

»Zapytujesz mnie, czy marzę, o czem marzę? Z tego, com ci opisał, widzisz, że i wówczas, kiedym dopiero zaczynał ośmnasty rok, już musiałem marzyć. A o czem? — oto o tem zajęciu, które mi da chleb powszedni; o tej pracy, która odnowi na moim grzbiecie opu-

szczający mnie surdut, podreperuje płaszcz, którego podszewka przepuszczała już watę, o tych środkach, które odnowią cokolwiek moją bieliznę i moje buty postawią w możności odpierania powierzchnią swą błota i wilgoci. Wszystko to rzeczy niepoetyczne, ale kiedy ich niema, trudno wtedy marzyć o niebieskich migdałach. A może to i na lepsze wychodzi młodemu, kiedy go bieda zmusza i przyzwyczaja zastanawiać się nad prozą życia i oglądać się po świecie dla wyszukania, gdzie jest droga, którą dojdzie do tych rzeczy niełądnych i niepoetycznych, ale bez których nic pięknem się nie wyda. Niejednemu dostatek, który go karmi i odziewa bez jego wiedzy i przyczynienia się, wychodzi na gorsze, bo pozwala niedołężnieć wszystkim jego siłom, które do zupełnego z czasem przyjść mogą uśpienia. Ale tu nie o tem mowa. Chciałem ci tylko dać poznać, że nie miałem wówczas, a nie mam i dziś czasu bujać po świecie marzeń; że nie mam czasu przypatrywać się smukłym kibiciom, białym i błękitnym sukienkom, niebieskim i czarnym oczom, lnianym i hebanowym włosom. Na twoje więc zapytanie: o kim marzysz? odpowiadam ci wprost, że o nikim, i to właśnie dlatego, że nie mam czasu. Wielu ze skargą wymawia te słowa; a niejeden nie wie o tem, że byłby weselszym i zdrowszym, spokojniej-

szym i śmielszym, gdyby nie miał czasu troszczyć się o fraszki i obawiać się zmiany losu i fortuny. Ale dość tych uwag. Powiem ci teraz co robię, jak się utrzymuję i co dalej zamyślam począć.

»Domyślasz się, że mając tylko kilkadziesiąt złotych w kieszeni, nie mogłem się brać do niczego takiego, coby mi obiecywało dalsze widoki, a nie dawało zaraz dochodu i pomocy. Musiałem więc na razie chwycić się znowu nauczycielstwa, jakkolwiek mi się przykrzyło i nie odpowiadało memu usposobieniu, które innego wymaga pola. Przypadek zdarzył, że właśnie jedna matka przywiozła źle przygotowanego synka do Lublina, dokąd udałem się najpierwej, i chciała go koniecznie umieścić w klasie trzeciej. Po egzaminie naznaczono go do pierwszej. Mama rozgniewała się i postanowiła wrócić z paniczem do domu. Ale trzebaż było kogoś wziąć, żeby chłopiec nie próżnował. Zarekomendowano mnie, i ugodziłem się za półtora tysiąca złotych. Czy ty wiesz, Eugeniuszu, co jest półtora tysiąca złotych dla człowieka, który ma trzy koszule i donasza ostatnią parę butów? Pewnie nie wiesz, i choć nauczycielem twoim był znakomity matematyk, sumy tej nie byłbyś w stanie zrachować, tak ogromną, tak niewyczerpaną się wydaje. Dostałem z góry blizko trzecią część mojej rocznej

pensyi. Mogłem się tedy jakkolwiek oporządzić i uspokoić, mając na rok cały zapewnione utrzymanie. Ale przybywszy do tego domu, postrzegłem wkrótce, że mnie tu gorzki spotka zawód, że z tej wielkiej sumy nie wszystko mi się dostanie, że bodaj, czy mi nie przyjdzie poprzestać na tem, com wziął od pani z początku, gdy mnie szczodrobliwością swoją zachęcić, a może i złapać chciała. Dziwneż bo u nas są postacie, których ty nie widzisz, i szkoda, że nie widzisz, bobyś może z nich lepiej, niż ja, korzystać potrafił. Majątek ładny i mógłby być intratnym, gdyby choć trochę więcej porządku, a mniej próżności; gdyby ci ludzie, którym Bóg dał wszystko, co trzeba, zajmowali się tem, czem się zajmować powinni, a nie tem, co się na nic nie zda, a tylko śmiesznymi ich czyni. Ale tu pan, zamiast gospodarować, zbiera numizmaty, stare szable, czaszki i różne wykopaliska, przepłaca te wszystkie osobliwości, a na parobków, na dobre pługi, na sieczkarnię i młockarnię pieniędzy nie ma. Pani maluje, admiruje naturę, i na najpiękniejsze łąki każe wypędzać krowy, jako ożywiające pejzaż i robiące okolicę malarską. Wiele zaś ma tych krów, nie wie, jaki z nich dochód i czy jest jaki, także nie wie. Byłoby to jeszcze pół biedy; ale te zdobyte osobliwości, odmalowany bukiet, lub widok, trzeba komuś

pokazać, przed kimściś pochwalić się. Stąd zapraszanie gości, częstowanie ich, stąd potrzeba galonów dla lokaja, ładnej porcelany i fajansów, błyszczących świeczników i lamp kosztownych; bo i pan i pani lubią, żeby wystąpić całą gębą, jeżeli już występować. Łatwo się domyślisz, że to wyczerpuje dochód, bo te wszystkie niepotrzebne wydatki stoją w budżecie na pierwszem miejscu, nakłady gospodarskie i podatki idą dalej, opłata ludzi jeszcze dalej, a zapłata tak nazwanego korrepetytora jest na samym końcu. Dostaje mi się więc z mojej gaży bardzo niewiele, choć już tu jestem więcej niż rok, jeszczem i połowy nie wybrał.

»Dlaczegóż się ich trzymasz? zapytasz. Zapewne, powinienbym był dawno porzucić; bo chociaż nie mogę powiedzieć, żeby to ludzie byli źli, nieuczciwi, ale gniewa mnie i niecierpliwi najprzód to, że nie robią tego co powinni, i że niedorzeczne amatorstwo przekładają nad obowiązek; powtóre, dojmuje mi niedostatek wielu rzeczy, a nie mogę grosza ciężko zapracowanego wycisnąć; a nareszcie do ostateczności przywodzi mnie mój uczeń, nieuk i próżniak, nad którym pocę się i mozolę, a widzę, że to napróżno, że ani ja, ani żaden święty z gliny tej garnka nie ulepi. Wszakże łatwiej jest powiedzieć sobie: porzucę i pójdę, niż porzucić i pójść, kiedy jeszcze nie wiem, dokąd mam

się udać i z czem wyruszę w drogę. Położenie tedy moje, jak widzisz, nie jest do zazdrości. Jednak nie martw się niem, gdyż bądź co bądź, nie zostanę tu długo. Za kilka tygodni mam odebrać swoją należytość; przyrzekli mi to solennie. Jeżeli nawet nie odbiorę wszystkiego, umyśliłem opuścić ten dom antykwaryusza i artystki i udać się z jakim takim zapasikiem, jaki zbiorę, do Warszawy. Odwagę mam, pracy się nie boję, złotych gór nie przywykłem sobie obiecywać, ale coś mi zawsze mówi, że tam, gdzie tyle ludzi żyje i kieruje się, i ja się zmieszczę i pokieruję. Do czego się tam wezmę, jeszcze nie wiem, jeszczem nad tem nawet dobrze nie myślał i nie zastanawiał się. Zresztą, cóżby mi tu pomogło myślenie, kiedy przedmiot jego nie może być wyraźny i ściśle oznaczony. To są takie rzeczy, które trzeba widzieć, dotknąć ich, żeby się przekonać, czy to mara i widziadło, czy coś takiego, co ma duszę i ciało, co ująć i do siebie przygarnąć zdołam. Tak więc najdalej we wrześniu spodziewam się być w Warszawie. Szczęśliwym będę, jeżeli cię jeszcze zastanę, chociaż z drugiej strony wolałbym, żebyś jak najprędzej wyjechał. Jeżeli więc nie obaczymy się tak prędko, jedź zdrów, kochany Eugeniuszu! Umocnij się duchem przeciw pokusie, która cię zwodzi, i jak owe widma bajek, których słuchaliśmy kiedyś razem,

może cię zaprowadzić na jakieś trzęsawisko, gdzie ugrzęźniesz tak, że ci nawet te skrzydła, na których lubisz bujać ponad ziemią, nie pomogą. Ściskam cię z całej duszy i wyglądać będę twego powrotu, który daj Boże, aby mi cię oddał zdrowym i takim, jakimbym cię chciał widzieć.«

P. S. »Nie pisz już do mnie do Sosnówki, boję się bowiem, żebym się z twym listem nie rozminął; ale jeżelibyś się nie mógł mnie doczekać, zostaw do mnie pożegnalny i pocieszający mnie liścik w domu kasztelana, w którym oznacz mi dokładnie mieszkanie pana referendarza, oraz mieszkanie ciotki naszej Herminii. Jeszcze ci tu jedną muszę zrobić wymówkę. Od śmierci naszego ojca raz tylko byłeś w Sawinie. Zapewne nie zależysz od siebie, ale w ostatnim roku twojej bytności w Zabużu mogłeś i powinieneś był wyrwać się, choćby na parę dni dla odwiedzenia księdza Macieja. Nie sądzę, abyś zapomniał o tem, że jemu to winieneś, że masz takich opiekunów, którzy ci dali wychowanie i utrzymują cię na równi ze swym synem. Byłaby to niewdzięczność, do której zapewne nie jesteś zdolnym. Aleś się zapomniał, kochany Eugeniuszu, rozbujał w sferach wyższych i roztrzepał w pogoni za tą nieszczęśliwą gwiazdą, która cię odprowadza od ziemi. Jest to błąd, który postaraj się napra-

wić. Ksiądz Maciej mówił mi, nasunąwszy brwi i pokrywając żal, który widać czuje głęboko: »To, to, to! Eugeniusz spaniał, zapomniał o mnie. A niegodziłoby się, niegodziłoby się.« Nic na to nie odpowiedziałem, bo cóż było odpowiedzieć, kiedy miał racyą; alem się mocno zawstydził za ciebie. Napiszże do niego przed wyjazdem, ale napisz tak, jak na to zasługuje ten najlepszy przyjaciel naszego ojca, ten człowiek tak rzadki, w prostocie swej tak niepospolity, którego serce, choć je chropowata okrywa powłoka, świeci w moich oczach jak brylant w ołowianej oprawie.«

VIII.

We wrześniu tegoż samego roku stanął dyliżans w Gończycach, na trakcie lubelskim i na połowie drogi między Lublinem i Warszawą. Dyliżans był wewnątrz pełny, a na wierzchu, gdzie są także trzy miejsca, trochę tańsze i niezbyt wygodne, zwłaszcza w porze chłodnej i dżdżystej, siedział młody człowiek dość słusznego wzrostu, okryty zszarzanym cokolwiek płaszczem, i poglądający ciekawie na tę dolinę, mającą z jednej strony dom pocztowy, z drugiej wielką oberżę, i która mogłaby być dziwnie piękną, gdyby choć trochę ręka ludzka i zmysł porządku postarały się ją ozdobić i oczyścić. Młodzieniec to był bardzo przystojny, regular-

nych rysów, świeżej i zdrowej cery, z czołem białem i szerokiem, które objęte dyło włosami blond, dość nizko, ale zgrabnie przystrzyżonymi. Jasne wąsiki zaledwie puszczały się na wierzchniej wardze, ale już zaczynały dodawać męskości jego twarzy i odpowiadały wejrzeniu pięknych jego, błękitnych oczów, pełnemu śmiałości i determinacyi. Ubiór nie okazywał wielkiej zamożności; ale gdy odrzucił płaszcz i powstał na dyliżansie, wyciągając się i prostując, widać było surducik czysty, zapięty i zgrabnie obejmujący jego słuszną i kształtną kibić, z której łatwo było poznać siłę i tę pewność ruchów, jaką daje umysł przytomny i niezaspana dusza. Czytelnicy domyślają się, że to był Ignaś Zabużski, jadący do Warszawy, i z tej wysokości, na której siedział, poglądający na szeroki świat, który się roztaczał przed jego okiem w nieograniczonych przestrzeniach, a na którym jednak nie wiedział, gdzie i jak się pomieści. Gdy konie już były zaprzężone, wyszedł z domu pocztowego jakiś mężczyzna słuszny, już nie młody, z wyrazem twarzy szlachetnym, ale niby pańskim, w wierzchniem ubraniu dość ciepłem, ale zagraniczną jakąś mającem formę, z kołdrą flanelową na ręku i torbą podróżną z jasnej skóry, z zameczkiem kształtnym i świecącym. Równie mina, jak i strój, okazywały człowieka bogatego, zdradzały pana przywykłego do za-

granicznych zwyczajów, form i podróży. Gdy się zbliżył do konduktora, stojącego przy powozie, ukazując na puste miejsce obok naszego bohatera, rzekł:

— Więc tam, panie konduktorze?

— A jużci tam — odpowiedział konduktor — innego miejsca niema. Proponowałem tu niektórym młodszym panom, czyby się nie chcieli zamienić, ale żadnemu to ani w głowie.

— A któż pana o to prosił? — rzekł ów jegomość uśmiechając się. — Jak kto zapłacił, tak ma prawo siedzieć.

— Zapewne — odpowiedział konduktor — ależ tam jaśnie wielmożnemu hrabiemu będzie niewygodnie.

— Niejednemu, mój panie — rzekł hrabia — jest niewygodnie, jeżeli się spóźnił. Ale sam sobie winien; musi poprzestać na tem, co zastał.

— I to prawda, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział konduktor. — Lepiejby było na świecie, żeby każdy był kontent z tego co ma.

— Rad nie rad musi być kontent ze złotówki, kto nie ma dukata — mówił hrabia i zaczął włazić na wysokie siedzenie, które mu się dostało.

Ignaś, który słyszał tę rozmowę, kontent z towarzysza, który mu się dostawał, powstał z miejsca, podał mu rękę i pomógł do wejścia

na wierzch dyliżansu. Hrabia grzecznie mu podziękował, usadowił się na drugim końcu koziołka, nie tak niewygodnego, jakby się jakiemu pieszczochowi zdawać mogło, okrył sobie kolana i nogi kołdrą, i zapaliwszy cygaro, zaczął się przypatrywać młodzieńcowi, który obok niego siedział, kiedy niekiedy tylko nań skromnie spoglądał i widocznie sam rozmowy rozpocząć nie śmiał.

Gdy powóz ruszył, hrabia po niejakimś czasie obracając się do towarzysza swego, rzekł:

— Nie jest tu tak źle, jak się konduktorowi zdawało.

— Zwłaszcza wieczorem, panie hrabio — odpowiedział Ignaś — kiedy wilgoć przybije kurzawę.

— Pan jedziesz tak od samego Lublina? — zapytał hrabia.

— Dla dwóch przyczyn — odpowiedział Ignaś — raz, że innego miejsca nie było...

— To przyczyna istotna — mówił hrabia z uśmiechem — i wszystkie inne ustąpić jej muszą.

— Dla mnie i druga jest istotną, panie hrabio — rzekł nasz bohater — a może nawet istotniejsza od pierwszej.

— A tą jest?

— Jest ta — mówił Ignaś patrząc mu

bystro w oczy — że miejsce to jest tańsze, a mój fundusz bardzo szczupły, i nie wiem jak prędko i jakim sposobem odnowić go zdołam.

Hrabia popatrzył z zajęciem na ładnego młodzieńca, który się tak otwarcie tłómaczył, i rzekł:

— Wszelki ubytek w funduszach, jaki człowiek ponosi, odnawia się i zapełnia dwojakim sposobem. Albo dochodem od tego kapitału, jaki mu Bóg dał w ziemi i w gotowiźnie, albo od tego kapitału, jaki mu dał w zdolnościach i pracy. Pierwszego pan zapewne nie masz.

— Nie mam wcale — odpowiedział Ignaś stanowczo.

— A drugi? — zapytał hrabia.

— Sam go ocenić nie mogę — rzekł młodzieniec czerwieniąc się. — Ile jest, i jak wiele to przynieść może, także nie wiem. Zależeć to będzie od sposobu, jak użytem zostanie to niedostateczne zapewne przygotowanie, którem odebrał w szkołach, i to myślenie nad drogami życia, do czego mnie od czternastego roku zmuszała ta okoliczność, że zostawiony byłem własnym siłom. Gdyby dochód mój — dodał Ignaś z wyrazem postanowienia — zależał od odwagi, jaką mam podjęcia się każdej pracy, i od chęci wykonania jej dobrze i sumiennie, miałbym wiele.

Hrabia słuchał go z uwagą, popatrzył

nań ze współczuciem, potem wyciągając rękę, ścisnął podaną sobie dłoń młodzieńca i rzekł:

— Poznajmy się lepiej. Jak się pan nazywasz?

— Ignacy Zabużski — odpowiedział Ignaś.

— Czy krewny kasztelana i referendarza Zabużskich? — zapytał hrabia.

— Pokrewieństwo jest, ale dalekie — odpowiedział młody człowiek.

— Czy pan na tej okoliczności budujesz jakie nadzieje? — mówił hrabia.

— Żadnych, panie hrabio — odpowiedział Ignaś. — Pana referendarza nie znam wcale i nie wiem nawet, czy o nas słyszał. Kasztelan jest człowiek zacny i dobry, o tem wiem. Ale u niego wychował się mój brat; nie śmiałbym więc narzucać mu jeszcze nowego obowiązku, jeżeli to jest obowiązkiem krewnych pomagać tym, którzy sami sobie radzić powinni.

— Dobrze pan robisz, że więcej polegasz na sobie, jak na innych, — rzekł hrabia. — Wszakże udaj się pan do nich, przybywszy do Warszawy. Niekoniecznie tu o to idzie, żeby pomódz datkiem, pieniędzmi. Taka pomoc bywa nawet często szkodliwą temu, który ją odbiera, a przykrą jest temu, od którego się jej wymaga. Ale pomódz młodemu radą, rekomendacyą, otworzyć mu drogę i nauczyć, jak ma nią iść, żeby się nie zbłąkał, to jest obowiązkiem

każdego krewnego, który ma znaczenie i którego słowo i prośba mają pewną wagę. Panowie Zabużscy obaj są w takiem położeniu, i nie sądzę, aby takiej pomocy panu odmówili. Czy masz pan jeszcze kogo znajomego w Warszawie?

— Nikogo, panie hrabio — odpowiedział Ignaś — oprócz jednego przyjaciela i kolegi z Lublina, który od dwóch lat jest aplikantem w Komisyi Skarbu.

— I ta znajomość — rzekł hrabia — przyda się panu, bo cię przekona, jak wiele sił i czasu marnuje się na aplikacyi, na ciśnieniu się do urzędów, których nie może być tyle, ilu jest żądających i potrzebujących chleba; na wyglądaniu, często przez kilka lat daremnem awansu, lub śmierci tych, co się uwzięli siedzieć na jednem miejscu i umierać nie chcą. Czy pan myślisz na tej samej drodze próbować szczęścia?

— Zdaje mi się, że innej niema — odpowiedział Ignaś patrząc mu w oczy z ciekawością, co też na to odpowie.

— Próbuj pan — rzekł hrabia — jesteś, jak uważam, młody człowiek czynny, przytomny i energiczny. Może cię ocenią, może przypadek zrobi w tym gęstym szeregu jaką lukę, którą ci się uda zapełnić. Ale mnie się zdaje, że są jeszcze inne drogi, po których prędzej można

dojść do celu. Tylko nie wiem, czy pan zastanowiłeś się już dobrze nad tem, co właściwie jest tym celem, do którego dążysz. Zapewne, że nie. Otóż powiem panu. Jeżeli celem tym jest władza, a przytem sfera użytecznego działania, to zapewne niema innej drogi, jak służba publiczna, jak podnoszenie się stopniowe z urzędu na urząd, póki kiedyś, pod koniec życia, dojdziesz do tego, coś zamierzył, zapewnisz sobie byt wygodny i utrzymanie przyzwoite i dostateczne do śmierci. Ale tu początek jest niezmiernie ciernisty, postęp nadzwyczaj powolny i ryzyko niesłychane. Więcej bowiem zależy od szczęścia, od przypadku, niż od zasługi, pracy i zdolności. Żeby ten zawód przejść, potrzeba trzech rzeczy: najprzód zasobu pieniężnego w młodości, żeby wytrzymać czas, często kilkoletni, służby bezpłatnej; powtóre, wielkiego zasobu cierpliwości, żeby się nie zrażać żółwim postępem i pomaleńku, co kilka, co kilkanaście lat, podnosić się z jednego stopnia na następny; nareszcie wielkiego zasobu filozofii, żeby widząc się już blizkim celu, z zimną krwią przepuścić mniej zasłużonego, który przejdzie panu przed nosem i usiądzie na tem miejscu, do któregoś całe życie dążył. Czy pan masz wszystkie te nieodzowne do tej drogi warunki?

— Zdaje mi się — odpowiedział Ignaś, który słuchał z ukontentowaniem tych słów

jasnych i zdających się być wypływem praktycznego rozumu i doświadczenia — że nie mam żadnego z nich, a szczególniej nie mam pierwszego, bez którego drogi tej zacząć trudno.

— Nie dlatego wystawiłem tę rzecz z takiej strony, żebyś się pan zrażał — rzekł hrabia — bo pierwszy warunek może się znaleźć przy pomocy krewnych i znajomych, a nadewszystko przy innej pobocznej pracy, do której pan możesz być zdolnym. Pozostałe dwa mogą panu być niepotrzebne. Możesz być jednym z tych szczęśliwych, którzy przy zdolności i zasłudze postępują szybko i nie dają się wyprzedzać nikomu. Wszakże widząc, żeś młodzieniec rozsądny i patrzysz na świat zdrowemi oczami, nie chciałem pana łudzić obrazem zwodniczym, któryby ci dał nadzieje, mogące się wcale nie ziścić. Każda rzecz ma dwie strony, i najbezpieczniej jest widzieć obiedwie. Przy takiej znajomości łatwiej jest ustrzedz się złego wyboru, lub wybrawszy złą drogę, i widząc dokąd dalej prowadzi, można jeszcze cofnąć się w porę i szukać innej.

— Nieskończenie wdzięczny jestem panu hrabiemu, że mnie raczysz oświecać — rzekł Ignaś z wyrazem prawdy i przekonania. — Zastanawiałem się ja nad tem wszystkiem i sam, ale niedoświadczenie okrywa zwykle myśli młode jakąś mgłą, przez którą nie wszystko

widać jasno i wyraźnie. Dziś, z łaski pana hrabiego, starszym jestem o lat kilka.

— Bardzo się cieszę — rzekł hrabia — że to, co mówię, taki robi skutek. Idźmy więc dalej. Drugim celem, jak dla pana, może być wyrobienie sobie pewnego stanu, nabycie biegłości czy w jakiej nauce, czy w sztuce, czy w handlu, czy w przemyśle, czy wreszcie w jakiem rzemiośle. Bo każda praca jest uczciwą, każda biegłość i postawienie się na wyższym stopniu w którymkolwiek z wyżej oznaczonych zawodów da panu utrzymanie, nawet lepsze niż daje urząd, i niezależność, jakiej żaden urząd nie daje wcale. Otóż do takiego celu prowadzi dróg bardzo wiele. Możesz pan być najprzód lekarzem, albo prawnikiem. Zostawszy lekarzem, możesz być zaraz pewnym jakiego takiego utrzymania, i przy dalszej sumiennej pracy, ciągłem doskonaleniu się, w jakim szczęśliwym przypadku, który pana wydobędzie z tłumu, możesz przyjść do imienia i do majątku. Bo uważaj pan, że w zawodzie lekarskim te dwie rzeczy zawsze razem chodzą. Imię bez dochodów, wielki dochód bez imienia jest w medycynie tylko wyjątkiem, a nie regułą. Skończywszy znowu kursa prawne w jakim uniwersytecie, możesz pan albo prywatnie zajmować się z korzyścią dla siebie i dla drugich, albo w sądownictwie utorować sobie

prędszą drogę i zajść nawet daleko. Wszakże do obu tych zawodów — dodał hrabia, patrząc bystro w oczy młodemu człowiekowi — potrzeba nietylko zdolności i przygotowania, które pan zapewne masz, ale nadto osobnego usposobienia, a nadewszystko czasu i funduszów, żeby przez lat kilka utrzymać się w miejscu obcem i dalekiem.

— Ufam sobie — rzekł Ignaś — że gdybym miał powołanie, wydołałbym tym trudnościom, jakie nauki tak obszerne przedstawiają. Ale mnie nic nie pociąga ani do medycyny, ani do prawnictwa. Przytem, jeżeli mi ciężko będzie wyżyć w Warszawie, jakżebym wyżył gzieindziej?

— Niema więc co o tem mówić — odpowiedział hrabia — i trzeba szukać jeszcze dalej. Gdzieindziej handel i przemysł przedstawia dla młodych aspirantów fortuny obszerne pole; u nas jest ciaśniej, a nawet bardzo ciasno, ale jednak przebić się można. Zakładają się fabryki różnego rodzaju sukien, kortów, płócienek i płócien; powstają fabrykacye cukru z buraków, mamy Steinkellera, mamy Ewansa, Frageta i innych. W każdym z tych zakładów młody człowiek z głową, z wolą energiczną i z jakiem takiem przygotowaniem w mechanice, lub buchalteryi może się pomieścić. Wszakże i tu spotkają pana znaczne trudności. Naczelnicy

zakładów fabrycznych wolą pomocników już gotowych, jak przygotowujących się; wolą zawsze Niemca jak Polaka. Jako sami przybysze, wierzą więcej w rozum, sumienie, a szczególniej w pilność przybyszów. Naszych młodych ludzi, którzy pokończyli szkoły, boją się, jako paniczów, okazujących dużo pretensyj, a mało pracowitości. Czy mają racyę, czy nie, w to nie wchodzę; ale nie byłbym dalekim od sądzenia, że to ich przekonanie powstało nietylko z patryotycznego przesądu, ale i z niejednej próby, na której ten i ów sparzył się i ostrzegł kolegów. Trudność ta wpływem protekcyi i głosem jakim poważnym, któremuby ci panowie uwierzyli, dałaby się przełamać; ale na to potrzeba, aby rekomendowany zapomniał o tej pretensyi, jaką u nas każdy młody, umiejący cokolwiek, ma, że już wie wszystko, aby nie bał się poniżyć pracą ręczną, aby się nie wahał wziąć do młota, hebla i pilnika, aby schował na same dno kuferka swój dyplom szlachecki, swój patent klasy VII-ej gimnazyum, ale, aby się okazał gotowym robić wszystko, nie zrażał się podrzędną rolą, jaką mu dla wypróbowania go moralnie i technicznie dadzą, i uczył się własnemi rękami wykonać to, co teoretycznie bardzo dobrze rozumie. Naczelnicy takich zakładów byliby niezmiernie głupi, ograniczeni i niepojmujący własnego interesu, gdyby

dostawszy takiego młodzieńca, któryby miał odwagę tym sposobem zaprzeć się samego siebie, nie zwrócili na niego uwagi, pozwolili go maltretować, i zamknęli oczy na szybki postęp nawet w technicznem wykonaniu, jakiby pewnie robił. Taką zaś przebywszy szkołę, mając głowę do pomysłu i rękę umiejętną do wykonania go i postawienia swej myśli na nogi, można nawet u nas być pewnym dalszej karyery, a przy szczęśliwych okolicznościach nawet fortuny i wpływu na ogół przemysłowych przedsiębiorców i samych przedsięwzięć. W Anglii tym sposobem kształcą się inżynierowie, mechanicy, naczelnicy owych niezliczonych fabryk i zakładów, które konsumują i wydają miliony. Jak dalece to tam upowszechnione, powiem panu przykład. Poznałem się w Londynie z jednym takim spanoszonym inżynierem, który miał niedaleko od miasta zakład ogromny, wyrabiający rozmaite machiny, a przedewszystkiem rolnicze. Powiózł on mnie tam, jako przemysłowego gospodarza, dla obejrzenia tej fabryki i wybrania kilku narzędzi, które mi były potrzebne. Gdyśmy weszli do ogromnej kuźni, po niejakim czasie z pomiędzy wielu robotników wystąpił młody, przystojny człowiek, ubrany jak inni, zasmolony jak inni, którego uważałem wszedłszy, jak z zakasanymi rękawami, czarną i żylastą ręką trzymał w potężnych obcęgach

rozpalone żelazo, a drugą obrabiał je młotem. Podał on zasmoloną dłoń właścicielowi zakładu, który mi w nim zarekomendował swego syna. Młodzieniec ten wykształcony, przystojny, dziedzic milionów, poddał się ciężkiej nauce, przechodził od warsztatu do warsztatu, nie opuszczając żadnego póty, póki sam nie umiał wykonać tego, co się na nim robi. Sądziszże pan, że tam ktokolwiek pieścił go, i jako panicza traktował? bynajmniej. Gdy potrzeba było coś przynieść i nam pokazać, starszy zawołał syna swego pryncypała, posłał go po to czegośmy żądali i mówił do niego takim tonem, jakby do innego zwyczajnego robotnika. Możnaby to nważać za oryginalność angielską. Ja to uważam za pewien rodzaj wyższości i w ojcu i w synie. Taki ojciec mógł zebrać miliony, a taki syn pewnie je podwoi. Cóż pan na to? — dodał hrabia, szykując sobie nowe cygaro i zapalając je.

— Jest to nowe okno, któreś mi pan hrabia na drogi życia otworzył — odpowiedział Ignaś. — Skłonności do puszczenia się którąkolwiek z nich nie brakłoby mi wcale, gdyż od dzieciństwa zabawkami mojemi były roboty ręczne, i chętniej nawet zostałbym stolarzem, jak mecenasem. Ale czyby mi nie zbrakło takiej odwagi, jakiej tu potrzeba, zaparcia się, nie powiem tej miłości własnej, ale tego przekona-

nia, że nauczyłbym się tego za tydzień, czego mnie uczyć zechcą przez parę miesięcy, poddania się kierunkowi i władzy ludzi prostych, nieokrzesanych, niższych odemnie sercem i głową, a wyższych tylko wprawą ręki i umiejętnością, jaką daje nałóg, tego jeszcze nie wiem, na to stanowczo odpowiedzieć nie mogę. Od czternastego roku życia pracuję na siebie, przebyłem już wiele i upokorzeń i doświadczeń, ale zawsze od takich, których uważałem za wyższych od siebie, i którzy w rzeczy samej byli wyższymi. Tubym musiał podwójnie naprężyć moją wolę i zahartować ją tak, jakbym hartował to żelazo, którebym urabiał. Czy mi na to wystarczy sił, nie wiem, doprawdy nie wiem.

— Spróbuj pan, spróbuj — rzekł hrabia, spoglądający z ukontentowaniem na piękną twarz Ignasia, którą rumieniec okrasił — im przez silniejszy ogień przejdziesz, tem czystszym wyjdziesz i wolniejszym od tego żużla przesądu, próżności i fałszywego wstydu, który zagłusza metal i robi go nieużytecznym. Czy przemysł, czy które z rzemiosł wyższych i zakrawających cokolwiek na sztukę doprowadzi pana tam, dokąd każdy uczciwy i zdolny człowiek dążyć powinien, zawsze będziesz u celu. Żeby nabyć biegłości w czemkolwiekbądź użytecznem i korzystnem, żeby tym sposobem zapewnić sobie niezależność, i przy jakichbądź okolicznościach

być panem swojej przyszłości i stać na własnych nogach, warto przez parę lat ukorzyć młodą i hardą głowę, i poddać się próbie, która pod względem moralnym może wyjść na dobre.

Ignaś chciał widać na to odpowiedzieć; ale po chwili spuścił oczy i milczał. Hrabia spostrzegł jego intencyę i rzekł:

— Chciałeś pan coś mówić. Mów pan śmiało i otwarcie, co sądzisz o tych radach, jakie ci daję?

Młody człowiek spojrzał wtedy na niego z takim wyrazem, jakby go chciał przeniknąć, i zapytał:

— Czy pan hrabia przestaniesz tylko na tych radach, jakie mi dać raczyłeś?

Hrabia uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nazywam się Adam S... Mieszkam na Senatorskiej ulicy, we własnym domu. Znajdziesz go pan łatwo.

— Więc to z hrabią Adamem S... los pozwolił mi spotkać się — zawołał Ignaś podwójnie uradowany.

— Przyznaj pan, że oryginalnie. Na budzie dyliżansu — rzekł hrabia śmiejąc się.

— Być może, że oryginalnie; ale pozwoli mi pan hrabia z tej oryginalności losu wnieść, że mi sprzyja — odpowiedział młodzieniec, a wyraz wdzięczności i nadziei błysnął w jego oku. Hrabia ścisnął jeszcze raz jego rękę

z nietajonem współczuciem, a gdy w tej chwili stanęli przy stacyi, na tem skończyła się ta ważna dla jednego z bohaterów naszych rozmowa.

Nazajutrz, koło godziny siódmej rano, dojeżdżał Ignaś do Warszawy. Ranek był pogodny i świeży; podnoszące się słońce złociło krzyże kościołów i połyskiwało jaskrawo na szybach niezliczonych okien, z których widok na Wisłę migającą zdala na prawo i na lewo. Hrabia drzemał, a młody człowiek otuliwszy się swym płaszczykiem, patrzył w zamyśleniu na rozległą przestrzeń, począwszy od Willanowa do cytadeli, to ozdobioną smukłemi topolami, to ciemniejącą gęstymi bukietami ogrodów, to piętrzącą się rozmaitymi budynkami, rozlicznej formy i wielkości, pomiędzy którymi łatwo mu było rozróżnić kościoły po kopułach i wieżach, gmachy rządowe i zamek po ich rozległości i wspaniałej architekturze, i te proste kamienice, wysokie i ciasne, z mnóstwem okien i okienek, gdzie się utula rój ludzi, gdzie się chowa tyle potrzeb, tyle pracy, starającej się je opędzić, tyle nędzy, często niewinnej i niezasłużonej, i tyle występków, które różnemi drogami do niej prowadzą. Długo rozmyślał on o swej rozmowie z tym człowiekiem, którego praktyczny rozum i postępowanie miało w sobie coś niezwyczajnego. Zastanowiło to roztropnego i lubiącego

przypatrywać się ludziom młodzieńca, że ten możny pan, należący do najznakomitszej i niepokalanej niczem w dziejach naszych rodziny, nie okazywał właściwej panom próżności i dumy; że bez skrzywienia się zajął miejsce przeznaczone dla biedaków; że tak dobrze znał niższe stopnie życia, i tak po ludzku wchodził w położenie młodego, który tylko z odwagą i nadzieją w sercu, bez żadnej materyalnej pomocy i podpory, wstępował w te rozległe szranki i do ciężkich gotował się zapasów. Powtarzał on sobie w myśli jego rady, ważył i rozważał każde jego słowo, a przypomniawszy sobie, jak prędko i chętnie zrozumiał ostatnie jego zapytanie, pomyślał, że w każdym razie znajdzie w nim, jeżeli nie pomoc pieniężną, o którą postanowił nie prosić go nigdy, to zdrową radę i skuteczną protekcyę. Z tych wszystkich uwag zrobił ten wniosek, że Opatrzność czuwa nad nim, kiedy mu znajomość takiego człowieka zesłała, że zatem nie powinien tracić serca, ale owszem, ukrzepiwszy się i umocniwszy silnem postanowieniem do przedsięwzięcia każdej uczciwej pracy, jaka mu nastręczy drogę pokierowania się, rozpocząć to nowe życie z odwagą i nadzieją.

Póki był daleko jeszcze do celu, póki go cienie nocy otaczały i zajmowało szczególniej to, żeby już jak najprędzej przybyć na miejsce,

odważnym był, ufnym i śmiało patrzył w przyszłość. Ale gdy się przed jego okiem rozwinęło to zarzeczne wzgórze, zasłane tylu budynkami; gdy pomyślał w jaką wejdzie ciżbę, ile to tam tysięcy ludzi obcych mu zupełnie, obojętnych, zimnych na jego najlepsze chęci, zajdzie mu drogę, zacznie go popychać, potrącać i zrzucać z tej ścieżki, którą sobie obierze; gdy minąwszy rogatki uczuł pod sobą hurkot niegościnnego bruku, a zbliżając się do mostu posłyszał gwar i huk niedalekiego miasta, które budząc się do życia, szumiało jakby jaka głębia, mająca go pochłonąć; gdy wjechawszy w ulicę postrzegł tylu idących tam i napowrót, a nikt nie zwracał uwagi na ich potężny powóz, nikt na niego nie patrzył, nikt nie zainteresował się tą myślą niepewną i trwożną, która leżała na jego czole; owszem, każdy się śpieszył, każdy zajęty był tylko sobą i obojętnie wymijał, lub rozpychał tych, co mu zawadzali; serce mu się ścisnęło, wszystkie piękne nadzieje znikły, zwątpienie i trwoga ogarnęły męską jego i dotąd tak odważną duszę, i gdyby się był nie wstydził, byłby zapłakał, pomyślawszy, że tu nie znajdzie żadnej ciepłej dłoni, żadnego bijącego współczuciem serca, ale, że wszystko będzie tak zimnem i twardem, jak te kamienie, co były pod nim i obok niego. W takiem usposobieniu stanął Ignaś na dziedzińcu pocztowym. A gdy

zsiedli, i hrabia skłonił mu się, poszedł ku bramie od Nowo-Senatorskiej ulicy, rzucił worek swój do dorożki, wsiadł i pojechał, nie obejrzawszy się nawet na towarzysza, który go śledził wzrokiem, biedny chłopak uczuł się zupełnie opuszczonym, i dopiero wtedy pomyślał ze strachem, że ma tylko czterysta złotych w kieszeni, i że w tym natłoku ludzi, zamieszkujących tę otchłań, w której się znalazł, nie ma żywej duszy ani znajomej, ani przychylnej.

Wszakże ten stan nie trwał długo. Było to jakby odurzenie na widok tylu rzeczy niezwyczajnych i nowych, które na chwilę odebrało mu przytomność i sercu jego odjęło siłę i energię. Gdy dyliżans został wypakowany i Ignaś obaczył kuferek swój i tłómoczek u nóg swych przy schodkach drzwi stancyi pasażerskiej, pomyślał, że trzeba się najprzód gdzieś ulokować, a potem wspomniawszy, że ma tu przecież przyjaciela, który go nauczy, jak się na pierwszy raz obrócić, że ma ciotkę, która mu może nie odmówi swojej protekcyi, że wreszcie ma hrabiego, który w ostatecznym razie będzie jego ucieczką, przyszedł jakoś do siebie, i dowiedziawszy się od konduktora, że najtaniej i najbliżej może się ulokować w hotelu Smoleńskim na Bednarskiej ulicy, tam kazał zanieść swoje rzeczy, i za czterdzieści groszy na dobę dostał pokoik, nie bardzo pokaźny, nie bardzo

opatrzony we wszystko, co było potrzebnem, ale na pierwszy moment dający dostateczny przytułek.

Gdy się przebrał i wypił śniadanie w pierwszej kawiarni, jaką znalazł, była dziesiąta. Sądząc, że o tej porze nie zastanie kolegi, który już zapewne musi być w biurze, zaczął się od razu dopytywać do Komisyi Skarbu. *Dalej* odpowiedział pierwszy, którego zaczepił; *prosto*, odpowiedział drugi; *za Bankiem na prawo,* mówił trzeci; a wszyscy śpieszyli, wszyscy byli tak zajęci, tak obojętnie rzucali mu te słowa niedokładnego objaśnienia, że mu się znowu serce ścisnęło i pomyślał: czy i ja będę takim, czy tu wszyscy tacy? Stanął wreszcie w sieniach wspaniałego gmachu; obejrzał się na drzwi na prawo i na lewo, i tu i tu napisano: *Nie wolno wchodzić.* Zatrzymał się więc, namyślając się co zrobić. Zjawił się wtedy woźny. Ignaś grzecznie mu się ukłonił i zapytał go, gdzie pracuje pan Aleksander Kański.

— Kto to pan Aleksander Kański? — odpowiedział woźny, spojrzawszy jakoś z pod oka na młodego człowieka w niepokaźnym surduciku, w czapeczce i bez rękawiczek.

— Aplikant w Komisyi Skarbu — odpowiedział Ignaś.

— A, aplikant — rzekł woźny, machnąwszy ręką. — Nie znam — dodał, nie patrząc już na pytającego, i poszedł dalej.

Na pierwszem piętrze ten sam napis na drzwiach, podobna rozmowa z drugim woźnym, który śpieszył z papierami pod pachą. Smutno się zrobiło bohaterowi naszemu, gdy pomyślał, jak małą, jak nic nie znaczącą i zarzuconą tu musi być postać i osoba aplikanta, kiedy go nawet woźni nie znają. Stanąwszy więc przy oknie myślał nad tem, czy iść dalej, czy nie dopytywać się już więcej i czekać godziny trzeciej, aż przyjaciel wyjdzie z bióra i wróci do domu. Wtedy otwarły się drzwi, i wyszedł jakiś poważny mężczyzna, w mundurowym fraku, z papierami w ręku. Ignaś ukłonił mu się grzecznie, on mu oddał ukłon i uprzejmie zapytał, czego sobie życzy.

— Przybywam z Lublina — odpowiedział Ignaś — mam tu kolegę i przyjaciela, który aplikuje w Komisyi; chciałbym się z nim na chwilę zobaczyć.

— Jego nazwisko? — zapytał urzędnik.

— Aleksander Kański — odpowiedział młodzieniec trzymając w ręku czapeczkę.

— Chodź pan za mną — rzekł z grzecznością urzędnik, i weszli do sali obszernej, zastawionej stolikami i biurkami, przy których rozmaici to siedzieli, to stali temperując pióra, to przewracając papiery, to pisząc z zajęciem. — Proszę się tu zatrzymać — dodał ów urzędnik i poszedł dalej.

Ignaś czekał kilka minut, przypatrując się w milczeniu tym panom, z których żaden na niego nie spojrzał. Ale grzeczność wyższego urzędnika, porządek bióra, złagodziły to przykre wrażenie, jakie ta obojętność niższych na nim zrobiła.

Wkrótce wyszedł z drugiej sali Oleś Kański, z pokrowcem z szarego płótna na prawej ręce, z piórem za uchem, a spostrzegłszy kolegę zdaleka, uśmiechnął się uradowany, wziął go za rękę i wyprowadził z sobą do sieni. Tu dopiero przyjaciele rzucili się sobie w objęcia i serdecznie się uściskali.

— Jak się masz, Ignasiu! — rzekł po chwili Kański, przypatrując się koledze — wyrosłeś, zmężniałeś; ale coś masz minę smutną i zamyśloną.

— Cóż to dziwnego — odpowiedział Ignaś — przybyłem tu z gołemi rękami, i nie wiem jak i gdzie się obrócić. Jest o czem pomyśleć.

— Śmiej się z tego — odpowiedział aplikant. — Nie takie to straszne, jak się z początku zdaje. Znajdzie się i ręka poczciwa, która pomoże, i droga, która się otworzy. Ot, patrz na mnie, stoję już prawie na nogach, i prawie pewnym jestem, że mi nie trudno będzie pójść dalej. Wiele masz zapasu?

— Odliczywszy wydatki drogi — odpo-

wiedział Ignaś — nie wiem, czy mi czterysta złotych zostanie.

— Pi, pi, pi! — zawołał Kański — toś ty pan w porównaniu z innymi. Ja miałem tylko trzysta niespełna, jakem przyjechał do Warszawy; a jednak wybrnąłem i idę śmiało.

— Więc ci dobrze jest? — rzekł Ignaś uradowany powodzeniem przyjaciela.

— Doskonale — odpowiedział zaufany w przyszłość swą młody człowiek — mam już dyety. Tysiąc złotych na rok. Ale to nie potrwa długo. Za pół roku pójdę na etat. Nie wielka to rzecz, ta pierwsza pozycya wynosi tylko tysiąc dwieście, albo półtora tysiąca, ale dobre i to przy innem szczęściu, które mnie czeka. Najdalej za dwa lata będę miał najmniej trzy tysiące pensyi.

— Więc nawet szczęście cię czeka? — zapytał Ignaś kiwając głową.

— I jakie jeszcze — rzekł Kański. A potem, gdy ten sam urzędnik przeszedł i choć nic nie powiedział, ale spojrzał jednak ze znaczeniem na rozmawiających młodych ludzi, Kański dodał: — To mój protektor, najlepszy w świecie człowiek i ma tu wielkie znaczenie. Ale ostry i akuratny. Uważałeś, że spojrzał na mnie tak, jakby niekontent był, że tak długo rozmawiam. Do widzenia, kochany Ignasiu! po obiedzie przyjdę do ciebie i pogadamy szeroko i długo.

Gdy Ignaś zapytany uwiadomił kolegę, gdzie stanął, i nawzajem wypytał się, którędy ma iść na Leszno, gdzie było mieszkanie kasztelana, młodzi ludzie rozeszli się, uściskawszy się raz jeszcze i umówiwszy się, że się obaczą z sobą o godzinie czwartej punktualnie.

Od komisyi Skarbu kilka kroków tylko miał Ignaś na Leszno. A że mu znajomy był numer domu, którego szukał, znalazł go prędko i stanął przy drzwiach oszklonych, któremi paradne, kobiercem wysłane schody były zamknięte. Serce mu jakoś dziwnym sposobem biło na tę myśl, że może obaczy brata, którego lat tyle nie widział; że ten brat, przywykły do pańskiego życia, do innego ubrania, do innego znalezienia się, może nie znajdzie w nim tego, czego się spodziewa, może zawstydzi się jego prostego surducika, jego czapeczki i nielakierowanych butów; że może niekontent będzie, że mu się pokaże takim jak jest, a jeżeli jeszcze to przywitanie będzie miało miejsce w obec syna kasztelana, może mu to sprawi przykrość zamiast radości, może nie będzie śmiał, lub chciał okazać mu tyle przywiązania, ile widział w jego liście, i ile sam czuł w swej piersi. Jeżeli zaś Eugeniusz przyjmie go po bratersku, jeżeli rozgadawszy się z nim pozna, że i on czasu nie tracił, jeżeli zechce zaprezentować go kasztelanowi, jego dumnej żonie, jego dzieciom,

które może nigdy nie widziały z blizka studenta z gimnazyum, zakłopotał się niepomału uczciwy, ale także dumny chłopak, czy nie dozna jakiego upokorzenia, czy się potrafi znaleźć, czy w rzeczy samej jakim niezgrabnym ukłonem, lub niestosownem słowem, nie zrobi wstydu bratu. Wszystko to wzruszyło go tak, że nieśmiało i drżącą ręką pociągnął za dzwonek z rączką porcelanową, na której było napisane: *pierwsze piętro.*

Po niejakimś czasie coś stuknęło we drzwiach, ale nie otworzyły się i nikt nie wychodził. Zadzwonił więc Ignaś po raz drugi. Znowu coś stuknęło we drzwiach, dały się słyszeć kroki w sieniach i z góry odezwał się głos gburowaty:

— Któż tam u dyabła dzwoni i dzwoni! Pchnąć drzwi, kiedy otwarte.

Pchnął więc Ignaś drzwi i wszedłszy na górę, obaczył przed sobą starego jakiegoś sługę w kamizelce tylko, bez chustki na szyi i ze ścierką w ręku.

— Czego aspan chcesz? państwa niema w mieście. Są na wsi — rzekł sługa, patrząc z lekceważeniem na młodego człowieka, który na jaśnie wielmożnego nie wyglądał.

— A pan Eugeniusz Zabużski? — zapytał Ignaś.

— A, to chyba, że do pana Eugeniusza —

rzekł sługa. I obejrzawszy raz jeszcze bohatera naszego od stóp do głów, dodał: — I pana Eugeniusza niema. Pojechał z paniczem i księdzem Augustynem za granicę. A któż aspan taki?

— Jestem Ignacy Zabużski, brat Eugeniusza — odpowiedział młodzieniec czerwieniąc się, że go tak lekko traktuje człowiek, trzymający w ręku pańską ścierkę, a stąd pomiatający tymi, którzy tego honoru nie mają.

— Aha, brat pana Eugeniusza! — mówił dalej sługa, którego ta wiadomość nie zrobiła wcale grzeczniejszym. — Toż go aspan nie prędko obaczysz, bo oni dopiero za dwa lata powrócą, a może i więcej zabawią, kto jego tam wie.

— Kiedyż mój brat wyjechał? — zapytał Ignaś.

— Panicz wyjechał jakoś zaraz po świętym Janie i brata aspana wziął z sobą — rzekł sługa, widocznie z intencyą pokazania mu, że jego brat był w tej podróży podrzędną osobą. Ignaś zaczerwienił się znowu i rzekł mocniejszym głosem i z wejrzeniem, w którem wyrażał się gniew i obraza:

— Wiem o tem, że Stanisław Zabużski wziął z sobą krewnego swego Eugeniusza Zabużskiego. Nie potrzebowałeś mnie o tem uwiadamiać. Chciałem tylko wiedzieć, kiedy

wyjechali. Ale musiał tu mój brat zostawić do mnie list: proszę mi go oddać, jeżeli jest.

— A jest, proszę pana — rzekł sługa grzeczniej, i otwierając mu drzwi dodał — niech pan wejdzie i usiądzie. Ja zaraz przyniosę.

Wszedł Ignaś do przedpokoju, który był duży, widny i tak umeblowany, jak były najparadniejsze gościnne pokoje w tych domach, w jakich się dotąd znajdował. Nie zastanawiało to jednak młodego człowieka, który zajęty tą gorzką myślą, przez jakie to Eugeniusz musiał przechodzić upokorzenia w tym domu, gdzie słudzy takim tonem o nim mówią, więcej zmartwiony, jak rozgniewany, rzucił się na krzesło i czekał, nie patrząc nawet na meble, piękne swoją prostotą i wyrobieniem, i na prześliczne sztychy, szczególniej wyobrażające konie i myśliwstwo angielskie, którymi ściany były zawieszone. Po kwadransie może, wszedł ten sam lokaj już w surducie, w chustce na szyi i oddał mu list Eugeniusza. Ignaś uśmiechnął się, widząc tę zmianę, jaką wywołało jego śmielsze znalezienie się, i nie zmieniając pozycyi, przebiegł prędko list brata i łza błysnęła w jego oku. Gdy skończył, schowawszy list, rzekł tylko: dziękuję ci, kochanku! — i poszedł śpiesznie, jakby go piekło na tej przedpokojowej posadzce i na tych pańskich kobiercach, którymi schody były zasłane.

List Eugeniusza zamykał tylko te słowa:

»Dnia 27. czerwca 1840 r. Warszawa. Za parę dni wyjeżdżamy. Już wszystko gotowe. Czekamy tylko na siostrę kasztelanowej, hrabinę Z.... która pragnie jeszcze widzieć siostrzeńca, którego bardzo kocha. Oby jak najdłużej przybycie swe odwlekała! Pojmujesz dlaczego mi nie pilno, dlaczego mi żal rzucać to słońce, które mnie ogrzewa, które mi rozjaśniło świat Boży tu, gdzie świeci, gdzie promienie jego tak blizko na mnie padają. Nigdy mi Warszawa nie wydała się tak piękną, nigdy twarze swoich nie były mi tak miłe. Przed kilku miesiącami pragnąłem gorąco innego nieba, innego kraju, innych ludzi. Dziś boję się tej chwili, w której mowa polska przestanie brzmieć w moich uszach, w której dźwięki obce ostrzegą mnie, żem już daleko odbiegł od tego wszystkiego, com kochał tak mocno od dawna, chociaż teraz dopiero, gdy przychodzi rzucić to, co było tak drogiem, co tem droższem się staje, im bardziej odsuwa się odemnie, zdaję sobie sprawę z moich uczuć, ze stanu mojej duszy. Rozumiesz mnie, drogi Ignasiu! i pojmujesz to dobrze, z jaką radością zostałbym, gdyby mi powiedziano: zostań; z jaką niecierpliwością wyglądałbym twego przybycia, z jakiem uniesieniem rzuciłbym się w twoje objęcia.

»List twój czytałem z uwagą. Pełny on

rozsądku i serca. Wziąłem go z sobą i odczytam jeszcze raz gzieindziej, dalej, gdzie będę miał więcej czasu, więcej swobody do pomyślenia nad sobą. Wtedy zastanowię się może i nad tą geometryą, której podobało ci się trochę może naciągane dać zastosowanie. Dziś rozbierać tego wszystkiego nie mogę. Liścik ten zostawiam u sługi, który zawsze zostaje w Warszawie i pilnuje mieszkania kasztelana. Boję się więc, żeby go stary gdzie nie zarzucił, i dlatego nie rozpisuję się i nie rozbieram tych wszystkich uwag, które robisz, a na które, jakkolwiek rozsądne, byłoby co odpowiedzieć. Zaraz po przybyciu do Warszawy i po odebraniu tej karteczki napisz do mnie, do Rzymu, *poste restante*. W połowie listopada już tam zapewne będziemy. Przyłącz swój adres, z dokładnem oznaczeniem ulicy i numeru domu, żeby się mój list nie zabłąkał. Będzie on długi, wypowiem ci w nim wszystkie wrażenia, jakich doznawałem i doznawać będę, żałując tego, com stracił, i patrząc na to, co choć nowe, choć może wielkie i ciekawe, ale nie wiem, czy mi wynagrodzi oddalenie się od rodzinnego kąta, do którego serce przyrosło, i do którego myśl stęskniona ciągle powracać będzie. Bywaj zdrów, kochany Ignasiu! niech ci Bóg szczęści w twoich zamiarach i postawi cię na takiej drodze, któraby cię wykierowała za człowieka,

jakim przy rzadkiem usposobieniu twojem być możesz.

Twój na zawsze *Eugeniusz.*“

P. S. »Dziękuję ci za dobrą radę. Sam już to sobie wyrzucałem, żem z Zabuża nie dojechał do księdza Macieja i nie uściskał tej szanownej ręki, która mnie wprowadziła na tę ścieżkę, po której idę. Jaki będzie skutek tej mojej wędrówki, nie wiem, gdyż czasem, zwłaszcza teraz, robi mi się bardzo ciemno przed oczami. Zawsze jednak intencye zacnego człowieka były najlepsze, za które wdzięczność mu zachowam dozgonną. Napisałem do niego tak, jak mi dyktowało serce, wspomnienie jego dobrodziejstwa i tej rzadkiej przyjaźni, jaką miał dla naszego ojca. Referendarz mieszka na Nowym-Świecie. Numeru nie pamiętam, ale łatwo znajdziesz jego mieszkanie po wskazówce jaką ci podam. Między Warecką i Chmielną, z prawej strony, jest dom, zdaje mi się zielonawy. Może się mylę w kolorze; ale idąc tamtędy, patrz tylko w okna na pierwsze piętro. Gdzie obaczysz ponsowe materyalne firanki, ze złotemi frendzlami, i złote bulionowe kutasy, wiszące na złotych sznurach, a pod tem złotem i materyą dwie panny wystrojone, patrzące przez lornetki na ulicę o każdej porze dnia, wyjąwszy godziny czwartej, to jest pory obiadu, tam mieszka referendarz. Nie chcę cię uprzedzać.

Obacz i napisz mi, jak ci się to wyda. Ciotka Herminia mieszka na Podwalu, z prawej strony przy aptece, na pierwszem piętrze. Wolałbym, żeby mieszkała na drugiem. Byłem u niej tylko raz tego roku i nie pójdę już wyjeżdżając. Wszystko to, co ją otacza, nie podoba mi się. Warszawa wprawdzie wymaga pewnego rodzaju elegancyi. Jest to choroba tego miasta, zwłaszcza pięknej jego połowy; ale wolałbym nie widzieć u ciotki naszej aksamitnych mebli, ślicznych bronzów i tylu materyalnych sukien. Co to jest, i jak jest, nie wiem. Bałem się dochodzić i pytać, żeby się nie dowiedzieć czegoś takiego, coby mnie mocno zabolało. Obacz wszakże i donieś mi. Możem się pomylił i na próżno się przeląkł. Nie wiem cobym dał za to, żeby tak było. Wszakże to siostra naszej drogiej matki, siostra tej nieocenionej cioci Teresi, która mnie tak kochała i do której pisałem także i obiecałem jej kilka pamiątek z Rzymu, ręką Ojca Świętego poświęconych. Ucałuj jeszcze raz odemnie jej ręce i nogi, i upewnij ją, że obietnicy mej święcie dochowam. Bądź zdrów, bądź zdrów, drogi Ignasiu! Dziwnie mi jakoś na sercu. Łzami zachodzą oczy i ręka drży, tak, że pióra dłużej utrzymać nie może. Niestety! już teraz nie zapytuję cię co to jest i dlaczego. Wiem o tem dobrze. Tego tylko nie wiem, czy ci takim powrócę,

jakim mnie mieć pragnąłeś, czy takim, jak wyjeżdżam. Prędzej to ostatnie...., a wtedy, co będzie, to Bóg jeden wie i rozrządzi, jak Jego łaska i miłosierdzie.«

Gdy się Ignaś znalazł na Placu Teatralnym, było po wpół do pierwszej i głód dawał się uczuwać. Rozmowa najzwyczajniejsza w świecie, którą notujemy tu tylko dlatego, że ma tyle wartości, co słup drogowy mający rękę z napisem, ukazała mu, gdzie się ma udać, i oszczędziła wypytania się, do którego szczególnej nabrał odrazy.

— Jak się masz? — rzekł jeden spotkawszy się z drugim, obaj młodzi i przystojnie ubrani.

— Jak się masz? — odpowiedział drugi.

— A która to już godzina? — i obaj spojrzeli na zegar ratuszowy.

— Oho! już blizko pierwsza. Czas co przekąsić.

— A dokąd idziesz na obiad?

— Naturalnie, do Karczewskiej. Nie drogo tam, niewykwintnie, ale przynajmniej smaczno.

— Ja pójdę do Marego — rzekł drugi, przyglądając się swoim eleganckim rękawiczkom.

— Nie na moją to kieszeń — bądź zdrówi

— Do widzenia się — rzekł drugi. Podalł sobie ręce i rozeszli się. Bohater nasz poszed. za pierwszym i znalazł się u Karczewskiej. Rzeczywiście nie było tam wykwintnie, ale

pełno i zapach dobrego barszczu rozchodził się po sali. Za przykładem swego przewodnika Ignaś kazał sobie dać także obiad. Dziewczyna, której dysponował, spojrzała na jego czapeczkę, na ręce bez rękawiczek i rzekła:

— Obiad kosztuje dwa złote. — Ignaś dobył dwa złote i oddał jej z góry, a wtedy dziewczyna ukazując mu miejsce, dodała: — Niech pan siada.

Obiad był prosty, gospodarski, ale smaczny. Zapewne najlepszą jego przyprawą była wczorajsza podróż na budzie dyliżansu i dzisiejsze kursa, jakie odbył po Warszawie; wszakże Ignaś wyznał sobie, że dawno z takim nie jadł apetytem, i kontent był, że od razu odkrył miejsce, gdzie tak tanio a tak smaczno posilić się można.

Gdy wrócił do stancyi, odczytał jeszcze raz list Eugeniusza. Zmartwił się on gorzej jego prostotą, niż dawniej poetycznym polotem pierwszego. Z tych słów skreślonych na prędce widział Ignaś wyraźnie, że Eugeniusz już nie tai przed sobą samym stanu swego serca, i że musiał postrzedz jakiś szczególny znak przychylności ze strony panny Jadwigi, który nadzieje jego pokrzepił i miłość rozpłomienił. Przestraszyło to niezmiernie roztropnego chłopca, i biorącego rzeczy jak są; widział bowiem dobrze, że najwyraźniejsza wzajemność panny,

tak wyższej wszystkiem tem, co świat ceni, nic bratu jego nie pomoże, owszem pogorszy stan jego i pokój jego zatruje. Ale na to nie było żadnej rady, i rzecz tę trzeba było zostawić czasowi. Wszakże troska ta o brata jaskrawsze jeszcze światło rzuciła na pierwsze jego własne kroki w Warszawie i tem wydatniej mu pokazała, co w tem wszystkiem, co widział i czego doświadczył, było przykrem i odstręczającem.

Na takich rozmyślaniach zeszło mu parę godzin, nim Kański przybył. O godzinie czwartej usłyszał Ignaś jakieś śpiewanie, jakieś obce uchu jego wyciągania i zagięcia tonów, czystym wszakże i ładnym tenorowym głosem robione. Był to piękny motyw z Łucyi. Bohater nasz zrozumiał tylko, że to nie jest pieśń krajowa, gdyż opery żadnej w życiu swem nie widział, i z tej strony wcale cywilizowanym nie był. Gdy więc zaczął się w najlepsze przysłuchiwać, drzwi się jego otwarły i stanął w nich Kański w pozycyi Edgara, kończąc wyrzuty, jakie w sławnym sekstecie kochance swej czyni. Miał on na sobie ładny tużurek, elegancką chusteczkę, nowy kapelusz i rękawiczki, które zdawały się tylko co wziętemi ze sklepu. W jednej ręce trzymał cygaro, a w drugiej trzcinkę, na której był śliczny piesek ze słoniowej kości. Tużurek jego był rozpięty, a na kamizelce materyalnej, wzorzystej, błyszczał łańcuszek złoty od zegarka.

Ignasia uderzył ten ubiór kolegi, a nadewszystko humor wesoły i ta mina tak niefrasobliwa, tak pełna nadziei, iż zdawało się, że jest pewnym wygranej, jak gdyby miał cztery tuzy w ręku. Był on szczerym Kańskiego przyjacielem, kochał go tem koleżeńskiem przywiązaniem, które tylko w młodym wieku i na ławce szkolnej zawiązuje się i potem trwa przez całe życie; a jednak widok tak pomyślnego położenia i tak szczęśliwego usposobienia nie ucieszył go wcale, owszem, tknął go jakiemśćiś przykrem przeczuciem, że to wszystko pozór, że to wymuszone, przedwczesne, i jak prędko przyszło, tak prędzej jeszcze pójdzie. Kilka słów o tym koledze bohatera naszego pozwolą nam skreślić czytelnicy. Resztę dopowie rozmowa, która się między nimi zawiązała.

Aleksander Kański, szlachcic z patentem heroldyi, był synem propinatora z Wajsławic. Ojciec miał się nieźle, ale był skąpy i przytem liczną obarczony familią. Najstarszego syna doprowadził do klasy piątej w Lublinie, a potem oporządziwszy go jako tako na cały rok, dawszy piętnaście rubli srebrnych do rąk i krzyżyk na drogę, puścił go w świat o własnych siłach. Ta wspólność położenia zbliżyła obu chłopaków do siebie, chociaż Oleś Kański był starszym od Ignasia prawie o tat trzy, i właśnie w tej chwili, kiedy o nim mówimy, dwudziesty trzeci

rok kończył. Poprzyjaźnili się więc obaj prędko, pomagali sobie wzajemnie, to w lekcyach, to w sposobie wygrzebywania się z biedy; a choć Ignaś przewyższał przyjaciela zdolnością, pilnością i pracą, i widoczna była różnica w ich charakterach, związek ich jednak był nierozerwany aż do ukończenia gimnazyum i przedłużał się później przez korespondencyą, tak utrzymywaną, że zawsze jeden o drugim wiedział, gdzie się obraca i co przedsiębierze.

Główną cechą charakteru Aleksandra Kańskiego było to, że nie wątpił nigdy o pomyślnym obrocie tego wszystkiego co przedsiębrał, że każdy połysk nadziei brał za fakt dopełniony i na tym gruncie, jakby na jakiej opoce, zamki swoje budował. Z tego względu zdawał się on należeć do familii Bonapartych, tak wierzył w swoją gwiazdę. Ignaś był daleko roztropniejszym, zimniejszym, więcej wyrachowanym. Stąd poszło, że po ukończeniu gimnazyum rozdzielili się. Bo gdy Kański, wyprosiwszy od ojca kilkaset złotych, najprzód oporządził się w Lublinie, pełen nadziei, że mu ta powierzchowność do utorowania sobie dalszej drogi pomoże, a potem mając niespełna trzysta złotych w kieszeni, puścił się śmiało do Warszawy; to Ignaś, jakeśmy to widzieli z jego listu, starał się najprzód dopełnić swych zobowiązań względem uczniów, jakich miał, i względem ciotki, którą

kochał, potem nie hazardując nic, chciał doświadczyć sił swoich w gospodarstwie; potem widząc, że to zawód nie dla niego, postanowił pracą, z którą był oswojony, przysporzyć sobie do dalszej drogi taki zasób, żeby przynajmniej przez niejaki czas był pewnym swojego jutra. Nie jego w tem wina, że trafił na takich ludzi, którzy nie już płonne jakieś nadzieje, ale prosty i uczciwy rachunek zrobili niedostatecznym i zawodnym. Zawsze jednak mógł spokojniej oczekiwać przyszłości, bo miał więcej, niż kolega wówczas gdy przybył do Warszawy; bo miał krewnych, których wprawdzie nie znał, ale na których mógł choć trochę polegać; wreszcie miał do tysiąca złotych z folwarczku, które w ostatecznym razie mogły go dojść całkowicie, gdyby napisał do księdza Macieja, aby wszelkim nakładom i reperacyom położył koniec.

Nie mając tych wszystkich środków, gdyż ojciec zapowiedział mu, że na żaden list z prośbą, choćby o trzy grosze, nie odpowie, stanął Kański półtrzecia roku temu na tym samym dziedzińcu pocztowym, świszcząc i śpiewając, na którym ostrożniejszego Ignasia tak ciężkie i smutne opadły myśli. Nająwszy sobie stancyjkę na Starem Mieście na cały kwartał i zapłaciwszy z góry, zaczął od chodzenia na teatr, od zaznajomienia się z młodymi aplikan-

tami, i od dowiadywania się, gdzieby mu i do kogo udać się zależało. I ten i ów wymieniał mu właśnie tego urzędnika z Komisyi Skarbu, któregośmy widzieli, mieniąc go człowiekiem surowym i ścisłym, ale dobrym, wchodzącym w położenie młodych ludzi, i mającym wpływ i powagę. Kański nie widział go nigdy w życiu, nie miał żadnego listu, żadnej rekomendacyi, ale widząc, że dno jego woreczka zaczyna pokazywać swoje wyschłe oblicze, uzbroił się w odwagę, w patent heroldyi i świadectwo urodzenia i z gimnazyum, i ubrawszy się jak mógł najczyściej, z ufnością w swoją gwiazdę poszedł do pana naczelnika. Minę miał dobrą i śmiałą, więc lokaj nie odprawił go zwykłem: *niema pana.* Stanąwszy przed poważnym i bystro patrzącym mu w oczy człowiekiem, opowiedział otwarcie, kto jest, czego żąda i dlaczego do niego się z prośbą swoją udaje. Naczelnik wysłuchał go cierpliwie, potem przejrzał jego świadectwa, potem dobywszy z teki jakiś referat, kazał mu usiąść i przepisać na czysto. Kański pisał ładnie, czytelnie, prędko, a nadewszystko pisał ortograficznie. Usiadł więc z odwagą, a naczelnik tymczasem wyszedł do drugiego pokoju, skąd dochodził brzęk filiżanek i łyżeczek i gwar kilku głosików dziecinnych. Oczywiście było to śniadanie. Gdy się skończyło, i pan K... wszedł, robota

była gotowa. Przejrzał ją naczelnik i dawszy mu drugi papier ze stęplem, kazał napisać prośbę do Komisyi, której treść mu wskazał. Tymczasem przeglądał, nic nie mówiąc, papiery swojej teki i przepisany ów referat do niej włożył. Gdy prośba była gotowa, przeczytał ją, położył na wierzchu datę, we środek wsunął wszystkie świadectwa Kańskiego, schował to wszystko do teki, zamknął ją i kinąwszy mu głową, rzekł:

— Przyjdź pan do biura w sobotę. — Tyle tylko powiedziawszy, wziął tekę, kapelusz i poszedł. Młody człowiek oszołomiony, odurzony, i pełen nadziei wybiegł za nim. Tego dnia poszedł zaraz na teatr, i w międzyakcie, a konto przyszłego powodzenia, zjadł u Lursa filiżankę lodów, za którą właśnie byłby jutro miał obiad, bo kosztowała czterdzieści groszy. Ale Kański o tem nie myślał, wierząc i pewnym będąc, że wkrótce będzie co najmniej naczelnikiem stołu.

W sobotę po dziesiątej zjawił się w biurze. Tam kazano mu złożyć deklaracyę bezpłatnej aplikacyi, napisać *curriculum vitae* i wykonać przysięgę. Co wszystko gdy dopełnionem zostało, wskazano mu stół, przy którym miał pracować, i najbliższego zwierzchnika, którego miał słuchać.

Dotąd wszystko szło gładko. Ale szczupły zasób wyczerpywał się, pokusy warszawskie

wyciągały złotówki, a żadna natomiast nie przybywała. Zafrasował się więc na seryo młody człowiek, ścisnął woreczek swój z ostatkiem gotówki i rzucił się do innej pracy, któraby mu pomogła do utrzymania się. W biurze byli z niego kontenci, w każdej bowiem rzeczy, którą przepisał, nie potrzeba było ani jednej kommy poprawić. Ta reputacya dokładnego przepisywacza, zwłaszcza w wydziale, gdzie było do czynienia z cyframi, gdzie najmniejsza pomyłka czyniła referat nieużytecznym, dała mu cokolwiek dochodu. Było tam dwóch paniczów, którym niechciało się robić, i którzy pisali z roztargnieniem. Dla pokonania ich niedbalstwa obarczano ich umyślnie robotą, i pozwolono niektóre rzeczy brać do domu. Wszystko to przepisywał Kański, a młodzi ludzie płacili mu dobrze za spędzone nad papierami noce. Wkrótce zdarzyła się korrepetycya matematyki, która mu dała tyle, że mógł wyżyć i już po nocach pracować nie potrzebował. We trzy kwartały później urzędnik jeden z Lublina, dobrze mu znajomy, tranzlokowanym został na wyższą posadę do Warszawy. Obaczywszy się z Kańskim, zaproponował mu u siebie stół i stancyę, byle wieczorami dopilnował dwóch synków jego, pomieszczonych w klasie trzeciej gimnazyum, żeby każdą lekcyę dobrze umieli i żeby im ułatwiał zrozumienie matematyki

i łaciny. Przyjął on chętnie tę propozycyę, i tym sposobem zabezpieczony w najistotniejszych potrzebach życia, oddał się z tem większą przytomnością umysłu pracy biurowej.

Pilność ta, akuratność w godzinach, chętne i prędkie wykonywanie wszystkiego, co mu polecano, przy ciągłem czuwaniu nad nim i śledzeniu jego postępów przez owego naczelnika, którego względy i łaskę zjednać sobie potrafił, sprawiły to, że gdy się rok bezpłatnej aplikacyi skończył, Kański otrzymał tysiąc złotych dyet, z wielkiem podziwieniem, a może i zazdrością niektórych kolegów, którzy po dwa i trzy lata w tej samej sekcyi napróżno pracowali. Potem otrzymał pochwałę i obietnicę, że pierwsze miejsce etatowe, jakie się zdarzy, będzie mu udzielone. Łatwo sobie wyobrazić, jak uszczęśliwionym był młody człowiek, mający stół, stancyę i tysiąc złotych dochodu, i jak wiara jego w tę gwiazdę, co go dotąd tak zwycięsko prowadziła, ugruntowaną została.

Tysiąc złotych, to fundusz ogromny dla człowieka z głową i doświadczeniem. Obrachowawszy się dobrze, przekonał się Kański, że coroczne oporządzenie nie będzie go więcej kosztować, jak czterysta kilkadziesiąt złotych, a sześćset blizko zostaje jeszcze na przypadek utraty miejsca, które mu dawało stancyę i wyżywienie. Znalazł się uczciwy krawiec, który

wziąwszy do siebie nominacyę młodzieńca, i otrzymawszy poręczenie dwóch owych bogatszych kolegów, oporządził go od stóp do głowy i rąk, bo mu nawet kupił kapelusz i pół tuzina rękawiczek, a za to odbierał sobie co miesiąc pewne kwantum z procentem od wyłożonego kapitału. Teatr już go nie tyle kosztował, bo się z nim obeznał i chodził tylko na sztuki nowe; od innych pokus i wydatków wstrzymywał się; tym tedy sposobem postawiwszy się na nogi, nie pozwalając sobie żadnego opuszczenia się w służbie, z groszem przy duszy, z nadzieją i wiarą w przyszłość, żył sobie wesoło, i tem weselej, że przed pół rokiem zrobił znajomość, dla której o teatrze i wszystkich innych rozrywkach zapomniał, i która otworzyła przed nim szerokie pole do rojeń o przyszłem szczęściu i powodzeniu we wszelkich zamiarach.

Aleksander Kański był brunet, z ciemnemi oczami, pełen życia; rysy miał foremne, płeć czerstwą i zdrową, odbijającą gorącym kolorytem przy ciemnych wąsikach, które mu się puszczać zaczynały, i przy białych zębach, które chętnie pokazywał śmiejąc się często, jako człowiek, do którego się fortuna uśmiechała. Wzrostu był średniego, ale zwinny i zgrabny. Idąc zawsze sobie śpiewał, rozmawiając w ciągłym był ruchu. Wtedy tylko siedział spokojnie, a ręka biegła po papierze, kiedy przed nim leżał

referat, z którym potrzeba było na godzinę oznaczoną wydążyć. Takim był przyjaciel Ignasia.

IX.

Gdy się skończyło przekleństwo Łucyi i jej rodziny, i Kański, imitujący głos i ruchy Dobrskiego, postąpił kilka kroków ode drzwi ku oknu, jakby chciał opuścić scenę, a potem obrócił się żywo do towarzysza i spostrzegł jego zafrasowaną minę, rzekł:

- Cóż tak na mnie patrzysz zasmucony. Dziwisz się może że śpiewam? Czemu nie mam śpiewać, kiedy mi dobrze na świecie, i będzie jeszcze lepiej.

— Winszuję ci z całego serca — odpowiedział Ignaś ściskając jego rękę.

— Ba! co tam winszuję; o mnie już niema co mówić — rzekł Kański, postawiwszy uważnie swój kapelusz i zdejmując rękawiczki, które weń wrzucił, a na wierzchu ułożył do równowagi swoją laseczkę. — Jabym już chciał tobie winszować, co zapewne wkrótce nastąpi. Bo tu młody człowiek z twoją głową i z twoją chęcią do pracy musi się pokierować. Tu tylko takim źle, co choć skończyli szkoły, ale nie nauczyli się w nich ani czytać, ani pisać, co bazgrzą jak kury, i ile wyrazów tyle myłek robią. Jakże chcesz, żeby do czegóż doszli, kiedy się od tego zaczyna. O ciebie się nie

boję. Ty piszesz lepiej odemnie, a ja przecie wszystko to piszę, co do Rady Administracyjnej idzie.

— Nie każdemu się tak udaje, jak się tobie udało — rzekł Ignaś. — W rok dostałeś dyety.

— Tysiąc złotych, kochanku! to nie żarty — zawołał Kański śmiejąc się i wyciągając nogi, odziane w eleganckie buciki — przytem mam stół i stancyę darmo, to jest, że nie płacę, tylko wieczorami przygotowuję do lekcyi synów Jaźnickiego, któregoś musiał znać w Lublinie.

— Zapewne, to bardzo dosyć na początek — rzekł Ignaś. — Ale jeżeli tak codzień chodzisz wystrojony, jak teraz, to ci i te tysiąc złotych nie wystarczą.

— Gdzie tam — odpowiedział Kański, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka. — To nie tak wiele kosztuje, jak myślisz. Co rok oporządzam się i wydaję na to niespełna połowę mego dochodu. Na codzień donaszam przeszłoroczne ubranie, a w kuferku mam nowe i świeże, jak z igły, od święta i wizyty. Teraz umyślnie wystroiłem się, żeby się przed tobą pochwalić, i pokazać ci się w świątecznym garniturze. Bo też to dla mnie wielkie święto, twoje przybycie. Poczciwy mój Ignalku! — dodał Kański wyciągając do niego rękę — nie mogłeś nic lepszego zrobić, jak to, żeś przyjechał.

Młodzi ludzie uściskali się, a Ignaś rzekł:

— Nawet do zegarka już przyszedłeś?

— Zegarka jeszcze nie mam — odpowiedział Kański seryo · dopiero jest łańcuszek. Zegarek będzie, jak pójdę na etat, co wkrótce nastąpi. Łańcuszek potrzebniejszy, jak zegarek, który siedzi w kieszeni, a łańcuszek błyszczy na kamizelce, i każdemu mówi, że to człowiek porządny. Nie uśmiechaj się, nigdzie może nie sądzą tak o człowieku z powierzchowności, jak tu, w Warszawie. Szczególnie tak sądzi ważna dla człowieka kierującego się klasa ludzi, jakimi są lokaje urzędników i woźni biur; tak cię zawsze pisze, jak cię widzi. Przyjdź w porządnym tużurku, z kapeluszem na głowie, w glansowanych rękawiczkach, z laseczką w ręku i z łańcuszkiem na kamizelce, choćby zegarka nie było; mów głośno i nie zająknij się wymawiając nazwisko pańskie, to z tobą pogada, objaśni cię i zaraz zamelduje. Przyjdź w surduciku wytartym, a broń Boże w czapce i bez rękawiczek, to cię weźmie za jakiegoś natręta, za chłopaka ze sklepu, lub terminatora, powie ci bez ceremonii: *niema pana,* i drzwi ci zatrzaśnie przed nosem.

— Czegoś podobnego doświadczyłem już dzisiaj — rzekł Ignaś.

— To też, jakem cię zobaczył — mówił dalej Kański — w biurze naszem z czapeczką

w ręku i bez rękawiczek, przestraszyłem się. Zmiłuj się, pójdziemy zaraz kupić kapelusz, rękawiczki i laseczkę. To najpierwszy sprawunek, jaki powinieneś zrobić. Bez tego nie postąpisz i kroku naprzód.

— Muszę się obrachować z mymi funduszami — odpowiedział Ignaś.

— Nie masz się czego rachować — mówił Kański powstając żywo. — To koszt niewielki, a rezultat ogromny. Ale pierwej powiedz mi otwarcie, co myślisz robić?

— A cóż — odpowiedział Ignaś — twój przykład zachęca mnie. Zacznę od aplikacyi, postaram się przytem o jaką korrepetycyę; cokolwiek także będę miał z domu, i tak przepcham może początek, który naturalnie nie może być łatwy. Nie wiem tylko gdzie i do kogo się udać?

— Poczekaj — odpowiedział Kański — ja się jutro dowiem, czy niema u nas miejsca. To byłoby najlepiej, raz, żebyśmy byli razem, a powtóre, że w Komisyi Skarbu, gdzie czynności są tak rozgałęzione, jest ruch urzędników największy i najprędzej, jeżeli nie tu, to gdzieindziej, choćby na prowincyi pomieścić się można. Przytem ty, coś się zawsze przykładał do matematyki, człowiek rachunkowy i przytomny, prędko się tam dasz poznać. W hotelu nie zostaniesz?

— Nie chciałbym — odpowiedział Ignaś.

— Niespokojnie tu i drogo — mówił Kański — możemy znaleźć za mało co więcej stancyjkę ze stołem, a przynajmniej ze śniadaniem. Obiad za złoty i groszy trzy możesz mieć w naszej restauracyi.

— Jakto w waszej restauracyi? — zapytał Ignaś.

— Bo my tu mamy swoje własne restauracye — odpowiedział Kański — gdzie się prawie sami tylko aplikanci stołują. I każde biuro ma inną. Zaprowadzę cię tam jutro, obaczysz i poznasz się. Wielu jest nygusów, ale poczciwych i zdolnych chłopaków więcej. Prawie wszyscy żyją nadzieją, a choć ona mało komu tak dopisuje, jak mnie dopisała, weseli są jednak i nie tracą odwagi. Poznać się z nimi potrzeba, żeby na ciebie nie patrzyli jak na raroga, kiedy pomiędzy nich wejdziesz. Zresztą od nich najlepiej dowiedzieć się można, czy niema gdzie jakiego prywatnego zajęcia, jakiego pisania, jakiej lekcyjki, którejby który z nich podjąć się nie mógł. Gdyż w takim razie każdy z nas ma za obowiązek rekomendować kolegę tam, gdzie sam pomieścić się nie chce, lub nie może.

— To bardzo pięknie — rzekł Ignaś ożywiając się — obowiązkiem jest tych, co tą samą idą drogą, dzielić się zapasem z tymi,

którym go zabraknie. Tak robiliśmy w szkołach, pamiętasz?

— Bo też powiem ci — odpowiedział Kański ściskając rękę przyjaciela — tylko młodzi są prawdziwymi kolegami. Przypatrzyłem się już trochę temu, jak coraz wyżej, ci którzy tą samą idą drogą, idą zdaleka od siebie. Nic tak bardzo ludzi nie dzieli, jak służba w tem samem biurze. Jeżeli który ma przyjaciela, to pewnie nie tam, gdzie służy. Ale nam jeszcze do tego daleko. Czy masz tu kogo znajomego w Warszawie?

— Oprócz ciebie, nikogo — rzekł Ignaś. — Mam dalekiego krewnego, referendarza Zabużskiego, ale tego nie znam. Mam ciotkę rodzoną, Herminię Tonicką, ale tę widziałem kiedyś w dzieciństwie, jak była panną, i ani ja jej nie pamiętam, ani ona mnie nie pozna, a może poznać nie zechce.

— Więc to rodzona siostra tej poczciwej cioci Teresi? — rzekł Kański, z jakąś dziwną miną, która uderzyła Ignasia — nieoceniona ciocia Teresia! jakie ona doskonałe pierożki leniwe robiła, jak kochała tych wszystkich co ciebie kochali! Cóż ona teraz tam robi bez ciebie? Kogo karmi i pieści?

— Siedzi sobie spokojnie u Panien Wizytek i modli się, żeby mi Pan Bóg dopomógł — mówił Ignaś. — Potem wziąwszy za rękę

Kańskiego, dodał: — Słuchaj, Olesiu! kiedym wspomniał o ciotce Herminii, zrobiłeś taką minę, która mnie zatrwożyła. Czy o niej co wiesz?

— Lepiej obacz sam — rzekł Kański. — Plotek jest na świecie dużo. Może to nie prawda, co o ładnej elegantce, pani Herminii Tonickiej słyszałem. Nie przyszło mi wówczas na myśl, że to twoja ciotka, i to co mówiono, mignęło się jakoś mimo moich uszów, że nawet dobrze nie pamiętam.

— Nie chcesz mnie zmartwić — mówił Ignaś, puszczając jego rękę.

— Przekonaj się, obacz — dodał Kański. — Jeżeli wpadniesz na jaki domysł i zechcesz mi powiedzieć, jak ci się zdaje, wtedy i ja powiem ci co słyszałem. A teraz mówmy o czem innem. Lubisz teatr?

— Boję się zaczynać od rozrywek — odpowiedział Ignaś, cokolwiek zasępiony i kombinujący słowa Kańskiego ze słowami listu Eugeniusza — żebym nie skończył na głodzie i nie musiał bez butów uciekać z Warszawy.

— Śmiej się z tego — odpowiedział Kański. — Ja zacząłem od teatru, a widzisz jednak, żem i nie głodny i mam ładne buciki od Jägera, którego ci rekomenduję. We wszystkiem jest miara, a przy pracy rozrywka koniecznie potrzebna. Wszakże dziś nie warto ekspensować. Jakieś liche sztuczki grają, w któ-

rych żadnego z celniejszych aktorów nie zobaczysz. Rzeczy te trzeba robić z wyrachowaniem i ze znajomością. Parę złotych stracić nie żal, kiedy się człowiek zabawi i ucieszy. Bezemnie nie puszczaj się, chyba obaczysz na afiszu Lukrecyę, albo Łucyę z Lamermooru, albo Normę, wtenczas ruszaj śmiało, ale na górną galeryę, gdzie śpiew najlepiej dochodzi i gdzie nie wiele kosztuje. A Dobrskiego koniecznie trzeba słyszeć!

I tu znowu Kański zaczął śpiewać: *Mira Norma,* robiąc odpowiednie gesta i wydobywając z piersi swych tony ładne i czyste. Ignaś tymczasem przechadzał się po pokoju i myślał o tej ciotce, od której spodziewał się pociechy, miłości i rady, a która może tylko wstydem okryje jego czoło i wstrętem napełni jego serce. Kański spostrzegł stan jego i biorąc rękawiczki z kapelusza i naciągając je z miną człowieka, który wie, jak się nowe rękawiczki naciągają, rzekł:

— Słuchaj Ignasiu! widzę, żeś wpadł na jakiś niemiły temat. Porzuć te myśli, które nie mają gruntownej zasady. Warto tę rzecz zbadać, a przekonawszy się, że jest źle, zapomnieć o krewnej, bez której wychowałeś się i wyrosłeś, i bez której i dalej iść możesz. Oto pójdźmy lepiej po nasze sprawunki, a potem zaprowadzę cię na herbatę do jednej pani, której znajomość będzie ci miłą.

— Któż to jest ta pani? — zapytał Ignaś — wolałbym zacząć od jakiej innej znajomości.

— Obaczysz, jak i z tej będziesz kontent — odpowiedział Kański, i żywy rumieniec wystąpił na jego lica — opisywać ci nic nie będę, uprzedzać cię nie chcę. Powiem ci tylko, że możesz być pewnym serdecznego przyjęcia. A ja niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żebyś takiem okiem spojrzał na to wszystko, co tam spostrzeżesz, jakiem ja patrzę.

— Kochanku! — rzekł Ignaś patrząc mu w oczy — czerwienisz się, i coś niejasno się tłómaczysz. Czyś się ty w jakie głupstwo nie wplątał? Bój się Boga, tak wcześnie! na samym początku swej drogi!

— O ba! — zawołał Kański z zaufaniem — za pół roku najdalej będę na etacie, pójdę szybko, bo chcę iść szybko. Ale chodźmy. Rozprawa na jutro; jutro także powiem ci, co masz z sobą zrobić.

Kański włożył kapelusz z najlepszą miną, wziął w rękę laseczkę, obejrzał surducik Ignasia, czy czysty, i poszedł naprzód, a bohater nasz w czapeczce swej za nim. W pół godziny potem szli obaj Krakowskiem-Przedmieściem ku Zamkowi, trzymając się pod ręce, obaj w nowych kapeluszach i rękawiczkach, z ładnemi laseczkami, obaj śliczne chłopaki, na których piękne Warszawianki chętnie się oglądały.

Na Śto-Jańskiej ulicy, naprzeciwko dzisiejszego kościoła księży Pijarów, jest wysoka kamienica o czterech piętrach, wązka jak wszystkie inne, bo tylko o trzech oknach, a piąta z rzędu od tej, w której się urodziła Henryeta Duval, matka sławnej niegdyś Orzelskiej. Kamienica ta pamiętna jest tem, że była własnością czterech po sobie idących metrykantów, z których ostatnim był Walenty Skorochód Majewski, znany ze swych badań, z postrzeżeń meteorologicznych i znajomości sanskrytu. Dlatego to nad głównem wejściem od ulicy piwnej był wyrobiony orzeł, jako herb, którego używali wysocy urzędnicy aktów publicznych. Kamienica ta ma dotąd trzy ciekawe napisy. Pod trzeciem piętrem, przez całą szerokość domu napisano wielkiemi literam: *Adsto vestibulo Templi; sic res mea tuta; ne collapsa ruam, sustinet ipse Deus.* Widać, że dom ten był pod skrzydłem i opieką Jezuitów, którzy byli naprzeciw. Pod drugiem piętrem stoi napis: *Regia Sarmatiae meliores construet aedes si careant cives hospitis officio.* Co znaczy, że pałac królewski niech sobie lepszy dom wystawi, jeżeli nie będzie miał gdzie podziać obywateli zgromadzających się na sejmy i inne zjazdy. Wiadomo bowiem, że kwaterunek taki znosić musiały domy starej Warszawy; że zaś był uciążliwym, i że od niego ten, o którym

mówimy był uwolniony, świadczy trzeci napis nade drzwiami znajdując się: *Regis et Rei publicae beneficio liberata ab hospite ex officio, oneribusque civilibus et militaribus.* Dziś dom ten jest własnością prywatną. Na dole, jak we wszystkich domach Śto-Jańskiej ulicy, sprzedają się skóry, podeszwy i wszelki materyał dla szewców i rymarzy. Na piętrach zamieszkuje uboga i z pracy żyjąca klasa mieszkańców, tem biedniejsza, im bardziej się idzie w górę pod latarnię, która oświeca schody.

Pod tym domem stanęli obaj młodzieńcy, i wszedłszy na korytarz obszerniejszy tu, niż w innych sąsiednich kamienicach, i prowadzący na mały dziedziniec, stamtąd zaś do drugiej jego części, wychodzącej na ulicę Piwną, weszli na schody ciemne i brudne, które jednak nie były wązkie i miały po obu stronach potężną dębową balustradę. Dopiero na trzeciem piętrze wyjaśniło się cokolwiek, widać było ślady szczotki i znaki, że tam porządniejsi zamieszkują ludzie. Gdy stanęli przy dzwiach, prowadzących do mieszkania od frontu, rzekł ciszej Kański, opierając się o balustradę schodów:

- Poczekaj, odpocznę trochę. Strasznie tu wysoko i zawsze mi serce bije, wiele razy tu wchodzę.

— Wątpię, żeby to od schodów — mówił Ignaś uśmiechając się. — Biedny Olesiu! ze wszystkiego widzę, że to jakieś wielkie głupstwo, z którego nie wiem czy wyjdziesz cały.

— Nie bój się — odpowiedział Kański, kładąc rękę na sercu. — Teraz właśnie nie o sobie myślę. Moja droga rozwidniła się. I jeżeli tylko zdrów będę i nie stracę głowy, dojdę pewnie tam, gdzie zamierzyłem.

— Zapewne, jeżeli nie stracisz głowy — rzekł Ignaś.

— Cicho! — przerwał mu towarzysz, biorąc go za rękę; i w tej chwili dał się słyszeć duecik z dwóch czystych, świeżych i ślicznych głosików, co jakby oderwane od wyższych sfer, nauczywszy się od skowronków ich przenikających i wysokich trelów, zstąpiły na ziemię, aby ją na chwilkę rozweselić i z niebem pobratać. Gdy się ten duecik skończył, którego ani Kański, ani Ignaś nie znał, dało się słyszeć szczebiotanie, jakby dwojga szczęśliwych dzieci, potem głośny śmiech, potem znowu odezwał się jeden głos, śpiewając z Don Żuana: *La ci darem la mano,* drugi mu odpowiadał na wpół śmiejąc się, wpół śpiewając, aż póki się znowu ten cudny w swej prostocie i melodyi duet nie skończył.

Młodzi ludzie stali obaj milcząc i wstrzy-

mując oddech w piersiach, aby jakim znakiem swej bytności nie spłoszyć tych nietutejszych ptaszków, co nietylko zakochanego widocznie Kańskiego, ale i Ignasia głosem swym oczarowały. Gdy wszystko ucichło, Kański otworzył z lekka drzwi i weszli. W pokoju było parę szaf za szkłem, a w nich rozmaite stroje kobiece; przy każdem oknie stały krosna, i na nich robota, na stole rozrzucone były tiule, gazy, wstążki i kwiaty, a przed dużem zwierciadłem, zakrywającem cokolwiek drzwi, i ustawionem tak, że w niem nie widać było wchodzących, stały dwie panienki, jednego wzrostu, jednego zapewne wieku, zupełnie do siebie podobne i dziwnie piękne. Wzrost ich był niewielki, kształty niezmiernie foremne, ruchy pełne zgrabności i wdzięku, włosy ciemne i rysy tak na pierwszy rzut oka powabne i ujmujące, że Ignaś zdumiał się i oczu od nich oderwać nie mógł. Jedna z nich była w paradnej materyalnej sukni, koloru jabłkowego, wygorsowana, w stroiku na głowie mężatki, bogatą ozdobionym koronką i ubranym w kwiaty ponsowe, które przy jej czarnych włosach, jasnem czole i śnieżnym i pełnym gorsie prześlicznie się wydawały. Druga w prostej, płócienkowej sukience, z białym fartuszkiem, z włosami gładko uczesanymi, przypinała jej bertę do gorsu, i bukiecik z takichże kwiatów,

jakie zdobiły stroik. Gdy ubranie było skończone, wtedy wystrojona spojrzała w zwierciadło, uśmiechnęła się do siebie, widząc się zapewne tak ładną, a druga zakładając ręce z komiczną powagą i przechyliwszy główkę, rzekła:

— Bardzo tak jaśnie wielmożnej pani do twarzy.

Wtedy tamta kiwnęła jej głową z pańska i rzekła:

— Dziękuję ci, kochanku, żeś mi się starała dogodzić. Będę o tobie pamiętać. — Potem obie parsknęły głośnym śmiechem, rzuciły się sobie w objęcia i ściskać się zaczęły. Ale w tejże chwili jedna z nich spojrzała ku dzwiom i spostrzegła dwóch młodych ludzi, którzy tam stali blizko siebie, trzymając się za ręce, obaj zamyśleni, obaj zachwyceni tym widokiem niewinnej ślicznych dziewcząteк swawoli. Ta co ich spostrzegła pierwsza, chwyciła za rękę drugą, przyglądającą się jeszcze swemu ubraniu, i zawołała:

— Paulinko! patrz.

Paulinka, obaczywszy niespodziewanych gości, krzyknęła i uciekła do drugiego pokoju. Druga zatrzymała się chwilkę, podniosła ciemne, błękitne oczy na nieznajomego sobie ładnego młodzieńca; potem obracając się do Kańskiego, rzekła niby z wymówką:

— Zszedłeś pan nas tak niespodziewanie!

któż tak robi? Trzeba było przynajmniej chrząknąć, wchodząc, kiedyś pan zastał drzwi otwarte. Bawże pan za to sam swego gościa, póki mama nie przyjdzie.

— Ależ, panno Julio!.. — rzekł Kański.

— Nic nie słucham — gniewam się — odpowiedziała i poszła za tamtą.

Gdy się drzwi za nią zamknęły i młodzi ludzie zostali sami, Ignaś pierwszy się odezwał:

— Cóż to za śliczne stworzenie!

— Tamta? — odpowiedział Kański z błyszczącym wzrokiem.

— Tamta, także — mówił Ignaś czerwieniąc się z lekka. — Ale ta! co to za oczy, jakie spojrzenie, niby groźne, a jednak tak miłe. Jak żyję takich oczu nie widziałem.

— Toż oczy tylko stanowią między niemi różnicę — rzekł Kański, prędko i ciszej, i prześliczna brodawka, którą tamta ma tu, przy nosku. — Zresztą nie możnaby ich rozróżnić, tak są do siebie podobne.

— To siostry? — zapytał Ignaś.

— Tamta starsza od tej o godzinę — odpowiedział Kański. — To bliźniaczki, kochany Ignasiu! równie dobre, równie skromne, wesołe i pracowite; ubóstwiają swoją matkę, a piękne jak aniołki, kochają się między sobą tak, jak tylko aniołowie w niebie kochać się mogą.

Ignaś położył rękę na czole i zsuwając ją na oczy, rzekł:

— A takeś mi niby obojętnie o nich mówił! Bodaj cię, nie uprzedziłeś mnie, co zobaczę.

— Chciałem ci zrobić niespodziankę — odpowiedział Kański, kontent z wrażenia, jakie widok ten sprawił na przyjacielu. — Powiedziałem ci przecież, że będziesz kontent z tej znajomości. Teraz i ja kontent jestem, że mi to przyszło na myśl zaraz cię tu przyprowadzić, bo widzę, że takiem samem okiem patrzeć na nie będziesz, jak ja patrzę.

— No, takiem samem nie wiem — odpowiedział Ignaś spoglądając ku drzwiom. — Ty kochasz tamtę, przyznaj się.

— A ty tę kochać będziesz, obaczysz — rzekł Kański czerwieniąc się.

Ignaś nie zaczerwienił się, ale pobladł i odpowiedział kiwając głową:

— Nie, nie, nie. To głupstwo. Mam dopiero dwudziesty rok i dostanę może miejsce aplikanta, gdzie za cały dochód będę miał parę liber papieru i paczkę piór! Do czegoby to doprowadziło?

— Kto bo te rzeczy tak bierze — mówił Kański — a od czegóż czas i praca. Główna rzecz otworzyć sobie drogę, wierzyć w siebie, i znaleźć taką gwiazdę, coby ci na tej drodze świecić chciała.

— Bredzisz — odpowiedział Ignaś zamy-

ślony — ja nie umiem budować zamków na lodzie. Ja potrzebuję mieć coś czarno na białem, żebym się na cokolwiek odważył. Rachunek, kochany Olesiu! to najpewniejsza nadzieja; bez arytmetyki niema pewnego jutra; a jak niema pewnego jutra, niema pokoju i szczęścia.

— Wiara, wiara, Ignasiu, w przyszłość, to najpotężniejsza dźwignia — mówił Kański, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

— Wiara w Opatrzność i pomoc Bożą, wiara w sercu, że Ten co dał życie, pobłogosławi uczciwym chęciom i spoconemu czołu — odpowiedział Ignaś ożywiając się. — Ale rozsądek w każdym kroku i przedsięwzięciu i kredka w ręku. Bez tego niema ratunku. Żaden cud nie zatrzyma szaleńca, co samochcąc rzuca się w przepaść. Lecz przestańmy o tem, bo mnie to boli i straszy. Już mam dwóch takich waryatów, których kocham, i o których się lękam, Eugeniusza i ciebie. Nie chcę być trzecim.

Kański umilkł, a Ignaś rzuciwszy okiem na wszystko, co było w pokoju, dodał:

— To jakieś widać modniarki?

— Matka ma niewielki kapitalik — rzekł Kański — którego dochód powiększają pracą. Nie jest to zakład publiczny i głośny. Pracują prywatnie, ale że robią pilnie, akuratnie, z gustem i nie zdzierają nikogo, znane są w cel-

niejszych domach i mają roboty dosyć, która im pomaga do uczciwego życia, i pomogła do wychowania tych prześlicznych dziewczątek. Patrz i pianino jest, i nuty są i książeczki także. Matka to rzadka kobieta.

— Jakże się nazywa? — zapytał Ignaś — boś mi tego jeszcze nie powiedział:

— Nazywa się Jelewska! — odpowiedział Kański.

— Jelewska! Jelewska! — zawołał Ignaś biorąc go żywo za rękę. — Bój się Boga, człowieku! nie żartujesz?

— Dla czegóż bym miał żartować — odpowiedział Kański, cokolwiek zadziwiony wzruszeniem Ignasia. — Nazywa się Anna Jelewska, a Paulina i Julia Jelewskie, jej córki.

— Toby była rzecz szczególna! mówił Ignaś trąc czoło.

— Cóż takiego? — zapytał Kański.

— Czyż zapomniałeś — odpowiedział pierwszy — że moja matka Jelewska, że ta ciocia Teresia, którą szanujesz i kochasz, Jelewska!

— A prawda, prawda, nie przyszło mi to na myśl — rzekł Kański, i uderzając się ręką w czoło, dodał: Otóż ze mnie roztrzepaniec, że też mnie to podobieństwo nazwisk nie uderzyło i nie zapytałem się nawet, jaki to Jelewski był mężem tej pani. Kiedyż bo przy

tych czarnych oczach panny Pauliny to się o Bożym świecie nie myśli i Bóg wie, gdzie człowiek jest sercem i duszą. Ale dowiemy się wkrótce; bardzo być może, że to twoje krewne.

— Dałby Pan Bóg! — rzekł Ignaś, i twarz jego rozpromieniła się dziwną radością.

Wtedy weszła matka, z paczką sprawunków pod pachą, kobieta już niemłoda, blada, rysów na pierwszy rzut oka niekształtnych, niewielkiego wzrostu i znacznie ułomna. Gdy się pierwsze przywitanie i rekomendacya skończyła, i Ignaś z zajęciem przypatrywał się jej bliżej, spostrzegł, że prześliczne oczy zostały jej jeszcze i że były takie same, jak te, co go w pannie Julii uderzyły, że uśmiech pełen wdzięku i głos, okazujący pewną serdeczność i dobroć, zmieniały zupełnie twarz tej kobiety, gdy mówiła, że ją w tym nawet wieku robiły nie brzydką i zjednywały dla niej tych wszystkich, których ująć chciała.

— Gdzież to moje panny? — zapytała siadając i wskazując miejsce swym gościom.

— Uciekły — rzekł Kański — i już blizko pół godziny, widać z namowy panny Julii, siedzą w drugim pokoju i nie pokazują się.

— Musiałeś pan coś przeskrobać — mówiła z uśmiechem pani Jelewska — bo choć Julcia

swawolna, ale niegrzeczną by nie była, zwłaszcza przy obcym, którego pierwszy raz widzi.

— To też właśnie za karę zostawiła nas tu — mówił Kański — i kazała mi samemu bawić gościa, któregom przyprowadził. A cała moja wina ta, żeśmy zastali drzwi niezamknięte na klucz, że drzwi cichuteńko otwierają się i nie skrzypią, i że nie chrząknąłem wszedłszy.

Pani Jelewska zaśmiała się, a Kański mówił dalej:

— Ale proszę pani, jak miałem chrząknąć, kiedy nam się udało być świadkami ślicznej sceny. Zastaliśmy pannę Paulinę wystrojoną jak na bal i udającą wielką panią, a pannę Julię udającą pocieszne modniarkę, która stroi elegantkę i pochlebia jej, że jej tak bardzo do twarzy.

Pani Jelewska obejrzała się na stół i rzekła:

— Ach! to zapewne Paulinka przymierzała ubranie generałowej, które jej na poniedziałkowy bal do zamku gotujemy. Co też to za swawolnice!

Gdy to matka mówiła, drzwi od bocznego pokoju otwarły się i obie siostry, jednakowo zupełnie ubrane, podobne do siebie jak dwie kropelki rosy, objąwszy się wspólnie, weszły z uśmiechem na ustach i z figlarnem i wesołem wejrzeniem tych osobliwych oczów, które je

jedynie rozróżniały, a były jednakowo piękne i błyszczące.

— Chodźcie, chodźcie — rzekła matka, patrząc z miłością na śliczne dziewczęta — i nawzajem przeproście pana Aleksandra i jego przyjaciela, żeście ich tak zostawiły.

— Nie mogłam się tak pokazać, moja mamo — mówiła Paulina — byłam w cudzych piórach, i służyłam Julci za manekina do przymierzania tej parady, co nie dla mnie.

— A ja musiałam najprzód rozebrać Paulinkę — mówiła żywiej Julia — i ostrożnie poskładać te bogactwa, z których pani generałowa powinna być bardzo kontenta, nieprawdaż, panie Aleksandrze?

— Zapewne — rzekł Kański — jeżeliby choć przez pół w tem wszystkiem tak wyglądała jak panna Paulina, to powinna być kontenta.

— Otóż ma mama sąd o sukni, i sąd zupełnie bezstronny! — mówiła panna Julia uśmiechając się i spoglądając na siostrę zarumienioną i na Kańskiego, który z niej nie spuszczał oczów. — A potem, trzeba mamie wiedzieć, że pan Aleksander...

— Resztę już wiem — przerwała matka, i obracając się do Ignasia i wskazując na dzieci swe, dodała:

— Córek mych rekomendować panu nie

potrzebuję. Zarekomendowały się same, trochę niegrzecznie, bo panów nie przyjęły jak należało; ale proszę im to darować, kiedy się tłómaczą. — Potem ukazując dzieciom swym Ignasia, mówiła: — Pan Ignacy Zabużski, kolega szkolny i przyjaciel pana Aleksandra.

Panny skłoniły się; a Julia znowu spojrzała na Ignasia takim samym wzrokiem, jak wtedy, kiedy wychodziła. Ignaś zapłonił się, a matka przypatrując mu się ciekawie, rzekła:

— Przepraszam, że przy pierwszej znajomości, wdaję się w takie zapytania, które mnie z blizka interesują. Nazwisko pana mocno mnie obchodzi. Stryjeczna siostra nieboszczyka męża mego była za Zabużskim.

— Maryanna — rzekł Ignaś, drżąc od wzruszenia. — To moja matka.

— A mężem moim pył Paweł Jelewski — mówiła ze łzami w oczach.

— Mój krewny — zawołał Ignaś patrząc z dziwnem zajęciem na rozrzewnioną kobietę i ściskając jej ręce. — Więc ja tu znajduję rodzinę? więc pani mnie przyjmiesz jako blizkiego, więc to... to będą moje siostrzyczki!

Potem rzucając się na szyję Kańskiego i ściskając go ze wzruszeniem, którego źródła jeszcze nie pojmował, zawołał:

— O przyjacielu! niech ci Bóg płaci za tę chwilę szczęścia, jaką mi dałeś. Oto moja ręka,

Olesiu! ja twój do śmierci; tego momentu nigdy ci nie zapomnę.

Jaka była ogólna radość, łatwo sobie wyobrazić i my rozmazywać jej i psuć słowami nie chcemy. Matka spoglądała na niego z wyrazem przywiązania, objęła nawet jego głowę i pocałowała go w czoło. Paulinka, która kochała Kańskiego, ucieszyła się niezmiernie, że jej kuzynek jest jego tak serdecznym przyjacielem, i ze swej strony przypisując kochankowi tę radość, jakiej doznawała, podziękowała mu serdecznem ściśnieniem ręki. Gdy dano herbatę, krzątała się koło Ignasia, częstowała go najlepszemi ciasteczkami, które się znalazły w mgnieniu oka, i co moment nazywała go braciszkiem. Przy tem ożywieniu tak była piękna, taki wdzięczny rumieniec okrasił jej lica, tak się roziskrzyły cudne jej oczy, że Ignaś nie dziwił się wcale temu oczarowaniu, jakie padło na jego przyjaciela, i miał go za wytłómaczonego, że o wszelkiem rozsądnem rozważaniu dalszych skutków takiej miłości zapomniał. Mniej radości, mniej uniesienia okazywała żywa zwykle i energiczniejsza Julcia. Nie tak śmiało garnęła się do Ignasia, jak jej siostra, poważniej przyjęła tę wiadomość, że to jej krewny, niby na chwilę posmutniała, a ten wyraz *brat, bracie, braciszku,* który Paulinka wymawiała z taką umyślną wystawą, jakby nie chciał wyjść z jej

ust i piersi. Ignaś tego wszystkiego nie uważał; on był nad wszelki wyraz szczęśliwym. Ale widział to Kański i zanotował. Pierwsze to jednak wrażenie przeminęło; wkrótce i Julka wróciła do zwyczajnego swego humoru; gadali i bawili się, śmieli się i śpiewali, i ani spostrzegli, jak uderzyła dziewiąta, i bęben na placu przed zamkiem dał się słyszeć. Wtedy Kański, który o obowiązkach swych rzadko zapominał, przypomniawszy, że ma jeszcze dziś wysłuchać lekcyi swoich malców, porwał za kapelusz, pożegnał się i Ignasia wyprowadził. I matka i córki zaprosiły ich na jutro na obiad, który miał być punktualnie o trzeciej, i pożegnały równie uprzejmie, równie serdecznie obydwóch.

Pod kolumną Zygmunta przyjaciele się rozeszli, a Kański obiecał wyprosić się jutro z biura o godzinie dwunastej i przyjść do hotelu Smoleńskiego z tem wszystkiem, o czem się dowie. Ignaś został sam jeden. Stał on jeszcze długo na placu, patrząc na migające tu i ówdzie światła, przysłuchując się gasnącemu coraz i ucichającemu ruchowi miasta, i z głową pełną najwdzięczniejszych obrazów, z sercem pełnem uczuć, jakich jeszcze nigdy nie doznawał, poszedł zwolna do stancyi. Z godzinę jeszcze chodził po pokoju i myślał, aż zmęczony przeszłą bezsenną nocą, drogą, bieganiną po mieście i tak niespodziewanemi wzruszeniami,

jakich doznał, rozebrał się prędko, rzucił się na twarde i źle posłane łóżko i mimo to wkrótce zasnął. Wszakże nim zasnął, widział dobrze rozsądny i wyrachowany Ignaś, że ciemne, błękitne oczy, obwiedzione długą rzęsą, czarną jak heban, schylały się ku niemu i mrugnęły mu słodko na dobranoc.

Nazajutrz Ignaś obudził się o godzinie ósmej. Skoro otworzył oczy, stanęły w myśli jego wczorajsze obrazy, i te miłe, te piękne twarze odrysowały się żywo i napełniły go szczęściem i wdzięcznością dla Stwórcy, który sierocą drogę jego takimi zasłał kwiatami. Nie wątpił on już, że mu się powiedzie, gdy taki początek pokrzepił i wzmocnił jego nadzieje. A przynajmniej w każdym razie będzie pewnym, że w dobrych tych sercach znajdzie współczucie, że będzie miał gdzie się użalić, gdy mu się nie uda, że znajdzie pociechę i umocnienie, gdy mimo pracy i usiłowania nie dojdzie do niczego takiego, coby dalszy jego los zapewniło. Nigdy on jeszcze nie doznawał tej radości, jaką daje przywiązanie krewnych. Oprócz bowiem ciotki Teresy, pozostałych nawet nie znał. A tu niespodziewanie znalazł takich, jakich nawet wymarzyć sobie nie mógł: nie obojętnych, nie zimnych od egoizmu i zajęcia sobą, nie bogatych, do którychby nie miał śmiałości, ale dobrych, wylanych, pracujących

na kawałek chleba, tak jak i on pracować będzie, a nadewszystko nie bardzo blizkich, co go jakoś dziwnie cieszyło, za co najwięcej w duchu dziękował Panu Bogu, choć wyraźnie nie śmiał sobie powiedzieć, dlaczego mu ta ostatnia okoliczność tak miła, dlaczego całe jego szczęście byłoby insze, mniejsze, a może nawet zepsute, gdyby ten stosunek pokrewieństwa był bliższym i ciaśniejszym.

W takich myślach, takiemi przejęty uczuciami, ubrał się co prędzej, poszedł na ulicę Św. Jańską, spojrzał na zielonawą, wysoką kamienicę, przeczytał pilniej napis: *Adsto Vestibulo Templi* i t. d., na który wczoraj mniej zważał, i popatrzywszy w okna trzeciego piętra, w których tylko białe poruszały się firaneczki, przesłał myślą kuzyrkom swoim dobrydzień, i wszedł do Fary, gdzie w kaplicy Matki Boskiej ukląkł i serdecznie się pomodlił. Potem udał się na kawę, na rogu Podwala; a posiliwszy się, gdy obaczył, że dopiero dochodzi dziesiąta i do południa jeszcze daleko, zamiast oczekiwać przybycia Kańskiego w stancyi, postanowił pójść od razu do ciotki Herminii i zaspokoić się w tej gryzącej trosce, która go szczerze i mocno trapiła.

Przed wskazaną mu w liście Eugeniusza apteką spostrzegł piękny kocz. Ciemno szpakowate konie, w srebrzystych szorach, żuły

wędzidło i biły o bruk potężnemi kopytami; furman, w granatowej liberyi, ze złotymi sutymi galonami, siedział z pompą na koźle, i w rękach okrytych białemi rękawiczkami trzymał elegancki bicz, którego jedwabnym końcem poświstywał. Widok tego powozu tknął jakoś Ignasia, chociaż sam nie wiedział, skąd mu się wzięła ciekawość przypatrywania się rzeczy tak zwyczajnej w Warszawie. Postawszy przez niejaki czas, zapytał woźnicę:

— Czyj to powóz, kochanku?

— Bankiera Glücksona — odpowiedział furman machnąwszy biczem tak, że konie się poruszyły i wyrzuciwszy łbami, nadstawiły uszy.

— Piękny ekwipaż! — rzekł znowu Ignaś, żeby coś powiedzieć i pokazać, że nie darmo zapytywał.

— Aj waj! czy to u nas takie są? — odpowiedział furman z uśmiechem, i szydząc widocznie z pochodzenia swojego pana, od którego grubo był płatny.

Bohater nasz nie śmiał już dalej wypytywać się, chociaż coś mu szeptało, żeby się dowiedzieć, gdzie i u kogo jest tu właściciel tego ekwipażu. Wszedł więc do apteki i zapytał młodego człowieka, preparującego lekarstwa, gdzie mieszka pani Tonicka.

— Obok z prawej strony, na pierwszem

piętrze — odpowiedział młodzieniec i dziwnie się jakoś uśmiechnął.

Wszystko to ubodło Ignasia tak, że gdy stanął na pierwszem piętrze, serce mu okropnie biło i ręka drżała, kiedy brał za dzwonek. Przez chwilę zawahał się, czy pociągnąć za rączkę, czy nie, czy wyrzec się wyjaśnienia tej tajemnicy, która mu ciężyła, czy przekonać się od razu o prawdzie, i potem zapomnieć raz na zawsze o tym stosunku, co ich tak blizko łączył. Ale równie słowa Eugeniusza, jak i słowa Kańskiego były wątpliwe; wyrażały tylko podejrzenie, które mogło być mylnem i pozbawiłoby go tej rozkoszy, jakiejby doznał, przekonawszy się, że w życiu jego krewnej niema nic zdrożnego, że w jej przywiązaniu znajdzie dopełnienie tego szczęścia, jakie mu się na samym wstępie w tem miejscu obcem, i gdzie tak łatwo zgubić się można, uśmiechnęło. Tą potrzebą serca swego umocniony, pociągnął śmiało za dzwonek.

Po kilku sekundach otwarły się drzwi i Ignaś wszedł do niewielkiego, ale bardzo porządnego przedpokoju. Przed nim stał mężczyzna już nie młody, nie zbyt słuszny, otyły, z wielką wykwintnością ubrany. Na głowie miał kapelusz, w ustach doskonałe cygaro, którego dym roznosił miły zapach, w ręku trzymał kosztowną laseczkę i ogromny arkusz

francuskiej gazety. Wielka, brylantowa szpilka tkwiła w batystach jego koszuli, z aksamitnej kamizelki wyglądał misterny łańcuszek od zegarka, a buty lakierowane połyskiwały jak źwierciadło. Całe to ubranie, równie jak twarz ciemna, z grubymi i wydatnymi rysami, okazywały człowieka, o którego fortunie i pochodzeniu nie można było wątpić ani na chwilę. Jakkolwiek bohater nasz nie miał jeszcze doświadczenia i nie widział ani w Lublinie, ani na wsi przemożnych naszych warszawskich magnatów, których zabiegłość i przemysł stały za herb i urodzenie, pewnym był jednak, że widzi przed sobą bankiera Glücksona, owego *aj waj!* z którego drwił sobie jego własny furman. To go tak zmięszało, że nie wiedział co powiedzieć.

Pan Glückson, bo w rzeczy samej to był on, spojrzał jakoś podejrzliwie na ładnego młodzieńca, i wyjmując z szerokiej gęby cygaro, rzekł z właściwym tym panom przyciskiem, przez który starają się dać poznać, że dobrze mówią po polsku:

— Czego pan tu sobie życzył?

— Przepraszam — odpowiedział Ignaś — musiałem się pomylić. Powiedziano mi, że tu mieszka pani Tonicka.

— Nu, ona tu mieszka, ale czego pan od niej chcesz? — zapytał bankier, podnosząc

głowę i mierząc wzrokiem młodzieńca, na którego twarz krew występowała.

— Chciałem się z nią widzieć — odpowiedział Ignaś śmielej i dumniej.

— A któż pan jesteś za jeden, że się chcesz z nią widzieć? — zapytał bankier.

— Nazywam się Ignacy Zabużski, przybyłem wczoraj do Warszawy, i mam potrzebę widzenia się z panią Tonicką — mówił Ignaś.

— Wczoraj pan przybywasz? to dobrze — mówił bankier. — A z jakich pan Zabużskich? czy nie z tych, co z nich jeden jest mój przyjaciel, kasztelan?

— Jestem daleki krewny kasztelana — odpowiedział Ignaś — z jakich zaś pochodzę Zabużskich, to pani Tonicka będzie lepiej wiedziała, niż pan, który nie wiem dlaczego mnie tak egzaminujesz.

— Nu, to nie jest żaden egzamen — rzekł bankier krzywiąc się — ja się tylko tak pytam. Ale chodź pan tu bliżej, to ona może do pana wyjdzie.

I obróciwszy się, poszedł naprzód, nie zdejmując wcale kapelusza. Bohater nasz chciał po prostu uciec, tak mu się serce ścisnęło. Prawie pewnym już był, że ciotka jego jest kobietą upadłą, na którą łoży izraelski bogacz. Ale przyszło mu na myśl, że jest wdową, że

może bankier jest już ochrzczonym, że może złudził ją widok dostatków i perspektywa milionów, którymi obraca, i że stara się przyprowadzić go do uczciwego związku. Tym sposobem perswadując sobie i łagodząc tę przykrość, jaką mu sprawiało to wszystko co widział, wszedł także, chcąc koniecznie się z nią obaczyć i ostatecznie przekonać, jak rzeczy stoją.

Salonik był także niewielki, ale z przepychem i gustem przybrany. Wszędzie był aksamit i mahoń, bronzy i złoto, zwierciadła i malowidła. Spojrzał na to wzgardliwie uczciwy Ignaś, i nie chcąc się dotykać nawet tych mebli, może wstydem krwi jego nabytych, nie usiadł, ale stał na środku na pięknym kobiercu, który cały pokój zaścielał. Bankier spojrzał na niego i rzekł:

— Siądź pan tymczasem, ja się spytam — i zapukawszy do drzwi niezupełnie zamkniętych, dodał: — Pani Tonicka! pani Tonicka!

— A cóż tam? — odezwał się z drugiego pokoju miły głos, na który wstrząsł się Ignaś, bo mu głos ciotki Teresy przypomniał.

— Masz tu pani Tonicka gościa — mówił bankier — który chce się z panią Tonicką obaczyć. On przyjechał wczoraj do Warszawy. Niejakie pan Zabużski.

— Czy Eugeniusz? — odezwał się znowu głos z drugiego pokoju.

— Czy pan jesteś Eugeniusz? bo nie uważałem jak pan mówiłeś swoje imię — spytał bankier, obracając się do Ignasia.

— Jestem Ignacy Zabużski — odpowiedział niechętnie zapytany.

— To jakieś pan Ignacy Zabużski — mówił znowu bankier, obrócony do drzwi.

— Ignaś! — zawołała głośniej Herminia. — W ten moment wyjdę, tylko się ubiorę. Zaczekaj chwilkę Ignalku!

— To pan zna dobrze panią Tonicką, że ona mówi panu Ignalku? — zapytał bankier.

— Widziałem ją, jakim był dzieckiem — odpowiedział młody człowiek.

— A dlaczegóż ona mówi panu Ignalku? — zapytał znowu zakłopotany widocznie milioner, puszczając dla fantazyi duży kłąb dymu.

— Zgadnij pan — mówił Ignaś czerwieniąc się.

— Co ja mam zgadnąć? zapewne pan jaki krewny pani Tonickiej — mówił bankier.

Ignaś chciał się zaprzeć swego pokrewieństwa, chciał głośnem słowem wzgardy upokorzyć ciotkę; ale w tejże chwili drzwi się otwarły i wybiegła z drugiego pokoju przystojna bardzo, z wielkim gustem i elegancyą ubrana kobieta. Na twarzy, odrobinkę podróżowanej, widać było, że trzydzieści lat już dobrze minęło, ale oczy jej błyszczały, usta

ślicznie uśmiechały się i okazywały zęby jak perły; figurka niezbyt wielka, ale była tak zgrabna, tak kształtna i zwinna i całość miała tyle wdzięków i powabów, że Ignaś na chwilkę zapomniał o bankierze, który zdjął kapelusz, i na swoje bóstwo patrzył rozmiłowanem okiem.

— Więc ty jesteś Ignaś — rzekła przystąpiwszy do bohatera naszego, i podała mu białą i pulchną rączkę, którą młody człowiek wziął zimną dłonią, ale jej do ust nie podniósł. — Jakiś już słuszny! Nie widziałem cię, już lat piętnaście! tak, prawie piętnaście. Nie tyle przypominasz matkę, co Eugeniusz, ale jednak jest, jest coś i w twojej twarzy, co mi mówi o biednej naszej Maryni.

Gdy Ignaś stał nieporuszony i nic nie odpowiadał, Herminia spostrzegła się widać, spuściła oczy, potarła ręką czoło i obracając się do bankiera, rzekła:

— Dziękuję panu za tę grzeczność, jakąś mi chciał wyświadczyć, ale już z niej korzystać nie będę.

— Jakto? pani nie pojedziesz? — zapytał bankier zmięszany.

— Nie pojadę — odpowiedziała stanowczo.

— Jakże będzie z projektem? — zapytał znowu.

— Tak będzie, że dziś nie pojadę. Jedź

pan sam i obacz — mówiła z kapryśną miną.

— Ja już widziałem, ja chciałem, żebyś pani obaczyła — mówił bankier, rzucając na nią wzrok proszący.

— Proszę mnie nie nudzić, bo nie pojadę wcale, i nic widzieć nie będę — rzekła odwracając się.

— Masz tu pani lożę na dzisiejsze widowisko, na pierwsze piętro — mówił bankier, chcąc ją ubłagać i niechętnie zabierając się do wyjścia.

— Dziękuję panu, a teraz do widzenia — rzekła, kiwnąwszy mu głową.

Bankier wziął jej rękę, cmoknął parę razy, i spojrzawszy jeszcze raz z wyrazem i przywiązania i zazdrości, wyszedł. Gdy się drzwi za nim zamknęły, wtedy Ignaś odstąpił od niej, usiadł, zakrył twarz dłońmi, i nie mogąc powstrzymać wzruszenia swego, zaczął płakać.

— Ignalku! co to jest? czegoż ty płaczesz? — zapytała go zawstydzona Herminia.

— Biedna ciociu! — zawołał wówczas młody człowiek powstając, — wszak to żyd.

Herminia zaśmiała się, a Ignaś spojrzał na nią boleśnie, porwał za kapelusz i uciekł. Ten śmiech wytłómaczył mu wszystko.

Powróciwszy do stancyi, nie mógł sobie dać rady. Żal i wstyd miotały nim na prze-

miany. Nie mógł on pojąć, jakim sposobem kobieta tak miła, tak pełna wdzięku, tak nawet dobra, bo to widział z jej twarzy, czuł w jej głosie, i poznał dawniej z dwóch czy trzech listów, które do ciotki Teresy pisała, mogła się tak dalece poniżyć. Nie wiedział on, do czego doprowadza wszędzie, a szczególniej w Warszawie, miłość tych świetnych gałganków, którymi kobiety nasze tak lubią się obwieszać; jak nizko zrzuca próżność i chęć błyszczenia meblami i powozem; w jakiej kałuży tkwią nogi tych, na których szyi świecą brylanty w lożach teatru, których ręce ściśnięte białą rękawiczką, okute w kosztowne bransolety, trzymają ogromną lunetę ze słoniowej kości i zwracają ją częściej do krzeseł, niż na scenę. Ignaś od wczorajszego dnia zaczynał pojmować miłość, ale nie pojmował takiego handlu, takiego rodzaju przemysłu, tak obrzydliwego zarobku. Odsuwał więc od siebie ten obraz, który w nim budził wstręt, i usiadłszy przy swym stoliku, wsparłszy głowę na ręku, uciekał od tych pięknych kobierców, od tych aksamitnych kanapek i krzeseł, od tych zwierciadeł, gdzie widział odbijającą się postać brzydkiego żyda, z hardą miną i cygarem w gębie, a chronił się myślą na trzecie piętro, do pracowitego kącika uczciwych kobiet, gdzie mu wszystko wydawało się tak pięknem, tak

czystem, jak ich serca, tak niewinnem, jak ich swawola, tak harmonijnem, jak ich głosy, tak błyszczącem, jak te oczy, któremi go pożegnały, i które jeszcze przed okiem jego duszy w chwili zasypiania błysnęły.

W takiej pozycyi, i w takich pogrążonego myślach zastał go Kański. Wszedł on cicho i nie śpiewając, bo nie miał wesołej nowiny, ale uśmiechnął się, widząc przyjaciela tak zamyślonego, że nawet przyjścia jego nie słyszał.

— Stawiłem się na termin, kochany Ignasiu — rzekł Kański — sama dwunasta. Mamy czas do pogadania.

— Dziękuję ci — odpowiedział Ignaś, wyciągając do niego rękę.

— Ale coś chmurny jesteś i zmieniony. Czy to wczorajsza nasza wizyta tak cię zasępiła?

— Nie wczorajsza — odpowiedział młodzieniec — we wczorajszej szukam pociechy i oczyszczenia od tego błota, w które dziś wstąpiłem.

— Nie rozumiem cię — rzekł Kański, stawiając kapelusz i układając na nim laseczkę swą, jak wczoraj.

— Byłem u mojej ciotki — odpowiedział Ignaś powstając. — Wszystko, czegoś mi wczoraj powiedzieć nie chciał, a com z twojej miny i z twych oczu wyczytał, prawda.

— To magnat, drogi Ignalku — mówił Kański uśmiechając się — człowiek z wielkiem znaczeniem. Gdybym cię nie znał, tobym ci poradził, żebyś zamknął oczy na niektóre drobiazgi moralne, a korzystał z jego wpływu. Protekcya to pewniejsza niż wszelka inna. Popchnąłby cię prędko.

Fe! — odpowiedział z oburzeniem niedawny gimnazista — wolałbym z torbą i kijem wyjść z Warszawy.

— Więc zapomnij o tem.

— Zapomnę — mówił Ignaś ożywiając się.— Święto-Jańska ulica najlepiej mi do tego dopomoże. Jeszcze raz ci dziękuję, że tam pierś moja będzie mogła odetchnąć świeżem powietrzem, i oko moje zdoła spocząć na twarzach aniołów, nieskażonych żadną myślą próżności i zepsucia.

— Bodaj czy już nie takiem okiem patrzysz na nie, jak ja — rzekł Kański.

— Nie mówmy o tem — odpowiedział roztropny młodzieniec. — Nie zarzekam się, żeby to nie przyszło. Ale jeżeli przyjdzie, to będzie świętością, ukrytą tu, której nie dotknę słowem, żeby się z niej tchnienie Boże nie starło. Czy masz mi co pocieszającego powiedzieć?

— Otóż to właśnie bieda, że nie mam — rzekł Kański. — Dlatego przyszedłem tu nie

śpiewając, choć czuję, że jestem przy głosie, i wczorajszy duecik brzmi mi jeszcze w uszach. U nas nie pomieścisz się. Oprócz zwyczajnej liczby aplikantów, którzy mogą mieć jakąś nadzieję otrzymania jakiej takiej płacy, jest jeszcze ośmiu nadkompletnych, którzy pracują tak sobie na wiatr, żeby tylko nie próżnować i muszą czekać, aż tamci sprzykrzą sobie i wyjdą, lub się posuną dalej. Ale na to trzeba lat, może trzech, czterech i pięciu. Zmarnowałbyś młodość i wyczerpał wszystkie siły i zasoby, jakie mieć możesz. Trzeba szukać miejsca gdzieindziej

— Wszystko mi to jedno — odpowiedział Ignaś — byle nie w sądownictwie. Tam się nie zdam. Prawa nie uczyłem się i nie mam usposobienia do tego zawodu i tej nauki. Nie lubię zaś robić tego, czego nie robię chętnie, i czego nie potrafię wykonać śmiało i dokładnie.

— Będziesz musiał udać się do referendarza — rzekł Kański. — On w innem biurze administracyjnem zajmuje wysoki stopień, a dowiedziałem się dzisiaj u nas, że ma tam powagę i znaczenie. Rekomendacya jego pomoże ci; a bez rekomendacyi i protekcyi trudno wszędzie. Mnie się tylko udało szczęśliwie — dodał z zaufaniem — bo też trafiłem na człowieka, który nawet po dobrym obiedzie czuje to

i pojmuje, że inni mogą być głodni. Ale takich jest mało. Nie wielu wchodzi w położenie biednych, młodych ludzi, których przez osiem lat pędzą do nauki, a jak się nauczą, to ich odpędzają od wszystkich drzwi, gdzieby ta nauka mogła załatać ich dziurawe buty i zaszyć popruty pod pachami surducik. Jest to nieludzkość, której nie jeden u nas z ludzi możnych, mających wpływ i mogący podać rękę chętnemu do pracy chłopakowi, dopuszcza się, a której zapewne nie dopuści się referendarz, przynajmniej względem ciebie, który przecież jesteś jego krewnym i nosisz to samo nazwisko.

— Obaczymy — rzekł Ignaś — pójdę jutro. I tak miałem pójść i dać mu się poznać. Wolałbym o nic nie prosić, gdyby się bez tego obeszło. Ale, gdy nie może być inaczej, cóż robić! trzeba pychę z serca zrzucić.

— Przecież to obowiązek — mówił Kański. — Nie prosisz go o jałmużnę. Zaprotegowanie cię niewiele go kosztować będzie. Kilka słów powie i basta. Pieniążki będą i bez niego.

— A to skąd? — zapytał Ignaś.

— Mam dla ciebie w perspektywie — odpowiedział Kański — niezłą korepetycyjkę matematyki. Jutro dowiemy się szczegółów. Pójdziemy pod *Gruszkę,* na *chleb z obiadkiem,* i tam jeden z kolegów powie ci, gdzie to jest i jak się ułoży.

— Na chleb z obiadkiem? — zapytał Ignaś ciekawie.

— Uważaj to dobrze: nie na *obiad z chlebem,* ale *na chleb z obiadem* — odpowiedział dyetaryusz śmiejąc się. — Bo pojmujesz to, że za złoty i groszy trzy, musi być więcej chleba, jak obiadu. Wszakże w restauracyach naszych, a szczególniej pod *Gruszką,* gdzie się schodzą aplikanci, goli po większej części jak święci tureccy, gdzie się zbiera cały ten drobiazg etatowy, któremu się nie wiedzie, i który musi czekać słońca, a tymczasem rosa wyjada mu oczy, nie idzie o marcepany i francuskie ciasta, ale o to, żeby jakkolwiek głód odpędzić, obaczyć się, pogadać, pośmiać się wspólnie, pożyczyć bilet obiadowy temu, który już na jutro nie ma ani grosza przy duszy, ani biletu w kieszeni, i tym sposobem jako tako zamydlić oczy biedzie, zaglądającej przez wszystkie szpary surduta i butów.

— Dobrze — rzekł Ignaś, siadając i ścierając z pięknego czoła swego przykre myśli, jakie mu dzisiejsze odwiedziny nasunęły. — Pójdziemy jutro pod *Gruszkę.* Dziś mamy milszy obiadek, który ciebie nasyci, choćby tylko składał się z onegdajszego chleba, a rosołu i mięsa wcale nie było. Nie prawdaż Olesiu?

— A ciebie, Ignalku? — zapytał Kański

uśmiechając się, z twarzą rozjaśnioną, wyrażającą miłość głęboką i serdeczną. Ignaś zaczerwienił się i wyrzekł:

— Powiedz mi, jakim sposobem poznałeś się z niemi?

— Trafem, kochanku — odpowiedział Kański — trafem szczęśliwym, takim samym, jak wynaleziono szkło, proch, druk i Amerykę.

— Przecież Ameryki nie wynaleziono — rzekł Ignaś śmiejąc się.

— Owszem, owszem — odpowiedział Kański — wynaleziono ją tak, jak ja wynalazłem Święto-Jańską ulicę, a na niej ten dom z napisem. Wyobraź sobie, jak Kolumbowi uroiło się, że coraz dalej i dalej na zachód musi być ziemia, tak i mnie skorom odkrył Święto-Jańską ulicę, a na niej ten dom, który o sobie powiada, że stoi w przedsieniu świątyni, wbiło mi się w głowę, że tam coraz wyżej i wyżej jest dla mnie zbawienie. Nim więc przyjechał Jaźnicki i ofiarował mi u siebie stół i stancyę, chciałem koniecznie zamieszkać w tym domu. Chodziłem więc co tydzień patrzeć, czy niema na nim wywieszonej karty. I cóż powiesz? bolało mnie to, robiło się ciężko na sercu, jak gdyby kto przedemną świat zamykał, gdy nade drzwiami było pusto, a ładna szewcowa, która tam w sklepiku sprzedaje skóry, powiedziała mi, że wszystkie lokale zajęte. Ale rok temu właśnie

przyszedłem znowu obaczyć. Karty nie było, ale szewcowa stała we drzwiach swojego sklepiku, i śmiejąc się, notabene wcale ładnie, bo ma prześliczne zęby, rzekła:

— Panu widzę koniecznie chce się tu mieszkać. Otóż powiem panu, że od Świętego Michała jeden kancelista wyprowadza się, i będzie pokoik do najęcia, ale aż na czwartem piętrze.

Nie dałem sobie dwa razy mówić. Pobiegłem, obaczyłem i tego samego dnia nająłem. Ciasno tam było, brudno; biedak co tam mieszkał, ostrzegał, że zimno i dymno, ale ja byłem tak uszczęśliwiony tym nabytkiem, jak gdybym wielki los wygrał. Skąd się to we mnie wzięło, dlaczego uważałem to za jakąś konieczność, której wymijać i lekce jej ważyć nie powinienem, tego nie wiem. I jeśliby kto uwziął się rzecz tak dziwną i tajemniczą wytłómaczyć, daremnie nałamałby sobie głowę, nicby nie odkrył. Że jednak tak było, za to ci ręczę, i to do tego stopnia, żem w nocy budził się, w niecierpliwości i oczekiwaniu kwartałowego terminu, i jeszcze kancelista nie zupełnie się wyniósł, gdy już moje manatki były w stancyjce, z której okienka mogłem wszystkie wróble na dachu kościoła pojezuickiego policzyć. Rzeczywiście, nie było mi tam dobrze. Tanio wprawdzie, ale okropnie wysoko, brudno, usługi żadnej,

tak, żem musiał sam zamiatać i wodę sobie nosić; przytem w dzień, ciągły krzyk i kłótnia jakiegoś niezgodnego małżeństwa, które mieszkało obok, a w nocy płacz i pisk chorowitego ich dziecka. A jednak byłem spokojny i wyglądałem skutku tego natchnienia, które mnie tu przyciągnęło. O sąsiadów moich nie wypytywałem się, bo o tem w Warszawie nikt nie myśli, i najczęściej ci, co w jednym domu mieszkają, albo nie znają się wcale, albo się porządnie nienawidzą. Ale raz, w połowie października, kiedym wracał z pod *Gruszki,* uderzył mnie śliczny śpiew na trzeciem piętrze. Stanąłem więc, oparłszy się o tę potężną dębową balustradę, gdzieśmy wczoraj stali, i słuchałem. Śpiew prędko ucichł, nie zaczynał się na nowo, i ja postawszy jeszcze z kilka minut, pobiegłem na górę z uszami pełnemi tych skowronkowych tonów. Nazajutrz idąc do biura, wstąpiłem do ładnej szewcowej i zapytałem jej, kto mieszka na trzeciem piętrze od frontu. »Pani Jelewska«, odpowiedziała mi, uśmiechając się, bo się zawsze uśmiechają wszystkie kobiety, które wiedzą o tem, że nie są brzydkie. Ja chciałem czegoś więcej się dowiedzieć. Zmiarkowała to widać sprytna blondynka i dodała: »Warto, żebyś się pan poznał. Pani Jelewska bardzo dobra kobiecina, pracuje i stara się jak może, ale ma dwie

córeczki, śliczne jak laleczki.« Nie śmiałem dalej wypytywać się, i wkrótce siedziałem przy swoim stoliku i zepsułem parę arkuszy papieru, omyliwszy się w milionach, którem zliczał. Gdy przyszła niedziela i miano grać nową sztukę, kupiłem sobie bilet na galeryę, skoro tylko otwarto kasę. Jako prawdziwy amator poszedłem wcześnie i czekałem na otwarcie teatru. Obok mnie była jakaś pani i dwie prześliczne panienki, trzymające się za ręce i podobniuteńkie do siebie, jak dwie krople wody. Drżały biedaczki i z ciekawości i z obawy, żeby je gdzie w ciasny i ciemny kąt nie wepchnięto. Powiedziałem sobie w myśli, że im pomogę do dostania się do pierwszej ławki. Gdy się drzwi otwarły, rzekłem z grzecznością do panienek: -- Trudno to będzie dostać się naprzód, bo ścisk wielki. Ale niech panie idą przedemną, a pani dobrodziejka niech będzie łaskawa podać mi rękę. -- Serdecznie dziękujemy — rzekła matka — my tak z tym natłokiem nie oswojone, że przyjmujemy przysługę pana. — Podała mi rękę, a ja nadrabiając miną, śmiałem słowem, a w potrzebie i łokciem doprowadziłem je do drugiej ławki, skąd doskonale było widać, i usiadłem przy nich. Żebyś mnie zabił, jak cię kocham, nie wiem dotychczas, jaka była treść tej sztuki. Gdy się skończyła, śmielej już podałem rękę matce,

i ofiarowałem się odprowadzić je do domu, jeżeli idą piechotą, bo już było po jedenastej i noc ciemna i wilgotna.

— Dokądże panie każą sobie służyć? — zapytałem, gdyśmy się wydobyli ze ścisku i ujrzeli się na placu. — Ach mój Boże! jakże pan będziesz się dla nas fatygować — rzekła matka — niespokojna o swoje dziewczątka; — my mieszkamy aż na Śto-Jańskiej ulicy. — Więc idziemy w jedną drogę — odpowiedziałem — bo i ja mieszkam na Śto-Jańskiej ulicy. — Jakże to szczęśliwie! — zawołała matka. — Ja nic nie odpowiedziałem, ale serce mi uderzyło i powiedziałem sobie w myśli, że to bardzo szczęśliwie. Przyszliśmy do *Przedsienia świątyni.* — My tu mieszkamy — rzekła matka — dziękujemy panu serdecznie. — I ja tu mieszkam — odpowiedziałem, i wówczas owo natchnienie, co mnie tu przyprowadziło, zrobiło się tak jasnem, jak podanie Archimedesa, *centum boves,* które pamiętasz, takeś mi doskonale przetłómaczył przed egzaminem. Pokazało się, że to moje skowronki, które mnie tak zajęły; że za daną im protekcyę były wdzięczne i zaprosiły mnie do siebie, że się poznałem, że teraz... O! teraz wszystko będzie dobrze, chociażby *fractus illabatur orbis,* jak mówił z energią nasz poczciwy profesor, który nie wiem co umiał lepiej, czy katechizm, czy

ody Horacyusza. Taka cała historya. Wytłómacz ją sobie teraz, jeśliś mądry.

Ignaś chodził po pokoju przez niejaki czas i nic nie mówił. Po chwili stanął przed Kańskim i patrząc na jego kamizelkę, na której błyszczał złoty łańcuszek, zapytał w roztargnieniu:

— Która już godzina?

— Ba — odpowiedział Kański — stanął mi zegarek — i z filuterną miną wydobył ołowiany zegareczek za piętnaście groszy, który na to tylko był, żeby się łańcuszek trzymał w kieszeni. Wtedy zaśmieli się obydwaj, uściskali się, i wziąwszy kapelusze i laseczki, obaj równie niecierpliwie wyglądający godziny trzeciej, poszli na ulicę, aby się dowiedzieć, jak prędko będą mogli stanąć tam, gdzie ich serca i myśli równie ciągnęły.

Obiad był skromny, ale smaczny i wesoły. Panienki jednakowo ubrane, w popielatych zgrabnych sukienkach, z kokardami ponsowemi pod szyję, były równie piękne, równie ożywione, i nawet Julcia śmielej przystępowała i poufalej mówiła z kuzynkiem dziś, jak wczoraj. Matka wypytała się Ignasia o resztę rodziny jej męża. Ze współczuciem słuchała tego wszystkiego, co młody człowiek mówił o ciotce Teresi. Nie dziwiła się wcale, że nie zna swoich rodzonych wujów, że z nimi

żadnego nie ma stosunku i żadniej od nich nie doświadczył pomocy. — Powiem ci kiedyś — dodała — jak się zemną obeszli. Bóg mi nie dał szczęścia, zbliżając mnie do tej rodziny, która zepsuła moje życie. To jedyna moja nagroda — rzekła ciszej i ukazując wzrokiem na panienki, które obie szczebiotały trochę opodal z Kańskim, — to jedyne, ale wielkie błogosławieństwo, które mi płaci za wszystko, co ucierpiałam. Gdzież się obraca ciotka twoja Herminia?

— Nie wiem — odpowiedział Ignaś prędko. — Nie znam jej wcale. Ciotka Teresa nigdy mi o niej nie wspominała; a ja przywykły od dzieciństwa do nieinteresowania się krewnymi mojej matki, od których byliśmy zawsze z daleka, nie miałem nigdy ciekawości zapytać.

Gdy to mówił, pobladł i serce jego zabolało. Ale wolał się zaprzeć upadłej kobiety, niż dać poznać wstyd krwi swojej, i słowami, malującemi jej poniżenie, któreby mogły dojść do uszu panienek, zarumienić te czoła, przez które się pewnie żadna myśl zepsucia nigdy jeszcze nie przesunęła. Po niejakim nawet czasie, wziąwszy nieznacznie na bok Kańskiego, prosił go, aby żadnem słówkiem nie dał poznać o egzystencyi jego ciotki, i że o niej cokolwiek bądź słyszał.

Kilka godzin przeszło niepostrzeżenie. Kański

wyszedł wcześniej prosząc Ignasia, żeby nazajutrz o w pół do trzeciej był przed bramą Komisyi Skarbu, skąd mieli razem udać się pod *Gruszkę*. Bohater nasz został jeszcze do dziewiątej, a gdy bęben dał się słyszeć na placu zamkowym, pożegnał matkę i córki. Ode drzwi obejrzał się jeszcze i obaczył za sobą obie panienki, które objąwszy się szły za nim i jeszcze raz spojrzały wzrokiem przyjaznym, który rozjaśnił ich prześliczne oczy, jeszcze raz powiedziały mu obie dobranoc, a gdy już drzwi otworzył, Julka powtórzyła już sama: — dobranoc ci, braciszku! Z tem brzmieniem, które wpletło się we wszystkie jego myśli i przecinało słowa pacierza, zasnął nasz bohater, z tem brzmieniem nazajutrz się obudził.

X.

Świat urzędowy warszawski, do którego mamy szczęście należeć, stanowi zupełnie oddzielną sferę, i ma wybitny swój charakter, odróżniający go od innych. Chociaż mieści w sobie indywidua z rozmaitych klas, z różnych szczeblów społeczności pochodzące, chociaż u są i panowie i szlachta, mieszczanie i dzieci, pod wiejską urodzone strzechą, chrześcijanie starej i świeżutkiej daty, wszystko to traci mniej więcej pierwotne swoje cechy, a przejmuje te, jakie daje hierarchia, do której wchodzi

i z którą się ściśle zlewa. Pomimo więc wielkiej rozmaitości pochodzenia i ogromnego stopniowania w dochodach, możności, wpływie i władzy, składa się on, równie jak atmosfera, z tychże prawie samych pierwiastków, rozmaicie tylko na różnych warstwach od niższej do wyższej modyfikowanych. Jak wszystko na ziemi ma dwie strony, tak i tu jedne pierwiastki są dodatne, drugie ujemne. Do głównych dodatnych należą: *praca,* która jest wszędzie, a najcięższa i najgęściej rozłożona na dole; *nauka,* która jest mniej więcej wszędzie, a najrozleglej i najobficiej rozpościera się w warstwach środkowych i górnych; *zasługa,* która także jest mniej więcej wszędzie, ale powiększa się, idąc coraz ku górze, nabiera coraz więcej mocy i wagi, tak, że na szczycie staje się najważniejszą, w miarę prawości indywidualnej, rozciągłości wpływu i skutków władzy, jaka w rękach dygnitarza złożona. Do głównych ujemnych pierwiastków należą: *niespokojne zajmowanie swojego miejsca i dążenie ciągłe myślą ku górze,* stąd zaniedbywanie się w pracy, nieoświecanie się w tem, co do obowiązku należy, umniejszanie zasługi, jakąby każdy na swojem stanowisku mógł się ozdobić; *zazdrosne poglądanie na tych, którzy są na równi, aby który nie podniósł się i nie wyprzedził,* a stąd brak koleżeństwa, poniżenie

moralne, przez zajmowanie się sprawami innych, kopanię pod nimi dołków i zaprzątnienie serca trującą namiętnością, a stąd znowu uszczerbek w pracy, we właściwem stopniowi swemu ukształceniu, w należnej sobie i krajowi zasłudze. *Wystawa, prowadząca do życia nad możność i chęć pokazania się czemściś więcej, niż się jest, niż pozwala stopień i miejsce,* a stąd długi i to wszystko co one za sobą ciagną; zatem albo niedostatek odbierający pokój, niszczący zdrowie, prowadzący do rozpaczy, lub do nałogu; albo wchodzenie w pewne układy z sumieniem, a stąd nieuczciwe zarobki i przedajność, która znowu, albo wyrzuca na bruk w łachmanach, albo stawia pod pręgierz opinii, z nieufnością władzy i pogardą współbraci. Pierwszy i drugi, z oznaczonych wyżej ujemnych pierwiastków, jest mniej więcej wszędzie, ale umniejsza się ku górze i niknie na szczycie; ostatni zaś, a najzgubniejszy ze wszystkich, grasuje szczególniej w warstwach środkujących, zaczyna się dość nizko i dosyć wysoko dosięga. Że on więcej, jak oba poprzednie, neutralizuje pierwiastki dodatne, to widzimy codziennie; bo jak ma iść praca przy takim niepokoju? skąd ma się wziąć czas do kształcenia się i nauki? jak dojść do jakiejbądź zasługi, kiedy od niej odpycha pogarda, lub śmieszność, kiedy na twarzy i na czole piętnują

się ślady lub złego nałogu, lub elastycznego sumienia?

Nikomu zapewne nie przyjdzie do głowy, abyśmy to dobre i złe, któreśmy upatrzyli w ogóle tego ciała, którego cząstkę stanowimy, upatrywali w każdej jego cząstce, jako warunek konieczny, i owe pierwiastki dodatne i ujemne widzieli w każdem indywiduum świat urzędowy składającem. Byłoby to i niedorzecznem i nieprawdziwem. Wielu jest bardzo pomiędzy nami, w których niema ani pracy, ani nauki, ani zasługi; wielu jest takich, co dostawszy się, do jakiego miejsca, siedzą na niem spokojnie, nie myślą o żadnym awansie, i dziękują Panu Bogu i rządowi za kawałek chleba, jaki mają; wielu jest także takich, co oddając sprawiedliwość zdolniejszym, podają życzliwą dłoń koledze, który ich wyprzedza i przed nimi się podnosi; wielu jest nawet takich, co mierząc się ściśle swoim dochodem, trzymając na wodzy i próżność własną i próżność swojej jejmości, żyją skromnie i cicho, i przechodzą zawód swój nie naraziwszy się na żadną śmieszność, nie poddawszy się żadnej naganie, nie splamiwszy ręki żadnym groszem, któryby na liście płacy nie był dla nich zapisany. Nikt wszakże nie zaprzeczy, aby tych wskazanych przez nas pierwiastków nie było, aby one nie streszczały w sobie tego wszystkiego, co w nas

jest dobrem i zdrożnem, aby nie stanowiły w całości swej odrębnej jakiejś cechy, która nas charakteryzuje. Czy zaś wskazanie tych pierwiastków było tu potrzebnem, czy zachęci kogobądź do wzmagania w sobie dodatnych, a strzeżenia się i pokonywania ujemnych, zatem czy ten rozbiór chemiczno-moralny przyda się, choćby tylko tym ze współbraci naszych, co mają u siebie *wtorki, czwartki,* lub *soboty,* to jest zupełnie inna kwestya, którą zostawiając na teraz bez odpowiedzi, przystępujemy do dalszego ciągu opowiadania.

Między dziewiątą i dziesiątą Ignaś udał się na Nowy-Świat, chcąc zastać referendarza wprzódy, nim wyjdzie do biura, aby mu się dać poznać i prosić go o protekcyę i rekomendacyę. Według wskazania Eugeniusza trafił od razu. Dom wprawdzie nie był zielonawy, ale w innym, żółtawym, obaczył na pierwszem piętrze w trzech oknach czerwone firanki, sutemi ozdobione frendzlami, a w każdem z nich twarz kobiecą, patrzącą na ulicę. Jedna z nich była już nie młoda, z puklami siwych włosów, które z pod czepka wyglądały; dwie drugie młode, wydatnych rysów, blade i zmęczone, klęczały widać na krzesłach, łokciem wspierały się na czerwonej, aksamitnej poduszce, która leżała na oknie, a drugą ręką, prawie całkiem obnażoną i piękną, trzymały przy oczach lornetki.

Uśmiechnął się Ignas, znalazłszy spostrzeżenie brata swego tak trafnem i wiernem, i wszedłszy na schody brudne, zaśmiecone, ale ładnym, wązkim wyłożone dywanikiem, pociągnął śmiało za dzwonek. Przez niejaki czas słyszał tylko wewnątrz szorowanie posadzki, ale nikt nie otwierał. W kilka minut dopiero, gdy znowu pociągnął za dzwonek, i pomnąc na przestrogi Kańskiego, mocniej i energiczniej, otwarły się drzwi, i stanął przed nim lokaj rozczochrany, brudny i bosy, który widać tylko co zlazł ze szczotki, a na kurtce wytartej i rozprutej na łokciach miał przez ramię przewieszoną ścierkę. W przedpokoju, do którego wszedł śmiało, gdy mu oznajmiono, że pan referendarz jest w domu, zastał Ignaś woźnego, który zapewne czekał na papiery. Fagas ów bosy, wsadziwszy nogi w jakieś wydeptane pantofle, rzuciwszy ścierkę na kosztowny stolik, ale zakurzony, poplamiony i podrapany, poszedł nowo przybyłego zameldować panu. Przedpokój okazywał dostatek i nieład, pretensyą do elegancyi i brudne niedbalstwo, które jej utrzymywać nie umie i wszędzie czemściś neutralizuje. Było tam w złoconych ramach zwierciadło dla gości wchodzących, ale stłuczone i popstrzone; były stoliki politurowane, ale na jednym stał dzbanek wyszczerbiony i bez ucha, i blaszanka do wynoszenia śmieci stara, pokrzywiona i zdrapująca

politurę; krzesełka wyplatane, z politurą, zgrabne i zapewne dosyć drogie, dźwigały, jak wszystko kurzawę, w słomce miały dziury, na poręczach szramy i rany; na jednem leżał płaszcz woźnego, na drugiem suknie referendarza, jeszcze nie poczyszczone, zmięte i zmięszane, jak kupa starzyzny; na innem była miednica blaszana, z nalewką porcelanową odrutowaną, tonącą w brudnej i zamydlonej wodzie, w której się referendarz umywał. Buty jego, nie wyczyszczone jeszcze, stały na środku pokoju, jeden patrzył nosem na północ, drugi na południe i w takiej od siebie były odległości, że gdyby w nie wlazł referendarz, wyglądałby jak kolos Rodyjski. Kinkiety były bronzowe, kosztowne, ale szkła w nich poszczerbione i pełne kopcia, na bronzie był kurz i plamy, a na ścianie pod niemi struga rozgałęziona oleju, przypominająca ową kartę historyczną, która nazywała się *Potok czasów*, a którą niegdyś niejeden dzieciak, bezużytecznie męczony, daremnemi oblewał łzami. Było to wprawdzie jeszcze dość rano, sługa oczywiście był niedbały i nieporządny flejtuch; ale Ignaś wniósł, że gdyby pani i panny nie siedziały o tej porze w oknie i nie patrzyły na ulicę, nie byłby się spotkał ani z miednicą, ani ze dzbankiem, ani z wczorajszą kurzawą, i nie musiałby przeskakiwać, ani przez buty referendarza, ani przez szczotki, które się na kupkach śmiecia wspierały.

Po niejakim czasie wyszedł lokaj, wyniósł zielony i zamknięty portfel, oddał go woźnemu i kazał odnieść do biura; potem obróciwszy się do bohatera naszego, poskrobał sie w głowę i oznajmił, że go pan prosi.

Za przedpokojem był korytarz wązki, o jednem oknie, prawie próżny, mający tylko parę szaf, kilka krzeseł i ozdobiony sztychami, których ramy złocone, obdrapane i zakurzone, świadczyły o takiej samej staranności pani i sług, jaką widział w przedpokoju. Wprost, drzwi w pół otwarte prowadziły do salonu, z którego słychać było francuską rozmowę panien, o tych koczach i karetach, które przejeżdżały. Sługa wskazał mu w głębi korytarza drzwi na prawo, które prowadziły do gabinetu, wychodzącego na dziedziniec.

Gdy Ignaś wszedł, referendarz stał przy krześle swem odwróconem od biurka i patrzał ku drzwiom. Miał na sobie szlafrok z kosztownej zapewne materyi, ale zasmolony, poplamiony atramentem i cokolwiek popruty, tak że w niektórych miejscach wyglądała wata i podszewka z rękawów wyłaziła strzępkami. Był to mężczyzna słuszny, już nie młody, przygarbiony, i co poznać można było z pierwszych ruchów, powolny i zamyślający się. Na twarzy ściągłej, dość chudej i bladej, sterczał nos śpiczasty i wązki, spodnia warga była trochę obwisła;

na czole łysem, obrzuconem siwymi włosami, leżały złote okulary, a oczy siwe i zamglone przymrużały się i z niejakiem wysileniem patrzyły. Milcząc, kiwnął ręką Ignasiowi, żeby się przybliżył, i zmrużywszy mocniej oczy i przypatrzywszy się, rzekł:

— A, a, pan Zabużski? proszę. Brat Eugeniusza; a, znam, znam. Młodszy zapewne, młodszy.

— Młodszy, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział Ignaś skłoniwszy się.

— A, dobrze, proszę siąść — mówił referendarz i sam usiadł, ukazując młodzieńcowi krzesełko. — Jakże imię?

— Ignacy.

— A, Ignacy, tak słyszałem, przypominam — mówił referendarz i poprawiając okulary na czole, dodał: — Obaj synowie pana Sebastyana Zabużskiego. Prawda, tak, pana Sebastyana. Jakże się ma pan Sebastyan?

— Ojciec nasz już od pięciu lat nie żyje — odpowiedział Ignaś, któremu się jakoś serce ściśnęło i łzy nabiegały do oczów.

— A, a, nie żyje, tak, przypominam, słyszałem — rzekł referendarz. — Więc sierota, zostawiony bez wszelkiego funduszu. A, dobrze, dobrze. A szkoły gdzie?

— Skończyłem gimnazyum w Lublinie — odpowiedział Ignaś, który nie wiedział, coby

w tem było tak dobrego, że został sierotą bez funduszu.

— A, w Lublinie? wiem, wiem, są w Lublinie — mówił referendarz — gdy Ignaś, któremu rozmowa ta odejmowała odwagę i odbierała wszelką nadzieję, milczał i prośby swej nie wyrażał, referendarz dodał: — Więc teraz do Warszawy, tak dla ciekawości, dla obejrzenia?

— Nie, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział Ignaś — na to jestem za ubogi. Przybyłem tu dla pomieszczenia się w jakiem biurze, gdziebym mógł pracować i zasłużyć sobie na tyle łaski, żebym w niedługim czasie znalazł w pracy mej utrzymanie i nadzieję dalszego pokierowania się.

— A, pokierowania się w biurze! — rzekł referendarz, zsunął okulary na oczy i patrzył na młodego człowieka — praca tak, zapewne, utrzymanie potrzebne. Dobrze, dobrze, ale cóż?

— Właśnie przyszedłem tu — mówił Ignaś, któremu słowa więzły w gardle — aby się zaprezentować jaśnie wielmożnemu panu, przedstawić mu moje świadectwa i prosić, abyś raczył, przez wzgląd na to dalekie wprawdzie pokrewieństwo, którem się szczycę, dopomódz mi swoją protekcyą i wpływem.

— A, wpływem, tak, bez protekcyi, ciężko,

wiem — mówił podnosząc znowu okulary i mrużąc prawie zupełnie oczy. Potem posiedziawszy tak chwilę w milczeniu, dodał: — Dobrze, dobrze, ale to trudno. Aplikacya, to rzecz długa, a utrzymania niema. A, Eugeniusz u brata mego; a tak, pojechał z moim synowcem do Włoch; przystojny i światły młodzieniec. Ale kasztelan, a, to co innego. Pokrewieństwo! tak, zapewne, to dobrze, ale cóż, ja nie mam syna.

— Ja prosiłbym tylko — rzekł Ignaś zmiarkowawszy z tej siekaniny słów, czy zwyczajnej mu, czy umyślnej, że się wykręca — o zarekomendowanie mnie zwierzchnikowi tej władzy, w której jaśnie wielmożny pan tak wysokie zajmujesz miejsce.

— A, a, zarekomendowanie! — odpowiedział niby chętniej. — Świadectwa zapewne są. Gimnazyum lubelskie, wszak tak? i metryka? Ochrzczony, a, zapewne i dyplom, cóż Zabużski, szlachcic naturalnie?

— Wszystko to mam, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział Ignaś, który z tym osobliwszym sposobem mówienia zaczynał się oswajać. I dobywszy z kieszeni surducika swego pliczek z papierami, powstał z uszanowaniem i podawał go referendarzowi.

— A na co to? — zapytał referendarz zsuwając z czoła okulary. — To gdzieindziej,

nie do mnie. Ja już wiem. A, Zabużski Ignacy, wszak tak? a zdolności zapewne są, i usposobienie piękne. Eugeniusz, a! bardzo ładnie ukształcony młody człowiek. Po francusku i po włosku, jak po polsku. Zabużski, to dosyć, a obyczaje? no, to widno. Chodźmy do mojej żony na śniadanie.

I niedotknąwszy się papierów, które Ignaś napowrót schował, poszedł naprzód, a bohater nasz, sam niewiedzący, co myśleć o tym człowieku, który mu się raz wydawał głupim i roztargnionym, drugi raz filutem udającym roztargnienie, poszedł za nim.

Minęli wspomniany wyżej korytarz i weszli do salonu, w którym były owe okna, ozdobne firankami i złotem, wychodzące na ulicę. Były tu paradne meble, wybite aksamitem, kosztowne lampy stały na stoliczkach przed zwierciadłami, był fortepian, piękne stoły, a na nich w ładnej oprawie jakieś książki i misterne koszyki z biletami wizytowymi; było kilka portretów i sztychów w sutych ramach, słowem był to salon na pierwszy rzut oka pański; ale i tu jeszcze nie było sprzątnięto. Krzesła nie stały na swojem miejscu, kobierzec przy kanapie był odgarnięty i zgnieciony, na kanapce, przy drzwiach do dalszego pokoju prowadzących, leżały rzucone kapelusze, sukienki i spódniczki panien, i to zapewne te, które zdjęły wczoraj,

bo choć wycinane w zęby i haftowane u spodu ale tam gdzie haft, widać było zdaleka i błoto. Ignaś rzucił bystro okiem po tem wszystkiem co go otaczało, i wyminąwszy szczotkę froterską i sukienko do wycierania podłogi, które przy niej leżało, wszedł za referendarzem do jadalnego pokoju, mającego okna na dziedziniec.

Na środku był stół okrągły, zastawiony maszynką do kawy, garnuszkami śmietanki, samowarem, czajnikami i filiżankami. Na przeciwko drzwi siedziała sama pani, obok z lewej strony córki, wszystkie w rannych ubraniach, okazujących więcej pretensyi, niż skromności i czystości; z prawej był przyrząd i miejsce dla referendarza.

Gdy się zbliżyli, a panny widząc wchodzącego tak rano młodego człowieka, poodwracały się, poprawiając na sobie szlafroczki i przygładzając włosy, rzekł referendarz do żony:

— Saluniu! pan Zabużski, brat, brat, Eugeniusza.

Referendarzowa kiwnęła mu głową, a panny zawołały:

— *Le frère de Mr. Eugène! charmée de faire votre connaissance monsieur,* — rzekła starsza — *Et moi aussi, monsieur* — dodała młodsza.

Tymczasem referendarz usiadł i zaczął z pośpiechem zapijać kawę, którą mu żona podała.

— Niech pan siądzie — rzekła referendarzowa, spoglądając dość obojętnie na młodego człowieka, który się cokolwiek zmięszał, nie mogąc odpowiedzieć pannom po francusku, a bojąc się odpowiadać po polsku. — Może filiżankę kawy? — dodała gospodyni domu.

— Dziękuję jaśnie wielmożnej pani — rzekł Ignaś, siadając skromnie — już jestem po śniadaniu.

— Pan Ignacy, wszak Ignacy, a, tak, przypominam, raniej wstaje od was — rzekł referendarz.

— Wróciłyśmy wczoraj tak późno z wieczoru — rzekła starsza.

— Księżna była tak uprzejma — dodała młodsza — *tout à fait aimable! et quel aimable soupé!*

— Pan dawno przybył do Warszawy? — zapytała referendarzowa.

— Przed dwoma dniami, pani — odpowiedział Ignaś i uważał, że się referendarzowa skrzywiła, że tytuł jaśnie wielmożnej odrzucił.

— *Vous vous amuserez beaucoup, monsieur* — mówiła starsza panna referendarzówna — Warszawa teraz tak pełna; tyle pań najechało, *et la première jeunesse du pays.*

— A, tak, zabawa — rzekł referendarz, kończąc i wychylając filiżankę. — Nie każdemu zabawa w głowie, tak jak wam. Bo wy macie,

macie; a, tak, macie dużo, to dobrze; a on o aplikacyę stara się. — I to powiedziawszy, obtarł usta, wstał, i wychodząc spojrzał na Ignasia i dodał: — A, zaraz, zaraz, ubiorę się.

Wyraz ten *aplikacya* jakby zimną wodą oblał panny, które spojrzały po sobie i same nie wiedziały, z jakiej beczki zacząć z młodym człowiekiem, który nazywa się Zabużski, tak jak i one, a przyjechał nie dla zabawy, nie dla użycia Warszawki, ale na aplikanta. Nastąpiło więc milczenie, tem przykrzejsze, że biedny Ignaś, któremu się to wszystko co widział, dziwnie nie podobało, wahał się, czy wstać i pójść, czy czekać tu, aż się referendarz ubierze i wezwawszy go, powie co zrobić i dokąd się udać. Siedział więc i przypatrywał się pannom, z których twarzy znikła początkowa uprzejmość i które obojętnie kończyły śniadanie. Po niejakim dopiero czasie odezwała się gospodyni domu, z wejrzeniem i tonem źle z pańska naśladowanym:

— Zapewne asan już się ulokował w Warszawie?

— Jeszcze nie, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział Ignaś, poprawiając swój błąd poprzedni — stoję dotąd w hotelu Smoleńskim.

— Nie musi tam panu być dogodnie — rzekła znowu łaskawiej referendarzowa, i bohater nasz zmiarkował zaraz, że dodana jaśnie wielmożność wyrugowała z rozmowy asana.

— Czyż jest w Warszawie jaki hotel Smoleński? — zapytała panna Emilia, starsza córka referendarza.

— Na ulicy Bednarskiej — odpowiedział Ignaś.

— A, *rue de Bednarze! c'est different* — rzekła panna Emilia i uśmiechnąwszy się do siostry, wstała, poszła do salonu i stanęła przy oknie.

— Czy pan nie masz wiadomości od brata? — zapytała referendarzowa znowu po chwili milczenia.

— Miałem tylko jeden list przed wyjazdem jego z Warszawy — odpowiedział Ignaś — z zagranicy nie miałem dotąd żadnego.

— Brat pana jest *bardzo dobrze* — mówiła dalej z pańska — braterstwo lubią go i zapewne pokierują.

— Szczyci się on ich łaską — odpowiedział młody człowiek — a ja cieszę się z serca, że znalazł takich opiekunów.

— *Mathilde! Mathilde!* — krzyknęła wtedy panna Emilia — patrz, książę Janusz jedzie konno i patrzy w nasze okna.

Młodsza panna referendarzówna porwała się z miejsca, tylko co nie wywróciła samowaru z pośpiechu i pobiegła czemprędzej do siostry. Tam obie zaczęły się nadstawiać, przykładać twarze do szyb zamkniętych, i kiwać głowami.

Gdy widać przejechał ten, co tak ściągał ich uwagę, zaczęły szczebiotać między sobą po francusku i śmiać się, zapewne z biednego kuzynka, który przyjechał na aplikanta i stanął *rue de Bednarze*. Po długiem znowu milczeniu, kiedy Ignaś siedział jak na szpilkach, referendarzowa powstała i poszła do salonu za córkami. Wszedł więc i młody człowiek za nią. Wtedy matka zapytała:

— A cóż? widział was książę Janusz?

— Rozumie się — rzekła Emilia — zatrzymał nawet konia.

— Tak, póki ja nie przyszłam do okna — mówiła Matylda — jak mnie obaczył, dopiero uśmiechnął się, ukłonił i pojechał.

— *Quelle folie!* — rzekła starsza, ruszając ramionami.

— *Pourquoi pas?* — odpowiedziała matka ze znaczeniem.

Panna Emilia nadąsała się trochę i przystępując do stolika, na którym był elegancki koszyk z biletami wizytowymi, i przy którym stanął Ignaś, zaczęła niby od niechcenia przeglądać bilety i wykładać je tak, że były niedaleko ręki młodzieńca. Nie mając co robić, gdy ani matka, ani córki do niego nie mówiły, rzucał na nie okiem i widział, że to były bilety samych książąt i hrabiów, samych takich pań, z których każda była *née princesse,* lub

née comtesse, o czem żadna nigdy na bilecie swym nie zapomni. Widocznie panienka chciała mu dać poznać, jakie to u nich bywają osoby, pochwalić się swoimi stosunkami, co jest zwykłą u nas słabością klas środkujących, a podniesionych cokolwiek znaczeniem i urzędem; a może też chciała mu dać do zrozumienia, że w takiej kompanii nie będzie miejsca dla niego, że ani do ich zażyłości cisnąć się, ani do ich pokrewieństwa nie bardzo przyznawać się powinien.

Gdy się to działo, wtedy Matylda, która ciągle stała przy oknie, zawołała: — *Regardez, il revient!*

Panna Emilia poskoczyła do okna, obie wytrzeszczały oczy na ulicę, a matka stała za niemi i wyglądała skutku. Ale tym razem przyszła kolej tryumfu na pannę Emilię. Po chwilce zaśmiała się i rzekła:

— Przejechał galopem, i ani spojrzał w okno.

— *Pas possible!* — rzekła matka.

— *C'est vrai* — odpowiedziała młodsza córka — lecz musiał mieć coś bardzo pilnego, kiedy tak prędko wrócił.

— To bardzo być może — odpowiedziała referendarzowa; ale w tejże samej chwili rzuciła okiem na świadka tej sceny, malującej próżność i głupstwo i jej i córek. Na twarzy

Ignasia był uśmiech ironiczny, którego powstrzymać nie mógł, i taki wyraz, który pani zrozumiała, i który się jej nie podobał. Sądząc więc, że mąż już się dawno ubrał, i chcąc się pozbyć gościa, który, chociaż krewny, ale jako biedak nie mógł być dla niej interesującym, zadzwoniła na służącego. Wszedł ten sam lokaj, ale już w surducie i w butach.

— Czy pan już ubrał się? — zapytała.

— Oho! pan już dawno poszedł do biura — odpowiedział sługa.

Wtedy znowu referendarzowa uśmiechnęła się, pomyślawszy, jak zgrabnie mąż jej wymknął się przed proszącym o protekcyę kuzynkiem, i obracając się do Ignasia, rzekła:

— Mój mąż wraca po trzeciej; potem je obiad; potem spoczywa; wieczorem zaś jedziemy albo na teatr, albo mamy wizyty.

Ignaś zrozumiał, zaczerwienił się, i nic nie powiedziawszy, skłonił się i wyszedł. Gdy już był we drzwiach, słyszał, jak panna Emilia mówiła do siostry:

— Patrz! Patrz! kareta hrabiny! dokąd ona tak rano jedzie?

— A tego pułkownika huzarskiego w dorożce uważałaś? — odpowiedziała panna Matylda — i tym sposobem dalej ciągnęły dzienne swe zatrudnienie.

W przedpokoju bohater nasz ułożył kapelusz

z dumą, gniewem i żalem, i dawszy sobie słowo, że już tu więcej noga jego nie postanie, pobiegł prędko po schodach, dotąd jeszcze nie zamiecionych.

Nie poszczęściło mu się z krewnymi. Wczoraj znalazł próżność, która doprowadziła do upadku i hańby; dziś znalazł egoizm, który zniżył człowieka poważnego do wykrętów i filuteryi, i próżność doprowadzoną do głupstwa i śmieszności, która próżniaczki miejskie napełniła fałszywą pretensyą, niszczącą wszelką uczciwą sympatyę i wysuszającą serce z tych wszystkich uczuć, od których zależy szczęście domowe i które karmić w sobie powinny kobiety, gotujące się do tych ważnych obowiązków, jakie je czekają.

Takiemi zajęty myślami, i znowu szukający pociechy w tych słodkich obrazach niewinności, wdzięku, dobroci i pracy, jakie mu imaginacya kreśliła, przenosząc go na trzecie piętro Święto-Jańskiej ulicy, szedł Ignaś zwolna Nowym Światem, wymijając obojętnie tych wszystkich przechodniów, z obcem mu i zajętemi sobą twarzami, którzy tam i napowrót śpieszyli. Gdy się zrównał z Saskim placem, postrzegł z daleka idącego naprzeciw siebie mężczyznę, którego postać i twarz były mu niby znajome. Odznaczało go ubranie przystojne, łączące prostotę z powagą, układ szlachetny i wzrost przenoszący

innych. Twarz miał zamyśloną, kapelusz trochę na bakier, a w ręce odzianej czarną rękawiczką trzymał cienką laseczkę. Gdy się zbliżył, Ignaś poznał dyliżansowego towarzysza swego, którego rozmowa tak go uderzyła i tak mu była pamiętną. W rzeczy samej był to hrabia Adam. Poznał on młodego człowieka, który mu się uprzejmie ukłonił, zatrzymał się i podając mu rękę, rzekł:

— A, pan Zabużski, jakże się panu wiedzie? Czy zrobiłeś już co z sobą? zdecydowałeś się na to, lub na owo?

— Jeszcze nie, panie hrabio, — odpowiedział Ignaś.

— Śpiesz się pan — mówił znowu hrabia — bo ostrzegam pana, że w Warszawie czas jest trzy razy droższym, jak gdzieindziej, to jest, że na jedną godzinę trzeba tu trzy razy tyle sił i pieniędzy, niż w każdem innem miejscu. Ciekawość zostaw pan na potem. Tem lepiej później przypatrzysz się temu, co warte widzenia, im będziesz spokojniejszym. Skądże pan teraz wracasz?

— Wracam od krewnego mego, referendarza Zabużskiego — odpowiedział Ignaś.

— Więc zawsze w myśli biuro? — rzekł hrabia, usuwając się ku placowi, gdzie było próżne miejsce, w widocznej intencyi dłuższego pogadania z młodzieńcem, który go zainteresował.

— Chciałbym od tego zacząć, panie hrabio — odpowiedział Ignaś — mam dopiero dwadzieścia lat; jeżeli więc jeden rok, lub nawet trochę więcej stracę, stracę nie wiele, a nabędę przekonania i doświadczenia, że to nie moja droga.

— Jest racya — rzekł hrabia. — Jakże pana przyjął referendarz?

— Wstydzę się wyznać, panie hrabio — odpowiedział Ignaś spuszczając oczy. — Widocznie się wykręcił od podania mi ręki, nawet uciekł przedemną z domu, nie dawszy mi żadnej odpowiedzi, i zostawił mnie ze swemi kobietami, które próżne i śmieszne.

— Znam je cokolwiek — odpowiedział hrabia uśmiechając się. — Ale mnie to dziwi, że pana tak referendarz przyjął. Zapewne chce poznać pana lepiej, żeby cię mógł tem śmielej rekomendować, jako krewnego.

— Ja sądzę, panie hrabio — mówił Ignaś — że właśnie ta okoliczność, iż obaczył we mnie krewnego, była powodem i ambarasu, w jakim go widziałem, i roztargnienia, z jakiem do mnie mówił, a które mi się wydaje więcej udanem niż prawdziwem.

— Być może, że domysł pana słuszny — rzekł hrabia. — Trudna to próba dla rozumu i serca ludzi możnych i w znaczeniu, kiedy na ich progu staje ubogi krewny. Rzadko

który wychodzi z niej uczciwie i z konsekwencyą. Kiedyż pan znowu pójdziesz do referendarza?

— Nigdy, panie hrabio — odpowiedział Ignaś stanowczo i z zarumienieniem. — Gdybym był tak ograniczonym i nie poznał się, ani na jego mowie, ani na jego postępowaniu, gdybym się zjawił raz jeszcze z prośbą o protekcyę i rekomendacyę, bo niczego więcej nie żądałem, przypisałby zapewne to zapomnienie o mnie roztargnieniu. Ale ja widzę to dobrze, że prawdziwy powód jest ten, że nie chciał mi nic obiecać i do niczego się względem mnie, jako krewnego, zobowiązać. Z próby tej, o której pan hrabia mówiłeś, wyszedł referendarz jako filut i egoista — dodał Ignaś czerwieniąc się mocniej, i ze łzą w oku.

— Surowo pan ludzi sądzisz — rzekł hrabia, patrząc jednak ze współczuciem na roztropnego i energicznego młodzieńca. Ignaś zawstydził się, spuścił oczy i umilkł, a hrabia dodał: — Do kogóż się pan teraz udasz?

— Nie śmiałem nadużywać dobroci pana hrabiego — odpowiedział Ignaś, podnosząc głowę — chociaż teraz widzę, że od tego powinienem był zacząć.

Hrabia uśmiechnął się, postąpił ku ulicy, zatrzymał jadącą właśnie próżną dorożkę i siadając w nią rzekł:

— Siadaj pan.

Pojechali na Senatorską ulicę i wysiedli przed mieszkaniem hrabiego. Szwajcar otworzył drzwi ozdobne, z bronzami i szkłem, które świeciło, jak zwierciadło; w sieni obszernej, bez żadnej pstrocizny, ale marmurową wyłożonej posadzką i mającej wspaniałe schody prowadzące na górę, było dwóch lokai w liberyii z których jeden z pośpiechem otworzył drzwi do dolnego apartamentu na lewo. Tam przeszli parę pokoi, nie uderzających żadnem świecidłem, których meble obite były zielonym safianem, a ściany w jednym zawieszone rysunkami rozmaitych narzędzi rolniczych i fabrycznych, planami budowli gospodarskich, gorzelni, stodół, owczarni i t. p., tudzież wizerunkami jakichściś osobliwych baranów, bydła i koni; w drugim zaś kartami geograficznemi, planami rozmaitych miast i widokami celniejszych w nich gmachów. Trzeci pokój obszerny, o trzech oknach, był właściwie gabinetem hrabiego. Tam były szafy z książkami, stoły i biurka do pracowania stojący, rozmaite machiny, modele machin rolniczych, pługów, sieczkarni, młockarni i t. p. Umeblowanie było równie proste, jak w poprzednich, cały tylko pokój wybity był suknem zielonem, a ogół miał takie piętno powagi i prawdziwie pańskiej symetryi, myśl użyteczna i obywatelska tak widna była we wszystkiem,

że dosyć było rzucić okiem na to miejsce ciche, poważne i uroczyste, aby powiedzieć, że tu przebywa i pracuje pan, który zna ważność swojej pozycyi i wie, dlaczego go Bóg postawił wyżej nad innych.

Ignaś przejęty uszanowaniem, stanął z boku ze skromnością; przyszło mu na myśl, jakim szczególnym trafem mógł się zejść na budzie dyliżansu z człowiekiem, który to wszystko posiada, i oczekiwał, co mu też hrabia powie. Ale hrabia wskazał mu tylko krzesełko, aby usiadł, a sam stanął przy biurku i zaczął pisać. Gdy skończył list, który pisał, zapieczętował go i położył adres, wtenczas przystąpił do młodego człowieka, który powstał, i rzekł:

— Ponieważ pan koniecznie chcesz próbować szczęścia w pracy biurowej, życzę zacząć ją w Komisyi Skarbu. Są tam czynności takiego rodzaju, które przydadzą się panu nawet wtedy, jeżeli biuro opuścisz, a do czego innego się weźmiesz. Żyjemy w takim czasie, w którym ścisłość we wszystkiem, buchalterya i rachunek stają się podstawą wszelkiego przedsięwzięcia i rękojmią powodzenia. Tam się pan tego prędzej nauczysz, niż gdzie indziej. Proszę to oddać do rąk osoby, do której piszę. Mam nadzieję, że pan będziesz dobrze przyjętym. Reszta zależeć będzie od pana, i.... i od szczęścia, jak we wszystkiem. Do widzenia — dodał,

podając mu rękę — gdyby kiedy co ważnego wypadło, drzwi moje dla pana otwarte.

To powiedziawszy i nie czekając podziękowania, które zresztą widział w twarzy i w oczach młodzieńca, wziął kapelusz, nałożył go sobie jak zwykle trochę na bakier, wdział czarne swe rękawiczki, i nie zapominając laseczki, wyszedł razem z Ignasiem, skończyć zapewne interes, który sobie dla niego przerwał. W przedpokoju rzekł do jakiegoś niemłodego już sługi, który tam miał minę starszego:

— Jeżeli ten pan tu kiedy przyjdzie, jestem w domu.

Stary przypatrzył się pilnie młodemu człowiekowi, a hrabia wyszedłszy z nim na ulicę, kiwnął mu raz jeszcze głową, uśmiechnął się uprzejmie i poszedł szerokimi krokami, które go wkrótce od bohatera naszego oddaliły.

O w pół do trzeciej Ignaś był przed kratą Komisyi Skarbu. Wkrótce wybiegł Kański, i gdy obaczył przyjaciela, rzekł mu z pośpiechem:

— Mam dla ciebie nowinę. Mój protektor, którego widziałeś, pamiętasz, pytał się o ciebie. Opowiedziałem mu kto jesteś i jaki ty jesteś; odmalowałem cię naturalnie czarno, jak się możesz domyśleć, i dodałem, żem ci odradził starać się do nas, dlatego, że jest tak wielu. Wiesz co mi odpowiedział? Oto, skrzywił się

trochę, jak to on umie, i rzekł: Źleś pan zrobił, bo właśnie kilku niecierpliwych i mniej zdatnych wychodzi. Jeżeli chcesz, możemy do niego uderzyć. Nie bardzo to uśmiechający się człowiek, nie wiele gada i obiecuje, ale wiele robi.

— Mnie także radzono, abym się trzymał waszego biura — odpowiedział Ignaś, ucieszony tą nowiną — i mam tu list rekomendujący mnie do jednej z waszych wszystkich figur.

— Pokaż — mówił Kański, i obaczywszy adres, dodał: — A to właśnie do niego. A od kogo to list? od referendarza?

— Dajże mi pokój z tym filutem — odpowiedział Ignaś czerwieniąc się — opowiem ci potem, jak mnie ci krewni moi przyjęli. To list od hrabiego Adama S***.

— Od hrabiego Adama? ba! ba! ba! na cóż lepiej! — zawołał Kański — ale gdzież się z nim poznałeś?

Ignaś w krótkości opowiedział spotkanie swe z hrabią i treść swojej z nim rozmowy.

— To bardzo szczęśliwie — rzekł Kański — może ci to i nadal posłużyć! To człowiek, którego tu wszyscy znają i którego wszyscy szanują. Ale słuchaj, do obiadu jeszcze mamy czas. Zwierzchnik mój jest jeszcze w biurze. Chodźmy zaraz oddać mu list. Będziesz miał lepszy apetyt.

Poszli więc śpiesznie i gdy stanęli przed naczelnikiem, spostrzegli, że porządkował swoje papiery i zabierał się do wyjścia. Ignaś, którego nazwisko Kański wymówił, oddał mu list hrabiego. Pan K..... popatrzył przez niejaki czas na młodego człowieka, potem czytając list, podnosił jeszcze na niego wzrok, jakby sprawdzał słowa hrabiego z wyrazem twarzy młodzieńca, o którym zapewne światły i przenikliwy protektor pochlebnie się rozpisał. Gdy skończył, wyciągając rękę, rzekł tylko: — Świadectwa.

Ignaś podał mu wszystkie. Gdy je przejrzał i spostrzegł między niemi *bieg życia,* dziś właśnie, przed wyjściem do referendarza napisany, przeczytał go z uwagą i skończywszy, zapytał:

— To pan sam pisałeś?

— Ja sam, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział Ignaś.

I znowu jak wprzódy Kańskiemu, podał mu arkusz papieru z właściwym stemplem, wskazał tytuł władzy, w kilku słowach dał treść i kazał napisać prośbę. Gdy Ignaś usiadł i pisał, a Kański stał z boku w milczeniu, pan K.... zaczął dalej przeglądać swoje papiery, odkładając jedne do portfelu, inne chowając do szuflady. Wśród tego zatrudnienia rzucał jednak okiem na piszącego młodzieńca, jakby chciał się przekonać, czy pisze prędko i śmiało. Widać, że

z tego względu był zaspokojony, bo Kański uważał, że się uśmiechnął, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało.

Gdy prośba była skończona, powstał Ignaś i podał mu ją z uszanowaniem, Pan K... porównał ją najprzód *z biegiem życia,* przeczytał, i włożywszy w nią wszystkie papiery bohatera naszego, zamknął do swego portfelu, i znowu rzekł mu tylko:

— Przyjdź pan w sobotę.

Młodzi ludzie skłoniwszy się wyszli; w sieniach rzucili się sobie w objęcia i Kański podnosząc w górę kapelusz, zawołał:

— Wiwat! rzecz skończona, jesteś nasz. A teraz chodźmy pod *Gruszkę*.

Na rogu ulicy Bielańskiej i Długiej była wówczas owa traktyernia pod *Gruszką,* którą cały proletaryat urzędniczy znał dobrze. Szczególnie aplikanci byli tu w przemagającej liczbie, chociaż nie brakło i na starszych, niefortunnych i siedzących po kilka i więcej lat na jednej posadzie kancelistach, którzy równie dla posilenia odsiedziałego i spisanego ciała, jak i dla odżywienia zakrzepłego jednostajną i mechaniczną robotą ducha, przychodzili do pani Szmelcowej na *chleb z obiadkiem,* gdzie się znaleźli wśród grona młodzieży biednej, ale wesołej, głód dzisiejszy karmiącej jutrzejszemi nadziejami, podarte buty i suknie łatającej tą świetną tkanką,

jaką imaginacya ich i wiara w przyszłość w dalekich snuły obłokach.

Szmelcowa miała tu jeden duży pokój o trzech oknach, czyli tak nazwaną salę, i dwa pokoiki małe, komunikające z wielką i wygodną kuchnią, gdzie mieszkała sama, i gdzie stając na progu i przypatrując się swoim gościom, lub się cieszyła ich dobrym humorem, lub karciła swawolę, jeżeli przebierali miarę, przywołując do porządku to tego, to owego i zowiąc każdego po imieniu, bo ich wszystkich znała i dla wszystkich ze szczególniejszą była sympatyą. Niejednemu nawet pokredytowała obiad jeden i drugi, a czasem i ustąpiła pół lub trzecią część zadłużonej kwoty, jeżeli widziała ciężki jaki zawód i biedę wielką, odsyłając wypłatę kapitału i procentu na później, jak biedny aplikant zostanie radcą Stanu i naczelnikiem jakiego wydziału. Wszakże nie dała się nigdy unosić sercu, wiedząc, że młodzież nadużyłaby prędko jej słabości i zadłużyłaby się nad miarę. Najwyższy kredyt był do pięciu obiadów. Kto szóstego nie miał czem zapłacić, nic już nie dostawał i psuł interes innym, bo wtedy stawała się twardszą i nieubłaganą dla wszystkich. Sama dobra kucharka, z jedną tylko pomocnicą i jedną pomywaczką w kuchni wystarczała wszystkiemu. Ona rozlewała rosół, lub barszcz na porcye, ona sama krajała mięso

tak zręcznie, że się każdemu jednakowa dostawała waga, sama szczególniej krajała chleb, który kładziono na każdym talerzu i który fundament obiadu stanowił. Była to już kobieta niemłoda, niegdyś ładna, jak wszystkie prawie Warszawianki tej klasy, biała blondynka z niebieskiemi oczami. Ale wiek uszczuplił trochę białości i rumieńca, przyćmił oczy, zmienił kolor włosów, a szczególniej zepsuł kibić, zrobiwszy ją mocno otyłą, dawszy potężny podbródek i wystający brzuch, na którym zwykle trzymała ręce odpoczywając po trudach i rozmawiając spokojnie to z tym to z owym, który nie mając czem zapalić w swoim piecu i ogrzać swej stancyjki, w jesieni i w zimie, dosiadywał u pani Szmelcowej do późna i nabierał tu w siebie tyle cieplika, żeby mu na całą noc pod lekką kołdrą, a w jej braku pod niewatowanym płaszczykiem wystarczył. A jednak, gdy przychodziła godzina trzecia i goście jej dobrze głodni schodzić się zaczęli, trudno sobie wyobrazić, jak zwinną była i rzutką ta kobieta, gdy ambicya dogodzenia tym biedakom, których lubiła, i których zwała się opiekunką i mamką, podwajała jej siły i ujmowała o połowę ciężaru. Rozlawszy rosół i pokrajawszy mięso, stawała najprzód w swoich drzwiach dla obaczenia, czy wszyscy mają, czy wszyscy jedzą z apetytem. W tem miejscu

i w tym czasie widzieć ją można było zawsze, w czepku tej samej formy, z dużą szlarką, z czerwoną wstążką, w sukni ciemnej staroświeckim krojem, i obejmującej ciasno potężne wymiary, w fartuchu popielatym, czystym, wyciętym okrągło na piersiach, i zapiętym jednym końcem za pas, z kieszeniami na wierzchu, w jednej z których były rozmaite klucze, naparstek, nożyczki, igielniczek i kłębuszek z nićmi, a w drugiej drobna moneta, lub bilety abonamentu, którymi jej płacono. Potem wracała szybko do kuchni; a gdy ostatnią wydała potrawę, z kuchni zjawiała się w sali, a w sali z jednego końca stołu przechodziła na drugi, chwaląc to mięso, to pieczeń, dziesięć razy lepszą od innej polędwicy, to buraczki, które wyglądały jak rumiana twarzyczka, to kapustę, która miała zapach i delikatny kwasek ananasów. Obecność jej była jeszcze potrzebną i dlatego, żeby młodzież nie pozwalała sobie zbyt wyrazistych giestów z dwoma dziewczętami, które usługiwały, a które pani Szmelcowa, chociaż sama kobieta dobrych obyczajów i pilnująca ścisłego *decorum* w swoim domu, wybierała jednak tak, jak tego wymagał zwyczaj warszawski i polityka wszystkich kawiarń i restauracyj. Były więc obie dziewczyny ładne, zwinne, czyściutko ubrane, umiały się odciąć, gdy im co się nie podobało, ale

czasem umiały i mrugnąć ślicznem oczkiem na ładnego chłopca, co choć nie miał co rzucić na tacę, gdy przychodziło jakie święto, lub imieniny której z nich, ale przynajmniej ścisnął za rączkę, a gdy się pani Szmelcowa obróciła, i pocałował ukradkiem.

W sali był duży stół na środku, mogący zmieścić do trzydziestu osób. Nakrycie było bardzo oszczędne, w sobotę już nie grzeszące wcale czystością; talerze były jak najtańsze, serwetki małe i tygodniowe, które wolno było związać jakim sznureczkiem i dla siebie oznaczyć. Łyżki tylko były srebrne, ale noże i widelce kościaną miały oprawę, i nie błyszczały zbyt starannem utrzymaniem. Musztardy nikt tam na stole nie widział, o occie i oliwie nie było nigdy żadnej wzmianki, ale za to chrzan, w kilku słoikach przyrządzony, stał ciągle w różnych punktach, tak, żeby każdy mógł go dosięgnąć ręką, a dwa razy na tydzień, do tej okrasy mięsa, przybywała jeszcze i ćwikła. Kilka karafek zielonawych i ordynaryjnych stało z wodą w pewnych odległościach, a przy każdej szklanka, która miała służyć każdemu, kto mógł jej dosięgnąć. Każdy więc, kto pił, musiał wypić do dna; nie wolno było zostawiać nic w szklance; to było prawo, które już tam zwyczaj uświęcił, i którego się wszyscy dla własnego interesu trzymali. Zaczynał się trakta-

ment od chleba, który podawano każdemu, jak tylko usiadł. Porcya jego była zupełnie dostateczna, i przy lekkim dodatku ciepłej strawy i kawałka mięsa, nasycała i restaurowała młode żołądki. Dodatek ten składał się z rosołu, z mięsa, i jeszcze jednej potrawy mącznej, lub jarzynnej, albo z barszczu i pieczeni, do której były buraczki, lub kapusta. W niedzielę i święta była i sztuka mięsa i pieczeń, ale za to już prócz buraczków, lub kapusty, innej potrawy nie było. Wszystko to miał gość za złoty groszy sześć, kiedy płacił pojedyńczy obiad, za złoty zaś i groszy trzy, kiedy kupował bilety. Mniej jak piętnaście biletów nie można było kupić. Za taką cenę nikt nie wymagał więcej i lepiej, tem bardziej, że te proste potrawy były rzeczywiście przyrządzone dość czysto, że uprzejmość ze strony gospodyni była wielka, że zbytkownisie i krezusy, jeżeli się pomiędzy goszczącymi tu który zdarzył, mogli jeszcze za dziesięć groszy mieć filiżankę kawy i za pięć groszy cygaro lub fajeczkę tureckiego tytoniu. Taką była restauracya pod *Gruszką,* do której obaj przyjaciele śpieszyli z dobrym apetytem i w najlepszym humorze.

Gdy weszli, zastali już ze dwadzieścia osób przy stole, i zapach barszczu, bo na tę kolej trafili, rozchodził się po sali. Milczenie i brzęk przyśpieszony łyżek po talerzach dowodził, że

barszcz był dobry, i że ręce zmachane pisaniem wypróżniły żołądki, które z właściwą sobie bezwzględnością na kieszenie i stan tego, do którego należą, domagały się materyału, dla przerobienia go na krew, którą czas biurowy zepsuł. Znajomi przywitali Kańskiego kiwnieniem głowy, a on, stanąwszy u górnego końca stołu, gdzie było kilka nakryć niezajętych, obrócił się do wszystkich i rzekł:

— Panowie! rekomenduję wam nowego kolegę, pana Ignacego Zabużskiego, aplikanta Komisyi Skarbu.

— Ale zawcześnie mnie tytułujesz — rzekł Ignaś — dopiero podałem prośbę.

— Masz już nominacyę w kieszeni — odpowiedział ufny w przyszłość Kański.

— Kiedy Kański mówi, że pan masz już nominacyę w kieszeni, to ją masz. Jemu się wszystko udaje. Wkrótce będzie sekretarzem referentem — rzekł jeden śmiejąc się.

— Więc za zdrowie przyszłego referenta i nowego kolegi! — zawołał drugi, i obracając się do dziewczyny, która zdejmowała talerze, dodał z umizgiem: — Marysiu złota! buteleczkę wina.

— A pieniądze? — rzekła dziewczyna z ładną minką.

— Na kredyt, duszo! — odpowiedział młodzieniec.

— Niema wina na kredyt — rzekła Marysia.

— A buzia? — dodał, obejrzawszy się, czy pani Szmelcowa nie stoi we drzwiach.

— I buzi niema na kredyt — odpowiedziała.

— A cóż jest? — zapytał chłopak ze znaczeniem i chcąc ją objąć.

— Figa jest — odpowiedziała, wykręcając się i poszła do kuchni.

To była pierwsza rozmowa, którą bohater nasz pod *Gruszką* słyszał. Nie bardzo go ona zbudowała, i nie zbyt miłe na nim zrobiła wrażenie. Doświadczył on takiego uczucia, jakiego doznaje każdy nowo przybyły, nim oko jego i ucho oswoi się z giestem i dowcipem gości i sług po kawiarniach i garkuchniach miejskich, a zwłaszcza drugiego i trzeciego rzędu warszawskich. Nie okazał jednak ani Kańskiemu, ani innym, że wolałby tu nie być, i usiadł spokojnie obok Kańskiego, na miejscu, które było wolne. Podano im zaraz dobrą porcyę chleba, potem przyszedł barszcz, a dalej pieczeń z buraczkami. Gdy się obiad kończył i zjawiła się gospodyni, odbierająca pieniądze i bilety, i ciekawa czy im smakowało, zaczęły się śmiechy, koncepta i rozmowa wesoła i głośna.

— Kochana pani — mówił jeden niby

seryo — każ tam uważnie umywać mój talerz, który Marysia tylko co wzięła.

— A toż dlaczego? — zapytała Szmelcowa, obcierając pot z tłustych i czerwonych policzków.

— Musi tam być — mówił młody człowiek figlarnie — moich parę zębów, które zostały w pieczeni. Niech je popłucze i odda, bo szkoda.

Wszyscy się zaśmieli, a gospodyni, zaczerwieniwszy się jeszcze mocniej, odpowiedziała:

— Żartuj pan zdrów, a jak się skończą bilety, przyjdziesz do Szmelcuni prosić o inne, choć pieczeń u niej twarda i zęby w niej zostają. Wtenczas pogadamy — i poszła dalej.

— Pan Kazimierz żartuje, dobra była i krucha — odezwało się kilku.

— Żart gotowy i grosz gotowy, jak są razem, to ujdą. Inaczej lepiej dać pokój — mówiła dalej gospodyni.

— Coś Szmelcunia dziś w złym humorze. Jak mamka się rozkaprysi, dzieci będą płakać — mówił inny.

— Bo staram się i zapobiegam, spuszczam wam i kredytuję i jeszcze wam źle — rzekła rachując bilety i kładąc je do kieszeni.

— I owszem, dobrze i smaczno. Dziękujemy, dziękujemy. Wiwat Szmelcunia! niech żyje i pęcznieje Gruszka! — odezwało się kilkanaście głosów.

— Oj! swawolniki — rzekła udobruchana gospodyni, uśmiechając się i obcierając policzki — pustki wam w głowie. Choć bieda, to hoc! widać żeście niegłodni. Za to jutro będziecie mieli doskonałe ogóreczki do sztuki mięsa.

— Brawo! brawo! — zawołali wszyscy i zaczęli bić widelcami po talerzach.

Gdy gospodyni była na drugim końcu stołu, rzekł młodzieniec siedzący naprzeciwko Ignasia, do jego sąsiada:

— Józiu! wiele ty masz jeszcze biletów?

— Jeszcze mam sześć — odpowiedział zapytany.

— Zmiłuj się, pożycz mi parę — mówił pierwszy — bo baba zbliża się, a nie mam już żadnego i jutro mieć jeszcze nie będę.

— Gdzieżeś podział pieniądze za korepetycyę? — zapytał Józef, rzucając mu nieznacznie parę biletów.

— Myślisz, że dostałem? — odpowiedział tamten — kazali mi czekać do pierwszego, a ja tymczasem od sześciu dni rozbieram się bez świecy, a wczoraj ostatni tu oddałem bilet.

— Cóż będzie pojutrze? — zapytał Józef.

— Spodziewam się jutro zasiłku od siostry, do której pisałem — odpowiedział.

— A jak nie przyjdzie? — zapytał Józef.

— Ha! to jużci złożycie się na mnie po

pięć groszy, żebym miał na bułkę i na szklankę mleka, póki nie dostanę pieniędzy — odpowiedział tamten śmiejąc się i wykalając sobie zęby z miną smakosza.

Ignasiowi zimno się zrobiło, gdy słuchał o tej nędzy, która go także mogła spotkać, i wydziwić się nie mógł wytrwaniu i humorowi, z jakim i ten i inni położenie swoje znosili. Nie taili się oni z trudnościami, przez które przechodzą. Mówili o obecnej biedzie z taką pewnością, że minie, jakby o rzeczy już minionej, i każdy dla objaśnienia nowicyusza, który do grona ich wchodził, przydał coś takiego, co nie tylko nie zasmucało innych, ale owszem wywoływało śmiech i oswajało ich z tymi obrazami, o których nie wiedzą zapewne ci, co przed biedną młodzieżą przychodzącą prosić o protekcyę, radę i ukazanie drogi, zamykają swoje drzwi i uszy zatykają bawełną.

— Ciekawy jestem, co się ze mną stanie — rzekł jeden — jak się skończy kwartał. Gospodyni wypowiedziała mi stancyę, a innej nie mam. A stancyjka niezła, na Podwalu, na drugiem piętrze, nie bardzo wysoko. Weź pan ją, jeżeli potrzebujesz — dodał, obracając się do Ignasia. — Tę ma tylko niedogodność, że się najmuje bez opału, ale ma oddzielny piec, w którym się pali z pokoju.

— A cóż to złego? to właśnie dogodnie — odpowiedział Kański.

— Zapewne, kiedy kto ma czem palić — rzekł pierwszy — ale dla mnie to było fatalnie. Przeszłej zimy wycierpiałem tam męki piekielne. Czasem przez dwa tygodnie nie miałem i polanka drzewa. A jak przyszedł skąd grosz i kupiłem sobie wiązeczkę za dziesiątkę i przyniosłem pod płaszczem, to spłonęła jak świeca i tylko podrażniła mnie rozkoszą, jakiej pewnie nie cenią ci, co kupują drzewo sążniami. Gdyby nie Staś Kliński, który mnie ratował w najcięższe mrozy, bylibyście mi zaśpiewali *requiem* i wynieśli zmarzniętego na Powązki.

— Jakże cię Staś ratował? — zapytał inny.

— Oni stali we dwóch — mówił pierwszy — i mieli także piec, w którym paliło się z pokoju, ale mieli oraz ten rozum, jakiego ja nie miałem, że najęli z opałem. Otóż przyzwyczaili dziewkę, która przynosiła drzewo, żeby je zostawiała przy piecu, a oni zapalą sobie sami. I wtenczas poczciwe chłopaki kradli sami u siebie, i po trzy, po cztery polanka przynosił Staś pod płaszczem do mnie. A jak im było zimno, wołali dziewkę i pokazywali jej chłodny piec. Przekonana stopniem ciepła pieca i stancyi, a do tego dodaną jeszcze dziesiątką, przynosiła im po kilka polan więcej, i tym sposobem przebyłem jakoś najcięższe chwile. Teraz będzie gorzej, bo nie wiem, gdzie się po-

dzieję. Nie mam nawet na zadatek. I tylko tyle, że wystarcza na bilety dla Szmelcuni, i rano na śniadanie na bułkę i na mleko.

— Przenieś się do mnie — mówił inny, który widać należał do Krezusów, bo palił cygaro i miał przed sobą filiżankę kawy. — Ale darmo cię nie wezmę.

— Chyba pokredytujesz — rzekł pierwszy — bo w tych czasach nie spodziewam się powiększenia moich funduszów.

— Ja pieniędzy nie chcę — odpowiedział Krezus — zapłacisz mi przyjacielską usługą. Nie mogę się na to zdobyć, żebym sobie stancyę zamiótł i łóżko posłał. To zaśpię i śpieszę się do biura, to się nie chce dla innej jakiej przyczyny; dosyć, że stancya moja po tygodniu i po więcej nie zamiatana i łóżko prawie nigdy nie słane. Jeżeli chcesz przyjąć na siebie tę funkcyę, żebyś mnie codzień, oprócz niedzieli, budził o ósmej, i cały tydzień zamiatał stancyę i łóżko słał, to zgoda. Za to w niedzielę ja pozamiatam, pościelę i twoje łóżko i swoje, i w dodatku wyczyszczę ci suknie i buty wyglansuję tak, że będą błyszczeć jak zwierciadło.

Wszyscy się zaśmieli, a obaj młodzi ludzie podali sobie ręce i zgodzili się na układ. Ignaś jakoś się ożywił, poznawszy, że wchodzi w kompanią, gdzie wprawdzie bieda, ale jest

humor, jest moc duszy i poczciwa pomoc w ostatecznym i ciężkim razie.

— Na herbatę dziś do mnie przychodzicie — zapytał jeden.

— A gdzież mamy iść? — odpowiedział inny. — Dobrzeby pójść do Baurowej, zajrzeć w oczki Frani i przeczytać gazetę, ale tam zawsze jakiś dyabeł się zdarzy, co złotówkę wyciągnie z kieszeni. Już mnie to zdradziło nieraz. Trzymajmy się lepiej naszej. Cukier jeszcze masz?

— Przecież złożyliście się na herbatę i na cukier — odpowiedział pierwszy — kupiłem, co było potrzeba, i będzie jeszcze na parę tygodni. Ale kto dziś kupuje bułki?

— A to ja — odezwał się inny.

— Nie zapominaj, że trzeba sześć — rzekł pierwszy — a czyja kolej do mieszka?

— Ślenickiego — mówił inny — ale on już widzę drapnął. Jak się spóźni do obowiązku, to nic nie dostanie.

— Cóż to znowu za mieszek? — zapytał Kański.

— Ty jesteś wielki pan — odpowiedział pierwszy — ciebie o nic głowa nie zaboli, bo i pieniądze masz i stół dobry i herbatę doskonałą. My co innego. My składamy się miesięcznie po kilka złotych i za to mamy herbatę, która się daje u mnie, dlatego, że mam kilka szkla-

nek, a co najgłówniejsza samowar. Ale dyabelski ten samowar, który pochodzi od mojej ciotki, równie jest uparty jak ona. Trzeba go tedy rozdymać mieszkiem. Chcieliśmy mieszek kupić: kilka złotych! skąd tu wziąć na takie zbytki. Przypadek, który jest ojcem wszelkich odkryć i wynalazków, podał nam myśl genialną. Między moimi butami znalazł się jeden z dziurą na nosie, przez którą wielki palec długo wyłaził. Że to mogło być, to pojmujesz łatwo. Ten but zastąpił nam miejsce mieszka, i odtąd jest w poszanowaniu i nie daje się do reperacyi.

— Jakimże to sposobem? — zapytał Kański uśmiechając się.

— Manipulacya jest taka — odpowiedział pierwszy z komiczną powagą. — Bierze się but za podeszwę jedną ręką, ot tak. Ściska się cholewa drugą ręką w samym wierzchu, i potem zbliżają się i oddalają od siebie ręce. Powietrze ścieśnione wypada przez dziurę i powiadam ci rozdyma tak nasz samowar, że w kwadrans wre i kipi, że para aż bucha. Ale, że to praca nie lada, wykonywamy ją z kolei, która dziś właśnie na Ślenickiego wypada.

Takie i tym podobne wiedli między sobą rozmowy, które dały Ignasiowi wyobrażenie o życiu, jakie prowadziła ta młodzież, z której niejeden może przeznaczony był do figurowania

na świecie, do rozpierania się w krzesłach sesyonalnych, z których nie jeden oblepi się później haftem, zapomni o biedzie, jaką przebył, i nie zrozumie głosu młodzieńca podającego mu świadectwo szkolne i proszącego dobitniej wygłodzoną twarzą i wytartą suknią, niż słowami, któreby stan jego odmalowały.

Ów kolega Kańskiego, który miał przynieść wiadomość o korepetycyi dla Ignasia, nie przyszedł na obiad. Zjawił się dopiero wtedy, kiedy się już rozchodzić mieli. Gdy się poznał z Ignasiem, podając mu rękę, rzekł:

— Przepraszam was, żeście czekali. Ale wolałem o wszystkiem dobrze się wywiedzieć, żeby przyjść z czemściś pewnem. A nie mogłem tego zrobić, aż po trzeciej. Marysiu złota! — dodał, obracając się do dziewczyny sprzątającej salę — będzie tam co jeszcze dla mnie przekąsić?

— A czegoż pan wałęsasz się nie wiedzieć gdzie — odpowiedziała z razu nadąsana; ale gdy jej posłał całusa od ust, dodała: — No, będzie, będzie.

— To dawajże, moje życie — odpowiedział i obracając się do naszych przyjaciół, mówił: — Jest tu bogaty stolarz, trochę Niemiec, trochę Polak, jak oni wszyscy, który ma dwóch synów w szkołach, w klasie drugiej. Ale podobno nygusy, szczególniej w matematyce.

Proponował mnie, abym im te trudności ułatwiał. Ale chce, żeby do nich tylko przychodzić wieczorem, od godziny piątej do siódmej. Ja mam właśnie ten czas zajęty i przyjąć takiego warunku nie mogę. Otóż teraz biegałem do niego, żeby mu powiedzieć, że mam takiego korepetytora, który tę rzecz lepiej załatwi odemnie, jako świeższy w nauce i wolniejszy. Niemczysko, jakaś poczciwa dusza, polega na mojej rekomendacyi, oczekuje pana, i ofiaruje pięćdziesiąt złotych na miesiąc i herbatę wieczorem. Jaka tam będzie niemiecka herbata, nie wiem, ale pięćdziesiąt złotych, to płaca niezła, jakiej tu nie jeden z nas doczekać się nie może. Zresztą, może i herbata dobra, bo to człowiek bogaty, ma warsztat wielki i prowadzi swoje rzemiosło na dużą skalę, cóż pan na to?

— Ale naturalnie, że przystaję — odpowiedział Ignaś — i kwituję go z herbaty, którą znajdę gdzieindziej — i w tej chwili przyszła mu na myśl daleko słodsza, daleko wonniejsza herbata, ręką ślicznej kuzynki na święto-Jańskiej ulicy nalana.

Tym sposobem rzecz niezmiernie ważna, *nervus rerum,* załatwiła się prędko i niespodziewanie. Posiedzieli jeszcze przez niejaki czas, pogadali, dopóki ów usłużny kolega Kańskiego obiadu nie skończył. Stamtąd Kański poszedł

do domu, zająć się swoimi malcami, których przez te parę dni cokolwiek zaniedbał, a Ignaś z nowym swym protektorem udał się zaraz do stolarza, gdzie po poznaniu się i krótkiej przemowie wziął się od razu do roboty. Przez cały czas korrepetycyi ojciec przysłuchiwał się, a widząc, że młody człowiek bierze się dobrze do rzeczy, że się jasno tłómaczy, że się o wszystko gorliwie wypytuje, a nie tylko matematykę, ale i łacinę, którą na jutro mieli, chętnie i dobrze im objaśnia, tak się ucieszył, że sprowadził żonę, przed którą go wychwalał, i gdy młody człowiek podziękował za herbatę, wsunął mu w rękę trzy ruble, jako zadatek za idący miesiąc, który się od połowy września miał liczyć.

Nazajutrz Ignaś wyszukał stancyę owego młodego człowieka, który nie miał czem palić, zamówił ją dla siebie, gdyż była jeszcze wolna; a gdy znalazło się w niej miejsce na drugie łóżko, od razu się tam sprowadził. W sobotę załatwiły się wszystkie formalności w biurze; a tak w przeciągu pięciu niespełna dni znalazło się i zajęcie, i jakie takie utrzymanie; była swoja stancya, odszukali się krewni, o których nie marzył, i wśród których mógł szukać zapomnienia o tych, o których myślał i na których polegał, a którym i przywiązania i szacunku odmówić musiał.

Wszystkie te okoliczności Ignaś opisał szczegółowo Eugeniuszowi, ale pisząc o swych kuzynkach, pisał zawsze o obydwóch, żadnej nie dawał pierszeństwa, a choć czuł, że jest pomiędzy niemi różnica, unikał, lub zdawało mu się przynajmniej, że uniknął wszystkiego, coby ją bratu wskazać mogło. Adres swój oznaczył dokładnie, i list ten dość gruby posłał do Rzymu, *poste restante.*

W oczekiwaniu odpowiedzi Eugeniusza, a także listów od księdza Macieja i od ciotki Teresy, którym o powodzeniach swych doniósł, urządził sobie życie jak można najregularniej. Od dziewiątej do trzeciej był w biurze. Jadał pod *gruszką,* a w niedzielę i święta na Święto-Jańskiej ulicy, razem z Kańskim, od piątej do siódmej trwała korepetycya, potem znowu szedł na trzecie piętro owego domu, gdzie myśli jego coraz chętniej przebywały. A gdy bęben na placu dawał się słyszeć, żegnał zacne kobiety, i ze słodkiem: *Dobranoc ci braciszku,* które codziennie, a coraz melodyjnej z ust panny Julii wychodziło, wracał na Podwale i spokojnie zasypiał. Przy końcu dopiero listopada odebrał Ignaś od Eugeniusza list następujący:

XI.

»Z Rzymu dnia 14. listopada 1840 roku. — Kochany Ignasiu! Z daty, którą umieściłem na

początku mojego listu, widzisz dostatecznie, gdzie jestem. Wczoraj przybyliśmy do tego wiekowego miasta, które było głową dawnego świata, a sercem jest nowego. W jak gorączkowym stanie przepędziłem noc, łatwo sobie wyobrazisz. A jednak mimo to, że wiedziałam, iż w koło mnie jest Rzym, najpierwej myśli moje uniosły się ku wam, najpierwej zapragnąłem listu od ciebie. Sercu memu potrzebny był twój głos, choćby zaklęty w słowa, któreś nakreślił. Zdawało mi się, że martwe twe litery wskrzeszę swym oddechem, i zmuszę je do zabrzmienia tą słodką mową, która nigdzie tu nie dzwoni, tylko w cichych naszych rozmowach, a której mi potrzeba było głośnej i rozlanej wszędzie, jak powietrze, bo w niej doszło do uszu moich i rozległo się w sercu to wszystko, co mi jest najmilszem na ziemi. Skoro więc sądzić mogłem, że biuro pocztowe już otwarte, pobiegłem na plac *Colonna,* gdzie jest poczta, i wydobywszy twój list, ucieszony jego grubością, nie wracałem już do domu, ale szedłem, gdzie mnie oczy niosły, żeby znaleźć miejsce ustronne i ciche, gdziebym go mógł swobodnie przeczytać. Nie wiem jakim sposobem, znalazłem się przy wspaniałych schodach, prowadzących do Kapitolu. Wstąpiłem więc na te stopnie, pojęte myślą i skreślone ręką Michała-Anioła, i mając w około siebie Muzeum Kapitolińskie, pałac konserwato-

rów i kościół N. Panny *d'Ara celi* z dawniejszej świątyni Jowisza Kapitolińskiego przerobiony, w cieniu, który padał od konnego posągu Marka Aureliusza, oparłem się o marmurową jego podstawę i tam czytałem. Iluż tu wielkości zamierzchłej i obecnej, ile czasów leżało wyrytych na tych wymownych kamieniach, ile tchnienia wielkich geniuszów przeszłości było jeszcze w powietrzu, które mnie owiewało! A jednak uważaj, jak silną jest ta struna, która wiąże serce człowieka ze wspomnieniami dzieciństwa, z życiem rodzinnej ziemi, z głosem i wejrzeniem tych, co wykołysali śpiącą duszę, kiedy ona nie pękła pod naciskiem tych wrażeń, jakich tu doznaje każdy, ale owszem, na widok twoich wyrazów zabrzmiała tak słodkim dźwiękiem, że zapomniałem zupełnie, iż stoję na Kapitolu, że tuż przy mnie skała Tarpejska, a dalej *Forum romanum,* gdzie zamiast grzmiącego głosu Cycerona, słychać dziś ryk krowy, którą sprzedają.

»Łatwo pojmiesz, kochany Ignasiu, jak mnie ucieszył obraz córek pana Pawła, owych ślicznych naszych kuzynek, któreś tak szczęśliwie wynalazł, owej Paulinki i Julci, jednakowych we wszystkich przymiotach ciała i duszy, równie pięknych, ale przyznaj się, nie równie, a przynajmniej niejednakowo ci miłych. Mimo całą ostrożność, z jaką je opisujesz i w jedną zle-

wasz całość, widzę to jednak dobrze, że je odróżniasz w myśli i sercu. I dla mnie Julka piękniejsza jest już dlatego, że ma błękitne oczy, podobne do tych, które widzę ciągle, które tu nawet, gdzie mnie tyle rzeczy zajmuje, zdają mi się odłamkiem tego błękitu, który nad głową moją jaśnieje. Żal mi szczerze ciotki Herminii. Ale to już taki upadek, z którego tylko w późniejszym wieku szczera i prawdziwa pokuta podnosi czasem kobietę, i to więcej w oczach Boga, niż ludzi. Ludzie surowsi są na ułomność i grzech, bo sami ułomni i grzeszni. Dobrześ zrobił, żeś jej więcej nie czynił wymówek i nie wchodził w żadne usprawiedliwienia się. Przypadek objaśnił ci wszystko, a wszelkie tłómaczenie się byłoby tylko dodaniem kłamstwa do niewstydu. Nie idź tam więcej; to syrena, która będzie się starała ująć cię i rzucić ci zasłonę na oczy. I możeby się jej to udało; nie wiem bowiem, czy w gruncie jest dobrą, ale ma wszystkie pozory najlepszego serca.

»Śmiałem się z opisu rozmowy twej z referendarzem. Jest to jego zwykły sposób, kiedy czego zrobić nie chce. Parę razy zdarzyło mi się słyszeć, jak tą samą, niby nielogiczną gadaniną odpowiadał żonie i córkom, kiedy im się chciało dać wieczór i sprosić wszystkich panów, z którymi by się mogły nagadać po francusku. Nie głupi to zresztą człowiek i ma być urzędnik

dobry. Słyszałem, że we wszystkiem co napisze, trzyma się tak jedno drugiego, jakby było spojone ołowiem. Ale egoista to, nielubiący dla nikogo i palcem ruszyć, i skąpiec, choć bogaty. Ona, córka jakiegoś przemysłowca spanoszonego i świeżo uszlachconego, pyszni się o stopniem swego męża, a w domu, jak to uważałeś, żadnego nie umie utrzymać porządku. Lezie do panów ze swemi córeczkami, którzy z nich drwią; szczególniej czepia się kasztelanowej, którą to nieskończenie żenuje. Ale ona na to wszystko nie zważa, i gdzie tylko może, czy na balu, czy na jakim koncercie, czy w innem miejscu, gdzie się ludzie zgromadzają, wszędzie sadowi się na widoku i pierwsze zajmuje krzesła. Z przyjęcia panien, któreś mi opisał, wnieść możesz, że miałem u nichże łaskę, jakiej ty nie zyskałeś. A wiesz dlaczego? bo się wychowałem między panami, bo na mnie widziały niby odblask tego świata, do którego ciągle się obracają, bo umiem paplać po francusku, i umyślnie zawsze z niemi tym mówiłem językiem, żeby je wyciągać na bąki i błędy, które nas bawiły, które Staś z najkomiczniejszą powagą przy nich powtarzał, a za co ja odbierałem czasem wymówki od panny Jadwigi, martwiącej się tem, że jej siostry stryjeczne głupie i śmieszne. Wymówki te dawały mi powód do przepraszania, przepraszanie sprowadzało przebaczenie, a przebaczeniu towarzy-

szyło czasem takie wejrzenie, w którem zdawało mi się widzieć tyle nieskończonosci, ile jej nie ma w tem niebie włoskiem, co jednak tak czyste i głębokie.

»List mój, któryś odebrał w Warszawie, był krótki i niewyraźny. Nie śmiałam wdawać się w szczegóły, zostawiając w ręku sługi te słowa, któreby mogły zdradzić najdroższą serca mego tajemnicę, dostając się do rąk tych, dla których nie były przeznaczone. Dziś pewny jestem, że tylko ty czytać je będziesz, i dzięki tym kuzynkom, któreś wynalazł, lepiej mnie zrozumiesz i nie rozbijesz moich nadziei wszystkiemi przystającymi i nieprzystającymi do siebie trójkątami. Nie zdołam ci wypowiedzieć, jakiego uczucia doznawałem w ostatnich dniach mojego pobytu w Warszawie. W oczach jej widziałem wyraźnie, że jej dusza przelewa się na mnie, że pójdzie ze mną, że mnie okrywać będzie jak aureola, i strzedz, jak anioł opiekuńczy, nad każdym krokiem moim czuwający. Tak patrzyła na mnie zawsze, wiele razy pewną była, że nikt na nią nie zważa, i że ja tego nie widzę. Wtedy twarz jej stawała się bledszą i przezroczystszą, czoło jaśniało myślami, które ją całą podnosiły od ziemi, i nigdy żadna kobieta podobniejszą nie była do świętej, zapominającej o sobie i o tem wszystkiem, co tu jest próżnością i pychą, co krępuje i więzi duszę w tych

momentach, w których wyrywa się do nieba z miłością i modlitwą. Nie dziw się, że tak o niej piszę. Ja nie pojmuję miłości bez czci. Wiele rzeczy kocham na ziemi, tak w dziełach Boga, jak w dziełach sztuki, a każdej takiej miłości istotą i duszą jest uwielbienie, jest to, że przedmiot ten podnoszę wysoko nad wszystko, co zwyczajne i pospolite. Ale koroną tej miłości jest miłość dla niej. W niej zlewa się wszystko, co uwielbiam w naturze i sztuce, bo w niej łączą się wszystkie ideały, i do piękności formy przybywa jeszcze piękność myśli i duszy, a stąd ta świętość, która ją wiąże z niebem. Więcej kochać, więcej czcić mogę tylko Boga, ale nic na ziemi!

»Odgadłeś od razu, kochany Ignasiu, że sam siebie oszukiwałem, nazywając miłość tę przyzwyczajeniem, przyjaźnią, wdzięcznością za tę dobroć, jaką mi zawsze okazywała. Teraz widzę to dobrze, czem jest i dlaczego stanowi istotę mojego wewnętrznego bytu. Rosła ona we mnie wraz ze mną, rozwijała się bez wiedzy, jak rozwijały się wszystkie siły moralne i umysłowe, i spoiła się z niemi w jedno, tak, że trwać i żyć musi póty, póki ja sam żyć i trwać będę, nie ciałem, bo tu o tem niema mowy, ale duszą. Będzie więc nieśmiertelną jak ona. Nie uśmiechaj się, nie nazywaj mnie szaleńcem, dającym nieśmiertelność dwudziestoletnim

illuzyom. Widzisz, że piszę bez uniesienia, ale zastanawiam się i wyrażam tylko mocne przekonanie, tak, jak gdybym dowodził jakiego geometrycznego twierdzenia. Dla mnie żadne twierdzenie, żadna prawda matematyczna nie ma więcej pewności i siły. Czy te oznaki jej wzajemności, które spostrzegłem przy pożegnaniu, to ogarnienie mnie wzrokiem, te kilka słów, które drżącym głosem wyrzekła, ta łza, która zabłysła w jej oku, były prawdziwem świadectwem, że jestem dla niej tem, czem ona jest dla mnie, to zupełnie inne pytanie. Może to być prawdą, w którą lubię, chcę wierzyć, może być złudzeniem, które nieobecność i czas rozwieje. Ale czy jest prawdą, czy złudzeniem, nie ujmie ani na włos z tej nieskończoności, która czyni miłość moją niepodległą zmianie i nieśmiertelną. Bo to co nieskończone, ani się umniejszyć, ani umrzeć nie może. Zrobi mnie tylko nad wszelki wyraz szczęśliwym, lub da nieopisaną niedolę; co i jedno i drugie stanie mi się równie miłem, bo i jedno i drugie pochodzić będzie od niej.

»Ale osądź sam, kochany Ignasiu, co to jest i co mnie czeka? Powiem ci króciutko, jak to było. Im bardziej zbliżał się dzień naszego wyjazdu, tem częściej spotykałem jej wzrok, tem głębszym był jego wyraz, tem więcej jakiejś dziwnej i przenikającej piękności rozlewało się

po jej twarzy. Mówiła mało, choć nie była zamyśloną; do mnie odzywała się bardzo rzadko; a jeżeli zaś usłyszałem kilka słów, to było w nich coś macierzyńskiego, coś wyrażającego tę czułą opiekę, jaką ma kochająca kobieta nad tym, któremu się oddała. Głos jej nie był drżący, a jednak zdawało mi się, że połowa tylko jej myśli była w słowach; drugą zaś połowę tłumiło jakieś wewnętrzne łkanie, nie dające jej zwykłej pełności i mocy. Spostrzegłem to jej mocowanie się z sobą i unikałem sam takiej chwili, która mnie głęboką przenikała boleścią. I kiedy mi serce pękało na tę myśl, że odjeżdżam, musiałem udawać radość, że jadę i oddalam się od tego słońca, co mnie tak wyraźnie oświecać i ogrzewać zaczynało. W wigilię naszego wyjazdu gdyśmy byli razem zgromadzeni, wyszła ze swego pokoju ostatnia i wyniosła trzy książki jednakowo i równie pięknie oprawne. Każdemu z nas oddała po jednej. Były to księgi czyste, przeznaczone na to, aby każdy z nas notował w nich swoje wrażenia, swoje myśli, jakie mu natchną te wszystkie przedmioty, które w podróży swej zobaczy. Na każdej był na pierwszej stronicy napis, wyrażający krótko jej przeznaczenie, a pod spodem: dla Stanisława Zubużskiego od siostry; dla ks. Augustyna Mleckiego od J. Zabużskiej; dla Eugeniusza Zabużskiego od *Jadwigi Z.*

Patrzajże kochany Ignasiu, jakie ja z tego wszystkiego wyprowadziłem wnioski. W sercu przekonany byłem, że mnie tylko chciała taką pamiątką na drogę obdarzyć. Wiedziała bowiem dobrze, że książka Stasia będzie prawie próżną, że ksiądz Augustyn, który zapewne nie powróci bez notat obszernych i uczonych, nie będzie miał ani czasu, ani cierpliwości zapisywać je na welinowym papierze, i tak, aby je mógł jej pokazać; że zatem ja tylko wiernie i pilnie opiszę co uczuję i pomyślę, patrząc na wszystko wielkie i piękne dawnego i nowego świata, i myśląc o niej przy każdym przedmiocie, który mnie przeniknie, zadziwi i wzruszy. Ale tej tajemnej myśli nie mogła zdradzić. Więc pamiątki te oddała nam wszystkim razem i oddała przy ojcu i matce. Myśl ta wyraziła się w napisach książek. Dla brata podpisała, że to od siostry, dla księdza Augustyna, że od Zabużskiej, dla mnie tylko był podpis, że to od Jadwigi Z., bo czuła to i sama, że sercu memu niepotrzebne było jej nazwisko, że wszystko co w niej czczę i kocham, odnosi się nie do jej urodzenia, stopnia i znaczenia na świecie, ale do niej tylko samej, i uosabia się w tem imieniu, które samo brzmi w mojej duszy, i które ona trochę inaczej i widać drżącą napisała ręką. O! jeżeli to jest złudzenie, drogi mój Ignasiu! cóż jest na świecie prawdą? Tego samego dnia przed

wieczorem, znaleźliśmy się na chwilkę sami. — Jutro więc odjeżdżasz, Eugeniuszu? — rzekła mi, patrząc tak, jakby chciała, aby oczy dopowiedziały to, czego nie będzie w słowach. — Mogłem tylko powtórzyć jej wyrazy, że odjeżdżam jutro. — Urośniesz głową — mówiła dalej — dojrzejesz myślą, imaginacya twoja uskrzydli się i wzmoże tem wszystkiem, co ci przybędzie ze skarbów nauki i wiadomości. Ale sercem wróć Eugeniuszu takim, jakim wyjeżdżasz. — Głos jej drżał, ja wziąłem jej rękę i zapytałem tylko: — A cóż zastanę? — Zastaniesz to samo co zostawiasz — odpowiedziała mi ciszej, i łza, w której widziałem i widzę więcej prawdy, niż jest w tem wszystkiem, co ludzie dowiedli rozumowaniem, co dojrzeli szkłami i czego dotknęli ręką, dopowiedziała mi reszty. Jeżeli kiedy pisać do mnie będziesz o tem, nie zbijaj tego artykułu mojej wiary. Należy on do istotnych pierwiastków mojego moralnego życia. Zresztą próżnobyś się silił. Choćbyś napisał coś równie logicznego, jak jest Euklides, nie przekonasz mnie i nie zachwiejesz we mnie tego przekonania, że gdybym nawet za dziesięć i za dwadzieścia lat powrócił, zastanę to samo, co zostawiłem.

»W tem, co teraz mówię, jest cokolwiek kontradykcyi z tem co wyżej sam napisałem; ale w każdej rzeczy wielkiej i nieogarnionej

jest to samo. Czasem myśl zachwieje się i uważa za złudzenie to, co ją oćmiewa zbyt wielką jasnością, i daje uszczęśliwienie, które w sercu zmieścić się nie może. Bywaj zdrów, drogi Ignasiu! oczy zachodzą mi łzami, dusza rwie się do was; a tymczasem z okna mojego widzę kopułę Ś-go Piotra, która się majestatycznie dźwiga nad miastem i pod niebem złotym krzyżem swym połyska. Biegnę tam szukać pociechy, i zapewne tam ją znajdę. Nieskończoność jedna jest tylko. A czy się ona objawi na ziemi w wielkiej myśli znakomitego geniuszu, czy w wielkiem uczuciu nieznanego serca, zawsze to ten sam Bóg, jeden i żywy, który jest wszędzie i w każdem dziele swem równie mądry, równie niepojęty, równie nieograniczony.

»Dnia 21. listopada. Od tygodnia jesteśmy w Rzymie i spracowaliśmy się ogromnie. Ksiądz Augustyn widział już prawie wszystkie kościoły, Staś prawie wszystkie pałace i wszystkie polskie panie, które tu obecnie mieszkają; ja widziałem mniej więcej wszystko ciekawsze i godniejsze uwagi, co w granicach murów miasta uderza oko i myśl zastanawia. Jeszcze tak przez czas niejaki chodzić będziemy luźnie, i oglądać zabytki dawne i dzieła nowsze osobno, żeby jeden drugiemu nie przeszkadzał, i nie ziewał tam, gdzieby drugi chciał się zastanowić

swobodnie i bez świadków. Gdy tak każdy zaspokoi się w rzeczach głównych, które go interesują, potem dopiero, przygotowawszy się lepiej, niż dotąd jesteśmy przygotowani, przejdziemy wszystko zwolna i systematycznie. Obóz nasz bowiem rozbiliśmy w Rzymie, a stąd zrobimy tylko wycieczkę do Neapolu, do Sycylii, a może i do Malty i wróciwszy napowrót, zostaniemy tu póty, póki będziemy we Włoszech. Rzym jest księgą ogromną i nie łatwą do pobieżnego czytania. Pisały ją wieki kamieniem, marmurem i granitem. Bryły te zlepiała krew i łzy, urabiało je natchnienie starego i nowego świata, pogańskie i chrześcijańskie, uwięzione przy ziemi i rwące się do nieba; kruszyła je i dźwigała dłoń barbarzyńców i tych co błogosławią *orbi et urbi;* zdobiła je dłutem i pędzlem ręka geniuszów, jakich już ziemia nie obaczy, których czas przeminął, którzy już nie powstaną więcej, jak nie powstanie ta potęga, co mi dostarczyła środków wypowiedzenia tej myśli, co także już umarła. Nie spodziewaj się odemnie porządnego opisu tego co widziałem, co przez ten tydzień przemyślałem i uczułem. W takim natłoku przedmiotów, z których każdy zastanawia, każdy interesuje, wśród tych olbrzymich całości i olbrzymich szczątków, nie wiedzieć od czego zacząć, na czem skończyć, co pominąć, a co pomieścić, żeby temu, co tych

rzeczy nie widział, dać jakiekolwiek wyobrażenie i przesłać mu choć odrobinę tego uczucia, jakiego się tu doznaje, i które nie daje odpoczynku myśli i sercu. Tomy już o tem napisano, i tomy jeszcze napisane bedą, a jednak każdy człowiek z duszą, który się tu znajdzie, będzie miał jeszcze co do powiedzenia. Otóż i ja powiem ci bez porządku, bez wyczerpania jakiejbądź materyi, co mi się nawinie pod pióro. Czytając ten rys dorywczy, niejasny i niedokładny, więcej może obaczysz moje myśli i uczucia, niż to co mi je natchnęło.

»Cała prawie droga z Florencyi do Rzymu jest smutna i przykra. Byłaby ona prawdziwem nieszczęściem dla podróżnego, gdyby nie wiedział o tem, że jedzie do Rzymu. Tu się kończy państwo wygasłych wulkanów, zaczyna państwo *malaryi,* i owa zielona pustynia wyludniona przez to zarażone powietrze, gdzie nic nie widać, prócz kilku ruin, gdzie zupełna cisza i brak życia usposabia duszę do poważnych medytacyj i dobrze przygotowuje serce do tych wrażeń, jakich ma doznać, i których niecierpliwie wygląda. Po południu przebyliśmy Tyber, po wspaniałych łukach mostu, tak nazwanego *ponte molle.* Nie mogę ci wyrazić, jakiego się doznaje uczucia, słysząc szum tych fal mętnych i żółtawych, przypominających wody Wisły, i mogąc sobie powiedzieć: przebywam Tyber,

i o dwie mile włoskie mam przed sobą Rzym, który obaczę! Ile tu wspomnień opada głowę! ile postaci powstaje z grobów, ponad któremi tysiące lat przemijało! — jak wieki i zdarzenia przesuwają się przez pamięć, mięszają się z sobą, i olbrzymieją tem zbliżeniem się nagłem, szybkiem, jak olbrzymieje każda prawdziwa wielkość, która ani pod okiem mierzącem ją nie maleje, ani pod ręką, która jej dotyka, w proch się nie rozsypuje. Wypatrzyłem oczy, tłumiłem oddech w piersi, sądząc, że w tej ciszy, jaka mnie otaczała, usłyszę nagle jakiś odgłos, jakiś objaw potężnego życia dawnej stolicy świata, który może będzie owym grzmiącym oklaskiem, jaki wychodzić musiał z amfiteatru Flawiusza, lub cyrku Aleksandra, kiedy kilkadziesiąt tysięcy rąk przyklaskiwało śmierci biednego gladyatora. I wtedy przyszło mi także na myśl, że może ten gladyator pod strzechą słowiańską pierwszy raz odetchnął, że może konając dla uciechy swych panów, żegnał wspomnienia dzieciństwa takim językiem, jak mój, takim szeptem, któryby m ja uczuł i zrozumiał, gdyby do uszów moich doleciał.

»Wśród tych myśli minąłem tę krótką przestrzeń. Już okiem i oddechem dotknąłem Rzymu, i za piękną willą Borgezych obaczyłem bramę i plac przepyszny: *Piazza del popolo.* Nie można było wymyśleć godniejszego wstępu do

dzieła, na które się tysiące lat składało. Zgasła potęga, gasnąca sztuka, trwająca tylko wiara, każda z tych wielkości ma tam swego reprezentanta, który wymownie przemawia do zdumionego oka i wzruszonem sercem wstrząsa. Obelisk *Aqua Virgo,* z paszczy lwów tryskająca, gmach ekspozycyi sztuk pięknych i inne publiczne budowy, dwa podobne do siebie i przepyszne kościoły, wszystko to opowiada dzieje, które minęły, i te co już zachodzą w pamiątki, i te które trwają, i których następne nie spożyją wieki. Plac ten tem jest wspanialszym, tem więcej uderza oko, pragnące od razu wejrzeć w te cuda, których tak chciwie wygląda, że z niego odkrywa się perspektywa na trzy wielkie ulice, które Rzym nowożytny przerzynają. Środkowa, *Corso,* prowadzi do Kapitolu, bliżej brzegu Tybru idzie *Strada Ripetta,* a trzecia na wschód *Strada Babuiro*, idąca przez plac Hiszpański, prowadzi do *Monte Cavallo* i Kwirinalskiego pałacu papieżów, gdzie stoi znowu obelisk i sławne kolosy Dioskurów.

»Jeszcze z Florencyi mieliśmy zamówione mieszkanie w najzdrowszej części miasta, powyżej placu Hiszpańskiego, na którym najbardziej uczęszczane znajdują się hotele, niedaleko od kościoła *Trinita de monte.* Ze wzgórza tego widać cały prawie Rzym nowożytny, ulice w różnych przerzynają się liniach, kościoły

i pałace rysują się w rozmaitych perspektywach, zdala szarzeje *Janiculus*, a nad tem wszystkiem, na tle niebios, maluje się kopuła Ś-go Piotra, ku której myśl i oko zwraca się z podziwieniem i ku której serce dąży z pokorą.

»Ulokowawszy się co prędzej w ładnej i wygodnej stancyi domu, w którym niegdyś mieszkał Salvator Rosa, obok którego przebywała królowa Sobieska, bo widzisz, że tu na każdym punkcie jest wspomnienie, a wszędzie gdzie stąpisz, potrącasz o jakieś niezapomniane imię, poszliśmy na los szczęścia obaczyć, jak też w rzeczy samej wygląda to, co nam znane już było z czytania, z rysunków, a co jednak inaczej przemawia do duszy, gdy oko patrzy, gdy można dotknąć ręką tej kształtnej lub rozłamanej bryły, przez którą przechodziły wieki. Zstąpiwszy ze wspaniałych schodów, prowadzących od kościoła *Trinita* na plac Hiszpański, przez *Via de Condotti* przeszliśmy na *Corso*. Pyszna ta ulica, niezbyt szeroka, ale długa i równa, ciągnie się wśród pałaców i kościołów, które zdumiewają formą; a ta myśl, że wszędzie jest choćby jeden kamień, którego dotykała ręka, lub na którym spoczywało oko, którego z wielkich ludzi dawnego świata, że w każdym z tych pałaców i kościołów spotkasz się z dziełami tylu geniuszów, których późniejsze czasy wydały, nie daje odpoczynku głowie

i wzmaga wrażenie, niecierpliwość i interes. Z takiemi uczuciami mijaliśmy pałac Ruspoli, pałac Chigi, plac *Colonna,* gdzie stoi kolumna Antonina, i obok którego na prawo plac *Monte Citorio,* gdzie wzgórek urósł z gruzów i odkopywanych dawnych pomników, pałace *Sciara* i *Doria,* w których się znajdują zbiory, jakich gdzieindziej królowie nie mają, i pałac *Torlonia,* w którym widzieć można to, co rzeźba nowożytna najznakomitszego wydała. Przeszedłszy plac Wenecki, i nie pytając nikogo, aby nam nie zepsuł uroczystego wrażenia obojętną odpowiedzią, przez oswojenie się z temi dziwami natchniętą, zostawiliśmy na prawo Kapitol, i przez *Via di Marforio* dostawszy się na *Forum romanum,* stanęliśmy przed łukiem tryumfalnym *Septima Severa.* Piękny ten pomnik, obłożony marmurem, ozdobiony rzeźbą, imponujący wielkością swą i formą, choć się już znacznie zasunął w ziemię, świadczy o potędze i kunszcie tego czasu, który go dźwignął. Ale nie będę ci teraz opisywał tych niezliczonych pamiątek, które widzieć jeszcze można na tym sławnym placu, na tym teatrze wszelkiego rodzaju tryumfów, a który dziś zarzucony gospodarstwem. Nie powiem ci więc: ani o kolumnie *Fokasa,* która tam stoi samotna, jak jedyny wielki frazes, który z zaginionego dzieła pozostał; ani o złomkach *Curia Hostilia,* i naprzeciw stojącej świą-

tyni Antonina i Faustyny; ani o szczątkach złotego domu Nerona, ani o Bazylice Konstantyna, łuku tryumfalnym Tytusa, kościele *Wenery* i *Romy*, i o innych, innych, których tu nawet wyliczyć nie mogę. Minęliśmy to wszystko śpiesznie, pobieżnie, bośmy dążyli do tego olbrzyma, który się zdaleka wznosił przed okiem naszem, a który od kolosu Nerona, co tam stał przy wejściu, Kolosseum nazwano. Jakże spojrzeć bez zdumienia na tę potężną ruinę, największą ze wszystkich, jaka ze starożytności pozostała? Chociaż czas, wojny, pycha i próżność nie szczędziły jej wcale, chociaż nawet papieże, jak Paweł II gi do pałacu Weneckiego, a Paweł III-ci do Farnezyjskiego, Barberini do swego, inni do innych kazali tu łamać kamienie, tak, że z jednego tylko oderwanego boku pięć wzniosło się gmachów, zostało jednak jeszcze tyle, że żadna dzisiejsza potęga nie byłaby w stanie zdobyć się na taką masę, żadna imaginacya dzisiejszych architektów nie umiałaby pojąć takich form i odważyć się na takie wymiary. Dopiero Benedykt XIV-ty w XVIII. wieku, ochronił ruinę tę od dalszego niszczenia; była jednak głęboko zasypana ziemią, zaniedbana, chwastami i zielskiem porosła. Pius VII-my otoczył ją równem staraniem, a Francuzi przyczynili się stanowczo do jej podniesienia, oczyszczenia i okazania całej tego olbrzymiego arcydzieła

piękności. Następni papieże, przejęci taką samą gorliwością, pomnik ten, uświęcony stacyami Męki Pańskiej, przyprowadzili do tego stanu, w jakim się dziś znajduje. Nie będę ci opisywał szczegółów, a przeznaczenie tej budowy, wzniesionej przez Wespazyana Flawiusza, skończonej i inaugurowanej przez Tytusa, pewnie ci dobrze wiadome. Powiem ci tylko, że przy olbrzymiej grubości murów, powtarzających się w kilka rzędów, jak tego wymagały galerye i siedzenia dla osiemdziesięciu kilku tysięcy spektatorów, miał ten amfiteatr 1,683 stóp obwodu, a 183 stóp wysokości. Władcy świata powinni byli mieć taką widownię tych igrzysk, których dziś nie pojmujemy, jak nie pojmujemy tego huku, jaki tam powstać mógł, kiedy osiemdziesiąt tysięcy widzów, jednoczesnym oklaskiem i potężnym okrzykiem, wyrażało swe uniesienie, na widok człowieka, który dla zabawy wszystkich pasował się z życiem, ciężkie odbierał rany, i przy oklaskach umierał. Nie podobna usiąść tu na złomie kamieni, bez głębokiego zadumania się o tych kolejach, już nie mówię potęgi i losów państw i narodów, ale o tych kolejach, jakie wyobrażenia uczucia ludzkie przechodzą. Dziś, kiedy dzwon na Kapitolu ogłosi początek karnawału, Rzymianie lecą z takim samym zapałem na *Corso* patrzeć na wyścigi koni, na bitwę cukierkami, na wykrzywia-

jące się maski i bujające w powietrzu wstążki, z jakim dawniejsi Rzymianie szli do Koloseum, słuchać ryku lwów i tygrysów, i patrzeć i przyklaskiwać zapasom z nimi człowieka, którego krew i rany nie mogły ich zaspokoić, który musiał skonać koniecznie, aby odeszli kontenci. I kiedy dzisiejsi po ukończeniu pustej swawoli idą do kościoła, posypują głowy swe popiołem, a niejeden szczerze nawet bije się w piersi, żałując za grzech, jakiego się mógł dopuścić; tamci nie wiedzieli nawet o tem, że oklask ich był zbrodnią, wracali spokojnie i z uśmiechem do swych uciech i biesiad, i potem stawali w szeregach legionów, odbierając podobneż rany i konając równie cicho i bez jęku, dla chwały tego pana świata, tego Rzymu, który był dla nich pojęciem, skupiającem w sobie teraźniejszość i przyszłość. Myśmy zapewne karły w porównaniu z tymi olbrzymami. Ale czyż tamto byli ludzie? W takich pogrążony myślach, takie robiąc sobie zapytanie, podniosłem głowę, i oko moje padło na krzyż, tkwiący dzisiaj w środku tej areny. Nie wielki on, prosty, drewniany, a jednak dziwnym mi się wydał okryty blaskiem i wytłómaczył mi wszystko.

»Nic tak nie zastanawia, jak zejście całkowite z ziemi ludu, który tak zapełnił dzieje czynami swoimi, i takie zostawił pamiątki, jakie tu wszędzie widzieć można. Już te szczątki,

jakie pozostały po Tarkwiniuszu Pysznym, choć niezmiernie uszkodzone, zwiastują pierwsze poruszenia i kroki przyszłego olbrzyma. Jakoż rósł on potężnie i dorósł do zdumiewających wymiarów. Zdobycze wojenne dawały mu siłę i możność; i prędko marmur zastąpił drzewo i kamienie, a na tem miejscu, gdzie była chata Romula, wzniósł się pałac Augusta i potem złoty dom Nerona. Z prywatnych budynków, owych sławnych z potęgi i zbytków Rzymian, prawie nic nie pozostało. Nawet wila Mecenasa w Tivoli, której wielka została ruina, służyła, jak świadczy napis, nie do użytku prywatnego, ale do ochronienia drogi i zmniejszenia jej spadku. Wyraża się w tem duch tych panów świata, a może i tłómaczy się przez to tajemnica ich wzrostu i siły. Oni jedni mieli prawdziwe wyobrażenie *Rzeczy publicznej,* wyobrażenie, które nie znikło nawet pod despotyzmem Cezarów. Ogromne skarby, zdarte z tylu podbitych narodów, nie szły całkiem na zbytkowne domy i pałace tych, co te miliony zwozili do Rzymu, ale dla Rzymu samego. Tak nabytymi środkami Metellus wzniósł z marmuru świątynię Jowisza Statora i Junony; Pompejusz wymurował teatr, Cezar zdobił *Forum romanum.* Trzydzieści milionów złotych miało kosztować samo zakupienie budynków i placów, aby na tem miejscu *Venus genitrix* znalazła świątynię. Reszty pozostałe

świadczą, ile to tam było podobnych świątyń, kiedy wszyscy bogowie, nie tylko Rzymu, ale i podbitego świata, wszystkie przymioty i cnoty, jak wstydliwość, honor, męstwo i t. d. miały swój przybytek. A każda świątynia wznosiła się ręką wodza zdobywcy, lub Cezara, który jakąś czy publiczną, czy osobistą pamiątkę, jak naprzykład August ocalenie swe od piorunu, uwieczniał budową, upodobanemu sobie bóstwu poświęconą. Jakie zaś mogły być te świątynie, jakim był kościół Wenery i Romy, którego sam Hadryan był architektem, jaką świątynia pokoju, której cudną kolumnę Paweł V postawił przed kościołem *Santa Maria Maggiore,* jakim kościół Jowisza Statora, którego trzy kolumy stoją na *Forum,* jakiemi inne, których tyle pozostało szczątków, to łatwo wnieść z tychże szczątków, dających miarę całości, a szczególniej wnieść można z Panteonu Agryppy, który pozostał całkowicie i którego formy i wykończenie zdumiewały Michała Anioła.

»Niewyrachowane sumy pochłonęły także wody, wszystkie kolosalnymi wodociągami sprowadzone. Dzieła te użyteczności publicznej, stanowiące dziś największą ozdobę Rzymu, sięgają najdawniejszych czasów. *Aqua Appia, Aqua Virgo, Aqua Trajana* dziś *Paola, Aqua Alexandrina,* blizko dzisiejszej *Aqua Felice,* wszystko to są zdumiewające roboty, które

tylko w stolicy świata wykonać się mogły. A cóż powiedzieć o wodach urządzonych i ozdobionych przez Agryppę? Pojmiesz, jaki on koszt wyłożył na swoje sadzawki, studnie i wodotryski, i jak one wyglądały, kiedy do ich ozdoby służyło trzysta marmurowych i bronzowych posągów i czterysta marmurowych kolumn.

„Dla zgromadzeń senatu budowali pojedyńczy ludzie bazyliki i kurye wspaniałe, ozdobione przepychem portyków i rzędami kolumn, a które nosiły nazwiska tych, co je wystawili. Nie dawno nawet, bo w roku 1812, odgrzebaną została *Basilica Ulpia.* Równie dla ozdoby miasta, jak i dla zajęcia igrzyskami tej masy, którą trzeba było umiejętnie kierować, powstały cyrki, teatra i amfiteatra. Ogrom ich dla nas, nazywających wielkim teatrem taki, gdzie się parę tysięcy ludzi mieści, wydaje się czemściś bajecznem. Teatra Pompejusza i Balba należały do najmniejszych tego rodzaju budowli, a jednak mieściły po kilka tysięcy widzów; teatr zaczęty przez Cezara, a przez Augusta poświęcony Marcelowi, mieścił ich dwadzieścia tysięcy. O Koloseum już ci mówiłem. A cóż dodam o cyrkach? *Circus Maximus,* dokończony przez Augusta, mieścił w sobie więcej niż dwa razy tyle widzów, ile dzisiejsza ludność całego Rzymu wynosi; *Circus Flaminius, Circus Agonalis,* później Aleksandra, gdzie dzisiejszy plac Novona,

i na którym odbywały się naumachie, gdyż mógł być wodą zalany, miały olbrzymie rozmiary. Sam Portyk przy teatrze Pompejusza nazywał się hekatostylon, bo się składał ze stu kolumn. I wszystko to wznosiły ręce tryumfatorów, dla chwały, ozdoby i zabawy Rzymu, sobie tyle tylko zostawując, że do tych murów, świadczących o potędze senatu i ludu rzymskiego, gdyż w tych kilku wyrazach zamykało się pojęcie panowania nad światem, przyczepione było ich imię i miało tam tkwić na wieki.

»Nawet pałaców cesarskich i tych termów, czyli łaźni, które same, postawione obok siebie, złożyłyby ogromne miasto, nie można nazwać budynkami prywatnymi. Noszą one wprawdzie, równie jak wodociągi, cyrki i teatra, nazwiska tych, co je budowali, są to więc łaźnie Agryppy, Nerona, Tytusa, Dyoklecyana, Karakalli, Konstantyna; nie były jednak przeznaczone na użytek osobisty tych władzców, ale służyły do ozdoby miasta i do wygody dwumilionowej jego ludności. Jaki zaś był ich przepych i wielkość, wnieść możesz stąd, że w Termach Tytusa znaleziono taki posąg, jakim jest Laokoon, że w Termach Konstantyna na Kwirynalu, gdzie dziś stoi pałac Rospigliosi, odkryto kolosy Kastora i Polluxa z końmi, dzieła nieśmiertelne Praxytelesa i Fidyasza, że z jednej sali Termów Dyoklecyana, Michał Anioł, nie tykając jej

kolumn i wymiarów, zrobił ogromny kościół *di Santa Maria delli Angeli.*

»A jednak mimo taką potęgę, mimo tak olbrzymie środki, jakie potrzebne były do dźwignienia tych pomników, których resztki zdumiewają, a które ci tu pobieżnie i w drobnej tylko cząstce wymieniłem, pomniki te są tylko ruiną. I na kolumnie Trajana stoi dziś święty Piotr, na kolumnie Marka Aureliusza święty Paweł, pod tryumfalnymi łukami Septima Sewera, Tytusa i Konstantyna przeciągają pobożni pielgrzymi, a na obeliskach ze zdobytego Egiptu, niesłychanym kosztem sprowadzonych, i z których jeden na to tylko był, aby służył za wskazówkę do kompasu Augusta, połyskują krzyże, i o znikomości rzeczy ludzkich dopowiadają to, czego hieroglif powiedzieć nie chce. I nie tylko państwo rzymskie upadło, co jest rzeczą mniej dziwną i powtarzającą się w dziejach, ale lud rzymski znikł, z językiem, z wiarą, z wszelką tradycyą swej wielkości i obyczajów. I czemuż to? oto dlatego, że to nie był właściwie naród, ale kolonia militarno-polityczna, złożona ze zbieraniny ludów, sztucznie i doskonale w jedną uorganizowana całość. Naród, dzieło Boże, wychodzi z rąk Wszechmocnego na wieczne czasy, wraz ze swym językiem, wraz z życiem wewnętrznem sobie tylko właściwem. Może on zniknąć politycznie, ale wielkiej tej jednostki społeczności

ludzkiej, przez Stwórcę na miejscu swem postawionej, niepodobna zupełnie usunąć z ziemi i przerodzić tak, żeby o sobie nie wiedzała. Instytucya ludzka jest rzeczą czasową. Wzmaga się ona, rośnie, doskonali i trwa póty, póki nie spełni swej misyi. Gdy się staje niepotrzebną, zaczyna się psuć, upada i niknie ze szczętem. Żydzi byli narodem; są więc i bedą zawsze, a ślady Rzymian zostały tylko w złomach kamieni, i w trwalszych od marmuru i granitu dziełach kilku wielkich pisarzy.

»Rzym chrześcijański nie prędko mógł całą myśl swoją wypowiedzieć. Nad przyszłym grodem Apostoła męczennika, którego ślad pozostał w źródle mamertyńskiego więzienia, jakie wydobył ze skały, aby ochrzcić więźnia, który uwierzył, przeszło mnóstwo przemian. Rzym tyle wytrzymał napadów, szturmów i rewolucyj, iż nie dziw, że doliny między dawnymi pagórkami znacznie się wyrównały, że ze zwalisk nowe powstały pagórki, jak *monte Citorio* i *monte Cesarino,* że dawny grunt, po którym stąpali Cycero i Hortensyusz, Wirgiliusz i Horacy, po którym przechadzał się Agryppa i Mecenas, po którym huczały wozy wiozące tryumfalnego Pompejusza, zasunął się głęboko w ziemię, i pociągnął za sobą tyle dzieł sztuki, których część wydobyto, a których większa zapewne połowa dotąd tam pogrzebana. Nie od razu

nawet nowi władcy pierwszego na świecie miasta pojęli znaczenie wielkich jego ostatków. Niektórzy, jak ci to już wspomniałem, przyłożyli się do ich zburzenia. Tymczasem pokazało się, że wzrost nowego Rzymu zależał od uszanowania i ochronienia dawnych jego pamiątek. Zrozumieli to papieże Aleksander VI-ty, Pius III-ci, Juliusz II-gi i Leon X-ty, że stolica ich powinna być razem stolicą wiary i sztuki, że o tyle przybierze charakter wielkości i powagi, o ile nowym formom, w jakie się zbogaci, służyć będą za podstawę olbrzymie fundamenta dawnych i kolosalne wymiary tych ostatków, jakie czas oszczędził. Następowała też epoka takich architektów, jak Bramante i Peruzzi, takich geniuszów sztuki, jak Rafael i Michał Anioł, którzy rozpoczęli systematyczne odgrzebywanie dawnego rzymskiego miasta, i umiejąc złożyć wydobyte złomki i doskonałość ich wykazać, byli w stanie urzeczywistnić każdą myśl, która się w głowie papieżów poczęła. I znowu, jak dawniej, ze wszystkich chrześcijańskich krajów zaczęło się zlewać złoto do Rzymu, dostarczając mu środków do odzyskania swego znaczenia. I znowu Rzym stał się powtórnie stolicą świata, wcielając myśl, jaką wyraża, duszę swej wielkości i trwałości swego bytu, w te przepyszne pałace, które są przybytkiem sztuki, i w te wspaniałe i ogromne kościoły, które są razem przybytkiem sztuki i wiary.

»Pałaców tych jest takie mnóstwo, że ci ich wyliczyć wszystkich nie mogę. Do wyżej wspomnionych, dodam tylko pałac *Corsini,* pałac *Colonna,* papieżów na Kwirynalu, pałac *Rospigliosi,* wilę *Albanich,* pałac *Farnezych, Barberinich,* wilę i pałac *Borghezów.* W każdym z nich architektura jest pięknym pomnikiem tej sztuki; każdy zamyka w sobie kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt arcydzieł wielkich mistrzów malarstwa; a wszystko to razem wzięte robi Rzym jednem wielkiem muzeum, do którego nie darmo tęskni każdy artysta, poczuwający w sobie choć cząstkę tego bożego tchnienia, jakie ożywiało tych ludzi w dawnym czasie, póki sztuka była tem dla nowego Rzymu, czem dla starego była wojna i zwycięstwo. Dziś wszystko to zamieniło się tylko w pomnik geniuszu, który wygasł jak wulkan, i którego już żadna siła na nowo zapalić nie zdoła.

»Muzeum Kapitolińskie i galerye Watykanu są zbiorem niesłychanym rzeźby starożytnej. Gladyator, Faun, Wenera w pierwszem, Laokoon, Apollo Belwederski i cały nieprzeliczony szereg posągów w drugiej, mogą dopiero dać wyobrażenie, czem była ta sztuka, wyłącznie dziedzictwo starożytnego świata, wyłączny i najpotężniejszy wyraz przedchrześcijańskiego życia, wiary i obyczajów. Dla nas jest ona tylko zbytkiem, a nie istotną potrzebą ducha, któremu

te formy tak ściśle ograniczone wystarczyć nie mogą. Marmur najsilniej ożywiony, najwyżej podniesiony do idealnych kształtów, zawsze mówi tylko o ziemi i jej doskonałość wyraża. Obraz ogarnia ziemię i niebo, i w nieograniczonych perspektywach swoich, w niezmiernej rozmaitości barw i kształtów, a często w rzuconych tylko rysach, dających więcej do czynienia domysłowi, niż oku, daje pojęcie i przypomina wszędzie myśl tej nieskończoności, która jest istotą i najpierwszą potrzebą chrześcijańskiej duszy. To też wśród tak ogromnego szeregu wielkich mistrzów malarstwa, Włochy nawet mają tylko kilku prawdziwie wielkich snycerzy. Z nich pierwszym był Michał Anioł, którego *Pieta* w kościele Watykańskim, a szczególniej Mojżesz w kościele świętego Piotra *in Vincoli,* wyrażają najwyższy stopień tej sztuki w czasach nowożytnych, a ostatnim Kanowa, którego Perseusz i Herkules, choć pierwszy przypomina Apollina Belwederskiego, mogą stanąć obok wielkich tworów starożytności. Ale czemże są dla nas te dzieła, jakkolwiek wielkie, w porównaniu ze Stacyami Rafaela w pałacu Watykańskim, z dziejami Genezy i Sądem Ostatecznym Michała Anioła, w kaplicy Sykstyńskiej, z Transfiguracyą Rafaela i Komunią Dominikina, w galeryi Watykanu? W tych to wiekopomnych pomnikach geniuszu wyobraża się najwyższy stopień nowo-

żytnej sztuki, a myśl chrześcijanina korzy się przed natchnieniem, które je wywołało, i podnosi się do źródła, skąd jedynie wypłynąć mogło.

»Łatwo pojmiesz, że główną rzeczą, istotą i duszą takiego miasta, jak Rzym, muszą być kościoły. Jakoż trudno wyobrazić sobie ich wspaniałość, bogactwo, i ten artystyczny wyraz, którym każdy prawie przypomina, że jest, jak powiedziałem, nie tylko świątynią wiary, ale razem i świątynią sztuki. Kościół Laterański, właściwie główna katedra wszystkich, Bazylika Ś-go Pawła, która w roku 1823 spłonęła i na nowo z ruin swych powstaje, Santa Maria Maggiore, Santa Maria del Popolo, Santa Maria degli Angeli, ad Martyres i Sopra Minerva, Santa Maria d'Araceli, Santa Trinita de monti, Santo Augustino, Santo Andrea della Valle, San Pietro in Vincoli, i tyle a tyle innych, uderzają formą, wielkością i bogactwem, lub pozostałem ze starego Rzymu, lub przez nową stworzonem sztukę. Tu spotkasz się z mozaiką według rysunków Rafaela, tam ze zdjęciem z krzyża Daniela di Voltera, tu z prorokiem Izajaszem, Rafaela, tam znowu z jego grobem, tu ze czterema Ewangelistami Dominikina, tam znowu z jego freskami z legendy Ś-tej Cecylii, tu ze statuą Chrystusa Michała Anioła i grobowcem Angelico da Fiesole, tam znowu z jego Mojżeszem, który stanowi cząstkę niedokonanego

grobowca Juliusza II. A wszędzie, albo przy wnijściu do świątyni, albo na jej ganku, albo w jej fundamentach, lub pod jej sklepieniami, stoi, lub obelisk starożytny, lub złomek dawnego portyku, lub potężny mur przedchrześcijański, lub szereg kolumn z marmuru lub porfiru, na których dawne opierały się rzeźby i połyskujące złotem arkady. Takich kościołów jest w Rzymie 328, a wszystkich sumą, że tak powiem, jest ów cud świata, tkwiący w myśli każdego pielgrzyma, każdego podróżnika, który się zbliża do grobu Ś-go Piotra, jest to jego wzniosła Bazylika na Watykanie. Nie będę ci jej opisysywał, boby mi na to nie wystarczyło ani sił, ani miejsca. Powiem ci tylko, że w żadnym kościele nie jest duszy tak dobrze jak tu, gdzie jej ogrom nie gniecie, gdzie harmonia wszystkich części przypomina harmonię świata, gdzie ozdoby nie rażą zbytkiem, i zdają się nawet prostotą i skromnością, gdzie żadna pojedyńcza część nie krzyczy, nie woła do siebie i nie rozrywa tego uroczystego wrażenia, jakiem cudowna ta całość napełnia wszystkie władze człowieka. A jednak rozpatrzywszy się tu, przekonywasz się, że to największa budowa na całym świecie, że długość kościoła, wraz ze wspaniałym przysionkiem, ma 666 stóp, a szerokość 284, że kopuła wznosi się wewnątrz na 487, a zewnątrz na 503 stopy pod niebo, ma

130 stóp średnicy i sama przez się ogromny stanowi kościół; schyliwszy wzrok ku ziemi, postrzeżesz, że depczesz po najdroższych marmurach, z niezmierną ułożonych sztuką; podnosząc go w górę, obaczysz nad sobą najcudniejsze rzeźby, a w wyzłoconej kopule same mozaiki; na olbrzymich pilastrach, na ścianach, na ołtarzach nic nie widzisz, tylko marmur, bronz i mozaikę. Nawet olejne malowanie było już za nadto drobną, za nadto ubogą tej świątyni ozdobą. Niema więc tu ani jednego obrazu olejnego w ołtarzach, ale za to owe arcydzieła, które są klejnotami galeryj i innych kościołów, jak Transfiguracya Rafaela, Komunia Dominikina, Ś-ta Petronella Guercina i inne, są tu powtórzone w cudnych i nieocenionych mozaikach. Żadna budowa nie łączy tak w sobie tego wszystkiego, co w każdym wieku, który myśl swoją wyraził, było najwyższem. Jej kolosalne wymiary mają charakter dawnego Rzymu, jej kopuła gubiąca się w obłokach wypowiada ducha średnich wieków, doskonała harmonia jej form, wytworność, a razem prostota w ozdobach, czystość i poprawność każdej linii, uprzytomnia geniusz Grecyi. A wszystko razem czyni tę świątynię do tego stopnia chrześcijańską, że gdziekolwiek staniesz i pogrążysz się w zadumieniu, czujesz tylko niezmierną swoją małość i niezmierną wielkość tego Boga, który dopo-

mógł ludziom, aby mu taki przybytek wzniesiono.

»W tem zadziwiającem dziele Bramanta, Juliana San Gallo, Rafaela, Peruzzego i Michała Anioła chciano widzieć wyraz doczasowej potęgi papieżów i objaw ziemskiej ich pychy. Jak liche i mizerne pojęcie ducha czasu i tej myśli, która ich ożywiała! Czyż dla celów tak drobnych dokonałby się był pomnik tak wielki, mimo tylu lat, przez które powstawał, coraz rosnący, mimo tylu genialnych głów, które nad nim pracowały, zdumiewający taką jednością pomysłu i wykonania? W Bazylice Ś-go Piotra jest myśl wyższa, jest natchnienie nie z ziemi, lecz z nieba. Powstała ona na grobie książęcia Apostołów i uważać ją należy za symbol materyalny tego Kościoła mistycznego, który Chrystus na tej skale dźwignąć obiecał.

»Mówią w Rzymie, że gdy Kolosseum upadnie, Rzym upadnie, a gdy Rzym upadnie, świat upadnie. Jest w tem cokolwiek prawdy, tylko trzeba to wyrazić inaczej. Jabym powiedział, że gdy Kościół Ś-go Piotra upadnie, upadnie wszystko, co w świecie chrześcijańskim wzniosłem jest i wielkiem. Nastąpi zupełny rozbrat ludzi z niebem, i Europa zamieni się na ogromną fabrykę wyrobów jedwabnych i bawełnianych, żelaznych i stalowych.

Ale dosyć już tego, kochany Ignasiu! Prze-

straszyłem się, patrząc na ćwiartki mojego listu, któremi cały zarzuciłem stolik. Biedny aplikancie! dla ciebie kolosalną zapewne będzie ta suma, którą za tę kolosalną ramotę zapłacisz. Ale nie żałuj tych kilku złotych. Będziesz za nie miał przed oczami całą moją duszę, która potrzebowała wygadać się. Pisz do mnie jeszcze do Rzymu, według adresu, który przyłączam. Ale nie pisz póty, póki jej nie obaczysz. Na początku grudnia pewnie będą już w Warszawie. Pójdź więc do kasztelana i zaprezentuj się temu człowiekowi, którego śmiało dobroczyńcą mym nazwać mogę. Niestety! syn jego im bardziej się rozwija, im więcej dojrzewa, tem mniej staje się podobnym do ojca. Znosi on mnie, jako towarzysza swojej młodości, ale ja czuję to, że w duszy nie uznaje mnie za brata i ma się za coś bez porównania wyższego. Duma i próżność pańska bierze w nim górę i tłumi wszystkie dobre przymioty. O jakże różnym jest od siostry! Pomów z nią, Ignasiu! pomów śmiało, byle nie o mnie. Niech cię Bóg broni, abyś dał czemkolwiek poznać, że ci tajemnica duszy mej wiadoma. Bywaj zdrów, niech ci Bóg szczęści! A kłaniaj się odemnie naszym kuzynkom i mów z niemi o mnie często.«

I jak nie miał Ignaś mówić z niemi o Eugeniuszu, kiedy nietylko kochał go jak brata, ale z tego ostatniego listu powziął wielkie

wyobrażenie o jego głowie, talencie i sercu. Czytał on z serdecznem zajęciem to, co mu pisał o sobie, czytał z pewną dumą to, co pisał o Rzymie; potem całe to opisanie czytali z Kańskim, i nareszcie czytali je na Ś-to-Jańskiej ulicy, wysilając swoją gimnazyalną erudycyę, aby panienkom, które o wielu wspomnianych tam rzeczach i imionach nawet nie słyszały, wytłómaczyć i pojętnem zrobić to, czego nie rozumiały. I wszyscy zakonkludowali, że to będzie niepospolity człowiek, że wyjdzie na znakomitego pisarza, że się stanie ozdobą literatury i zaszczytem imienia, które nosi.

XII.

Na początku grudnia Kański, za wstawieniem się swego protektora, miał sobie dyety powiększone tak, że mu wynosiły po pięć złotych dziennie. Jest to najwyższe wynagrodzenie dyetaryuszów, dobrze widzianych, pilnych i zdatnych. Przy stole i stancyi, jakie Kański miał, była to pensya wcale znaczna, i mogła młodemu człowiekowi wystarczyć na porządne utrzymanie się, a nawet na pewną elegancyę, do której wszyscy w Warszawie dążą, i nie każdy z właściwą oględnością na jutro. Ale Kańskiemu wydała się ta suma w czwórnasób większą, niż była w istocie, i wzmogła jego wiarę, że mu wszystko już pójdzie jak z płatka,

że to, co mu powiedział referent sekcyi, a co słyszał od sekretarza dyrektora wydziału, spełni się niezawodnie, że zatem najdalej za trzy miesiące dyety te zamienione zostaną na pensyę etatową i do dwóch tysięcy się powiększą. Na tej zasadzie zaczął więc młody człowiek budować czarowny zamek, który miłość wyzłociła i tęczowemi umalowała farbami; a wmówiwszy w panią Jelewską, że te nadzieje są pewnością, że to, co powiedział referent i sekretarz dyrektora wydziału, jest tak dobrze jak ewangelia, że zatem etat ma już w kieszeni, skłonił kobietę słabą, znękaną swemi cierpieniami, przeczuwającą blizki koniec i lękającą się przedewszystkiem zostawić córki swe w sieroctwie i bez opieki, że mu przyrzekła oddać Paulinkę i pozwoliła zająć się przygotowaniem gdzie na tejże samej ulicy maleńkiego lokalu.

Zdarzyło się, że ubogi krawiec, który zajmował na tem samem piętrze dwa pokoiki od dziedzińca, spotkał się raz z Kańskim na schodach i szedł z nim razem na górę. Kański wielką miał ochotę na te dwie stancye, jako tanie i na tem samem piętrze leżące. Wdał się więc w rozmowę z krawcem i z wielką radością dowiedział się, że krawiec niekontent ze swego mieszkania, że jest za wysoko i w takim zakącie, że nikt do niego trafić nie może, że go to zrujnuje zupełnie, jeżeli będzie musiał dotrzy-

mać kontraktu, który jeszcze ma na dwa lata, że myśli pomówić z gospodynią, i w każdym razie wywiesi kartę. Miarkując się w swojej radości, zaczął mu Kański z daleka robić propozycyę, wszedł z nim do lokalu, niezmiernie brudnego i zarzuconego starzyzną, którą biedak ten reperował, i nie zważając na brudy, zaklejone papierem okna, wyłamane drzwiczki od pieca, ułożył się z krawcem, kontrakt jego wziął na siebie i dawszy mu trzy ruble odstępnego, zszedł zaraz z nim do gospodyni domu i żądany złożył zadatek.

To zdarzenie taką mu dało radość, tak go utwierdziło w tej wierze, że co tylko przedsięweźmie udać mu się musi, że pobiegł prawie bez tchu na górę, upadł do nóg pani Jelewskiej, potem ukląkł przed Paulinką i przysiągł im, że do ostatniego tchu życia będą miały w nim podporę, obronę i opiekę. Matka błogosławiła go ze łzami, Paulinka, która go serdecznie kochała, podała mu obie rączki, i dopiero zaczęły się układy, projekta na przyszłość, wyrachowania kosztów, zwykle w takim różowym momencie daleko mniejszych od dochodu; zaczęło się dobieranie sprzęcików i porządkowanie tej siedziby zgody, pracy i miłości, która miała być rajem na trzeciem piętrze. Stanęło więc, że zaraz po wyprowadzeniu się krawca oczyszczą trochę owe dwie stancye, kupią tylko rzeczy naj-

istotniejsze, parę łóżeczek jesionowych, maleńką kanapkę wyplataną i takichże sześć krzesełek, stolik jeden dla niego do pracy, drugi dla Paulinki do roboty. Debatowano długo, czy przydatniejszą będzie komoda czy szafa, i stanęło, że będzie komoda i szafa, bo pierwsza konieczna na ich bieliznę, a druga na suknie i stroiki nietylko Paulinki, ale i te, które ona robić będzie dla przyczynienia dochodu. Firanki pokazały się także koniecznemi dla zasłonienia brudnej części kamienicy, która była naprzeciw, i wazoniki z kwiatami także były rzeczą niezbędną, bo jakże wyglądałby raj bez róż, lewkonij, hyacyntów i rezedy. Na wszystko to kładł Kański ceny umiarkowane i suma wyszła wcale nie wielka. Stanęło przytem, że się obejdą jedną sługą, która z małego dodatku, jaki jej zrobi, będzie bardzo kontenta i wystarczy wszystkiemu; że stół będą mieli wspólny, i jeszcze za stołownika przyjmą Ignasia, który doda z ochotą czterdzieści groszy dziennie, i będzie mu milej i smaczniej niż pod *Gruszką;* że dwa tysiące Kańskiego, które już były tak pewne, jak amen w pacierzu, półtora tysiąca z procentów pani Jelewskiej, drugie tyle z ich pracy, tysiąc złotych z tego co przyda Ignaś i co on jeszcze zarobi przez korrepetycyę w tem miejscu, które ma teraz, gdzie mu stół i stancyę na gotowiznę zamienią, złożą razem

ogromną sumę sześciu tysięcy złotych, która przy umiarkowaniu, wytrwałości i zgodzie, nietylko na przyzwoite utrzymanie wystarczy, ale jeszcze pozwoli kiedy niekiedy małej użyć przyjemności, pójść czasem na teatr, wyjść lub wyjechać na wiosnę gdzie za miasto, a nawet na wszelki przypadek choroby, lub jakiej nieprzewidzianej, a i przewidzianej potrzeby, mieć jakie dwieście, lub trzysta złotych w zapasie. Wszystko to było jasne, tak do przekonania mówiące i czarno na białem tak widne, że nawet matka nie wątpiła, że w tem wszystkiem jest wola i zrządzenie Boże, że już teraz będzie mogła spać spokojnie i wyglądać bez trwogi swego końca, o którego prędkiem przyjściu jak najmocniej w duszy była przekonaną, choć nigdy tego przed dziećmi nie okazywała.

Trudno sobie wyobrazić, jak szczęśliwym był Kański. Ale jakkolwiek nie wątpił, że to wszystko tak się ziści jak sobie ułożył, bał się jednak zimniejszego rozsądku Ignasia, a lękając się w duszy, aby jaką perswazyą nie złamał postanowienia matki i rachunkiem prawdziwszym i wcale różnym od tego, jaki oni zrobili, nie przywiódł jej do odłożenia na czas tego związku, matkę i córki uprosił, że wszystko to robić się będzie w sekrecie przed przyjacielem, aby miał miłą siurpryzę wtedy, kiedy już prawie cała rzecz będzie gotowa.

Ignaś wiedział dobrze o powodzeniu Kańskiego w biurze. A chociaż nie wierzył w tak prędkie jego przejście na etat, a do tego na pensyę jeszcze wyższą od dyet, szczerze się cieszył, że praca biednego i poczciwego kolegi jest ceniona, że mu daje przyzwoite utrzymanie i dalszego kierunku nadzieję. Aprobował on także jego zabiegi i serdeczną miłość dla Paulinki, i pragnął z duszy, aby los Kańskiego mógł się ustalić, i aby serca tak siebie godne mogły się z sobą kiedyś połączyć; ale nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, aby to mogło nastąpić teraz, zaraz, kiedy młody człowiek rozpoczynał dopiero swój zawód, i dla dojścia do czegoś na tej drodze, po której szedł, potrzebował całej swobody i sił, jakie daje myśl wolna i ręce zbyt ciężkimi obowiązkami nie spętane. Spostrzegłszy więc widoczną zmianę w przyjacielu, który się uśmiechał, wyciągał najtrudniejsze tryle i na hazardowne puszczał się pasaże, który na jego zapytania, co mu się tak szczęśliwego zdarzyło, odpowiadał tylko: »alboż nie wiesz, alboż nie wiesz, zresztą obaczysz później,« wniósł, że słowa te odnoszą się do owego dodatku, jaki do dyet swych otrzymał, natchnione mu są przez tę ufność, jaką miał w przyszłem swem powodzeniu, biorąc każdą nadzieję za pewność, każdą obietnicę za rzecz już dokonaną i nie mogącą się zmienić,

Przestał więc Ignaś na tym wniosku i ruszając tylko czasami ramionami, na widok uszczęśliwienia przyjaciela, którego utaić nie mógł, o nic więcej nie zapytywał i niezwykłego jakiegoś zakrętu w domu krewnej swej nie uważał.

Stosownie do polecenia Eugeniusza dowiadywał się Ignaś w pierwszych dniach grudnia na Leszno, ale kasztelaństwa jeszcze nie było. Postanowił więc przeczekać jeszcze parę tygodni i znowu się do mieszkania ich dowiedzieć. Około połowy miesiąca, odebrawszy swoje honoraryum od stolarza, który kontent z jego pracy, zawsze mu je przed terminem wypłacał, poszedł na teatr Rozmaitości. Rzadko sobie Ignaś tej uciechy pozwalał, raz dla braku funduszów, a potem dlatego, że mu wieczory miło i niepostrzeżenie w towarzystwie kuzynek schodziły. Ale tego wieczora dawano *Przyjaciół,* jednę z większych i lepszych sztuk Fredry. Oryginalna sztuka, w teatrze warszawskim, w roku 1840, była jeszcze niezmierną rzadkością. Wszyscy bowiem artyści w owym czasie, przejęci dawnemi tradycyami, nawet w talent Fredry nie wierzyli. A chociaż publiczność w każdym takim razie cisnęła się do kasy i wszystkie zapełniała miejsca, przypisywano to nie wartości dzieła, ale innym zupełnie względom. Ta sztuka znalazła wyjątek dlatego, że celująca ówczesna

aktorka, której głos był przeważnym, miała tam rolę popisową i mogła w niej rozwinąć i rzeczywiste zasoby swego talentu, i wdzięk swego ułożenia, a nadewszystko gust swej tualety. Wcześnie Ignaś i Kański opatrzyli się w bilety; Kański wystroił się w swój zapasowy nowy garnitur, wynajęli lornetkę na wspólny koszt, i obaj z dobremi minami, w czystych i nowych rękawiczkach, zasiedli w przedostatnim rzędzie krzeseł, na miejscu środkowem, skąd i scenę i wszystkich spektatorów mogli doskonale widzieć.

Pierwszy raz w uszach naszego bohatera zabrzmiała ze sceny ta jędrna mowa, te wiersze pełne dowcipu i treści, wymówione z owym wdziękiem, z owem doskonałem zrozumieniem i oddaniem każdego najdelikatniejszego odcienia, które było właściwem owej znakomitej aktorce. Nie posiadał się więc z radości i w pierwszym międzyakcie, siedząc pogrążony w myślach o sztuce i o tych, co byli jej tłómaczami, nie obejrzał się nawet na loże, chociaż go Kański do naśladowania innych zachęcał.

— Przypatruj się, przypatruj sam — odpowiedział mu — po drugiem akcie dasz mnie perspektywkę.

Jakoż, gdy się drugi akt skończył, Kański trącił go w bok i rzekł mu:

— Patrz no! w czwartej loży na lewo.

Ignaś spojrzał i poznał swoją ciotkę Herminię. Była nadzwyczaj pięknie ubrana: brylanty świeciły w uszach i przy gustownem ubraniu na głowie; jedną ręką, obciśniętą białą rękawiczką i kosztowną bransoletką, okrytą drogiemi koronkami, trzymała perspektywę ze słoniowej kości, a drugą pieściła wonny zapewne bukiet z rzadkich w tej porze kwiatów. Sama jedna w loży, obrócona była prawie tyłem do sceny, i patrzyła śmiało i z uśmiechem ku krzesłom. W całym teatrze nie było kobiety tak wystrojonej, tak widnej, a nawet tak powabnej i ładnej.

Ignaś odwrócił się prędko, żeby go nie poznała, a Kański rzekł:

— Uważaj, jak wszyscy mężczyźni ją lornetują.

— Widzę — odpowiedział Ignaś — i każdy spojrzawszy uśmiecha się i coś szepcze sąsiadowi.

— A wiesz dlaczego? — rzekł Kański — oto dlatego, że tu w Warszawie wszyscy wiedzą, czem jest przystojna kobieta, która przychodzi tak wystrojona do teatru i siedzi sama jedna w loży. Ale jeśli nie chcesz, żeby cię poznała, nie podnoś teraz na nią głowy, bo cię podobno spostrzegła i pilnie ci się przypatruje.

— Biedna! — rzekł Ignaś westchnąwszy smutnie — i powstawszy, oparł się na poręczy

poprzedzającego rzędu krzeseł i obrócił się całkiem ku prawej stronie teatru. I z tej strony wszystkie loże były napełnione. W każdej nawet było po pięć osób. W jednej tylko, ku środkowi posunionej, było ich trzy. W głębi poważny mężczyzna z siwą głową, a na przodzie dwie damy, widocznie matka i córka. Matka słusznego wzrostu, przystojnej, ale imponującej twarzy, ubrana z powagą odpowiadającą jej wiekowi, równie strojem, jak ułożeniem i każdym ruchem okazywała jakąś wyższość położenia i stanu. Córka także widać słusznej kibici, pełna gracyi w ułożeniu swem, miała błękitną, materyalną sukienkę pod szyję, z długimi rękawami, skromną, ale jakoś odziewającą ją lepiej, niż inną kosztowne stroją aksamity; bujne i czarne jak heban włosy, gładko przyczesane, ozdobione tylko były zieloną gałązką i drobnymi ponsowymi kwiatkami; czoło jasne i białe okazywało zamyślenie, oczy miała spuszczone, a w całej twarzy bladej, ale foremnej i pięknej, wyraźny był jakiś smutek, jakieś głębsze zajęcie, nie tem co ją otaczało. Ignaś tak się w nią zapatrzył, tak mu się wydała czemściś wyższem i niezwyczajnem, że zapomniał o tem smutnem wrażeniu, jakie na nim widok wystrojonej i afiszującej rzemiosło swe ciotki zrobił. Wziął więc lornetkę i skierowawszy ją na pannę w błękitnej sukience, pilniej się jej przypatrywał.

W kilkanaście sekund potem i właśnie w tej chwili, gdy ją widział najlepiej, panna podniosła rękę, potarła z lekka palcami czoło, potem zwróciła oczy ku kurtynie i patrzyła tak przez długą chwilę, nie zmieniając pozycyi, jak gdyby chciała wzrok swój posłać gdzieś daleko za myślami, które ją odbiegały. Wtedy Ignaś obaczył, że oczy te były błękitne, czarnemi otoczone rzęsami, pełne wyrazu i blasku; i wtedy także przyszedł mu na myśl Eugeniusz i prawie pewnym był, że to ta, o której on myśli, patrząc na arcydzieła sztuki włoskiej, i która tu, gdzie się wszyscy śmieją i weselą, za nim posyła tęskny wzrok i może tęskniejszą jeszcze duszę.

To przypuszczenie, a raczej ta pewność, niezmiernie go zajęła. Nie z taką już uwagą słuchał trzeciego aktu, i podnosząc często wzrok ku loży, śledził jak słuchała tych mistrzowskich wierszy, często po mistrzowsku wymówionych. Oczy jej ciągle zwrócone były za scenę. Kiedy wszyscy klaskali i śmieli się, twarz jej wyrażała jakąś myśl poważną i głębsze zastanowienie się; w tych znowu miejscach, gdzie delikatny dowcip Fredry wydawał się w takiem zbliżeniu obrazów, iż tej cieniutkiej nici, która jej wiązała, tłum nie spostrzegł, wtedy śliczny uśmiech rozjaśniał jej oblicze i lekkie kiwnienie głowy było jakby hołdem, który rozumna kobieta

oddawała znakomitemu poecie. I wtedy uderzająca była pięknością, a na jej twarz bladą i foremną zlewało się jakby widomie światło wyższej inteligencyi. Ignaś nie dziwił się teraz oczarowaniu, któremu uległ Eugeniusz, i dopiero wówczas zrozumiał i zupełnie pojął to wszystko, co o niej brat pisał. Ale im piękniejszą, im wyższą istotą wydawała mu się ta, którą brał za towarzyszkę jego młodości i ideał jego bogatej wyobraźni, tem więcej żal mu go było, tem mniej przypuszczał, aby kiedykolwiek los i okoliczności podnieść go mogły tak wysoko. Takie myśli rozlały smutek i zamyślenie po jego twarzy, zupełnie nieodpowiedne temu humorowi, jakim wyborna komedya napełniła wszystkich. Kański, który był dziś weselszym niż kiedykolwiek, sądząc, że go tak widok ciotki zasmucił, przez delikatność nie robił mu żadnych zapytań. Po teatrze rozłączyli się przyjaciele; jeden nucąc sekstet *z Łucyi* poszedł na ulicę Elektoralną, a drugi, po komedyi Fredry, myśląc o Rzymie, wrócił na Podwale. Długo jeszcze Ignaś chodził po swojej stancyjce, rozmyślając o dalszym losie brata. Wreszcie przyszło mu na myśl: A nuż to zupełnie kto inny? — i wtedy uśmiechnąwszy się i ruszywszy ramionami, że może daremnie tak mocno się zafrasował, postanowił zaraz nazajutrz pójść na Leszno, zmówił pacierz, i z wyobrażeniem

błękitnych oczów, ale weselszych i nie tak głęboko i daleko patrzących, zasnął.

Nazajutrz o godzinie drugiej, wyszedłszy z biura, stanął Ignaś w mieszkaniu kasztelana. W sieniach zastał zaprzężoną karetę, a w przedpokoju lokaja w długim liberyjnym surducie, z kołnierzem obłożonym niedźwiedziem i z kapeluszem na głowie suto ogalowanym. Na zapytanie, czy państwo wrócili już ze wsi, odpowiedział mu lokaj, że pan kasztelan jest, ale zajęty, a pani zaraz jedzie z wizytami. Ignaś, który teraz widział oczywiście, że wczoraj odgadł pannę Jadwigę, w owej pięknej osobie, co go tak zajęła, chciał już odejść i w innym czasie próbować szczęscia, gdy się drzwi otwarły, i wyszła ta sama dama i ta sama panna, które wczoraj widział, obie w salonach z futrem i w takich strojach na głowie, że to zapewne musiały być ceremonialne wizyty.

Ignaś zrzucił prędko z siebie płaszcz i ukłonił się z uszanowaniem. Kasztelanowa spojrzała na niego z góry i zapytała:

— Do kogo acan masz interes?

— Jestem Ignacy Zabużski — odpowiedział młody człowiek — brat Eugeniusza, który od jaśnie wielmożnych państwa tyle odbiera dobrodziejstw. Chciałem złożyć uszanowanie moje jaśnie wielmożnemu kasztelanowi.

Gdy tak Ignaś mówił, patrząc w oczy da-

mom, spostrzegł, że wyraz twarzy kasztelanowej złagodniał, a oczy panny Jadwigi zwróciły się na niego z zajęciem, i na lice jej lekki wystąpił rumieniec.

— Cóż acan tu robisz w Warszawie? — zapytała kasztelanowa.

— Pracuję w biurze, w Komisyi Skarbu, i utrzymuję się z prywatnych lekcyj — odpowiedział Ignaś, a to ostatnie dodał umyślnie dlatego, aby nie myślała, że przyszedł prosić o protekcyę, lub wsparcie.

— To bardzo chwalebnie — odpowiedziała kasztelanowa — że acan własnemi siłami starasz się utorować sobie drogę na świecie. Chciałabym, żeby i Eugeniusz był trochę praktyczniejszym. To jedno tylko mam mu do zarzucenia.

Ignaś spostrzegł, że panna Jadwiga spuściła oczy, i że znowu twarz jej delikatnie poczerwieniała. Gdy w tej chwili pokazał się ów stary sługa, którego już Ignaś znał, kasztelanowa rzekła:

— Pójdź, powiedz panu, że brat pana Eugeniusza przyszedł, i że ja proszę, aby go przyjął. — Bohater nasz ukłonił się, widząc w tych słowach znak uprzejmości, a ona kiwnąwszy mu głową, dodała: — Nie mam teraz czasu dłużej z acanem mówić, ale proszę w niedzielę o czwartej na obiad — i poszła, a we drzwiach rzekła do córki: — *Il a l'air intelligent.*

Panna obejrzała się jeszcze ode drzwi i kiwnęła mu głową z uśmiechem, a Ignaś został sam jeden i myślał o tem wrażeniu, jakie wspomnienie Eugeniusza na pięknej tej pannie robiło; wniósł, że się brat jego nie mylił, wierząc w jej serdeczne zajęcie, że zatem tem większe życiu i pokojowi jego grozi niebezpieczeństwo.

Kasztelan przyjął go ze zwykłą sobie uprzejmością. Mówił mu o Eugeniuszu z prawdziwie ojcowskiem uczuciem, dodał, jak piękne ma o nim nadzieje, jak myśli już nad tem, gdzie i jakby go najlepiej ulokować, jak wróci z podróży, z której zapewne wiele skorzysta.

— Boję się tylko — dodał z uśmiechem — czy Eugeniusz trochę nie zanadto poeta. Nic bardziej biednemu chłopcu nie szkodzi, w tym prozaicznym świecie, jak takie usposobienie. Ale cieszę się, żeś się zdecydował tu próbować szczęścia i przebijać się przez ciernie i głogi. Z listu księdza Zielenkowskiego, który do mnie pisał wtedy, gdyś się urządził w Lublinie, wiem, żeś chłopak praktyczny i nie lubisz wałęsać się myślami w chmurach. Dasz dobry przykład bratu, i twoje rady bedą skuteczniejsze, jak nasze. Któż ci dopomógł do ulokowania się w biurze? zapewne mój brat, u którego byłeś już, nieprawdaż?

— U pana referendarza byłem — odpo-

wiedział Ignaś czerwieniąc się, a nie chcąc zdradzać przed kasztelanem sposobu, jakim był przyjęty, dodał: — ale rekomendacya brata jaśnie wielmożnego pana już mi była niepotrzebną. Miałem list od hrabiego Adama S** i ten mi był dostatecznym.

— Spodziewam się, że był dostatecznym — odpowiedział kasztelan — i winszuję ci, żeś sobie zjednał protekcyę tak znakomitego obywatela. Pensyi żadnej naturalnie nie masz.

— Utrzymuję się z korrepetycyi matematyki — odpowiedział Ignaś — i mam dosyć. Obecnie więcej mi nie potrzeba.

— Mało jest milionowych panów — rzekł kasztelan z uśmiechem — którzyby powiedzieć mogli, że im więcej nie potrzeba. Winszuję ci takiego umiarkowania. Możesz z niem zajść daleko. Przypominasz tem usposobieniem twojego ojca, do którego z twarzy jesteś cokolwiek podobnym. Daj ci Boże, abyś był zupełnie do niego podobnym z energii, charakteru i prawości serca. Był to człowiek prawdziwie wyższy w swojem ograniczonem położeniu. Szanowałem go nawet za tę dumę, która go oddaliła ode mnie. Żal mi serdecznie, że tak prędko zszedł z ziemi, a szczególniej, że nie doczekał tej pociechy, jakąbyście mu obadwaj przynieść mogli.

Ignaś zalał się łzami, wziął rękę kasztelana i do ust przecisnął a on pocałowawszy go w głowę dodał:

— No, uspokój się, poczciwy chłopcze! Smutne to wspomnienie, ale cóż robić, taka była wola Boża, którą wszyscy szanować i poddać się jej musimy. W jakimże stanie wasze dziedzictwo?

— Nasze dziedzictwo — rzekł Ignaś uśmiechając się przez łzy — jest w bardzo mizernym stanie. Ojciec nasz utrzymywał je z niezmordowaną pracowitością i przemysłem; po jego śmierci naturalnie upaść musiało. Obecnie ksiądz Zielenkowski znalazł uczciwego dzierżawcę, który podjął się przeprowadzić do dawnego stanu wszystkie budynki, przez poprzedniego posesora zrujnowane. Cały więc dochód idzie na ten cel; dźwignienie bowiem domu, gdzie mój ojciec mieszkał, uważałem za najpierwszy obowiązek.

— Wiec z dzierżawy nie masz nic?—zapytał kasztelan.

— Nic, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział Ignaś. — Ale mam stół, stancyę i odzienie, które mi wystarcza.

— A fraczek ładny masz?

— Fraka nie mam, ale w biurze nie jest mi potrzebny — rzekł bohater nasz czerwieniąc się.

— Spraw sobie ładny garnitur — rzekł kasztelan, biorąc ze stolika trzy dziesięciorublowe papierki — bobym chciał, żebyś tu czasem u nas bywał i oswoił się cokolwiek z tym świa-

tem, jaki tu zastać możesz. Nie życzę ci, abyś się piął do towarzystwa, w którem ci żyć nie przeznaczono. Jest to także choroba, która niejednego biedaka zgubiła; ale otarcie się z ludźmi dobrze wychowanymi przyda ci się zawsze w życiu. Bo i któż zgadnie, gdzie i jak los cię popchnie?

Ignaś zawahał się i nie wyciągał ręki po podawane sobie pieniądze. Kasztelan spojrzał na niego ze współczuciem i uśmiechając się dodał:

— Pochwalam ci to, żeś nie łapczywy na darowizny. Ale ode mnie nie powinieneś tego uważać za jałmużnę. Chcę i pragnę w każdym gwałtownym razie zastąpić ci ojca, który cię zawcześnie opuścił.

Ignaś wzruszony rzucił się na rękę szanownego człowieka, którą rzewnemi okrył pocałowaniami, wziął ofiarowany sobie zasiłek, i gdy kasztelan zanotował sobie adres jego mieszkania, pożegnał go i poszedł.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie wracał do domu, i jak ogromną między braćmi znalazł różnicę. Tego samego dnia wieczorem opowiedział kuzynkom, ze łzami w oczach, jak go przyjęli ci, których Eugeniusz słusznie dobroczyńcami swymi nazywa. Nazajutrz po godzinach biurowych, poszli z Kańskim po magazynach strojów męskich i wkrótce ładny cza-

rny garnitur, przypasowany do zgrabnej figury młodzieńca, był już w jego kuferku.

W niedzielę Kański był obecnym przy tualecie Ignasia, jako niby więcej bywały i znający wymagania warszawskiego świata. Zapinał jego frak, ogładzał i oczyszczał; chciał mu nawet dać swój łańcuszek od zegarka, utrzymując, że się dobrze wyda na czarnej atłasowej kamizelce, ale Ignaś nie przyjął tej próżnej i cudzej ozdoby, na którą ludzie bogaci i przywykli do rzeczy pięknych nie zwróciliby żadnej uwagi. Gdy już był zupełnie ubrany, obejrzał go jeszcze raz przyjaciel od stóp do głowy, jak oficer prowadzący żołnierza na ordynans, i puścił w Imię Boże na wielki świat, na którym po raz pierwszy w życiu miał się obaczyć.

Ujrzawszy się już na Lesznie, niepokoił się nasz bohater, czy się potrafi znaleźć w tem wysokiem towarzystwie, tak, żeby się nie wydał śmiesznym, niezgrabnym i takim, który nigdy ludzi nie widział i za piecem się wychował. Wyobrażał on sobie, że to tam musi być wszystko inaczej, że ludzie tacy, nie tak jak wszyscy chodzą, siadają, jedzą i piją, że w każdem ich słowie i ruchu musi być coś szczególnego, kiedy sami widzą w sobie tak wielką od pospolitych ludzi różnicę, i tak są z niej pyszni. Wprawdzie niezmiernie prosty i naturalny sposób mówienia i postępowania hrabiego Adama i samego kasztelana naprowadzał go na tę myśl, że właśnie

dobre wychowanie, wyższe ukształcenie, o którem panowie tyle mówią, zależy na prostocie i naturalności, którą i sam miał i od której nigdy nie odstępował; postanowił jednak w drobnych nawet rzeczach, w rozmowie, przy stole, i t. d., przypatrywać się dobrze i mieć się na ostrożności, aby czemkolwiek nieprzyzwoitem, zbyt śmiałem i rubasznem nie zepsuć tego przychylnego wrażenia, jakie zdawało mu się, że nawet na kasztelanowej zrobił.

Zastał on parę salonów bardzo gustownie umeblowanych, ale postrzegł od razu, że porządek, symetrya i nieprzeładowanie bogactwem było największą ich ozdobą. Domowi byli już zebrani. Kasztelan z uśmiechem uprzejmości podał mu rękę i zaprowadził do żony, która łaskawie na niego spojrzała i parę grzecznych i ośmielających słów wymówiła. Panna Jadwiga była w tej samej sukience, w jakiej ją widział w teatrze, nie wystrojona, a dziwnie piękna poważnem ułożeniem, myślą rozlaną po jej twarzy, wdziękiem i udatnością urody słusznej i zgrabnej, miękkością i gracyą każdego ruchu. Sama przystąpiła do niego i w kilku słowach, w których widocznym był wyraz prawdy i szczerości, wyraziła mu, jak rada, że go pozna bliżej, jak jej to miło, że będzie mogła dziś pomówić z nim, na co przy pierwszem widzeniu się nie miała czasu.

Wkrótce za Ignasiem weszło dwóch panów,

których miny i ułożenie okazywały, jak pewni są siebie. Jednego nazwano księciem Januszem, drugiego księciem Henrykiem. Weszli oni w tej chwili, kiedy panna stała przed bohaterem naszym i z nim mówiła. Ignaś spostrzegł, że na ich widok twarz jej blada jeszcze mocniej pobladła, że na jednego z nich rzuciwszy wzrok, odwróciła natychmiast oczy, jak się je odwraca od przedmiotu niemiłego, któryby się chciało z widoku usunąć. Był to właśnie ten sam książę Janusz, dla którego panny referendarzówny tak leciały do okna, i którego zapewne tu poznały.

Książę Janusz, daleki krewny kasztelanowej, miał już lat trzydzieści kilka. Trochę łysy, włosów rudawych, siwych oczu, średniego wzrostu, wyprostowany i zadzierający głowę, miał coś niemiłego w wyrazie twarzy, zresztą nie brzydkiej i cokolwiek tylko piegami oznaczonej. Przez ubiór staranny, maniery pańskie i dumę arystokraty przebijały się demokratyczniejsze nawyknienia satyra, który nie bardzo wchodził w genealogię tych Dryad, za któremi się po cieniach uliczek i brudnych schodków upędzał. Piętno obyczajów przedzierało się oczywiście przez pozłotę światową. Chociaż go Ignaś pierwszy raz w życiu widział i nie wiele jeszcze umiał czytać w tej księdze, jaką jest fizyognomia ludzi, uderzył go jednak od razu ten wyraz, i dziwnie mu się nie podobał. Wrażenie zaś, jakie

na pannie Jadwidze zrobił, dało mu do myślenia, że to musi być jeden z tych, który w momentach poważniejszych życia, jako to, przy obliczaniu intraty, przy układzie budżetu, przy czytaniu raportów i listów rządcy, donoszącego, że dla podniesienia majątku potrzebna koniecznie jakaś oddzielna suma, której z dóbr wyciągnąć nie można, i o niej także zamyślał.

Gdy się przywitał z kasztelanową, przystąpił do panny Jadwigi, podał jej rękę z poufałością krewnego i zapytał po francusku o jej zdrowie, dodając, że ją znajduje cokolwiek bledszą, niż była na wsi, i że to zapewne powietrze Warszawy musiało zepsuć to, co wieś naprawiła.

Wszystko to powiedziane było z wdziękiem i łatwością, okazującą człowieka, którego frazes nic nie kosztuje, i który najpospolitszą rzecz umie ubrać tak, aby się wydawało, że w tem co mówi, zamyka się interesowanie i głębsze znaczenie.

Panna Jadwiga cofnęła zaraz rękę, a chociaż odpowiedziała grzecznie, ale odpowiedziała bez uśmiechu, niezmiernie seryo i tak, że nawet książę się zamyślił. Wtedy kasztelan zarekomendował mu Ignasia, jako brata Eugeniusza.

— A! brat Eugeniusza! — rzekł książę, podnosząc głowę i niby przypominając. Potem nie rzekłszy ani słowa do bohatera naszego, obrócił się do kasztelana i o czem innem mówić za-

czął. Takie obejście się dziwnem się wydało młodzieńcowi, który o delikatności i wychowaniu ludzi, żyjących na tak nazwanym wielkim świecie, wysokie miał wyobrażenie. Nie wiedział on jeszcze o tem, że wyrafinowana grzeczność i wyrafinowane grubiaństwo jest ową wielką sztuką, której sekret mają tylko panowie nasi, i którą w miarę potrzeby i interesu, umieją doskonale przyciągnąć lub odepchnąć.

Drugi książę był to młodzieniec wypieszczony widać w domu zamożnym, ale przykrojonym zupełnie na wzór cudzoziemski, i tą wielką zasługą, w którą w owym czasie więcej wierzono, niż dziś, starającym się utrzymać swoją wyższość. Młodzieniec ten urodził się zagranicą, nawet mleka polskiego nie kosztował, a co gorsza, że się tem chwalił. Wychowała go bona Szwajcarka, potem guwerner Francuz. Nie znał dobrze języka, którego się już później od sług nauczył. Wszystko to byłoby zwyczajną u nas zdrożnością, której wielu ulegało, ale książę Henryk afiszował ją umyślnie, szukał w niej chluby i zasługi, i popisywał się jakby z czem dobrem z błędami językowymi, które ojca i matkę śmieszyły. Przebaczali mu oni wszystko, bo czcił przedewszystkiem swój tytuł, i w żadnej okoliczności o nim nie zapomniał. Próżność tę do tego stopnia posunął, że raz, mając już lat szesnaście, stanąwszy na dziedzińcu pałacu,

w którym rodzice jego mieszkali, a nie chcąc wchodzić na górę, zapytał lokaja stojącego w otwartem oknie: — Czy książę papa jest? — Niema — odpowiedział sługa. — A księżna mama jest? — Także niema. — A księżniczki siostry są? i t. d. — Chodziło to w swoim czasie po Warszawie, i doszło do ojca i matki. Zamiast widzieć w tem śmieszność, ucieszyli się oboje; ojciec rzekł, że dobrze, iż pamięta o swem pochodzeniu, a matka dodała, że czy będzie myślał po francusku, czy po polsku, zawsze jednak godność rodu swego utrzyma. Dziś młodzieniec ten miał już dwudziesty drugi rok, a nie zmieniał się bynajmniej. Wszelkich towarzystw, gdzieby go wyśmiano, unikał, garnął się więc szczególniej do dam, które przywykły go widzieć takim jakim był, i nie miały mu za złe, że był niedoszłym i niedorzecznym Francuzikiem, z polskiem imieniem. Owszem, lubiły z nim szczebiotać, bo mówił doskonale po francusku, najczystszym akcentem, doborowymi frazesami i głosikiem, choć cienkim, ale miłym, który pieścił ich uszy. Panna Jadwiga nie lubiła go i odpowiadała mu najczęściej krótko i zawsze po polsku. Ale musiała nieraz słuchać jego szczebiotania przez wzgląd na matkę, która do imienia jego rodziców wielką przywiązywała wartość i chlubiła się ich dalekiem pokrewieństwem.

Gdy służący otworzył drzwi i dał znać, że obiad na stole, Ignaś postrzegł, że panna Jadwiga w tejże chwili odsunęła się od księcia Henryka i stanęła przy nim. Gdy więc widział, że książę Janusz podał rękę matce, on to samo zrobił względem córki, która na pierwszy znak jego gotowości ramię jego przyjęła, i tak poszli razem i obok siebie usiedli. Pomiędzy nią i matkę usiadł młody książę, i zaczął ją bawić opowiadaniem swojego pobytu na wsi, wyliczając, jacy książęta i hrabowie ich odwiedzali, i u jakich książąt i hrabiów on sam, lub z księciem papą, lub z księżną mamą, bywał. Gdy panna Jadwiga nic mu nie odpowiadała, a kasztelanowa zrobiła mu jakieś zapytanie, które szerszej wymagało odpowiedzi, panna zwróciła się do Ignasia i zaczęła z nim rozmowę z początku ogólną: jak mu się wydaje Warszawa, czy był w teatrze, i t. d. Stopniami zaczęła robić pytania, które go bliżej obchodziły i okazywały, że ją jego los i dalszy kierunek interesuje. Ignaś mówiąc jej o swych nadziejach i wyrażając ich niepewność, dodał:

— Eugeniusz szczęśliwszy w tej mierze ode mnie. Bóg mu dał opiekunów, którzy mu pomogli do wyższego ukształcenia i mają tyle dobrej woli i środków do pokierowania go na świecie.

— Czy pan sądzisz — rzekła panna Jadwiga z lekkiem zaczerwienieniem — że to panu

wyjdzie na złe, żeś był zostawiony własnym siłom?

— Dotąd nie miałem powodu na to narzekać — rzekł Ignaś.

— Ja sądzę, że i dalej nie będziesz pan miał żadnych — odpowiedziała, i twarz jej przybrała wyraz powagi i wyższości, który go zastanowił. — Życie bowiem, jak mi się wydaje, jest to trudny instrument, którego panem ten tylko być może, kto wcześnie z nim łamać się zaczyna. Niewprawnego grajka lada takt zmięsza i splącze. Mistrz w każdym razie da sobie radę. Pan jesteś na tej drodze mistrzowstwa, i cieszyć się powinieneś, że usposobienie twoje odpowiada twemu położeniu, a siły zawodowi, jaki masz przebiedz. Eugeniusz możeby nie wytrwał na tej drodze, jaką pan idziesz.

— Za to przed nim inna droga otwarta, dzięki temu dobrodziejstwu, jakie w domu państwa otrzymał — mówił Ignaś — mój zawód ciasny i może podołam memu ograniczonemu zadaniu. Jego wyższy i rozległy, jak kraina myśli. Ale i on ma siły odpowiednie i mam nadzieję, że nie upadnie w połowie swojego biegu, — dodał Ignaś żywiej, z uczuciem.

Oczy panny Jadwigi były spuszczone, gdy to młody człowiek mówił; ale widać było, że ją słowa te przeniknęły, i że piersi jej wznosiły się prędszym oddechem. Po krótkiej chwili milczenia zapytała ciszej:

— Czy miałeś pan od niego jaką wiadomość?

— Miałem list z Rzymu — odpowiedział Ignaś. — Jest tam obraz jego wrażeń i myśli, jakie mu to wielkie miasto natchnęło. Może sądzę o tem po bratersku, ale mi się to zdaje tak napisanem, że o zdolności jego, a może i o jego powodzeniu w zawodzie pisarza większe powziąć można nadzieje.

— Przynieś mi pan to, bardzo proszę — rzekła panna Jadwiga jeszcze ciszej i oko jej błysnęło jakby radością i dumą; potem dodała z lekka zaczerwieniona: — i oddaj pan to memu ojcu.

Ignaś obiecał i na tem skończyła się ich rozmowa.

Gdy wrócił do domu, przejrzał jeszcze raz list brata, i w całej tej jego części, gdzie mówił o stolicy Piotrowej, nie znalazłszy nic, coby zdradzało tajemnicę jego serca, usiadł zaraz i wziął się do starannego przepisania tej pracy, do której tak wielką przywiązywał wartość.

Trzeciego dnia poszedł znowu do kasztelana, a gdy przyjętym został, wręczył mu przepisany przez siebie wyjątek. Kasztelan spojrzawszy na spory i wykaligrafowany sekstern, jaki mu podawał, rzekł:

— Już mi moja córka mówiła o tej robocie Eugeniusza, którą podobno wysoko cenisz.

— Mogę się mylić, jaśnie wielmożny panie —

odpowiedział Ignaś czerwieniąc się. — Wiadomości moje są bardzo ograniczone i zdanie może być stronnem. W każdym razie praca ta daje tylko dowód, jak wielką wdzięczność brat mój jaśnie wielmożnemu panu winien. Nie każdy z nas, w jego wieku, i przy równych nawet zdolnościach, potrafiłby takiem okiem patrzeć na to, co on widział, i tak myśli i uczucia swe wyrazić.

— Obaczymy — rzekł kasztelan. — Bardzo rad będę podwójnie, i że Eugeniusz dobrze napisał, i żeś ty dobrze i trafnie go ocenił. Ale to nie jego ręka — dodał, patrząc mu w oczy.

— Przepisałem to czyściej i wyraźniej — odpowiedział Ignaś, czerwieniąc się jeszcze mocniej. — On pisał za prędko i wiele tam rzeczy poprzemazywanych i nieczytelnych.

— Ładnie piszesz — rzekł kasztelan uśmiechnąwszy się nieznacznie — w twojem położeniu to przymiot bardzo użyteczny, o który młodzież dzisiejsza nie dba wcale i źle robi. Czy widziałeś kiedy dawne pisanie ludzi starych, poważnych i wiekiem i urzędem, i którzy więcej mieli na głowie, niż wy dziś macie?

— Nie, jaśnie wielmożny panie, nie widziałem nigdy — odpowiedział nasz bohater.

Kasztelan dobył z szafy sporą tekę, gdzie były autografy listów królów, hetmanów, woje-

wodów, biskupów i t. p. i kładąc ją przed młodym człowiekiem, rzekł:

— Przejrzyj to sobie, i uważaj, jak to u nas dawniej pisano, jak mniej więcej wszyscy starali się, aby pismo odpowiadało swemu celowi, i nie zadawało ciężkiej pracy tym, co je czytać mieli.

Ignaś zaczął przeglądać i przypatrując się charakterowi, mającemu tak wyraźne i oryginalne piętno, uprzytomniał sobie w myśli te poważne postacie, których ręka złożywszy berło, miecz, lub pastorał, słowa te kreśliła. Kasztelan tymczasem wrócił do swojej sztalugi, przy której go młodzieniec zastał. Gdy skończył i złożył tekę, rzekł kasztelan:

— A co? prawda. Niejeden z waszych gimnazistów otrzymałby daleko prędzej posadę, gdyby tak pisał, jak Zygmunt III., a szczególniej jak Jan Kazimierz, jak Karol Chodkiewicz, Stefan Czarniecki, Kościuszko, lub książę Józef; jak Kromer, Maciejowski Bernard i Fredro Maksymilian.

Ignaś przyznał, że ma racyę i zaproszony znowu w niedzielę na obiad, pożegnał zacnego człowieka, dla którego coraz większym przejmował się szacunkiem.

W niedzielę po obiedzie, panna Jadwiga, trzymając w ręku skrypt Ignasia, usiadła obok niego i rzekła:

— Dziękuję panu, żeś prośbie mojej zadość uczynił. Nigdy nie wątpiłam o zdolnościach Eugeniusza. Widne one już były i wtenczas, kiedyśmy oboje byli dziećmi, i kiedy mi pomagał w tem, co dla mojej głowy kobiecej było za trudne. Ale z tego listu widzę, że umysł jego szybko dojrzewa pod słońcem Włoch, i że serce jego przejmuje się temi uczuciami religijnemi, bez których każdy. mający w myśli autorstwo, które w mojem rozumieniu powinno być kapłaństwem, będzie lub oschłym pedagogiem, lub szkodliwym kusicielem. Szczególniej cieszy mnie to, że znacznie przygotowany wprzód, jak należało, dojeżdżał do Rzymu, który słusznie nazwał ogromną księgą, którą wieki pisały. Zapewne ksiądz Augustyn wiele mu ułatwił; ale jest w tem widoczna usilność i samego Eugeniusza. Z listów mego brata widzę, że mu i światły ten towarzysz nie wiele pomógł. Cały ten obraz, który mnie zapalił chęcią widzenia tej stolicy dawnego świata, wpisałam sobie do mojej książki, w którą wpisuję wszystko to, co mnie w czytaniu mem najwięcej uderza. Rodzicom moim także się to spodobało, i cieszą się, że ich dobra chęć tak piękny wydaje owoc. Zwracam panu pański kajecik, który może ci się przyda dla pokazania go kolegom — i oddając skrypt Ignasiowi, który ją słuchał ze czcią i przejęciem, tak seryo mówiła, i jak Muza jaka, tak była piękną i po-

ważną, dodała: — Jutro mamy wigilię. Nie wiem czy mama pana zaprosi; a choćby cię zaprosiła, nie wiem czy będziesz mógł być u nas. Masz więc pan tu opłatek. Rozłam go w domu na połowę. Jednę zachowaj dla siebie, na znak mojej życzliwości, a drugą prześlij pan w liście swym tam, gdzie zapewne ten szanowny zwyczaj przodków naszych nie jest obserwowany.

Te ostatnie słowa wymówiła głosem, który wyraźnie zadrżał, i nie czekając odpowiedzi wzruszonego do gruntu serca młodzieńca, powstała i odeszła. Ignaś wziął sekstern i opłatek leżący na nim tak, że był niewidocznym, schował nieznacznie ten dar, drogi dla siebie, a stokroć razy droższy dla Eugeniusza, i nie zabawiwszy długo, tak mu pilno było do domu i do stolika, pożegnał się i wyszedł. W pierwszem tedy uczuciu uszanowania, jakie powziął dla domu, w którym się brat jego wychował, i uwielbienia dla tej młodej kobiety, o której niezmiernie wysokie powziął wyobrażenie, napisał do Eugeniusza list niedługi, ale ile można szczegółowy, w którym zdał mu sprawę ze wszystkiego, co zaszło. Doniósł mu więc, że już ją widział, że ją odgadł w teatrze, porównywając wyraz jej twarzy z tym obrazem, jaki mu on w listach swych skreślił; dalej mówił o przyjęciu, jakiego doznał od kasztelana, i o rozczuleniu, do jakiego go zacny ten człowiek przyprowadził. »Póki

żyć będę, pisał, nie zapomnę obu tym braciom sposobu, jakim każdy z nich wspominał o naszym ojcu. Zapytanie referendarza, jak się ma krewny, o którego śmierci wiedzieć był powinien, i który od pięciu lat w grobie, wiecznym napełniać mnie będzie wstrętem; jak nawzajem do niezgasłej wdzięczności obowiązują mnie słowa kasztelana, malujące szczery szacunek i współczucie, i które mi rzewne łzy wycisnęły.« Opisawszy potem niedzielny obiad i dawszy obraz dwóch tych panów, którzy na nim byli, nie mówiąc wszakże, aby nie martwić Eugeniusza, iż mu się zdaje, że jeden z nich jest konkurentem, doniósł mu, jakim sposobem w rozmowie z panną przyszło do tego, że wspomniał o obrazie Rzymu, który mu w liście swym przesłał; jak z widocznem wzruszeniem i radością panna Jadwiga słuchała go, gdy pracę tę chwalił, i prosiła, aby ją jej przyniósł; wspomniał o rozmowie swej z kasztelanem, gdy mu przepisany przez siebie sekstern oddał, i nareszcie przytoczył prawie dosłownie to, co mu na drugą niedzielę panna Jadwiga powiedziała. List jego kończył się temi słowy: »Masz tu więc, kochany Eugeniuszu, wszystko, co cię interesować może. Dar, który ci przesyła, obwinąłem umyślnie w twardy papier, żeby się nie starł na poczcie. Nie polecam ci, abyś go szanował; bo jeżeli dla mnie ten upominek jest drogim, czemże

będzie dla ciebie? Widzę w tem jej myśl i serce, że dla przypomnienia się tobie nie co innego wybrała, ale tę okruszynę poświęconego chleba, w którym zamyka się znak męki i zbawienia, który u nas tylko uświęca tę ucztę rodzinną, tak miłą i pamiętną dla dzieci i rodziców, dla braci i sióstr, dla wszystkich serc blizkich i spojonych z sobą najświętszemi ogniwami krwi i miłości. Nie mogę ci wypowiedzieć, jak wyglądała wtedy, kiedy mówiła to, com ci tu prawie dosłownie przytoczył, jak drżał jej głos, kiedy mi polecała, abym w domu rozłamał ten upominek na dwoje i drugą połowę przesłał tobie. Im bardziej ją poznaję, tem więcej przekonywam się, że nigdy mężczyzna nie może tak prędko dojrzeć głową i sercem, jak kobieta. Ja jestem smarkacz w porównaniu z nią, chociażeśmy równi wiekiem. Ona mi się wydaje czemściś tak wysokiem, tak czystem, tak pozbawionem wszelkiego przymięszania tej gliny ziemskiej, z której żaden, by najszlachetniejszy mężczyzna zupełnie oczyścić się nie może, i która zawsze brudzi myśli, że nie wiem, czy się znajdzie taki, coby jej był godnym, nie wyjmując i ciebie, który ośmielasz się ją kochać. Nawet wstręt mnie jakiś bierze, gdy pomyślę, że i ona pójdzie kiedyś za mąż, i że z istoty takiej, iż ci jej teraz ani nazwać, ani opisać nie umiem, zrobi się zwyczajna kobieta. Przynajmniej ten grzech ciężyć

nie będzie na tobie, mój biedny Eugeniuszu! bo wierz sobie jak chcesz w jej przywiązanie, które zapewne masz, spodziewaj się, że się zrobi cud na tym świecie i że ci raptem przybędzie jeszcze ze sześć lat wieku i ze sześćdziesiąt tysięcy intraty, co i jedno i drugie jest ci nieodbicie potrzebnem, a ja ci powiadam, że ani cię ta wiara nie zbawi, ani te nadzieje nie staną się duszą i ciałem. Poznawszy ją nie dziwię się, że ją czcisz i kochasz, ale na wszystko zaklinam cię, Eugeniuszu! idź do tej świątyni, gdzieś się czuł tak małym, a gdzie Bóg jest tak wielkim, upadnij na twarz przed Jego ołtarzem i proś go, aby z miłości twej odjął wszystkie ziemskie nadzieje, które cię zgubią i lot twój zwichną, a zostawił ci ją taką, jaka jej godna, jaką się tylko wybranych Jego kocha. Taka jedynie miłość stanie się ozdobą i dumą twego życia, stanie się podnietą twej działalności i potężnem myśli twej skrzydłem. Nie gniewaj się na mnie, że rózgą rozsądku rozpędzam te mary w tęczowych sukienkach, które cię otaczają i zwodzą. Takie jest moje przekonanie, a może i powinność. Czy cię sprowadzę na taką drogę, na jakiejbym cię chciał widzieć, tego nie wiem; ale dałbym kilka lat z życia, żeby to nastąpić mogło. Bądź więc zdrów i mocuj się z sobą, abyś się stał panem tego instrumentu, jakim jest życie, i grał na nim jak mistrz, ze swobodą

myśli i biegłością, która partaczów zadziwia. Powtarzam ci tu jej słowa, jej oznaczenie życia i walk, jakich ono wymaga. Tem bardziej więc utkwić ci powinno w głowie i sercu, tem świętszą powinna ci być ta przestroga, że od niej pochodzi.«

Wigilię nazajutrz przepędzili na Święto-Jańskiej ulicy. Była to uczta uboga, ale serdeczna. Gdy przyszło do łamania się opłatkiem, przystąpiła Paulinka do matki wzruszona tą myślą, że może raz ostatni, jako zupełnie do niej należąca, z nią się tym tajemniczym chlebem łamie, rozpłakała się i do nóg jej upadła. Kański był tuż przy niej i ukląkł także. Matka położyła ręce na ich głowach, i błogosławiła w myśli dalszemu ich życiu.

Ignasia nie zadziwiał wcale krok i śmiałość Kańskiego, wiedział bowiem, że matka przyzwalała na tę skłonność, jaką w córce swej dla niego widziała. Ale nie myśląc wcale, żeby to było błogosławieństwo, mające tylko kilku tygodniami poprzedzić ich związek, coby go było zmartwiło i inne podałoby mu myśli, wzruszył się tym widokiem, i spojrzawszy na Julkę z miłością i z przywiązaniem, szepnął jej:

— A ty, siostrzyczko! kiedy i z kim tak uklękniesz?

Julka nic na to nie rzekła, ale błękitne jej oczy podniosły się na wzruszonego młodzieńca, łza wielka i błyszcząca jak perła stanęła na

czarnych jej rzęsach, i rumieniec, który oblał jej twarz, dał odpowiedź na to pytanie, które widać serce jej zrozumiało. W chwili tej była tak piękną, ale razem tak pociągającą powabem szczęścia, jakieby dać mogła, tak podobną była do ślicznego kwiatu, który nie spada z jakichśćiś górnych stref, ale wychodzi z ziemi na to, aby był jej ozdobą i napawał rozkoszą swych barw i woni, że Ignaś ucieszył się, że nie jest tak wysoką i wywołującą tylko cześć istotą jak tamta, że ją może kochać taką miłością, która stanie się umocnieniem i światłem tej trudnej drogi życia, co się przed nim otwierała, i że ją od niej tylko zbyteczna jego młodość i wspólne ubóstwo oddziela. Czas doda mi lat, pomyślał wtedy, a ubóstwo nasze zwycięży moja praca. To przekonanie o jej wzajemności, to postanowienie mocne i niezłomne, dało mu najlepszy humor i wieczór ten należał dla nich wszystkich do najszczęśliwszych chwil życia. Byli oni zanadto młodzi, zanadto niedoświadczeni i zajęci sobą, aby wiedzieć mogli, że zwykle takie chwile niewymownego szczęścia są przepowiednią i wigilią ciężkich frasunków i tych burz, które łamią bez miłosierdzia najpiękniejsze takich wiośnianych momentów zasiewy.

Koniec tomu pierwszego.